

# BARBARA TAYLOR BRADFORD

WSZYSTKO PRZED TOBĄ

Przełożyła z angielskiego  
Anna Maria Nowak

Wydawnictwo „Książnica”

*Zawsze wiernemu Bobowi — z miłością.*

## PROLOG

*Connecticut, sierpień 1993*

Od tak dawna już jestem sama, że prawie nie potrafię sobie wyobrazić, bym mogła znowu z kimś zamieszkać. Ale właśnie tego pragnie Richard. Bym z nim zamieszkała.

Kiedy wczoraj wieczorem poprosił mnie o rękę, powiedziałam, że nie mogę za niego wyjść. Nie zniechęcony odmową, jak zawsze odważnie stawiając czoło rzeczywistości, zaproponował, żebyśmy razem zamieszkali. Coś w rodzaju małżeństwa na próbę, przekonywał, bez zobowiązań, nie wymaga ode mnie żadnego zaangażowania.

— Zaryzykuję, Mal — powiedział uśmiechając się słabo, spojrzaniem ciemnych oczu błagając, bym nie odwracała wzroku.

Ale nawet to wydaje mi się nie do pomyślenia. Dziś rano tak samo jak ubiegłego wieczoru. Przypuszczam, że — gdybym miała być wobec siebie bezwzględnie szczerą — największą przeszkodą jest obawa przed bliskością, życiem z inną osobą. Strachem napała mnie nie tyle kontakt seksualny, co fizyczna bliskość dwojga ludzi mieszkających pod jednym dachem, emocjonalna więź, która ich łączy i sprawia, że wzajemnie stają się częścią siebie. Jestem przekonana, że nie umiałabym sobie z tym poradzić, a im dłużej się nad tym zastanawiam, tym lepiej rozumiem moją reakcję na propozycję Richarda.

Boję się. Boję się zaangażować... Za bardzo się do niego zbliżyć... Że zbytnio się do niego przywiążę... Może nawet zakocham, o ile w ogóle jestem jeszcze zdolna do tak silnych uczuć.

Już od kilku lat strach paraliżuje mnie emocjonalnie. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, więc stworzyłam swoje własne życie, tylko moje; wydawało mi się o wiele bezpieczniejsze. Cegła za cegłą wznosiłam wokół siebie mur, wieżę postawioną na fundamencie mojej firmy, pracy, kariery. Robiłam to, by odizolować się od życia. Praca stała się moją twierdzą i przez te wszystkie lata dawała mi to, czego potrzebowałam.

Kiedyś posiadałam tak wiele. Wszystko, o czym kobieta mogłaby marzyć. I straciłam.

Przez ostatnie pięć lat — od pamiętnej zimy 1988 roku — ból, cierpienie i męka ani na chwilę mnie nie opuszczały. Towarzyszyła mi żaloba której, tak wtedy jak i dziś nie potrafię znieść. A jednak przetrwałam. Żyłam dalej. Jakoś się wydostałam ze straszliwych ciemności i rozpacz, choć zostało mi tak niewiele sił, choć straciłam wszelką wolę życia. I mimo to jakoś udało mi się przeżyć.

W końcu nauczyłam się żyć sama, przywykłam do tego. I wcale nie jestem pewna, czy potrafię znowu z kimś dzielić życie — tak jak to kiedyś robiłam. A już na pewno nie w ten sam sposób jak kiedyś, w tamtym, poprzednim wcieleniu.

Jednak właśnie o to prosi mnie Richard. Chce, bym dzieliła z nim życie, a więc dzieliła także siebie. To dobry człowiek. Lepszego od niego nie znajdziesz na świecie i każda kobieta byłaby szczęśliwa, trafiwszy na kogoś takiego. Ale ja nie jestem każdą kobietą. Przeszłam przez zbyt wiele, zadane rany okazały się zbyt głębokie, mojej duszy nic już nie uleczy. Przynajmniej ja tak uważam. I doskonale zdaję sobie sprawę, że nie jestem kobietą, na jaką Richard zasługuje, kobietą, która potrafiłaby mu się cała ofiarować; kobietą bez przeszłości, bez ciężkich bagaży, brzemion, żaloby, które przygniatają do ziemi.

Dla takiej duchowej kaleki, jaką się stałam, najprostsze byłoby kazać Richardowi Marksonowi odejść, odmówić mu o wiele bardziej zdecydowanie niż to zrobiłam wczoraj i nigdy więcej nie widzieć go na oczy. Mimo to nie mogę... Coś mnie powstrzymuje, nie pozwala wymówić tych ostatecznych słów. Oczywiście, chodzi o samego Richarda, nie mam co do tego wątpliwości. Bo przecież

żywień względem niego pewne uczucia i ostatnio coraz bardziej — może nawet bardziej niż się do tego przyznaję — zaczęłam na nim polegać.

Richard zjawił się w moim życiu dość przypadkowo jakiś rok temu, wkrótce po tym, jak wynajął dom niedaleko mojego w owym sielskim zakątku w północno-zachodniej części Connecticut, tuż nad Sharon w pobliżu jeziora Wononpakook i Mudge Pond, blisko granicy z Massachusetts. Te zachodnie pasma Connecticut zawsze nazywałam krainą wybraną przez Boga i zaskoczyło mnie, kiedy Richard tymi samymi słowami wyraził swój zachwyt dla tej niewiarygodnie pięknej części świata.

Polubiłam Richarda od pierwszej chwili, od momentu kiedy wszedł do mojego domu. Tamtego zimowego wieczoru, nad kolacją w kuchni, byłam przekonana, że chodzi mu o moją przyjaciółkę, Sarę Thomas. Dopiero kilka tygodni później Richard dał mi jasno do zrozumienia, że to ja stanowię obiekt jego zainteresowania i to mnie chce lepiej poznać.

Przez dłuższy czas nie odważyłam się dopuścić go bliżej siebie, trzymałam go na dystans. Potem wolniutko, ostrożnie odsłaniałam przed nim maleńkie skrawki siebie. Ale nadal większość swoich spraw, przeżyć, uczuć zachowywałam dla siebie. Dlatego nie powinno się wydawać dziwne, że tak mnie zdumiały jego wczorajsze oświadczenia. Obiecałam, że dziś mu odpowiem.

Kątem oka dostrzegłam górną część strony „The New York Timesa”, który leżał na biurku. Przeczytałam datę: **Poniedziałek, 9 sierpnia 1993**. Ciekawa byłam, czy Richard będzie kiedyś ją pamiętał, wspominał jako dzień, w którym został odrzucony, tak samo jak ja wspominałam tak wiele dat, drogowskazów na ścieżce mojego życia, które co roku przywoływały tyle wspomnień.

Pod wpływem impulsu sięgnęłam po słuchawkę, chcąc raz na zawsze skończyć z tą sprawą, ale niemal w tej samej chwili moja ręka opadła. Nie miało sensu dzwonić do mieszkania Richarda na Manhattanie, bo sama jeszcze nie wiedziałam, jak ubrać w słowa to, co muszę powiedzieć. Nie chciałam go ranić bez powodu. Trzeba rzecz załatwić dyplomatycznie.

Nagle ogarnęła mnie irytacja na samą siebie. Westchnęłam, niecierpliwie odsunęłam krzesło i poszłam włączyć klimatyzację. Ranek był wyjątkowo parny, ciężkie, duszne powietrze dotarło nawet do mojego gabinetu w głębi domu. Skórę miałam wilgotną, zaczęłam się dusić.

Wróciłam do biurka, usiadłam i zapatrzyłam się w przestrzeń, nadal skupiając myśli na Richardzie. Wczorajszej nocy powiedział, że jestem zbyt młoda, by wieść tak odosobnione życie. Zapewne kryła się w tym jakaś racja. W końcu mam zaledwie trzydzieści osiem lat. Mimo to bywają dni, kiedy czuję się jak osiemdziesięcioletnia staruszka. Zdaję sobie sprawę, że to skutek tego, przez co przeszłam, a także nabytej niedawno wiedzy o życiu i ludziach. Bez wątpienia aż nadto dowiedziałam się o ich braku wrażliwości, o ich egoizmie, gruboskórności, obojętności. Doświadczyłam także zła, i to na własnej skórze. Tak, ale również i dobra. Naprawdę, trafiają się dobrzy ludzie — czuli, zatroskani, współczujący — ale niewielu i rzadko. Przekonałam się aż nazbyt dokładnie, że ostatecznie z naszymi kłopotami i bólem zostajemy sami. Przypuszczam, że stałam się cyniczką, tak samo jak nabrałam mądrości, nauczyłam się lepiej chronić i bardziej polegać na własnych siłach — czego przedtem nie potrafiłam.

Opowiedziałam Richardowi, jak natknęłam się na kilku wysłanników zła, którzy najeżdżają naszą planetę; Richard słuchał mnie uważnie, tak jak to zwykle robi. Kiedy skończyłam, ku swemu zaskoczeniu poczułam, że lada chwila mogę się rozplakać, a on wtedy usiadł obok mnie, ujął za rękę i mocno ścisnął. Tkwiłszy tak nieruchomo przez dłuższy czas, wreszcie Richard odezwał się spokojnie:

— Nie próbuj zrozumieć natury zła, Mal, ani jej analizować. To tajemnica, której nikomu do tej pory nie udało się zgłębić. Zło dotknęło cię znacznie silniej niż innych ludzi. Przeszłaś prawdziwe piekło i nawet nie potrafiłbym znaleźć słów, żeby cię pocieszyć. Zresztą słowa to nędzna pociecha. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że zawsze w trudnych chwilach możesz na mnie liczyć. Jestem twoim przyjacielem, Mal.

Wiem, że zawsze będę mu wdzięczna — nie tylko za to, że właśnie tamtego dnia tak pięknie zapewnił mnie o swojej pomocy, ale także za to, że nie próbował mnie uciszyć pocieszeniami, tymi pustymi słowami, za pomocą których różni życzliwi próbują sobie radzić, gdy stoją twarzą w twarz z cudzym bólem, gniewem czy rozpaczą. Poza tym muszę przyznać, podziwiam Richarda Marksona. To przyzwoity człowiek, silny, potrafiący współczuć — a te zalety wiele dla mnie znaczą. Choć nigdy nie był żonaty, nie przeszedł przez życie bez ran, wiem o tym. Ma trzydzieści dziewięć lat, jest ode mnie o rok starszy i — dopiero teraz uderzyło mnie to z całą mocą — właśnie dojrzał do wejścia w trwały związek. Ale czy ja dojrzałam? Niepewna, miotana sprzecznymi uczuciami, przerażona, borykająca się z lękiem i głęboko zakodowanymi problemami. Czuję się dziś beznadziejnie, nie potrafię jasno myśleć.

Zacisnęłam powieki, pochyliłam się do przodu; głowa opadła mi na biurko i w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że wpadam w lodowatą spiralę strachu. Nie ma siły, żebym zadzwoniła do Richarda, tak jak obiecałam. Nie mogłabym nic mu odpowiedzieć, nie znam odpowiedzi.

Chwilę później poderwało mnie przenikliwe dźwięczenie telefonu. Wyprostowałam się w krześle, sięgnęłam po słuchawkę.

— Halo?

— Mallory?

— Tak.

— To ja, Richard.

— Poznałam.

— Mał, muszę wyjechać z miasta. Wysyłają mnie.

— Och — powiedziałam zaskoczona. — To coś nagłego, prawda?

— Tak. Wskoczyło dosłownie parę minut temu. Redakcja wysyła mnie do Bośni. Wyjeżdżam natychmiast. Wygląda na to, że akcje ONZ i NATO zakończyły się fiaskiem, więc czym prędzej ruszam do...

— Ale przecież zwykle nie robisz takich rzeczy — przerwałam mu w pół słowa. — Nie jesteś korespondentem wojennym.

— I nie zamierzam nim zostać. To jak zwykle będą rozważania na podstawie tego, co mówimy o tych okropieństwach, które tam się dzieją, trzęsących portkami przywódcach Zachodu, strasznej obojętności, jaką świat okazuje wobec ludzkich cierpień. — Umilkł i podjął cicho, z napięciem: — To powtórka tego samego, co się wydarzyło sześćdziesiąt lat temu w faszystowskich Niemczech.

— Co za koszmar! — krzyknęłam, podnosząc głos. — Jesteśmy równie barbarzyńscy jak w dziesiątym stuleciu. Nic się nie zmieniło, niczego się nie nauczyliśmy. Ludzie są potworni. Żli.

— Wiem o tym, Mal — odparł, wzdychając prawie niedo słyszalnie.

— To znaczy, że wyjeżdżasz już dzisiaj? — spytałam, starając się mówić normalnym głosem.

— Za parę godzin jadę na lotnisko Kennedy'ego.

Krótką przerwę.

— Mal?

— Tak, Richardzie?

— Masz dla mnie odpowiedź?

Milczałam przez dłuższą chwilę. Wreszcie odchrząknęłam i powiedziałam:

— Nie, obawiam się, że nie. Przepraszam, Richard, ale potrzebuję czasu. Już ci mówiłam...

Tym razem to ja zawiesiłam głos.

Richard nic nie powiedział.

Mocno ścisnęłam słuchawkę, zastanawiając się, jak zareaguje.

— Może po moim powrocie z Bośni — odezwał się nagle. Jego głos brzmiał silnie, pewnie. — Może będziesz miała dla mnie dobre wieści, powiesz to, co chciałbym usłyszeć. Będziesz, prawda?

— Kiedy wrócisz?

— Za jakiś tydzień, dziesięć dni.

— Uważaj, Richard. Tam jest niebezpiecznie.

Z drugiego końca linii dobiegł lekki, beztrojski śmiech, który już tak dobrze poznałam.

— Nie zamierzam dać się trafić zabłąkanej kuli, jeśli to masz na myśli. Nic takiego nie jest mi pisane.

— Tak czy owak, uważaj na siebie.

— Obiecuję. A ty uważaj na siebie, Mal. Na razie.

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyłam się pożegnać.

Po chwili wyszłam z gabinetu; przemierzyłam tylny korytarz, kierując się do ogrodu.

Wyłożona kamiennymi płytkami ścieżka, którą wybrałam, biegła z tyłu domu. Szybkim krokiem zmierzałam ku grani, z której rozciągał się widok na moją posiadłość i położoną dalej dolinę. Wzgórza porastały gęste, teraz ciemnozielone, cudowne drzewa, które w czasie ostrych zimowych miesięcy chroniły ją od zimna i wiatru. W dole przycupnęły dwa niewielkie domki; zawsze tak smutne i opuszczone w czasie złej pogody, teraz — z pomalowanymi na białą ścianami, ciemnymi dachówkami i pełnymi barwnych kwiatów ogrodami — wyglądały rześko i miło.

Po chwili odwróciłam od nich wzrok, zatrzymując spojrzenie na łąkach, które rozciągały się niemal pode mną. Pasły się na nich spokojne, zadowolone konie. Z lewej strony, jakby dla dopełnienia tej sielankowej scenerii, znajdowały się stare stajnie, niedawno odmalowane na ciemnoczerwone. Na prawo od długiej polany lśniła w słońcu niczym lustro spokojna tafla stawu; pływało po nim stadko dzikich gęsi — jedna za drugą sunęły po ciemnej powierzchni, na której kołysały się bladoróżowe lilie wodne o błyszczących liściach.

Błądziłam wzrokiem po okolicy, wodząc spojrzeniem od oślepiających krzewów różanych w pełnym rozkwicie, przez zagonki z warzywami schowane za białym płotkiem, po ogród, w którym wybuchały kaskadą barw i kształtów byliny. Tu wszystko tak doskonale rośnie; jakże cudowna jest ta ziemia, jak bogata, tętniąca życiem.

Uniosłam głowę i popatrzyłam na niebo. Miało niewiarygodnie intensywne, aż oślepiający odcień błękitu, sunęły po nim puchate białe chmurki. Zaczęłam mrugać powiekami, żeby osłonić oczy przed tym bezlitosnym blaskiem i wtedy zdałam sobie sprawę, że płaczę.



Łzy płynęły po policzkach, a ja przypomniałam sobie słowa Richarda, które przed chwilą usłyszałam: „Nie zamierzam dać się trafić zabłąkanej kuli”, powiedział, jakby to był zupełny drobiazg.

Mimo upalnego słońca przeszył mnie dreszcz i ogarnął nagły chłód. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie życie — pomyślałam — co chowa dla nas przeznaczenie.

## *Indiańska Dolina*

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Connecticut, lipiec 1988*

Ocknęłam się gwałtownie, jakby ktoś dotknął mego ramienia, i kiedy mrugając oczami rozglądałam się po mrocznej sypialni, właściwie spodziewałam się, że zobaczę Roberta, który się nade mną pochyla. Ale jego nie było. Bo i skąd? Wyjechał do Chicago w interesach, a ja zostałam tu, w Connecticut.

Owijając się szczelniej kołdrą, wtuliłam się w łóżko w nadziei, że uda mi się zasnąć, ale szybko zdałam sobie sprawę, że moja nadzieja jest płonna, gdyż mózg już zaczął pracować na pełnych obrotach. Na początku tygodnia pokłóciliśmy się i ta idiotyczna sprzeczka o coś tak bez znaczenia, że nawet nie chciało mi się teraz o tym myśleć, nadal między nami wisiała.

Powinłam była schować dumę i wczoraj do niego zatelefonować, wyrzucałam sobie teraz. Rzeczywiście, zastanawiałam się nad tym, ale nie zrobiłam. On też się nie odezwał — nigdy nie dzwonił, kiedy wyjeżdżał — i obawiałam się, że sprawa niepotrzebnie nabierze olbrzymich rozmiarów, przez co nasz wspólny weekend, którego tak niecierpliwie wyglądałam, się nie uda.

Naprawię wszystko jutro, kiedy Robert wróci — obiecałam sobie w duchu. Przepraszę, choć to nie była moja wina. Nie umiałam trwać w niezgodzie z kimś, kogo kochałam; zawsze tak było.

Wstałam z łóżka i podeszłam do okna. Podniosłam żaluzje, ciekawa, jaka zapowiada się pogoda.

Na odległym horyzoncie pojawiła się właśnie jasna krystaliczna linia. Niebo ponad nią jeszcze było szare, chłodne i odległe,

niecو zielonkawo, jak zwykle tuż przed świtem. Wzdrygnęłam się i sięgnęłam po szlafrok frotte. W sypialni panował chłód, wręcz przenikliwe zimno; próbując zwalczyć nieznośny lipcowy upał, ustawiłam wczoraj klimatyzację na piętnaście stopni. Wyłączyłam ją wychodząc z pokoju i ruszyłam korytarzem w stronę schodów.

Na dole było mroczno, w powietrzu unosił się delikatny zapach jabłek, cynamonu, wosku pszczelego i kwitnących róż — kompozycja, którą kochałam i nieodmiennie kojarzyłam z wsią. Poruszając się po ciemnym i cichym domu, zapalałam wszędzie światła; wreszcie dotarłam do kuchni. Nastawiłam kawę i natychmiast skierowałam się do dziennego pokoju. Otworzywszy przeszklone drzwi, wyszłam na obszerny, wyłożony płytkami taras. Okazało się, że na niebie zaszły ogromne zmiany. Wstrzymałam oddech, jak zwykle poddając się czarowi tego wyjątkowego światła poranka, światła charakterystycznego dla tych okolic. Było przenikliwe, bajecznie piękne; odnosiło się wrażenie, że emanuje z jakiegoś tajemniczego źródła daleko za horyzontem.

Nigdzie na świecie nie widziałam takiego nieba. Oczywiście z wyjątkiem Yorku; tam wielokrotnie oglądałam wyjątkowo cudowny nieboskłon, zwłaszcza nad wrzosowiskami.

Światło zawsze mnie fascynowało, może dlatego, że amatorko zajmuję się malarstwem i często spoglądam na świat oczami artysty. Pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam obraz Turnera, jedno z jego największych dzieł wiszących w Tate Gallery w Londynie. Tkwiłam przed nim dobrą godzinę jak przymurowana, nie mogąc wyjść z podziwu nad żarzącym się światłem, które nadawało pejzażowi zapierającą dech w piersiach urodę. No ale przecież właśnie ta wspaniała umiejętność uchwycenia światła i oddania go na płótnie z tak niewiarygodną precyzją stanowi część geniuszu Turnera.

Obawiam się, że ja tego daru nie posiadam. Jestem po prostu zdolną amatorką, która maluje dla przyjemności. Ale to nie przeszkadza mi marzyć — tak jak dziś — by umieć oddać piękno nieba nad Connecticut, by choć raz przedstawić je właśnie tak, jak wygląda. Lecz w głębi ducha wiem, że nigdy mi się to nie uda.

Parę minutostałam jeszcze na tarasie przed dziennym pokojem, a potem ruszyłam wokół domu. Na trawie wisiały duże krople rosy, uniosłam więc rąbek koszuli i szlafroka, żeby ich nie zamoczyć, idąc przez trawnik.

Światło wciąż się zmieniało. Kiedy doszłam do grani nad doliną, niebo nad moją głową nabrało słabego srebrzystego blasku; ciemne, szare pozostałości nocy w końcu się rozproszyły.

Siadłam na ławce z kutego żelaza, która stała pod jabłonią. Oparłam się wygodnie, odprężyłam. Uwielbiam tę porę dnia, na moment przed tym, jak świat się przebudzi, gdy wszystko jeszcze śpi spokojne i ciche, a ja mogę sobie wyobrażać, że jestem jedyną żywą istotą na świecie.

Przymknęłam oczy, nasłuchując.

Znikąd nie dobiegały żadne odgłosy; nic się nie poruszało, żaden liść ani źdźbło trawy się nie zakołysały. Ptaki milczały, śpiąc głęboko w gałęziach drzew, a panujący wokół mnie bezruch był niczym balsam. Kiedy tak siedziałam, nie myśląc właściwie o niczym, dając się unosić czasowi, niepokój o Roberta zaczął cichnąć.

Wiedziałam z niezachwianą pewnością, że wszystko się ułoży, gdy tylko wróci do domu i się pogodzimy; zawsze tak było, kiedy pojawiały się między nami jakieś tarcia. Nie widziałam powodu, żeby tym razem miało to wyglądać inaczej. Jedną ze wspańiałych cech Roberta jest umiejętność niepamiętania długo urazy. Zbyt dużego formatu był człowiekiem, by coś takiego robić. Tak więc szybko zapominał o naszych drobnych, często głupich sprzeczkach, różnicach zdań. Ta cecha nas łączy. Na szczęście oboje potrafimy iść naprzód z optymizmem.

Już od dziesięciu lat jestem żoną Roberta Keswicka. Właśnie za tydzień, dwunastego lipca, będziemy obchodzić rocznicę ślubu.

Poznaliśmy się w 1978 roku, kiedy ja liczyłam sobie dwadzieścia trzy lata, a on trzydzieści jeden. To była jedna z tych niemal książkowych, szalonych miłości, tyle że nasza — w przeciwieństwie do wielu innych — nie zniknęła. W miarę upływu czasu łącząca nas więź stawała się coraz silniejsza. Powiedzieć, że Robert

mnie oczarował, to za mało. Zakochałam się w nim szaleńczo, nieodwołalnie, po uszy. On zresztą we mnie też, jak miałam się później przekonać.

Kiedy się poznaliśmy, Robert, który jest Anglikiem, mieszkał w Nowym Jorku już od siedmiu lat. Uważano go za jedno z cudownych dzieci Madison Avenue, jednego z tych ludzi w branży reklamowej, którzy potrafią sprawić, że firma nie tylko odnosi niewiarygodny sukces, ale także staje się ogromnie popularna i ściąga do siebie mnóstwo prestiżowych klientów z całego świata. Pracowałam w tej samej agencji: „Blau, Ames, Braddock and Suskind”. Wymyślałam slogany i mimo swej dość niskiej pozycji uważałam się za zdolną twórczynię zręcznych i przekonujących haseł reklamowych.

Robert Keswick zdawał się podzielać to zdanie.

O ile jego komplementy, dotyczące mojej pracy, uderzały mi do głowy, to on sam trafił mi wprost do serca. Oczywiście byłam wtedy bardzo młoda i choć skończyłam Radcliffe, przypuszczam, że jak na swoje pochodzenie, wiek i wychowanie także dość naiwna. Zapewne należę do osób z opóźnionym zapłonem.

Tak czy owak Robert całkowicie mną zawładnął. Szybko zauważyłam, że mimo swej wyjątkowej inteligencji i wysokiej pozycji na Madison Avenue nie miał w sobie za grosz egoizmu. Wręcz przeciwnie. Jak na człowieka o takim talencie był bardzo skromny; lubił się śmiać, posiadał też kąśliwe poczucie humoru, które często zwracał przeciwko sobie.

Ja uważałam go za kogoś czarującego, za osobę o wyrafinowanym smaku, a jego pochodzenie i miękki, starannie modulowany głos Anglika dodatkowo wyróżniały go spośród innych. Średniego wzrostu i budowy, miał miłą, gładko ogoloną twarz, ciemne włosy i spoglądające jasno szeroko rozstawione oczy. Właśnie te oczy stanowiły jego najmocniejszy punkt: bardzo niebieskie, ocienione gęstymi rzęsami. Chyba nigdy nie widziałam tak intensywnie błękitnych oczu i nigdy nie zobaczę — dopiero parę lat później, kiedy będę spoglądać na Clarissę i Jamiego, nasze bliźnięta.

Wszystkim dziewczynom w agencji Robert ogromnie się podobał, ale on upatrzył sobie właśnie mnie, zaszczycając szczegól-

nymi względami. Zaczęliśmy się spotykać i natychmiast się przekonałam, że w jego towarzystwie czuję się niezwykle swobodnie; byłam odprężona, bardzo naturalna. Odnosiłam wrażenie, jakbym znała go od zawsze, równocześnie zaś intrygował mnie, chciałam się dowiedzieć, jakie życie wiódł zanim mnie poznał, jakim był człowiekiem.

Spotykaliśmy się dopiero od dwóch miesięcy, kiedy Robert porwał mnie do Londynu na wydłużony weekend, w czasie którego przedstawił mnie matce. Z Dianą Keswick zaprzyjaźniłyśmy się natychmiast, właściwie już w pierwszej godzinie naszej znajomości. Można by wręcz powiedzieć, że się w sobie zakochałyśmy i od tamtej pory tak pozostało.

U niektórych słowo „teściowa” wywołuje natychmiastowe skojarzenie z wrogiem, kobietą, która nawet nie ukrywa swych zaborczych uczuć wobec syna, stale walczy z synową o jego uczucia i uwagę. Ale nie Diana. Od pierwszej chwili traktowała mnie cudownie — żeńska wersja Roberta. A właściwie chyba powinnam powiedzieć, że Robert stanowi męską kopię swej matki. Wielokrotnie i na różne sposoby okazywała mi swoją lojalność i oddanie. Naprawdę kocham ją, szanuję i podziwiam. Jest dla mnie kimś wyjątkowym z wielu powodów, ale przede wszystkim ze względu na swe ciepłe, rozumiejące serce.

Tamten weekend w Londynie — moja pierwsza podróż do Anglii — po dziś dzień żyje w mej pamięci. Spędziliśmy tam zaledwie dwadzieścia cztery godziny, kiedy Robert poprosił mnie o rękę.

— Bardzo cię kocham — powiedział, obejmując mnie i przytulając do siebie. — Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie, Mal — ciągnął tym swoim cudownym głosem. — Obiecuj, że za mnie wyjdiesz, że spędzisz ze mną resztę życia.

Oczywiście obiecałam. Wyznałam mu, że kocham go równie gorąco jak on mnie i uczciliśmy nasze zaręczyny, zapraszając jego matkę na uroczystą kolację w Claridge's w niedzielę przed poniedziałkowym porannym lotem do Nowego Jorku.

W drodze powrotnej do Stanów ciągle zerkałam na serdeczny palec lewej ręki, podziwiając zabytkowy pierścionek z szafira -

mi, który na nim połyskiwał. Robert dał mi go tuż przed kolacją, wyjaśniając, że pierścionek należał do jego babki, a potem do Diany.

— Mama chce, żebyś teraz ty go miała — powiedział. — I ja też. Będziesz trzecią panią Keswick, która będzie go nosić, Mal.

Posłał mi ten swój cudowny uśmiech i wsunął klejnot na mój palec. I przez kilka następnych dni ilekroć nań spojrzałam, przypominało mi się owo stare, niemodne zdanie: „Poprzez tę obrączkę ślubujemy sobie wiarę. I tak rzeczywiście było.

Dwanaście tygodni po naszej pierwszej randce pobraliśmy się w kościele świętego Bartłomieja przy Park Avenue. Jediną osobą, której ten nieoczekiwany związek nie uradował, była moja matka. Choć bardzo lubiła Roberta i bardzo jej się podobał jako kandydat na zięcia, tak szybki ślub bardzo ją zmartwił.

— Wszyscy będą myśleli, że coś tu nie gra — mruczała pod nosem, posyłając mi przenikliwe spojrzenie i pędząc zamawiać wytworne zaproszenia i planować w pośpiechu przyjęcie, które miało się odbyć w hotelu Pierre przy Piątej Alei.

Groźny błysk w moim oku i zacięte wargi musiały ją ostrzec przed postawieniem pytania, czy przypadkiem nie spodziewam się dziecka — a wbrew pozorom się nie spodziewałam. Ale matka uważa mnie za osobę pozbawioną zmysłu praktycznego, od dziecka opisywała mnie jako artystkę, marzycielkę, miłośniczkę poezji, książek, muzyki i malarstwa z głową w chmurach.

Po części miała rację. Ale równocześnie jestem o wiele bardziej praktyczna, niż matka kiedykolwiek przypuszczała. Nawet się nie domyślała, jak mocno stąpałam nogami po ziemi. Pobraliśmy się z Robertem szybko, bo po prostu chcieliśmy być razem i nie widzieliśmy sensu w czekaniu, mordowaniu się z długim narzeczeństwem.

Nie wszystkie panny młode są zadowolone ze swojego ślubu. Mnie mój zachwycił. Przez całą ceremonię i wesele czułam się jak w niebie. W końcu to był najważniejszy dzień w moim życiu; co więcej, udało mi się także przechytrzyć matkę i we wszystkich

sprawach postawić na swoim. A, dodajmy, jeśli chodzi o kwestie towarzyskie, był to nie lada sukces.

Na moje żądanie, przy wsparciu Roberta, cała impreza odbyła się skromnie. Oczywiście zaprosiliśmy obie matki, poza tym część rodziny i znajomych. Ojciec Roberta nie żył. Mój żył, choć matka zachowywała się, jakby był nieboszczykiem, skoro parę lat temu przeniósł się na Środkowy Wschód. W związku z tym przestał dla niej istnieć.

Lecz nie dla mnie, o nie. Regularnie do siebie pisywaliśmy, a ilekroć przyjeżdżał do Stanów, staraliśmy się spędzać wspólnie jak najwięcej czasu. I przyleciał do Nowego Jorku, by poprowadzić do ołtarza swą jedynaczkę. Ku memu zaskoczeniu matce spodobał się ten gest ojcowskiej miłości. I mnie też, ale ja byłabym zdziwiona, gdyby tak nie postąpił. Przeraziła mnie myśl, że miałabym wyjść za męża, a on nie stałby u mego boku, kiedy kroczyłabym przez kościół. Kiedy tylko zaręczyłam się z Robertem, zadzwoniłam do Arabii Saudyjskiej, gdzie wówczas przebywał, by podzielić się z nim radosną nowiną. Był uszczęśliwiony.

Ojciec przestał mieszkać z matką, kiedy skończyłam osiemnaście lat. Wyjechałam wtedy do Cambridge w stanie Massachusetts, gdzie rozpoczęłam naukę w college'u Radcliffe, i widać uznał, że nie ma sensu dłużej pozostawać w związku, który stał się dla niego prawie nie do wytrzymania. Do tej pory nie pojmuję, czemu się nie rozwiedli. Z wesela wyszliśmy razem: ojciec, ja i pan młody, po czym jedną z wytwornych limuzyn wynajętych przez matkę udaliśmy się na lotnisko Kennedy'ego. Zanim się rozstaliśmy, by ruszyć każde do swojego samolotu, który miał unieść nas w różne strony świata, ojciec mocno mnie uścisnął, a kiedy się żegnaliśmy, szepnął mi do ucha:

— Cieszę się, że postawiłaś na swoim, Mal, i miałaś wesele, jakie sobie wymarzyłaś, a nie huczną imprezę, którą wołałaby twoja matka. Jesteś niezależna, tak samo jak ja. No ale chyba nie ma w tym nic złego, prawda? Zawsze bądź sobą, Mal. Zawsze bądź wobec siebie szczerą.

Spodobało mi się to, co powiedział. O tym, że jestem niezależna, tak samo jak on. Już od mego dzieciństwa byliśmy sobie bliscy,



co — jak podejrzewam — zawsze drażniło matkę. Przypuszczam, że nigdy go nie rozumiała, mimo tych lat wspólnie przeżytych. Czasem nawet się zastanawiam, jak to się stało, że w ogóle się pobrali; są takimi przeciwieństwami, pochodzą z dwóch zupełnie różnych światów. Rodzina ojca to intelektualiści, pisarze, naukowcy; rodzina matki to zamożni właściciele firm pośrednictwa sprzedaży nieruchomości o pewnych ambicjach towarzyskich. Rodziców nigdy nie łączyła wspólnota zainteresowań.

A jednak było w Jessice Sloane coś, co przyciągnęło do niej Edwarda Jordana, a w Edwardzie Jordanie coś, co przyciągnęło do niego Jessikę Sloane, skoro pobrali się roku pańskiego 1953. Na świat wydali mnie w maju pięćdziesiątego piątego i mieszkali razem do siedemdziesiątego ósmego, przez dwadzieścia lat zmagając się w związku pełnym sprzeczek i kłótni rozdzielanych miesiącami lodowatego milczenia. Do czego trzeba jeszcze dodać długie wyjazdy ojca, który ciągle wyruszał to na Środkowy Wschód, to do Południowej Ameryki w poszukiwaniu resztek starożytnych cywilizacji zagubionych w pomroce dziejów.

Matka nie rozumiała nie tylko ojca, ale także i mnie. Nawet nie wie, o co mi w życiu chodzi, co się dla mnie liczy. Ale cóż, choć potrafi być słodką i czarującą osobą, nie została obdarzona umiejętnością zgłębiania ludzkiej natury.

Kocham matkę i wiem, że ona mnie kocha. Ale już od wielu lat, właściwie od okresu dojrzewania, męczy mnie stałe z nią przebywanie. Nie da się ukryć — jest dość płytka, co mnie drażni. Wiecznie się troszczy o swój status społeczny, swoje życie towarzyskie, swój wygląd. Poza tym właściwie nic jej nie interesuje. Życie obraca się wokół wizyt u krawcowej, fryzjera i manicurzystki oraz kolacji i przyjęć, na które została zaproszona.

Mnie takie życie wydaje się strasznie puste, bezsensowne, szczególnie w naszych czasach. Wdałam się w ojca, jako że mam naturę introwertyka, jestem poważniejsza. Podobnie jak on niepokoję się o los naszej planety i o to, co się z nią bądź na niej dzieje.

Pod wieloma względami mój małżonek ogromnie przypomina mego ojca. Tak samo jak tato, Robert jest zaangażowany. Poza

tym jest człowiekiem honoru, silnym, uczciwym, godnym zaufania. Prawdziwie wierni, obu ich zaliczam do tej kategorii.

Robert to moja pierwsza miłość. Jedyna miłość. Nie będzie dla mnie już nikogo innego. Będziemy razem po kres swoich dni. Ja i on. To jeden, wielki stały punkt odniesienia, na którym opiera się moje życie. Nasze dzieci urosną, zostawią nas i same będą się zmagać z dorosłym życiem, a pewnego dnia założą rodziny. Ale ja i Robert pozostaniemy razem po zmierzch naszych dni i ta świadomość dodaje mi sił.

Nagle poczułam na twarzy ciepło słońca, którego promienie przedarły się przez gałęzie jabłoni. Zerwałam się z ławki i ze świadomością, że pora rozpocząć dzień, wróciłam do domu.

Był piątek, pierwszy lipca. Zaplanowałam uroczysty weekend dla Roberta, Jamiego, Lissy i mojej teściowej, która jak co roku przyjechała do nas w odwiedziny z Anglii. W poniedziałek, czwartego lipca, ma się odbyć nasze wielkie letnie święto.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Zbliżając się do domu, nie potrafiłam powstrzymać zachwytu: jak pięknie wyglądał tego ranka, zalany strugami słonecznego światła, lśniącobiały na tle różnorodnej zieleni i intensywnie błękitnego nieba.

Ja i Robert zakochaliśmy się w Indiańskiej Dolinie, kiedy tylko na nią spojrzeliśmy, choć wtedy jeszcze tak się nie nazywała. W ogóle nie miała imienia.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po zakupie majątku, było — ku rozbawieniu Roberta — ochrzczenie domu za pomocą butelki dobrego francuskiego szampana. Jamie i Lissa przyglądali się temu zdziwieni, w ogóle nie pojmując o co chodzi, póki nie wyjaśniłam im, że właśnie w taki sposób chrzci się statki.

— Więc czemu by nie ochrzcić domu — powiedziałam, a dzieci roześmiały się radośnie, zachwycone pomysłem.

Tak je oczarował, że zażądały drugiej butelki veuve cliquot, którą mogłyby rozbić o rynnę, tak jak ja to zrobiłam, ale Robert natychmiast ostudził ich zapał.

— Jedna butelka dobrego szampana wylana w błoto to dość na jeden dzień — oświadczył, zaśmiewając się ze swojego dowcipu.

Wzniósłam oczy ku niebu, ale nie potrafiłam się powstrzymać i posłałam mu promienny uśmiech, dzieci zaś uspokoiłam obietnicą, że jutro dostaną butelkę wina i będą mogły ochrzcić dom.

Pomysłu na nazwę dostarczyła mi znana w okolicy legenda, która głosiła, że parę wieków temu polanę u stóp wzgórza, na któ-

rej stał nasz dom, zamieszkiwali Indianie. Do dziś stając na wzgórzu często przymykam oczy i widzę obóz Pequot rozbity na łące, Indianki, wojowników i ich dzieci przycupnięte przed wigwamami, konie pasące się w pobliżu, kociołki nad ogniem. Prawie czuję zapach palącego się drewna, słyszę głosy, wybuchy śmiechu, rżenie koni, odgłosy bębnow.

Wytwór wyobraźni? Może, ale to bardzo realistyczna wizja, która nie przestaje mnie prześladować. Poza tym bardzo mi się podoba myśl, że ja i moja rodzina mieszkamy na terenach setki lat temu wybranych przez pierwszych mieszkańców Ameryki, którzy z pewnością tak samo jak i my dzisiaj doceniali wyjątkowe piękno tego miejsca.

Znaleźliśmy nasz dom właściwie przez przypadek. Nie, to nie tak. Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że on sam nas znalazł. Przynajmniej ja w to wierzę i chyba nigdy nie przestanę. Wyciągnął ku nam ręce niczym żywa istota, a kiedy po raz pierwszy przekroczyliśmy jego próg i znaleźliśmy się w tym czarującym niskim holu, od razu zrozumiałam, że ten dom będzie nasz. Miałam wrażenie, że na nas czekał, by znowu ożyć, by znów być szczęśliwym. Wszyscy, którzy nas odwiedzają, podkreślają wyjątkowy spokój i radosną, przyjazną atmosferę tego miejsca, która ogarnia każdego już w chwili zamknięcia drzwi wejściowych.

Ale w czerwcu 1986 roku nie miałam jeszcze pojęcia, że w końcu znajdziemy nasz wymarzony dom, w ogóle jakiś dom. Już od tak dawna szukaliśmy mieszkania poza miastem, gdzie moglibyśmy spędzać weekendy. Bezskutecznie. Prawie straciłmy nadzieję, że znajdziemy odpowiednie miejsce, by móc się wyrwać z Nowego Jorku. Domy, które oglądaliśmy w różnych częściach Connecticut, były albo za małe i skromne, albo za duże i wyniosłe, i o wiele za drogie. Lub tak zniszczone, że wydalibyśmy fortunę na remont.

Tamtego weekendu odwiedziliśmy przyjaciół w Sharon, okręgu, którego prawie nie znaliśmy. Wzięliśmy Jamiego i Lissę do Mudge Pond, gdzie urządziliśmy piknik na porośniętym trawą brzegu jeziora, nad wąskim paskiem piasku i ogromną taflą spokojnej srebrzystej wody.

Później, kiedy wyruszyliśmy w drogę powrotną do Sharon, źle skręciliśmy i całkiem się zgubiliśmy, krążąc bez końca po wzgórzach nad jeziorem. Jeżdżąc tak w kółko w poszukiwaniu głównej drogi, nagle wylądowaliśmy wprost przed jakimś domem.

Przez pomyłkę ruszyliśmy szerokim krętym podjazdem, licząc, że to jakaś boczna droga, która jak ufaliśmy, doprowadzi nas z powrotem na trasę 41. Zaskoczony Robert zahamował. Budynek nas zaintrygował, przyglądaliśmy mu się, potem popatrzyliśmy na siebie i jednym głosem zachwyciliśmy się jego pięknem widocznym mimo starości, opuszczenia i złego stanu, w jakim się znajdował.

Obszerny biały budynek miał pełną wdzięku linię i był malowniczo położony na szczycie wzgórza, wśród starych sękatych klonów o olbrzymich rozłożystych konarach.

— Co za szkoda, że właściciel nie troszczy się o ten dom. Tym ścianom przydałoby się malowanie — mruknął Robert, otwierając drzwiczki i wysiadając z samochodu.

Nakazawszy Jenny, młodej Angielce, która opiekowała się dziećmi, żeby została z nimi w środku, szybko ruszyłam za mężem.

Właściwie nie potrafię tego wyjaśnić, a już na pewno nie w racjonalny sposób, ale dom zdawał się nas witać, przyciągał nas ku sobie, tak że sami nie wiedząc kiedy znaleźliśmy się przed drzwiami wejściowymi. Robert zastukał, podczas gdy ja zajrzałam przez jedno z brudnych okien.

W mrocznym mimo światła wnętrzu dostrzegłam jakieś meble osłonięte pokrowcami, ściany wyklejone wyblakłymi tapetami w róże. Żadnych śladów życia. Oczywiście nikt nie odpowiedział na natarczywe stukanie Roberta.

— Wygląda na całkiem opuszczony, Mal, jakby od lat nikt tu nie mieszkał — powiedział. — Jak sądzisz, może być na sprzedaż?

— Mam nadzieję.

Do dziś pamiętam, jak serce mocniej mi zakolatało na myśl, że może być do kupienia.

Parę minut później, gdy zjeżdżaliśmy krętą drogą, nagle dostrzegłam połamany drewniany znak, stary, zniszczony, leżący

w wysokiej trawie. Kiedy pokazałam go Robertowi, natychmiast zahamował. Otworzyłam drzwi, wyskoczyłam i popędziłam ku łące, żeby mu się przyjrzeć.

Jeszcze zanim dotarłam do tablicy, w głębi ducha już czułam, że będzie na niej napis: „Na sprzedaż”. I nie pomyliłam się.

W ciągu kilku następnych godzin udało nam się znaleźć drogę powrotną do Sharon, wyszukać biuro handlu nieruchomościami, porozmawiać z urzędniczką, po czym pojechać z nią za miasto, do starego białego domu na wzgórzu. Oboje byliśmy zbyt podnieceni, żeby rozmawiać, nie odważyliśmy się mieć nadziei, że dom okaże się dla nas.

— Nie ma nazwy — zauważyła Kathy Sands, pośredniczka, wkładając klucz do zamka i otwierając drzwi wejściowe. — Zawsze mówiono o nim: dom Vane'a. A przynajmniej przez ostatnie siedemdziesiąt lat.

Wszyscy wdarliśmy się do środka.

Jamiego i Lissy pilnowała Jenny; ja niosłam Trixy, naszą suczkę rasy bicheon frise i słuchałam opowieści Kathy, idąc za nią galerią, która jak zauważył Robert, miała pewne cechy stylu elżbietańskiego.

— Przywodzi mi jednak na myśl raczej architekturę Tudorów — dodał po zastanowieniu, rozglądając się z podziwem dokoła. — Właściwie jest bardziej w stylu galerii Parham. Pamiętasz galerię Parham, prawda, Mal? Tamtą rozkoszną budowlę w Sussex?

Skinęłam głową, uśmiechając się na wspomnienie ubiegłorocznych cudownych dwutygodniowych wakacji w Anglii.

Kathy Sands urodziła się i wychowała w tych okolicach i stanowiła nieocenione źródło informacji o wszystkim — także o poprzednich właścicielach — do dwóch wieków wstecz. Wedle tego, co mówiła, od chwili wybudowania w 1790 roku do dziś dom należał tylko do trzech rodzin. Doddów, Hobsonów i Vane'ów. Starsza pani Vane, z domu Hobson, w tym domu się urodziła i mieszkała po ślubie z Samuelem Vanem. Owdowiała, osiemdziesięcioośmioletnia staruszka musiała wreszcie poświęcić swą niezależność i zamieszkać u córki w Sharon. Dlatego dwa lata temu wystawiła na sprzedaż dom, w którym spędziła całe swoje życie.

— Dlaczego do tej pory go nie sprzedano? Czy coś jest z nim nie w porządku? — zaniepokoiłam się, przesywając pośredniczkę przenikliwym spojrzeniem, którego nauczyłam się wiele lat temu od matki.

— Nie, wszystko jest w porządku — zapewniła Kathy. — W zupełnym porządku. Tyle że dom leży nieco na uboczu i za daleko dla mieszkańców Manhattanu szukających wiejskiej rezydencji. A poza tym jest naprawdę duży.

Dość szybko zorientowaliśmy się z Robertem, czemu pośredniczka powiedziała, że dom jest duży. Tak naprawdę był olbrzymi. Choć rzeczywiście miał więcej pokoi niż potrzebowaliśmy, wedle mnie był dość uporządkowany, zwarty, posiadał naturalny, wygodny rozkład. Na dole wejścia do pokoi znajdowały się wzdłuż długiej galerii, na górze wokół kwadratowej klatki schodowej. Poza tym staruszek miał w sobie urok oryginalności, podłogi skrzyślały, z sufitów się sypało, a framugi się powypaczały. Niektóre szyby pochodziły jeszcze z ubiegłego stulecia, poza tym w domu było dziesięć kominków, z czego osiem — jak nas poinformowała tamtego popołudnia Kathy — nadal sprawnych.

Reasumując, dom stanowił prawdziwy skarb i zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Nieważne, że leżał dalej od Nowego Jorku niż planowaliśmy. Jakoś sobie poradzimy z dojazdami, zapewnialiśmy się tamtego popołudnia. Robert i ja zakochaliśmy się w nim i przed jesienią dom już należał do nas, podobnie jak całkiem spora pożyczka.

Resztę 1986 roku spędziliśmy wymuskując nasz najnowszy nabytek, koczując pod gołym niebem i rozkoszując się każdą chwilą. Latem i jesienią dzieci właściwie cały czas były na dworze, zniknęły gdzieś moje mieszcuchy. Uszczęśliwiona Trixy polowała na wiewiórki, króliki i ptaki. Jeśli zaś chodzi o Roberta i mnie, to czuliśmy ogromną ulgę, mogąc uciec od miasta i napięć, jakie niesie ze sobą praca na wysokim stanowisku.

Wiosną 1987 roku mogliśmy się naprawdę wprowadzić i skoncentrować wysiłki na zaniedbanym ogrodzie. Zakładaliśmy nowe ogródki, sadziliśmy rośliny. To także okazało się prawdziwym

wyzwaniem. Chętnie pracowaliśmy z Anną, naszą ogrodniczką, i Robert odkrył, że ma do tego prawdziwy talent, o co wcale się nie podejrzewał. Czego dotknął, rosło cudownie i zanim się obejrzał, już kwitło mu rosarium, zagonek z warzywami i ziołami.

Teraz, idąc przez pokój dzienny, kierując się do długiego korytarza, zatrzymałam się na chwilę, podziwiając tchnące spokojem wewnątrz naszego domu.

Z różnych pokoi do korytarza wpadały promienie słońca, w strugach światła wirowały pyłki kurzu, drząc w ciepłym lipcowym powietrzu. Nagle przefrunął obok mnie motyl — delikatny, barwny — i przysiadł na wazonie ze świeżymi kwiatami, który stał na stoliku.

Wstrzymałam oddech załując, że nie mam przy sobie pędzla i sztalug, by uchwycić piękno tej sceny. Ale pędzel i sztalugi zostały w mojej pracowni, a zanim zdążyłabym je przynieść, motyl z pewnością by odleciał, co do tego nie miałam wątpliwości.

Rozkoszowałam się spokojem wczesnego poranka, myśląc o tym, jaka jestem szczęśliwa, mając to wszystko. Nie wiedziałam, nawet się nie domyślałam, że wkrótce moje życie tak głęboko, tak nieodwracalnie się zmieni.

I nie wiedziałam też, że właśnie ten dom ocali mnie od zniszczenia, które we mnie drzemało. Stanie się moim schronieniem, ucieczką od świata. A w końcu uratuje mi życie.

Ale ponieważ nie wiedziałam tego wszystkiego, przesłam lekko korytarzem do kuchni, ciesząc się myślą o czekającym mnie wakacyjnym weekendzie.

Automatycznie włączyłam radio i wysłuchałam porannych wiadomości. Równocześnie opiekąłam w tosterze kromkę chleba i popijałam przygotowaną wcześniej kawę. Studiowałam długą listę spraw do załatwienia, którą przygotowałam ubiegłego wieczoru i w duchu układałam plan dnia. Potem, zjadłszy grzanekę, pobiegłam na górę wziąć prysznic i się ubrać.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Mam rude włosy, zielone oczy i jakieś dwa tysiące piegów. Wcale nie uważam się za ładną, ale Robert się ze mną nie zgadza. Stale mi powtarza, że jestem piękna. Ale oczywiście piękno kryje się w oku patrzącego — tak przynajmniej mnie nauczono — a poza tym Robert jest uprzedzony, muszę to przyznać.

Wiem tylko, że marzę, by się pozbyć tych irytujących piegów. Gdybym miała jasną, przejrzystą cerę, resztę jakoś bym jeszcze zniosła. Tymczasem strzesze płomiennorudych włosów zawdzięczam liczne przezwiska — Wiewióra, Marchewka, Ruda — które wcale nie budziły mego entuzjazmu. Wręcz przeciwnie.

Ponieważ zawsze nieco pogardliwie traktowałam przesadną dbałość matki o swą urodę, nauczyłam się nie być próżna. Mimo to podejrzewam, że tak naprawdę jestem równie próżna jak ona. Choć z drugiej strony to cecha większości ludzi: troszczą się o swój wygląd, dbają o ubiór, chcą wyrzucić na innych jak najlepsze wrażenie.

Umyta, ubrana w bawełnianą koszulkę i białe szorty, stałam przed lustrem, przyglądając się swemu odbiciu i strojąc do siebie miny. Zauważyłam, że wczoraj po południu zdecydowanie za dużo czasu spędziłam na słońcu: przybyło mi kilka setek piegów.

Przy skroniach i uszach wiło mi się parę niesfornych loczków. Z westchnieniem zwilżyłam je wodą i zaczesalam gładko, nie po raz pierwszy żalując, że nie są proste, w eterycznym kolorze jasnoblonde. Uważam kolory swoich włosów i oczu za zbyt intensywne, tęczówki mam aż nienaturalnie zielone. Jedno i drugie odzie-

dziczyłam po ojcu, nikt nie może mieć najmniejszych wątpliwości, czyją jestem córką. Moje oczy to odbicie jego oczu, tak samo włosy. Co prawda jego nabrały nieco spokojniejszego odcienia, choć kiedyś były równie płomienne jak moje, tak samo i oczy nie są już tak intensywnie zielone.

To chyba jedna z pozytywnych stron starości — wszystko powoli błednie. Powtarzam sobie, że jako siedemdziesięciolatka stanę się podobna do nieocenionej Katherine Hepburn.

— Oby, oby — stwierdza zwykle Robert, kiedy się z nim tym przypuszczeniem dzielę.

Bo przecież w końcu to tylko moje pobożne życzenia, ale któraż kobieta — ruda czy nie — nie marzy o tych wytwornych, arystokratycznych rysach?

Zaczesałam włosy, ściągnęłam je gumką, przewiązałam koński ogon białą wstążką i zbiegłam na dół.

Malutki pokój, w którym załatwiałam sprawy papierkowe i domowe rachunki, mieścił się na tyłach domu; z okien rozciągał się widok na warzywnik. Siadłam przy dużym staromodnym biurku, które upolowałam w „Cricket Hill”, tutejszym sklepie z antykami, i podniosłam słuchawkę, wystukując numer naszego nowojorskiego mieszkania.

Po trzecim sygnale odebrała teściowa i usłyszałam jej pogodne, bardzo angielskie:

— Halo?

— To ja, Diano — powiedziałam. — Witaj z rana.

— Dzień dobry, kochanie, jak tam u ciebie? — rzekła i nie czekając na odpowiedź dodała: — Bo tu, w mieście, jest okropnie gorąco.

— Tak podejrzewałam. W Connecticut jest ta sama fala upałów. Mogę tylko dziękować Bogu za klimatyzację. A jak tam moje cudowne potworki?

Roześmiała się.

— Po prostu bosko. I nie wiem, jak ci wyrazić wdzięczność, że oddałaś mi je na kilka dni. Dziękuję ci, Mal, to takie miłe i wielkoduszne z twojej strony, że pozwalasz mi w ten sposób być z wnukami.

— Kochają cię, Diano, i lubią z tobą przebywać — odparłam zgodnie z prawdą. — A co na dzisiaj planujesz?

— Po śniadaniu zabieram je do Muzeum Historii Naturalnej. Wiesz, jak szaleją na punkcie zwierząt, szczególnie dinozaurów. Potem chcę wrócić z nimi do domu na lekki lunch, tu jest tak miło i chłodno. Obiecałam, że po drzemce wezmę je do sklepu z zabawkami.

— Nie rozpuszczaj ich — ostrzegłam. — Stwierdzono naukowo, że kochające babcie mają tendencję do okresowego szastania pieniędzmi. Na przykład w czasie wakacji.

Diana parsknęła śmiechem, w tle usłyszałam żalodne zawodzenie mojej córki. Potem rozległ się jej przenikliwy pisk.

— Buniu! Buniu! Jamie stłukł mój słoik i złota rybka leży na ziemi. Kona! — Zawodzenie stało się jeszcze bardziej natarczywe i dramatyczne.

— Nie zrobiłem tego specjalnie! — krzyknął Jamie.

Moja teściowa przez chwilę milczała, najwyraźniej wytrącona z rytmu nagłą burzą, jaka się wokół niej rozpetała.

— O Boże, poczekaj chwilę, Mallory — zawołała wreszcie. — Ta ryba rzeczywiście się dusi. Chyba złapię jakąś szklanekę z wodą i ją tam wrzucę. Momencik.

Odłożyła słuchawkę, a ja nadstawiłam ucha, próbując usłyszeć dzieci.

— Przepraszam, Lissa — mówił załośnie Jamie.

— Weź słuchawkę i porozmawiaj z mamą — dobiegł mnie z oddali spokojny głos Diany. — Chce się z tobą przywitać. No już, Lissa, porozmawiaj z mamą.

Po chwili z drugiego końca przyplłynął płaczliwy głosik:

— Mamusiu, Jamie zabił moją złotą rybkę. Moje maleńkie biedactwo.

— Wcale nie! — wrzasnął Jamie na całe gardło.

— Nie płacz, malutka — powiedziałam. — Jestem pewna, że twoja złota rybka nie umarła — uspokajałam. — Założę się, że bunia włożyła ją już do wody. Jak się stłukł twój słoik?

— To Jamie go stłukł! Walił w niego łyżką, aż cała woda się wylała i moja rybka razem z nią!

— Musiał walić strasznie mocno, skoro słoik się rozbił — stwierdziłam. — A może był pęknięty? Jestem pewna, że Jamie nie zrobił tego naumyślnie.

W tle Jamie znowu zawołał:

— Przepraszam!

— On naprawdę mocno uderzał, mamusiu — nie ustępowała Lissa. — Jest złośliwy, chciał przestraszyć Stelen.

— Stelen? — spytałam, podnosząc głos. — Co to za imię?

— Miała na myśli Sue Ellen — wyjaśniła Diana, oderwawszy moją córkę od telefonu. — I podejrzewam, że słoik musiał być pęknięty, Mal. Tak czy owak złota rybka żyje i radośnie merda ogonkiem, pływając w jednej z waszych szklanek. A może powinno się powiedzieć, że macha? Później kupię nowy słój w tym samym sklepie, gdzie wczoraj kupiliśmy złotą rybkę. To powinno małą uszczęśliwić.

— Nie zwracaj sobie głowy kupowaniem nowego słoika. W szafce, w której trzymam wazy, stoi szklana czara. Doskonale się nada dla ryby.

— Dzięki za pomysł, Mal. Jamie chce z tobą rozmawiać.

Mój syn przejął telefon.

— Mamo, nie zrobiłem tego naumyślnie, słowo honoru. Naprawdę! — zarzekął się.

— Owszem, naumyślnie! — wrzasnęła Lissa.

Musiła stać tuż za Jamiem, bo słyszałam ją bardzo wyraźnie.

— Jestem pewna, że nie chciałeś go stłuc, kochanie — łagodziałam. — Ale jeszcze raz przeproś Lissę i ucałuj ją. I wszystko już będzie dobrze.

— Tak, mamo — wymamrotał.

Próbowałam go podnieść na duchu, bo w jego głosie nadal brzmiały łzy.

— Kocham cię, Jamie.

— Ja też cię kocham, mamo — odparł trochę weselej, potem z trzaskiem rzucił słuchawkę na stolik.

— Jamie, poproś bunię do telefonu! — zawołałam, a później bez żadnego odzewu powtarzałam to kilkakrotnie. Już miałam się rozłączyć, kiedy znowu usłyszałam głos Diany.

- No, chyba znowu nastał pokój — powiedziała ze śmiechem. — Ojej, wygląda na to, że przechwaliłam, Mal.

Trzasnęły drzwi. Rozległo się ujadanie Trixy.

— Zdaje się, że Jenny wróciła ze spaceru z kundlem — stwierdziłam.

— Właśnie. Pora szykować śniadanie dla całej menażerii, a potem wyszykować dzieci na spacer. Ale już poważnie, Mal, wygląda na to, że między nimi wszystko w porządku. Pocałowali się na zgodę, a Sue Ellen została ulokowana w wazie, gdzie pływa radośnie. — Znowu zachichotała. — Zapomniałam już, ile utrapienia może być z sześciolatkami. Albo jestem za stara i nie umiem sobie poradzić.

— Ty stara? Nigdy! I przypomnij sobie, że te ich dąsy nie trwają długo. Tak naprawdę są sobie bardzo bliscy, jak wszystkie bliźnięta.

— Tak, wiem o tym.

— Mam furę roboty, Diano, muszę już kończyć. Zadzwoń do ciebie wieczorem. Bawcie się dobrze.

— Na pewno. A ty się nie przepracuj, kochanie. To na razie, Mal lory.

— Na razie — odparłam i odłożyłam słuchawkę.

Przez chwilę siedziałam z dłonią na słuchawce, błędząc myślami wokół mojej teściowej.

Diana była cudowną kobietą i zawsze uważałam, że to okropna szkoda, że po śmierci ojca Roberta nie wyszła ponownie za mąż. Michael Keswick zmarł nagle w 1968 roku, mając zaledwie czterdzieści siedem lat. Przedtem nigdy nie chorował; padł ofiarą niespodziewanego ataku serca, który okazał się tragiczny w skutkach.

Michael i Diana pochodzili z Yorku, po studiach zamieszkali w Londynie. Chodzili ze sobą jeszcze w szkole. Wcześniej się pobrali i Robert urodził się w dwa lata po ślubie. Ich małżeństwo było po prostu idealne, aż do chwili tragicznej śmierci Michaela.

Diana kiedyś wspomniała, że potem w jej życiu pojawiali się inni mężczyźni, ale żaden z nich w niczym nie dorównywał Michaelowi.

— Po co zadowalać się drugim gatunkiem? — stwierdziła w czasie jednej z bezcennych chwil prawdziwej bliskości.

A przy innej okazji przyznała, że woli mieszkać sama niż znosić obecność mężczyzny, który nie odpowiada jej wymaganiom.

— Wiecznie bym go w duchu oceniała, dokonywała porównań, a to by nie było uczciwe w stosunku do tego biedaka — zwierzyła mi się. — Bycie samą oznacza, że jestem niezależna, jestem panią siebie i mogę robić co chcę i kiedy chcę. Mogę zawsze przyjechać do Nowego Jorku, żeby się z wami spotkać, jeśli tylko mam na to ochotę. Albo mogę pracować do późna w nocy i nikomu to nie przeszkadza. Czy wyskoczyć niespodziewanie do Yorku. Lub pod wpływem impulsu wyrwać się do Francji na zakupy. Nikomu nie muszę się opowiadać, jestem wolnym strzelcem i wierz mi, Mal, tak jest lepiej, naprawdę.

Tamtego dnia spytałam ją, czy Michael był jej jedyną miłością, czy potem jeszcze kiedyś się zakochała. Mruknęła coś i odwróciła wzrok. Zaintrygowana jej rumieńcem — delikatnym, prawie niedostrzegalnym, ale zawsze — i szybkim odwróceniem głowy, nie mogłam się pohamować i powtórzyłam pytanie. Chwilę się wahała, zeszytniała, ale w końcu obróciła się twarzą do mnie.

— Jedyne mężczyzna, który poważnie mnie zainteresował i bardzo mnie pociąga, nie jest... wolny — odparła bardzo cicho. — W separacji chyba od stu lat, ale nie rozwiedziony, Bóg jeden wie czemu. A to niedobrze. Bo ja nie potrafiłabym związać się z mężczyzną, który w świetle prawa jest mężem innej kobiety, nawet jeśli z nią nie żyje. Rzecz bez szans, a już na pewno bez przyszłości.

Odprężyła się nieco, potrząsnęła głową.

— Już dawno doszłam do wniosku, że o wiele lepiej mi się żyje samotnie, Mal. I naprawdę jestem szczęśliwa, niezależnie od tego, co sobie wyobrażasz. Jestem w zgodzie z sobą.

Ale od tamtej pory często przychodziło mi na myśl, że Diana musi przeżywać chwile ogromnego smutku, dotkliwej samotności. Robert się ze mną nie zgadzał.

— Na pewno nie mama! — zawołał, kiedy pierwszy raz mu to podsunęłam. — Jest bardziej zaganiana niż jednonoga tancerka,

która musi odtńczyć partie solowe i grupowe „Jeziora łabędziego”. Wstaje o świcie, za biurkiem w sklepie ląduje już o szóstej, spisuje swoje antyki, trzęsie pracownikami, a potem ni z tego, ni z owego leci do Paryża, żeby kupić trochę mebli, obrazów i innych drobiazgów. Że nie wspomnę o wyszukiwaniu klientów i czarowaniu ich podczas kolacyjek, no i rozpuszczaniu nas, jej pieszczoszków. Dodaj jeszcze dom w Yorku. Wiecznie tam galopuje, żeby sprawdzić, czy stare gospodarstwo jeszcze się nie rozleciało. Mama samotna? Nigdy. Może ktoś inny, ale nie ona.

Pomyślałam wtedy, że może Diana nie daje sobie chwili oddechu, żeby nie zauważać samotności albo wręcz ją zagłuszyć. Ale nie powiedziałam o tym Robertowi. W końcu był jej dzieckiem, jedynym dzieckiem, i kto jak kto, ale on powinien wiedzieć. A mimo to zdarzały się chwile, kiedy dostrzegałam na twarzy Diany zadumę, smutek w jej oczach, wzrok pełen tęsknoty. Może tęskniła za Michaeliem? Albo tamtym nieosiągalnym mężczyzną? Nigdy nie zdobyłam się na odwagę, by spytać wprost.

Podskoczyłam na krześle, kiedy z impetem wpadła do gabinetu Nora. Wyprostowałam się gwałtownie, wpatrując się w nią z otwartymi ustami.

— Przepraszam za spóźnienie, Mal — zawołała, podchodząc do biurka i opadając na krzesło po drugiej stronie.

Jak na drobnutką, kruchą osóbkę robiła strasznie dużo hałasu.

— Uff! Ale gorąco! Prawdziwy żar się leje z nieba!

Energicznie wachlowała się dłonią, posyłając mi uśmiech. Nagle dostrzegła moją minę: Spowaźniała.

— Och, przepraszam, przestraszyłam cię, kiedy weszłam?

Skinęłam głową.

— Tak, ale myślami byłam daleko stąd, przyznaję się bez bicia. Dumałam o niebieskich migdałach.

Na twarzy Nory pojawiło się niedowierzanie. Zmrużyła oczy i parsknęła urywanym śmieszkim.

— O niebieskich migdałach!? Nie ty, Mallory. To ostatnia rzecz, jaką byś robiła. Jesteś kobietą dynamitem. Nigdy nie wiedziałam, żebyś choć chwilę siedziała beczynninie.

Jej słowa mnie rozbawiły, ale ich nie skomentowałam.

— Co byś powiedziała na szklankę mrożonej herbaty, zanim zabierzemy się do porządkowania domu przed weekendem? — spytałam wstając.

— Brzmi zachęcająco — odparła podrywając się i ruszając do kuchni. — Nie zrobiłam zakupów na targu po drodze. Lepiej kupić warzywa i owoce jutro, Mal. Będą świeższe na poniedziałkowe ognisko.

— Racja. Słuchaj, przychodzicie z Erykiem? Nie odpowiedziałas mi jeszcze.

Spojrzała na mnie przez ramię i skinęła głową.

— Bardzo chętnie i dzięki, Mal, że nas zaprosiłaś. Bardzo to miłe z twojej strony.

— Nie bądź niemądra. Ty i Eryk staliście się częścią rodziny.

Nie odpowiedziała, ale na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech. Wiedziałam, że cieszy się, że nie przyjąłam ich odmowy i ponowiłam zaproszenie.

Nora liczyła sobie jakieś czterdzieści lat, miała przedwcześnie posiwiałe włosy, których nie farbowała, inteligentną, pogodną twarz i szaroniebieskie oczy. Od półtora roku, prawie od chwili, kiedy się wprowadziliśmy, pomagała mi w prowadzeniu domu, zaś jej mąż, Eryk, który na co dzień pracował w składzie drewna, w weekendy zajmował się u nas stolarką albo cięższymi pracami na dworze. Byli małżeństwem od prawie dwudziestu lat, nie mieli dzieci i oboje przepadali za strasznymi bliźniętami, jak czasem żartobliwie nazywałam Jamiego i Lisę.

Nora była rozsądną, praktyczną, rzeczową kobietą, typową jankeską z Connecticut, która mocno stąpa po ziemi. Dzięki temu idealnie do siebie pasowałyśmy, jako że ja też mam skłonność do pragmatyzmu i rzeczowości.

Bezpretensjonalna, nie życzyła sobie, by ją nazywano panią gospodynią.

— Za wytworne to na mnie — stwierdziła jeszcze tego samego dnia, kiedy ją przyjąłam. — Umówmy się, że jestem po prostu twoją pomocnicą. Mal. Mogę cię nazywać Mal, prawda?

Skinęłam głową.



— To brzmi bardziej przyjacielsko — ciągnęła. — Zresztą, na prowincji jest trochę inaczej niż w mieście. Wszyscy są na ty. — Roześmiała się. — Pani gospodyni brzmi dla mnie trochę zbyt... godnie. Przywodzi mi na myśl kobietę w czarnej sukni, z kluczami dyndającymi u paska, która właśnie z godną miną kroczy po domu. — W srebrzystych oczach zamigotały ogniki. — Ale może za dużo się naczytałam powieści.

Jeśli chodzi o mnie, Nora Matthews może siebie określać jak jej się żywnie podoba. Dla mnie jest bezcenna. Bez niej bym sobie nie poradziła.

— Czwartego będzie jeszcze upalniej niż dzisiaj — stwierdziła Nora, nalewając do dwóch szklanek schłodzonej herbaty. — W prognozie zapowiadali. Lepiej przyszykuj sobie jakieś przewiewne ubranie na poniedziałek. Coś lekkiego. — Zmierzyła wzrokiem moją bluzkę i szorty. — Jesteś na właściwym tropie. Zostaw sobie ten zestaw na ognisko.

— Nora, a co z moją najnowszą suknią wieczorową, którą chciałam włożyć? — zawołałam.

Zerknęła na mnie szybko. Ściągnęła brwi. Nigdy nie wyczuwała do końca mego poczucia humoru, nigdy nie wiedziała, czy żartuję, czy mówię serio. Wybuchnęłam śmiechem.

— Właśnie w to mam zamiar się ubrać. W szorty i bawełniany podkoszulek. Wiesz doskonale, że stanowią mój żelazny zestaw wakacyjny.

— Rzeczywiście — mruknęła.

Przez ułamek sekundy obawiałam się, że ją uraziłam swoim żartem, ale wtedy dostrzegłam w jej oczach błysk uśmiechu i się uspokoiłam.

— Dobra, czas do dzieła — oznajmiłam.

— Zaczynamy od łóżek?

— Zgadłaś — odparłam i dopijając resztkę herbaty wyszłam za nią z kuchni.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cztery godziny później wyniosłam kanapkę z indykiem i niskokaloryczną colę na niski murek, który otacza taras przed pokojem dziennym.

Wybrawszy róg ocieniony przez jeden z ogromnych klonów, usiadłam i rozkoszowałam się posiłkiem. Padałam z głodu; w końcu byłam na nogach jeszcze przed świtem. Oprócz zmiany pościeli we wszystkich łóżkach, odwaliliśmy z Norą kawał roboty, sprząając łazienki i sypialnie. Wysilek przywrócił mi apetyt. Poza tym musiałam się wzmocnić przed czekającym mnie sprząaniem dołu.

Jestem ogromnie dumna z Indiańskiej Doliny.

Najbardziej kocham swój dom, gdy wszystko w nim błyszczy i lśni. Diana zawsze twierdziła, że powinnam zostać dekoratorką wnętrz. Jej zdaniem mam ogromny talent do ustawiania mebli i drobiazków tak, że stanowią niepowtarzalną, miłą dla oka całość. Niezbyt mi się jej pomysł podoba. Chyba nie lubiłabym tego robić dla obcych, w przeciwieństwie do Diany; ona kupuje zabytkowe meble, obrazy i śliczne drobiazgi dla klientów, którzy regularnie odwiedzają jej znany w Londynie sklep z antykami. Jestem przekonana, że mnie zbytnio by to frustrowało: próbować się przypodobać klientowi i co gorsza przekonywać go, że mój gust przewyższa jego.

Nora nigdy nie przyłącza się do moich posiłków na dworze. Zawsze jada lunch w domu, wołac chłodne, klimatyzowane wnętrze. Oczywiście, dziś w domu jest o wiele przyjemniej; na ze-

wnętrz można się ugotować. Wielka żółta kula słońca wygląda jakby przepalała dziurę w błękitnej materii nieba o tak intensywnej barwie, że aż kluje w oczy.

Murek, na którym siedzę, jest szeroki, składa się z dużych płaskich kamieni i został zbudowany wiele lat temu przez tutejszego kamieniarza.

W Yorku budowanie z kamienia bez zaprawy to cenione, stare rzemiosło. Wszystkie kamienie muszą być idealnie dopasowane, tak by ściana utrzymała się bez cementu. Takie ogrodzenia są stawiane jeszcze na wrzosowiskach Yorku i wokół ciemnozielonych, bujnych dolin hrabstwa, ale Diana twierdzi, że tam to rzemiosło umiera, staje się zapomnianą sztuką. Jestem przekonana, że tutaj także. A szkoda, bo te stare murki są takie piękne i mają tyle uroku.

A do tego właśnie muru jestem szczególnie przywiązana, bowiem daje on schronienie wielu stworzonkom. Wiem z całą pewnością, że mają tu gniazda dwie wiewiórki, a także mały króliczek i czarny wąż. Choć z wiewiórkami się zaprzyjaźniłam, a królika od czasu do czasu widuję, węża nigdy nie zauważyłam. Ale Anna tak i bliźnięta też. Przynajmniej tak z uporem twierdzą.

Od dziecka kochałam naturę i dzikie stworzenia, które mieszkają na wolności, dlatego starałam się wpoić Jamiemu i Lissie szacunek dla wszystkich istot żywych, uczyć ich, by cenili zwierzęta, ptaki i owady, które odwiedzają Indiańską Dolinę. Aby lepiej im przybliżyć naturę, świat zwierząt, wymyślałam historyjki o naszych małych przyjaciółkach, którzy mieszkają pod murkiem w ogrodzie. Opowiadałam Jamiemu i Lissie o Algernonie — pogodnym czarnym wężu, który ma słabość do wiśni w czekoladzie i marzy, by prowadzić sklep ze słodyczami; o Tabicie i Henryczku, dwóch bezdzielnym wiewiórkach, które chcą zaadoptować dziecko; o Angelice, maleńkiej króliczycy, która w głębi serca marzy, by pomaszerować Piątą Aleją w uroczystej wielkanocnej paradzie.

Jamie i Lissa przepadają za tymi opowiastkami, nigdy im się nie znudziły, muszą je im nieustannie powtarzać. Żeby zadowolić

bliźnięta, ciągle wymyślam nowe przygody, co wymaga ode mnie niezłej gimnastyki umysłowej.

Ostatnio coraz częściej przychodzi mi na myśl, że powinnam je wszystkie spisać i namalować do nich ilustracje. Może i tak zrobię, ale tylko dla Jamiego i Lissy. Ten pomysł coraz bardziej mi się podoba. Cóż za wspaniała by to była niespodzianka dla dzieci, gdybym stworzyła dla każdego z nich książeczkę i dała im pod choinkę.

Jęknęłam w duchu. Co za idiotka w upalny, duszny dzień myśli o Bożym Narodzeniu? Ale lato wkrótce się skończy; zawsze tak szybko mija po czwartym lipca. Potem ani się obejrzę, a już będzie Święto Dziękczynienia i zaraz po nim Boże Narodzenie.

Tego roku chcemy je spędzić w Anglii. Zatrzymamy się u Diany, w jej domu w West Tanfield, położonym w jednej z dolin Yorku. Robert i ja nie możemy się już doczekać, dzieci też są bardzo podniecone na myśl o wyjeździe. Mają nadzieję, że będzie śnieg i będą mogły jeździć z tatą na sankach. Obiecał, że pokaże im swoje ulubione trasy z dzieciństwa i chce nauczyć je jeździć na łyżwach — o ile staw Diany zamarznie.

Dziesięć minut później nadal jeszcze snułam plany na zimowe wakacje, kiedy w drzwiach balkonowych pojawiła się głowa Nory.

— Sara dzwoni — powiedziała.

— Dzięki!

Zsunęłam się z murka i weszłam do domu. Klapnęłam na krzesło przy telefonie.

— Cześć, Sara. Kiedy przyjeżdżasz?

— Nie sędzę, żebym w ogóle przyjechała — odparła.

Pomyślałam, że jej głos brzmi smutno, jak na nią nawet ponuro; zawsze była taka pogodna.

— Co się stało? — spytałam, mocniej zaciskając palce wokół słuchawki.

Przyjaźniłyśmy się od najwcześniejszego dzieciństwa, już jako niemowlęta, wożone w wózkach po Park Avenue przez nasze matki, które też się przyjaźniły. Chodziłyśmy do tego samego przedszkola, potem do szkoły Miss Hewitt. Później obie studiowałyśmy

w Radcliffe i zawsze byliśmy sobie ogromnie bliskie, nierozłączne. Znam Sarę Elizabeth Thomas prawie tak dobrze jak siebie.

— Co się stało? — powtórzyłam z nieco większym naciskiem, gdy nadal milczała.

— Chodzi o Tommy'ego. Strasznie się pokłóciliśmy wczoraj w nocy. To była najgorsza awantura w naszej historii. I właśnie mnie poinformował — przez telefon! — że wszystko skończone. Koniec, finito, kaput. Nie chce mnie... już nigdy widzieć na oczy. I twierdzi, że dziś po południu leci do Los Angeles. Jednym słowem. Mał, zostałam porzucona. Porzucona! Ja! Wyobrażasz sobie? Nigdy jeszcze nic takiego mi się przytrafiło.

— Wiem. Zawsze to ty rzucałaś. Przykro mi ze względu na ciebie. Wiem, Tommy był ci bliski. Ale z drugiej strony zawsze czułam...

— Nie musisz kończyć — przerwała mi cicho. — Wiem, że nigdy go nie lubiłaś. Zawsze traktowałaś go z lekkim dystansem. Pewnie miałaś rację. Jak zwykle. Jakim cudem lepiej znasz się na mężczyznach niż ja? Nie musisz odpowiadać. Słuchaj, nawet jeśli sobie uświadomię, że Tommy to zwykły łajdak, to i tak niewiele to pomoże. Cóż, trochę go... lubiłam.

Głos jej się załamał, jakby lada chwila miała się rozpląkać.

— Wszystko będzie dobrze, Sash — uspokajałam ją, używając zdrobnienia z dzieciństwa. — Wiem, że to marna pociecha, ale naprawdę tak jest lepiej. Szczerze mówię. Tommy Preston Trzeci nie jest wart twoich łez. Wiadomo było, że wcześniej czy później ten związek się rozleci. I lepiej, że to się stało teraz. Pomyśl, jakie to by było okropne, gdybyście się pobrali i wtedy coś takiego by się wydarzyło...

— Prosił mnie — przerwała Sara. — I to nie raz.

Usłyszałam chlipanie, potem odgłosy wycierania nosa.

— Wiem, że ci się oświadczał. Opowiadałaś mi o tym. I to dość często — mruknęłam. — A teraz cieszę się, że byłaś ostrożna i odmawiałaś. Ale dlaczego nie chcesz przyjechać na weekend? Nie rozumiem.

— Nie mogę przyjechać sama. Mał. Czułabym się jak piąte koło u wozu.

— Bzdury opowiadasz! Będiesz ze mną, swoją naj-naj-najlepszą przyjaciółką i Robertem, który kocha cię jak siostrę. I twoimi chrześniakami, którzy cię uwielbiają. I Dianą, która uważa cię za najwspanialszą rzecz po herbacie typhoo.

— Wiesz, jak człowieka wziąć pod włos, ale tego akurat nie muszę ci mówić — powiedziała i usłyszałam w jej głosie cień uśmiechu. — Myślę jednak, że zostanę na Manhattanie i będę li-  
zać rany.

— Ależ nie wolno ci! — zawołałam, podnosząc głos. — Będziesz się tylko obżerała lodami i innymi tuczącymi świństwami, które jesz zawsze, kiedy ci smutno. Pomyśl tylko, ile cię kosztowało zrzućcie tych pięciu kilogramów. Zresztą, na Manhattanie będzie upał gorszy niż w piekle. Nora mówiła, że zapowiadali trzydzieści dziewięć stopni w cieniu.

— Obawiam się, że jeśli chodzi o mnie, nie przyjmuję opinii pani Nory z pełnym zaufaniem, Mal.

— W mieście będzie naprawdę gorąco. Sama słyszałam, jak mówili w telewizji. Wczoraj wieczorem. Pomyśl, o ile chłodniej będzie tutaj, w Sharon. Dodaj jeszcze basen i te cieniste zakątki w ogrodzie. Przecież uwielbiasz tu przyjeżdżać. Na miłość boską, toż to twój drugi dom.

— Tak czy owak w tej chwili wolę rozżarzone chodniki Manhattanu i samotne ściany dusznego mieszkania. Tu przynajmniej mogę bez oporów oddawać się rozpaczom i wspominać Tommy'ego. — Głos Nory nabrał tragicznej nuty. — Moją utraconą miłość, największą miłość.

Teatralność, integralna część jej na"tury, wreszcie wzięła górę; odetchnęłam z ulgą. Oznaczało to, że Sara nie jest aż tak załamana, jak mi się wydawało na początku rozmowy. Zaczęłam chichotać.

— I nie waz się ze mnie śmiać, Mallory Christino Jordan Keswick! Przestań się śmiać, słyszysz! — wrzasnęła. — Mam złamane serce! Cierpię!

— Gadka szmatka, święto lasu — stwierdziłam, nie przestając się śmiać. To było jedno z ulubionych powiedzonek Roberta; przywłaszczyłam je sobie. — Masz tak samo złamane serce jak ja.

Cierpisz na urażoną dumę, to wszystko. I powiem ci coś jeszcze, skoro już rozmawiamy szczerze, że ta... ta podła wesz od początku chciała jechać czwartego lipca na Zachodnie Wybrzeże. Spotkać się z rodziną. Zawsze opowiadałaś, jak kocha swoją matkę i uwielbia siostry, jak bez przerwy narzeka, że się przeprowadziły do Kalifornii.

— Och.

Przez chwilę milczała.

— Muszę przyznać, że na to nie wpadłam — odezwała się po chwili. Znowu się zamyśliła. Niemal widziałam, jak to przetrawia.

— Ale naprawdę się strasznie pokłóciliśmy, Mał. Mówię ci: strasznie!

— Założę się, że już on się o to postarał — stwierdziłam ostro. Nigdy nie lubiłam Thomasa Prestona Trzeciego. Pochodził z Wschodniego Wybrzeża, z rodziny amerykańskich arystokratów. Pozbawiony odpowiedzialności i uczuć snob, dla którego inteligencja się liczyła. Pracował jako wiceprezes w znanym prywatnym banku handlowym tylko dlatego, że w nazwie widniało jego nazwisko, a instytucją kierował jego wuj. Moja piękna, obdarzona wielkim duchem i talentem, kochająca Sara zasługiwała na coś lepszego; zasługiwała na najlepsze. Osobiście uważałam Tommy'ego Prestona za mierną, najgorszą z możliwych namiastkę mężczyzny. A w dodatku nie był nawet taki znowu przystojny, że-bym mogła się pocieszać, że Sara zakochała się w ślicznej buźce.

Głęboko zaczerpnęłam tchu.

— A więc? Kiedy przyjeżdżasz do Connecticut? Dziś wieczorem? Jutro?

— Umówiłam się, że dziś wieczorem wezmę na kolację jednego z kupców. Przyjadę jutro w ciągu dnia, może być?

— Oczywiście, kochanie. Czwarty lipca bez ciebie nie byłby pełny.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Nora wróciła do siebie, obeszłam dom, jak to zwykle robię w piątki, sprawdzając, czy w pokojach wszystko jest jak należy.

Podoba mi się nasz dom i choć to ja mówię, on naprawdę jest piękny. Zatrzymywałam się w drzwiach każdego pomieszczenia pełna wciąż świeżego podziwu.

W salonie zabytkowe meble, które tak pieczołowicie dziś rano pastowałam i polerowałam, lśniły w rozproszonym świetle wieczoru. Na pomocniku w mniejszej jadalni połyskiwała stara srebrna zastawa, wszędzie widać było błysk luster i świeżo umytych okien.

Był gotowy na wakacyjny weekend: wygodny, ciepły, gościny — prawdziwy dom. Brakowało jedynie mojej rodziny. Ale zjawia się tu już jutro rano i wraz ze mną będą się radować tym domem, wszystkim, co się w nim znajduje, i wypełnią go radosnymi głosami i śmiechem. Nie mogłam się doczekać Roberta, bliźniąt, Diany i Jenny. Robert miał wyjechać z nimi bardzo wcześnie, tak przynajmniej mówił, zanim wyruszył do Chicago na początku tygodnia.

Jeszcze przez chwilę pokręciłam się po domu, baczny okiem szukając jakichś niedoróbek, a później pobiegłam na górę, do łazienki. Wzięłam szybki prysznic, wytarłam się do sucha ręcznikiem i włożyłam na siebie białe bawełniane spodnie i świeżą białą koszulkę. Włosy związałam czerwoną wstążką.



Za jakiś czas zrobię sobie spaghetti i surówkę, ale teraz chcę odpocząć po dniu ciężkiej pracy. Zadzwonię jeszcze do Diany, żeby sprawdzić, jak sobie radzi z bliźniętami, a potem wyciągnę się z książką.

Za naszą sypialnią znajduje się niskie, długie pomieszczenie, do którego właśnie weszłam. Wybrałam je dla siebie od razu, kiedy tylko kupiliśmy dom. Miało tak dziwny kształt i wielkość, że wątpię, by przedtem kiedykolwiek je wykorzystywano; przerobiłam je na wygodny salonik, moje prywatne sanktuarium, gdzie spędzałam czas siedząc, myśląc, słuchając muzyki, oglądając telewizję bądź czytając.

Żeby jakoś ukryć kształt i rozmiary pokoju, pomalowałam go na białe z leciuteńkim odcieniem zieleni. Do jasnej wykładziny w kolorze zielonych jabłek dobrałam białe-zielone zasłony, sięgające do podłogi, oraz sofę i fotele. Na ścianach powiesiłam moje akwarele, a nad sofą olejny portret bliźniąt, który namalowałam dwa lata temu. Drugi obraz olejny — portret Roberta — zajmuje honorowe miejsce nad kominkiem. Dzięki temu także i tu mąż z dziećmi cały czas dotrzymują mi towarzystwa, uśmiechając się do mnie ze złoconych ram.

Jednym słowem, to czarujący salonik, miły i gościnny, pełen bieli i jasnej zieleni, pokój — dzięki wychodzącym na południe oknom — zawsze pełny słońca. A równocześnie tchnący spokojem, zwłaszcza o tej porze dnia, kiedy słońce już zaszło i powoli zapada zmrok. To jeden z moich najukochańszych zakątków Indiańskiej Doliny.

Usiadłszy przy stoliku, przyciągnęłam do siebie telefon i wystukałam numer naszego nowojorskiego mieszkania. Porozmawiałam krótko z Dianą, życzyłam dzieciom miłej i dobrej nocy, zapewniłam, że spotkamy się jutro rano, a potem odłożyłam słuchawkę.

Wstałam, podeszłam do sofy, wyciągnęłam się na niej wygodnie i wzięłam książkę, którą ostatnio czytałam. Były to dwie powieści w jednym tomie: „Kochany” oraz „Koniec historii Kochanego” Colette; zawsze przepadałam za jej książkami. Tak więc

szybko umościłam się na sofie, niecierpliwie czekając, aż znowu przeniosę się w porywający świat ulubionej autorki.

Przeczytałam zaledwie kilka stron, kiedy na podjeździe usłyszałam warkot samochodu. Odłożyłam książkę i podbiegłam do okna, równocześnie zerkając na zegarek, stojący na półce nad kominkiem i zastanawiając się, kto to może być. Bardzo rzadko zjawia się tu ktoś nie zapowiedziany, zwłaszcza nocą.

Choć jasne letnie niebo już pociemniało, było jeszcze dość widno i ku swemu zaskoczeniu zobaczyłam, że z samochodu wynurza się Robert z neseserem w ręku. Opuściłam firankę, wypadłam z pokoju i na łeb na szyję popędziłam na dół.

Spotkaliśmy się w długim korytarzu i staliśmy, patrząc sobie w oczy. Robert miał ze sobą walizki.

— Przyjechałeś prosto z lotniska! — krzyknęłam.

— Zgadza się, właśnie tak zrobiłem — odparł, bacznie mi się przyglądając.

Wpatrywałam się w niego, badałam jego twarz, próbując zgadnąć, w jakim jest nastroju. Bałam się, że nadal się na mnie gniewa. Ale zobaczyłam tylko miłość i ciepło i natychmiast wiedziałam, że między nami wszystko w porządku.

— Ale co z Jamiem, Lissą, twoją mamą i Jenny? — spytałam, nie odrywając od niego wzroku. — Jak się tu dostaną?

— Załatwiłem samochód z kierowcą, który przyjedzie po nich jutro wczesnym rankiem — wyjaśnił i wziął mnie w ramiona. — Wiesz, miałem ochotę spędzić wieczór tylko z moją żoną.

— Tak się cieszę! — zawołałam, mocniej się do niego tuląc.

Przez chwilę staliśmy bez słowa, obejmując się mocno.

— Przepraszam, że zachowałam się jak zołza w sprawie Jacka Underwooda, a właściwie jego dziewczyny — odezwałam się w końcu cicho. — Nie przeszkadza mi, że przyjadą czwartego, naprawdę, Robert.

— Ja też wrednie się zachowałem, Mal. Zresztą, okazało się, że i tak nic z tego. Jack musiał wyjechać w interesach do Paryża, a Gina nie odważyłaby się przyjechać sama. Przepraszam za te kłótnie. To była wyłącznie moja wina.

- Nie, moja — zapewniłam z całego serca, rzeczywiście o tym przekonana.

— Moja — nalegał.

Odsunęliśmy się, wymieniliśmy spojrzenia i wybuchnęli śmiechem.

Robert pochylił się, pocałował mnie lekko w usta, a potem, biorąc mnie pod rękę, zaproponował:

— A może byśmy się napili, co?

Pociągnął mnie w stronę kuchni.

— Świetny pomysł — odparłam uśmiechając się szeroko, szczęśliwa, że wszystko między mną a moim mężem jest tak, jak powinno i że wreszcie spędzimy cały wieczór sam na sam.

Kiedy dotarliśmy do kuchni, Robert ściągnął marynarkę, rozwiązał krawat i rzucił jedno i drugie na krzesło. Wyjęłam z zamrażarki lód, nalałam do dwóch wysokich szklanek wódki i toniku, wrzuciłam plasterki zielonej cytryny i podałam jedną mężowi.

— Na zdrowie, kochanie — powiedział.

— Na zdrowie — odparłam.

Nie mogłam się powstrzymać i znad drinka posłałam mu zaletne spojrzenie. Potem puściłam do niego oko. Roześmiał się i lekko pogładził mnie po karku.

— Usiądziemy na tarasie? — zaproponował.

— Trochę tam gorąco — zaproponowałam, jednak widząc, że posmutniał, szybko dodałam: — Och, ale czemuż by nie, o tej porze ogród jest taki piękny.

— Moja babka nazywała tę porę dnia szarą godziną — powiedział, kiedy szliśmy na taras. — Podejrzewam, że to stare określenie rodem z północy kraju. A może szkockie? Wiesz, że matka mamy pochodziła z Glasgow? W Yorku zamieszkała dopiero po ślubie z dziadkiem Howardem. Dlatego z taką lubością ubierała matkę, a potem mnie w spódniczki w szkocką kratę. — Parsknął śmiechem. — Przepadała, kiedy miałem na sobie spódniczkę, czarną zamszową kurtkę i przewieszoną przez ramię skórzaną torebkę. Najchętniej ubierała mnie w barwy górali z Seaforth. Bo musisz wiedzieć, że z kolei jej ojciec, a mój pradziadek, pochodził z Seaforth.

— Tak, wspominałeś mi już o swoich szkockich przodkach — odparłam, patrząc na niego przez ramię.

Posłał mi uśmiech.

— Przepraszam. Zdaje się, że mam paskudny zwyczaj powtarzania historii rodzinnych.

— To nie jest paskudny zwyczaj. Po prostu zwyczaj, który w dodatku wcale mi nie przeszkadza.

Usiedliśmy przy okrągłym stoliku, ocienionym przez ogromny biały parasol, gdzie zwykle latem jadaliśmy posiłki. Sączyliśmy drinki, przez chwilę milczeliśmy, dobrze się czując w tej ciszy, jak to często bywa w szczęśliwych związkach, kiedy małżonkowie cieszą się, po prostu siedząc razem bez słów. Porozumiewaliśmy się bez nich od zawsze. Robert i ja nadawaliśmy na tych samych falach, często on mówił coś, o czym ja właśnie pomyślałam — i vice versa. To było niesamowite.

Teraz, po zachodzie słońca, na dworze nie było tak duszno, jak się obawiałam. Ciężkie parne powietrze ustąpiło lekkiemu wietrzykowi, który kołysał wierzchołkami drzew, szumiał w liściach. Poza tym panował absolutny spokój i cisza, tak charakterystyczna dla naszego wzgórza. Przed tarasem z tej strony domu łagodny stok porastała trawa, niżej rozciągał się zagajnik, dalej znajdowały się moczary i osada bobrów. Ponad drzewami i wodą rysowały się sylwetki wzgórz Berkshire, porośniętych ciemnym gęstym lasem, które teraz niemal całkiem zlały się z wieczornym niebem. Za dnia intensywnie błękitne, teraz nabrało barwy szarego dymu, przechodzącej w połyskliwą czerń z przebłyskami różowości, fioleto, szafranu i purpury.

Robert oparł się wygodnie i głęboko wciągał powietrze, wypuszczając je z długim, pełnym zadowolenia westchnieniem.

— Boże, co za cudowne miejsce, Mallory. Nie mogłem się doczekać, żeby wrócić... do ciebie i tutaj.

— Wiem.

Zerknęłam na niego i odezwałam się bardzo cicho:

— Myślałam, że zadzwonisz do mnie z Chicago...

Mój głos zamarł, bo nagle zrobiło mi się głupio, że w ogóle o tym wspomniałam.

Na ustach Roberta pojawił się lekki uśmiech.

— A ja sądziłem, że ty zadzwonisz.

— Co za para upartych osłów — roześmiałam się i pociągnęłam łyk ze szklanki.

— Nie wiem, co o mnie myśli pewna uparta oślica, ale ja ją uwielbiam.

— A ja uwielbiam swojego upartego osła — odparłam natychmiast, uśmiechając się do niego ciepło.

Odpowiedział tym samym.

Znowu na chwilę zapadła cisza. Przerwałam ją, mówiąc:

— Sara zerwała z największym snobem, jakiego Wschodnie Wybrzeże wydało.

Robert parsknął śmiechem.

— Wiem o tym, bo...

— Skąd?

— Sara mi powiedziała.

— Sara?! Kiedy?

— Dzisiaj. Zadzwoniłem do niej po południu, tuż przed wyjazdem z Chicago. Prosiłem, żeby nie przyjeżdżała do nas dziś wieczorem, nawet jeśli tak sobie to zaplanowała. Wyjaśniłem, że chciałem cię dorwać samą i dla odmiany mieć cię wreszcie tylko dla siebie, nie musząc się tobą dzielić z całym światem.

Posłał mi psotne spojrzenie i ciągnął:

— Właśnie wtedy mi powiedziała, że w ogóle się nie wybiera, bo dziś rano zerwała z Tommym Prestonem. Niestety, nie udało mi się jej tego wyperswadować. Uparła się, że weekend spędzi sama w Nowym Jorku.

— Mnie się to udało. Ma przyjechać jutro o bliżej nieokreślonej porze.

— Miło to słyszeć i cieszę się, że ty miałaś więcej szczęścia. A tak z ręką na sercu, to wcale się nie dziwię, że skończyła z Tommym. Moim zdaniem nie dorastał jej do pięt.

— Chciałabym, żeby Sara wreszcie znalazła jakiegoś naprawdę miłego mężczyznę, w którym by się zakochała i mogła założyć z nim rodzinę, mieć dzieci, tak jak tego pragnie. Jaka szkoda, że nie znamy nikogo, kto by się dla niej nadawał.

— Ja też żałuję, Mal, ale nic na to nie poradzimy. Choć wydaje mi się, że Sara jest dość szczęśliwa żyjąc tak, jak żyje. Przepada za swoją pracą, a bycie odpowiedzialną za dział mody u „Bergmana” to naprawdę coś.

— Zgadzam się. Mimo to nadal uważam, że ona wolałaby wyjść za mąż.

— Zapewne — mruknął.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Jednym haustem dopił drinka, odstawił szklankę na stolik i obrócił się w moją stronę.

— A skoro już mowa o pracy i karierze. Właśnie dostałem kolejną propozycję.

— Znowu z „Agencji Gordona”? — spytałam niecierpliwie; wiedziałam, jak bardzo podziwia tę firmę reklamową.

Pokręcił głową.

— „Marcus i Williamson”.

— Toż to fantastyczna agencja. Co ci proponują?

— Kupę forsy. Ale nie chcą mnie na współnika. Niestety.

— Cóż, ich strata, jesteś najlepszy w branży. Rozumiem, że nie przyjąłeś ich oferty?

— Nie. Nie chciałem przechodzić tylko dla pieniędzy. Szczerze mówiąc, zastanowiłbym się, gdyby dali mi udział. A poza tym, tak między nami, smutno by mi było rzucać Babs.

Tym skrótem wszyscy na Madison Avenue określali agencję „Blau, Ames, Braddock and Suskind”. Rozumiałam uczucia Roberta. Pracował tam od paru ładnych lat i był z nimi związany uczuciowo. Dostawał świetną pensję, był współnikiem, korzystał z licznych przywilejów. Ale aż nadto dobrze wiedziałam, że firma traci rozmach i w ciągu ostatniego roku Robert coraz bardziej się o nią niepokoił.

Powiedziałam to wszystko na głos.

Wysłuchał mnie uważnie. Szanował moje zdanie. Myślałam w kategoriach jego kariery zawodowej. Zawsze tak było. Teraz wyliczałam powody, dla których moim zdaniem powinien się poważnie zastanowić nad odejściem z agencji — choćby narastający konflikt między nim a szefem, Braddockiem.

Gdy skończyłam, skinął głową.

— Masz rację, potrafisz mówić do rzeczy. Ostatnio Joe porusza się w przeszłości, wspominając głównie minioną chwałę agencji. Kiedyś nie był taki, a już na pewno nie dwanaście lat temu, gdy podjąłem tam pracę. Przypuszczam, że po prostu się starzeje. — Posłał mi długie, pełne namysłu spojrzenie. — Wiesz co, pogadamy z nim, wspomnę o licznych ofertach, jakie mi ostatnio składano. To chyba nie zaszkodzi.

— Na pewno.

— Co więcej — nabierał rozpędu — może nim potrząśnie. Może dzięki temu wreszcie zgodzi się na pewne moje pomysły dotyczące firmy. Wiem, że Jack Underwood i Harvey Colton chcieliby, żebym zajął jego miejsce. Ich zdaniem najwyższy czas, żeby Joe przeszedł na emeryturę i obawiam się, że muszę się z nimi zgodzić. Z drugiej jednak strony, jest ostatnim z tamtej czwórki, która założyła agencję, tylko on jeszcze żyje i stał się czymś w rodzaju legendy. Trudna sytuacja.

Wyciągnęłam rękę i uściśnięłam jego dłoń.

— Cieszę się, że postanowiłeś porozmawiać z Joem. Już od bardzo dawna chciałam, żebyś to zrobił. Zobaczysz, wszystko dobrze się skończy. Chcesz jeszcze jednego drinka, czy pójdziemy do domu i przyszykuję kolację?

— Konam z głodu! Co masz?

— Dla siebie zrobię spaghetti z sałatą, ale jeśli chcesz coś jeszcze, mogę rozmrozić...

— Nie, nie — przerwał — to mi w zupełności wystarczy. Chodźmy, pomogę ci.

Potem, kiedy już zjedliśmy kolację i dopijaliśmy wino, Robert powiedział:

— Pamiętasz, kiedyś mama rozmawiała z tobą o jedynym od czasu śmierci ojca mężczyźnie, który poważniej ją zainteresował.

— Oczywiście. Mówiła, że jest w separacji, ale nie rozwiedziony...

— A więc, z jej punktu widzenia, zakazany — dokończył Robert.

- Zgadza się. Ale dlaczego o tym wspominasz?

— Sądzę, że tym mężczyzną może być twój ojciec.

Otworzyła usta. Tak mnie zaskoczył, że na chwilę odebrało mi mowę. Ale szybko ją odzyskałam.

— W życiu nie słyszałam nic równie niedorzecznego, Roberta. Skąd ci to przyszło do głowy?

Wiedziałam, że musi mieć solidne podstawy do takiego twierdzenia; nigdy nie mówi, jeśli czegoś nie jest pewien, a już na pewno, gdy chodzi o jego matkę.

— We wtorek rano — zaczął odchrząknawszy — kiedy ty już wyszłaś, a ja szykowałem się do wyjazdu do Chicago, spytałem mamę, czy może mi rozmiąć sto dolarów. Powiedziała, żebym wziął jej portfel z torebki w sypialni. Tak też zrobiłem, ale razem z nim wysunęła się koperta i spadła na podłogę. Kiedy ją podniosłem, rzuciło mi się w oczy nazwisko twojego ojca i adres zwrotny w Jerozolimie. Wydało mi się dość dziwne, że pisuje do mamy. Kopertę schowałem z powrotem do torebki, portfel zaniósłem mamie. Oczywiście, ani słowem jej o tym nie wspomniałem. Bo i jak?

Wyprostowałam się w krzesło, ściągając brwi.

— Rzeczywiście, to dość dziwne — mruknęłam — ale wyjaśnienie może się okazać zupełnie niewinne.

— Zgadza się. Uznałem, że przesadzam, wyobrażam sobie Bóg wie co i postanowiłem o tym zapomnieć. Ale któregoś wieczoru w Chicago zacząłem się nad tym zastanawiać i wtedy przypomniały mi się różne drobiazgi.

— Na przykład? — spytałam, opierając się o stół i nie odrywając oczu od Roberta.

— Choćby zachowanie Edwarda. Jest wobec niej opiekuńczy, pełen galanterii, ale moim zdaniem można się tam dopatrzeć i atmosfery flirtu.

— Och, daj spokój, skąd! Co więcej, Dianę traktuje obojętnie. Nie, z dystansem, to będzie lepsze słowo. I chłodno, prawie zimno.

— Tak się zachowuje jedynie kiedy w pobliżu jest twoja matka, w czasie większych zjazdów rodzinnych. Wtedy jest... — Ro-



bert zawahał się, szukając właściwego określenia — spięty — do-kończył.

Przetrawiałam jego słowa, wpatrując się w swój kieliszek z czerwonym winem.

— Słuchaj — ciągnął Robert — przypomnij sobie, jak się zachowuje, gdy jest w Londynie z nami, dziećmi i Dianą. Dokładnie sobie przypomnij. Zmienia się. Przyznaję, te zmiany są bardzo subtelne i prawie niedostrzegalne — no, chyba że ktoś chce je zobaczyć — ale tak czy owak, są.

W myślach zaczęłam przypominać sobie te sytuacje, gdy, pozornie przypadkowo, ojciec miał do załatwienia w Londynie jakieś sprawy związane z wykopaliskami w tym samym czasie, kiedy my tam przebywaliśmy. Teraz zastanawiałam się, na ile one były przypadkowe. A może zostały starannie zaplanowane, byśmy mogli spotykać się razem jak jedna wielka, szczęśliwa rodzina. Poza tym przypominałam sobie, jak chętnie jeździł z nami do Yorku. Skupiłam się, szukając zmian w zachowaniu ojca i rzeczywiście, dostrzegłam, że twierdzenia Roberta nie są takie znowu bezpodstawne. Ojciec faktycznie zachowywał się jak wielbiciel, a Diana w czasie jego wizyt także się nieco zmieniała.

I kiedy przypominałam sobie, jak wyglądali razem, nagle uświadomiłam sobie, na czym polegała różnica w zachowaniu Diany. Ona z nim nie flirtowała ani nie okazywała serdeczniejszych uczuć. Nic takiego. W obecności mojego ojca młodniała. Po prostu. I było to prawie niedostrzegalne, tak że nie zdawałam sobie z tego sprawy, nie zauważałam — aż do tej pory.

— Mam — powiedziałam.

— Co? — Robert popatrzył na mnie zbity z tropu.

— Niewątpliwie, kiedy tato jest w pobliżu, w zachowaniu twojej matki zachodzi zmiana. Bardzo subtelna, ale zachodzi. Diana zachowuje się, jakby była młodsza, nawet młodziej wygląda. Więcej, przypomina wręcz młodą dziewczynę. Nie uważasz?

— Tak, trafiłaś, Mal! Mama rzeczywiście wygląda wtedy bardziej... beztrzesko, o, to jest właściwe słowo. A on też się wydaje o wiele młodszy. Tak, właśnie to jest ta różnica, której nie potrafiłem ująć.

Skinęłam głową.

— Sądziś, że mają romans? — spytałam wolno.

Robert wybuchnął śmiechem.

— Może i tak.

Jego twarz natychmiast spoważniała i lekko wzruszył ramionami.

— Naprawdę nie wiem.

— Mojej matce by się to nie spodobało.

— Na miłość boską, Mal, są w separacji od Bóg wie kiedy. Nie znoszą się.

— Co w niczym nie zmienia faktu, że jej by się to nie podobało. Zawsze była o niego strasznie zazdrosna. Myślę, że do tej pory jest.

— Mhmm. Może właśnie dlatego mama nie ma romansu z twoim ojcem. Jak dla niej, byłoby to niebezpiecznie blisko. Czulaaby się niezręcznie, zawstydzona.

— Tak, zapewne — zgodziłam się. — No i sama powiedziała, że nie spotyka się z tym mężczyzną, bo z punktu widzenia prawa pozostawał żonaty i dlatego ta sytuacja była bez przyszłości, jak sama się wyraziła. Cóż, w takim razie należy przypuszczać, że między moim ojcem a twoją matką do niczego nie doszło. Zapewne przysłał jej przyjacielski liścik, jak to często bywa między teściami.

— Bywa? Często?

Roześmiałam się, widząc jego sceptyczną minę.

— A bo ja wiem? — Machnęłam ręką. — Wróćmy do twojego pierwotnego stwierdzenia, Robercie. Jestem pewna, że między nimi do niczego nie doszło. Bo gdyby tak się stało, na pewno bym o tym wiedziała. Naprawdę. I Diana, i tato są mi bardzo bliscy, na pewno bym to wyczuła.

Ale nawet mówiąc te słowa — choć byłam święcie przekonana o ich prawdziwości — nie potrafiłam się powstrzymać od myśli, że Robert może mieć słuszność, a ja całkowicie mogę się mylić.

Najwyraźniej mój mąż uznał rozmowę za skończoną, bo nagle wstał i zaczął sprzątać ze stołu. Ja też się podniosłam; razem zanieśliśmy naczynia do zlewu. Ale cały czas myślałam o Dia-

nie i tacie i w pewnej chwili musiałam odwrócić głowę, żeby Robert nie dostrzegł lekkiego uśmiechu zadowolenia na mojej twarzy. Moje serce radowało się na myśl, że dwoje tak bliskich mi ludzi może mieć się ku sobie. Oboje zasłużyli na odrobinę szczęścia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Niebo było granatowe, przejrzyste, bez śladu chmur. Na nim połyskiwały jasne, krystaliczne gwiazdy, srebrzył się wążutki rogalik księżyca.

Po prostu idealna noc; wiał nawet lekki wietrzyk, gdy ja i Robert wspięliśmy się na szczyt, a potem zeszliśmy w dół ku długiej dolinie i stawowi. Kiedy Robert już pomógł mi sprzątnąć po kolacji, powiedział, że zajrzy do koni i parę minut później wyszliśmy z domu i w milczeniu, trzymając się za ręce, rozkoszowaliśmy się pięknem wieczoru.

Nasze dwa konie i kuce dzieci stały w jednej z dużych czerwonych stajni w pobliżu domku Anny. Anna była wyjątkową ogrodniczką, której talent i umiejętności zmieniły dziec otaczającą Indiańską Dolinę w prawdziwie czarowny zakątek. Warta była każdego centa, który jej płaciliśmy. W zamian za dogładanie koni i prace porządkowe pozwoliliśmy jej mieszkać za darmo w maleńkim domku. Karmiła je, doglądała, wyprowadzała ze stajni. Codziennie po lekcjach zaglądał do niej jej siostrzeniec, Billy, któremu płaciliśmy za sprzątanie stajni. Choć prawdziwym powołaniem Anny był ogród, znała się także na koniach. Z wprawą i zapałem troszczyła się o nasze i swoje wierzchowce.

Jej domek nie miał nazwy, jako że tak naprawdę była to po prostu mała stajnia, którą w ubiegłym roku przerobiliśmy na wygodne mieszkanie z wydzieloną częścią sypialną i kuchnią.

Annie ogromnie się ono spodobało — i z prawdziwą przyjemnością przeniosła się do niego wraz z Blackiem, czarnym labra-

dorem i Miss Petigrew, perską kotką w kolorze kawy z mlekiem. Pojawiła się w naszym życiu we wręcz wymarzonym momencie, a my — jak się okazywało — w jej też. Właśnie rozstała się z chłopakiem, wyprowadziła się z jego domu w Sharon i chwilowo mieszkała u przyjaciół na farmie niedaleko jeziora Wononpakook, rozglądając się za czymś dla siebie. Nasza propozycja rozwiązywała jej aktualne problemy — tak samo jak nasze.

Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyłam, że w jej mieszkaniu pali się światło, ale nie wyszła z nami porozmawiać. A ponieważ my nigdy nie zakłócaliśmy jej wieczorów, chyba że pojawiła się jakaś nagła potrzeba, skierowaliśmy się prosto do największej stajni.

Gdy już weszliśmy do środka, Robert zapalił światło i zaczął się przechadzać między boksami. Przez kilka minut gładził i poklepywał ogiera Blue Boy i klacz Hihglan Lassie, potem przeszedł do kuców, Pippy i Punchinelli. Ale w sumie nie zagościliśmy tam długo i wkrótce wracaliśmy do domu.

W drodze powrotnej Robert niewiele się odzywał. Milczał również, gdy weszliśmy na wzgórze. Wyglądał na pogrążonego w myślach, głęboko nad czymś zadumanego; postanowiłam się nie wtrącać. Jeśli coś go nękało, coś, czym będzie chciał się ze mną podzielić, powie mi o tym we właściwym czasie. Od początku małżeństwa wszystkim dzielił się ze mną, a ja z nim i tak pozostało.

Kiedyś Diana powiedziała, że jesteśmy dla siebie nie tylko mężem i żoną, nie tylko kochankami, ale i przyjaciółmi. Rzeczywiście, miała rację. Nasza miłość przenikała różne sfery życia i choć Sara pozostawała mą najmilszą przyjaciółką, a Jack Underwood serdecznym druhem Roberta, byliśmy nierozdzielni i większość wolnego czasu spędzaliśmy wspólnie. Robert nie należał do mężczyzn, którzy ruszają w tango, bawią się z kolegami czy chodzą własnymi ścieżkami; pod wieloma względami miał naturę domatora, a już na pewno był cudownym ojcem, bardzo przywiązanym do dzieci.

W pewnej chwili Robert otoczył mnie ramieniem i mocno przytulił. Podniósł wzrok na rozgwieżdżone niebo, parę razy głę-

boko wciągnął powietrze. W tych westchnieniach brzmiało zadowolenie. Ja czułam się tak samo, mając go z powrotem blisko siebie.

Leżeliśmy razem, ja i mój mąż, w łóżku. Dzięki klimatyzacji w pokoju panował chłód, dwie lampki na naszych szafkach nocnych rozjaśniały mrok. Ponieważ nie zaciągnęłam zasłon, sypialnia tonęła w srebrzystej poświacie księżycy.

Robert przysunął się, podparł na łokciu i przyglądał mi się. Odsunął mi z twarzy kosmyk włosów.

— Tęskniłem za tobą przez ten tydzień — powiedział cicho.

— Ja też za tobą tęskniłam. Nienawidzę, kiedy się sprzeczamy.

— Ja też. Ale to była zaledwie maleńka burza w jeszcze mniejszej szklance wody. Zapomnijmy o niej i ruszajmy naprzód. Ku ważniejszemu sprawom.

Umilkł na dłuższą chwilę; kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

— Chciałbym ci coś powiedzieć... — odezwał się wreszcie.

— Podzielić się z tobą, tym... nad czym myślałem.

— Tak? O co chodzi? — spytałam czując, że to coś ważnego.

Przysuwając się bliżej, powiedział cicho:

— Chciałbym mieć jeszcze jedno dziecko. Zgodziłabyś się, Mal?

— Tak. Tak. Oczywiście — odparłam natychmiast, bez wahania.

Poczułam, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu i wiedziałam, że jest szczęśliwy.

— Daj mi się kochać — wyszeptał mi we włosy, gładząc mnie po policzku. Potem odrobinę niecierpliwie zsunął ramięczko mojej koszulki. — Zdejmij to, kochanie.

Kiedy zdejmowałam przez głowę krótką jedwabną koszulkę i rzucałam ją na podłogę, on wstał z łóżka, szybko rozebrał się z piżamy i w ułamku sekundy znowu był przy mnie.

Całował mnie bez końca, błędząc od ust do powiek, czoła, nosa i zagłębienia szyi. Potem chwycił w usta brodawkę piersi, podczas gdy rękę zsunął między moje uda. W chwilę później dotarł

do mego najintymniejszego zakątka i zaczął go pieścić delikatnie, z wprawą, aż ogarnęła mnie fala ciepła.

Z westchnieniem poruszyłam się w jego ramionach, wygięłam w łuk, mocniej przywarłam do jego ciała, czując wszechogarniające pożądanie. Natychmiast odnaleźliśmy swój rytm, poruszając się z narastającym podnieceniem.

Niespodziewanie Robert znieruchomiał.

Otworzyłam oczy i popatrzyłam na jego twarz, tak blisko pochyloną nad moją. Wpatrywał się we mnie długo, bardzo długo, uważnie badając moją twarz.

Tęczęwki miał intensywnie niebieskie, tak niebieskie, że prawie mnie oślepiały i kiedy tak się w siebie wpatrywaliśmy, tonąc w swoich oczach, żadne z nas nie potrafiło oderwać od drugiego wzroku. Czułam się, jakbyśmy wnikaliby głęboko w swoje dusze, próbując je stopić w jedno.

Cisza między nami trwała, prawie namacalna. Złamał ją Robert, odzywając się cichym, nabrzmiałym miłością głosem.

— Moja żona, moja najdroższa żona. Kocham cię, zawsze kochałem i zawsze będę kochał.

— Ja też cię kocham — szepnęłam. — Na zawsze.

I wyciągnęłam ku niemu dłoń, muskając jego twarz. Robert jeszcze bardziej pochylił się nade mną, całując czule, lekko.

— Pragnę cię — szepnęłam.

— A ja ciebie — odparł.

Wolno, delikatnie, Robert znowu zaczął się we mnie poruszać. Po chwili jego ruchy stały się szybsze, tak samo i moje, a później coraz gwałtowniejsze, aż straciliśmy nad sobą panowanie. Zamknęłam oczy, ogarnęła mnie fala uniesienia, podniecały słowa, które Robert szeptał mi do ucha. Przywarliśmy do siebie i gdy poczułam pierwszy skurcz, zapowiedź rozkoszy, gwałtownie wciągnęłam powietrze, potem głośno wykrzyknęłam jego imię. Niczym pogłos echa wróciło do mnie moje imię, wykrzyczane przez niego i oboje pospiesziliśmy ku gwałtownemu spełnieniu, szczytowi, który osiągnęliśmy razem.

Zgasiliśmy światła i leżeliśmy w ciemnościach przykryci kocem, wtuleni w swe ramiona. Czułam się cudownie rozleniwiona,

uciszona po intensywnym rozładowaniu napięcia seksualnego, przepelniała mnie miłość do Roberta. Stanowił moje życie, sens mej egzystencji. Miałam wyjątkowe szczęście. Na całym świecie nie było kobiety, która mogłaby się pochwalić podobnym.

Umościłam się przy mężu, słuchając jego równego oddechu, wdzięczna, że wrócił do normy. W czasie aktu miłosnego Robert zaczął nagle dyszeć, potem gwałtownie wciągać powietrze i nawet po tym, jak na mnie opadł, oddychał z wielkim trudem.

— Tak dziwnie oddychałeś — odezwałam się cicho. — Niepokoiłam się.

— Dlaczego, najmilsza?

— Przez ułamek sekundy sądziłam, że masz atak serca.

Roześmiał się.

— Nie bądź niemądra. Byłem cały rozpalony, podniecony do nieprzytomności. Bałem się, że zaraz wybuchnę. Jeśli chcesz poznać prawdę, Mal, to dziś nie mogłem się tobą nasycić.

— Miło mi — zamruczałam. — Ja też.

— Tak mi się wydawało.

Pocałował mnie w czubek głowy.

— Szczęśliwa?

— Nieprzytomnie. Niewyobrażalnie.

Przekręciłam głowę, chowając ją na jego piersi.

— Jesteś naj-najlepszy.

— Muszę.

— Dlaczego?

— Nie chcę, żebyś zaczęła się rozglądać za kimś innym — powiedział żartobliwie.

— Niech pan na to nie liczy, panie Keswick.

Mocniej otoczył mnie ramieniem.

— Och, Mal, moja piękna żonko, jesteś taka cudowna, jesteś najlepszą rzeczą, jaka w życiu mi się przytrafiła. Nieraz zastanawiam się, co bym bez ciebie począł.

— Nie musisz... Będę z tobą po kres naszych dni.

— I dzięki Bogu za to. Słuchaj, jak sądzisz, zrobiliśmy dzisiaj dziecko?

— Mam nadzieję.



Wykręciłam szyję, żeby popatrzeć na Roberta, ale jego twarz ginęła w mroku. Wyślizgnęłam się z jego ramion i podciągnęłam tak, by nasze głowy leżały obok siebie na poduszkach. Pochyliłam się nad nim, ujęłam jego twarz w dłonie i pocałowałam.

— Ale nawet jeśli nie, nie przejmuj się — powiedziałam z lekkim uśmiechem, kiedy w końcu się rozłączyliśmy. — Pomyśl o zabawie, jaką będziemy mieli próbując.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Od razu wyczułam, że matka szuka zaczepki. Przez te wszystkie lata nauczyłam się rozpoznawać jej nastroje i teraz wiedziałam, że nie jest w dobrym humorze.

Może to te wyprostowane ramiona, może przechylenie głowy, sposób, w jaki się trzymała: tak wyniośle, chłodno. W każdym razie jej ciało wyraźnie sygnalizowało, że dąży do sprzeczeki.

Postanowiłam nie dać się sprowokować. Nie dziś, nie czwartego lipca. Chciałam, żeby to był radosny, beztroski dzień. W końcu to nasze wielkie wakacyjne święto. Nic go nam nie zepsuje.

Była taka spięta, kiedy witałam ją w drzwiach, że musiałam się zmusić, żeby pocałować ją w policzek.

— Nie wiem, dlaczego tak wcześnie urządzenie przyjęcie — narzekała, wchodząc do środka. — Musiałam się zerwać o bladym świcie, żeby przyjechać na czas.

— Pierwsza po południu to nie tak znowu wcześnie — odparłam spokojnie. — I nie musiałaś przyjeżdżać już teraz. — Zerknęłam na zegarek. — Jeszcze nie ma dziesiątej i...

— Chciałam ci pomóc — odpaliła, wpadając mi w słowo. — Przecież zawsze staram ci się pomóc, prawda, Mallory?

— Tak, mam — zapewniłam szybko, chcąc ją uspokoić. Spojrzałam na dużą torbę, którą miała ze sobą. Wczoraj wieczorem przez telefon nie wspominała, że zamierza nocować i miałam nadzieję, że nie zmieniła zdania.

— Co masz w tej torbie? — spytałam. — Zostajesz na noc?

— Nie, oczywiście że nie! — wykrzyknęła.

Na jej twarzy pojawił się taki dziwny wyraz, że zaczęłam się bać. Mimo to nie skomentowałam tego uznając, że mądrzej będzie milczeć.

— Ale dzięki za zaproszenie — dodała. — Dziś wieczorem umówiłam się w mieście na kolację. A jeśli chodzi o torbę, to mam w niej inne ubranie, na ognisko. To mi się strasznie pogniotło w czasie jazdy. Popatrzyła na swoje czarne gabardynowe spodnie.

— Ojej! — zawołała. — Mam nadzieję, że ten pies mnie nie okłaczy!

Jak zwykle przyjacielska Trixy podskakiwała przy nodze matki. Odruchowo schyliłam się i wzięłam psa na ręce.

— Ta rasa nie linieje, mam — powiedziałam, ogromnym wysiłkiem woli nadając głosowi spokojną intonację.

— Miło wiedzieć.

— Zawsze o tym wiedziałas — odparowałam, nie mogąc dłużej zapanować nad rozdrażnieniem.

Zignorowała tę uwagę.

— No, ruszajmy do kuchni przyszykować sałatkę ziemniaczaną.

— Diana obiecała, że ją zrobi.

— Wielkie nieba, Mallory, a jakież pojęcie może mieć Angielka o szykowaniu typowo amerykańskiej potrawy na czysto amerykańskie święto, jakim jest dzień uzyskania niepodległości?! Niepodległości od Imperium Brytyjskiego, dodajmy.

— Nie musisz mnie uczyć historii.

— Ja przygotuję sałatkę — prychnęła. — A w razie, gdyby to ci umknęło z pamięci, przypomnę, że to jedna z moich specjalności.

— Świetnie — ustąpiłam, gotowa zrobić wszystko, by przywrócić spokojną atmosferę.

Matka ruszyła w stronę kuchni, najwyraźniej nie mogąc się doczekać, kiedy zaczniesz szykować swą słynną sałatkę ziemniaczaną.

— Zaniosę twoje rzeczy do błękitnego pokoju gościnnego; możesz się tam na dziś rozgościć.

— Dziękuję — odparła, nawet się nie oglądając.

Patrzyłam na jej smukłą, elegancką sylwetkę i zastanawiałam się, jakim cudem ojciec do tej pory jej nie udusił. Potem wzięłam torbę i z Trixy pod pachą pobiegłam na górę do błękitnego pokoju. W chwilę później znowu byłam na dole. Zatrzymałam się w korytarzu przed moim gabinetem, ucałowałam puszysty biały łebek suczki i postawiłam ją na podłodze.

— No, dalej, Trixola — mruknęłam — bierzmy ją, dobra?

Trixy podniosła łeb, zamachała ogonem, a ja — właściwie jak zawsze — byłam przekonana, że doskonale zrozumiała moje słowa. Trixy to takie pogodne stworzonko. Zawsze potrafi mnie rozbawić, wywołać uśmiech na mojej twarzy.

Szłam szybkim krokiem do kuchni i w duchu przysięgałam sobie, że nie pozwolę, by matka zniszczyła mi ten dzień. Zastanawiałam się, czy celowo chciała mnie wyprowadzić z równowagi czy też coś ją zezłościło, a wyżywa się na mnie. Nie potrafiłam na to odpowiedzieć. Ale cóż, właściwie powinnam się już przyzwyczaić, bo tak między nami było zawsze.

Zastałam ją przy jednym z blatów. Kroiła gotowane ziemniaki, które wcześniej przygotowałam. Obok niej stała filiżanka kawy, w ustach tkwił papieros. Z trudem się powstrzymałam, żeby na nią nie huknąć. Nie znosiłam, kiedy paliła w naszej obecności, a już szczególnie w czasie przygotowywania posiłków.

— Gdzie dzieci i Robert? — spytała nie podnosząc wzroku.

— Pojechali na targ po świeże jarzyny na barbecue. Kukurydzę, pomidory, stały zestaw. Mamo, czy mogłabyś nie palić przy przygotowywaniu posiłków?

— Nie strącam popiołu do jedzenia, jeśli to masz na myśli — odparła. Jej ton nadal był zaczepny.

Po raz kolejny próbowałam ją ułagodzić.

— Wiem, że nie strącasz. Po prostu nienawidzę dymu papierosowego, mamo. Proszę, zgaś go. Jeśli nie ze względu na twoje albo moje zdrowie, to choćby ze względu na twoje wnuki. Wiesz, co piszą o biernym paleniu.

— Lissa i Jamie mieszkają na Manhattanie. Pomyśl o tym, co tam wdychają.

— Szczerą prawdą, mamo. Ale tutaj postarajmy się nie zatruwać środowiska jeszcze bardziej, dobrze?

Wiedziałam, że mój głos stwardniał, ale nie mogłam nad sobą zapanować. Byłam na nią wściekła, złościło mnie jej aroganckie zachowanie, do tego w moim własnym domu.

Matka obróciła swą starannie uczesaną blond głowę i popatrzyła na mnie przez ramię. Nie miałam wątpliwości, że rozpoznała ten charakterystyczny, nieugięty wyraz twarzy. Dość się go naoglądała przez te wszystkie lata i teraz też wywarł pożądany efekt. Zgasiła papierosa w zlewie i wrzuciła niedopałek do pojemnika na śmiecie. Wychyliła ostatni łyk kawy, przeniosła miskę z ziemniakami na stół kuchenny i usiadła. Wszystko to odbyło się w lodowatym milczeniu.

— No, kochana Mallory, nie bądź dziś taka nerwowa — odezwała się po chwili, zaskakując mnie superśłodkim tonem. — Wiesz, jak nie lubię się z tobą kłócić. To takie bolesne. — Posłała mi najśłodszy z uśmiechów.

Powaliła mnie. Otworzyłam usta, potem natychmiast je zamknęłam. To najbardziej wykańczająca kobieta, jaką w życiu spotkałam; po raz kolejny poczułam znajomą falę współczucia dla ojca.

Na swój podstępny sposób udało jej się wykręcić kota ogonem i stworzyć wrażenie, jakbym to ja szukała zaczepki. Ale doświadczenie nauczyło mnie, że nie ma sensu podejmować wyzwania czy próbować przedstawić swój punkt widzenia. Nic przez to nie zyskam. Jediną skuteczną bronią w walce z matką było milczenie albo zgoda.

Podeszłam do lodówki i wyjęłam z niej składniki do sałatki — wszystkie przygotowane o szóstej rano, na długo przed przybyciem matki. W szklanych miskach leżały ugotowane na twardo jajka, pokrojony seler, korniszony, cebula. Ustawiłam wszystkie naczynia na dużej drewnianej desce obok soli, młynka z pieprzem i słoika z majonezem.

Przeniosłam deskę na stół kuchenny, położyłam ją na środku, wyjęłam jeszcze jedną deskę i nóż, usiadłam na krześle naprzeciwko matki i zaczęłam metodycznie siekać jajka, unikając jej wzroku. W środku aż się gotowałam.

Przez jakiś czas pracowałyśmy w milczeniu, wreszcie matka zatrzymała się w połowie krojenia dużego ziemniaka, odłożyła nóż i oparła się wygodniej. Siedziała przyglądając mi się bacznie.

Tak intensywny był jej wzrok, tak natrętny, że ogarnął mnie gniew. Zawsze tak nań reagowałam; miałam wrażenie, że matka wkłada mnie pod mikroskop i bada niczym jakiegoś owada.

Zmarszczyłam brwi.

— O co chodzi, mamó? — spytałam chłodno. — Czyżbym sobie pobrudziła twarz?

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie, skąd! — zaprzeczyła. Umilkła na chwilę i podjęła: — Przepraszam, Mal, rzeczywiście zbyt natrętnie ci się przyglądałam. Tak naprawdę to przypatrywałam się twojej skórze, zachwycając się jej elastycznością. — Kilkakrotnie z zapałem skinęła głową, jakby potwierdzała jakąś ważną dla siebie diagnozę. — Doktor Malvern ma rację. Młoda skóra jest po prostu elastyczna, ma zupełnie inną fakturę niż starzejąca się. Hmm. Cóż, elastyczności już nie odzyskam, ale worów pozbyć się przecież mogę. — To mówiąc grzbietem dłoni zaczęła się poklepywać po podbródku. — Doktor Malvern sądzi, że malutki zabieg powinien temu zaradzić.

— Mamó! Na miłość boską! Nie potrzebujesz kolejnej operacji plastycznej! Naprawdę, z ręką na sercu. Wyglądasz cudownie.

Mówiłam szczerze. Nadal wyglądała świetnie. Oczywiście lifting, który sobie zafundowała trzy lata temu, bardzo w tym pomógł. Ale ona w ogóle bardzo dobrze się trzymała. Nikt by się nie domyślił, że ta smukła kobieta o długich nogach, wspaniałych migdałowych oczach i wręcz idealnej cerze bez śladu zmarszczek wkrótce skończy sześćdziesiąt dwa lata. Wyglądała o wiele młodziej, moim zdaniem co najmniej jakieś piętnaście, szesnaście lat.

— Dziękuję, Mal, za te miłe słowa, ale naprawdę sądzę, że przydałaby się tu minimalna korekta...

Umilkła, ale dalej się we mnie wpatrywała, wzdychając cicho. Dostrzegłam w niej jakąś dziwną zadumę, która kompletnie mnie zaskoczyła.

— Nie, mam, wcale ci nie jest potrzebna — mruknęłam łagodniej. Nagłe ogarnęła mnie fala miłości do matki. Wydała mi się taka otwarta i wrażliwa, że poczułam rzadki przypływ współczucia.

Zapadła kolejna chwila ciszy; obie uważnie się sobie przyglądałyśmy, ale każda z nas była pogrążona w swoich myślach.

Ja myślałam o tym, że choć próżna i nierozsądna, nie jest w końcu taka zła. Wręcz przeciwnie. W sumie to dobra kobieta i starała się także być dobrą matką. Czasem okazywała się beznaziejna, czasem szło jej trochę lepiej. Muszę przyznać, że wpoila mi bezcenne zalety, bardzo dla mnie ważne. Równocześnie zaś rzadko naprawdę się rozumiałyśmy, często mylnie mnie oceniała i traktowała jak niemądrą marzycielkę.

To ona przerwała milczenie.

— Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć, Mal — odezwała się wyjątkowo cicho jak na nią.

Skinęłam głową na znak, że słucham uważnie. Zawahała się.

— No, mów — ponagliłam.

— Wychodzę za mąż — wypaliła w końcu.

— Za mąż? Przecież jesteś mężatką. Żoną mojego ojca. Może tylko na papierze, ale z punktu widzenia prawa pozostajesz jego małżonką.

— Wiem o tym. Chciałam powiedzieć: zaraz po rozwodzie.

— Za kogo wychodzisz? — spytałam, nachylając się ku niej. Niespodziewanie dla samej siebie płonęłam z ciekawości.

— Za Davida Nelsona.

— Ooo.

— Nie zabrzmiało to entuzjastycznie.

— Nie bądź niemądra... Po prostu jestem zaskoczona, to wszystko.

— Nie lubisz Davida?

— Mam, prawie go nie znam.

— Jest bardzo miły, Mal.

— Na pewno... Te kilka razy, kiedy go spotkałam... Wydawał się bardzo miły, ogromnie serdeczny.

— Kocham go, Mal, a on mnie. Jest nam dobrze ze sobą, doskonale do siebie pasujemy. Byłam samotna. Bardzo samotna i to od bardzo dawna. Tak samo David, zwłaszcza od czasu, kiedy siedem lat temu zmarła jego żona. Już od roku spotykamy się dość regularnie i kiedy w ubiegłym tygodniu poprosił mnie o rękę, nagle uświadomiłam sobie, ile on dla mnie znaczy. Nie widzę powodów, żebyśmy nie mogli się pobrać.

Bacznie mi się przyglądała; przyszło mi na myśl, że szuka mojej aprobaty.

— Oczywiście, że nie ma powodów, byście nie mogli się pobrać, mamó. Bardzo się cieszę. — Uśmiechnęłam się do niej. — Czy David ma dzieci?

— Syna, Marka. Jest żonaty i ma dziecko. Synka, Davida, na cześć dziadka. Mark z żoną, Angelą, mieszkają w Westchester. Jest prawnikiem, tak samo jak David.

Syn, co za ulga — pomyślałam. Nie jakaś zaborcza, nadopiekuńcza córeczka, która nieustannie kręci się przy tatuńciu Davidzie i wszystko psuje. Teraz, kiedy poznałam bliższe szczegóły, podpisywałam się obiema rękami pod tym związkim. Chciałam, żeby czym prędzej doszedł do skutku.

— A kiedy chcecie się pobrać?

— Natychmiast, gdy będę wolna.

— Wszczęłaś już postępowanie rozwodowe?

— Nie, ale w przyszłym tygodniu chcę porozmawiać z Alanem Fullerem. Nie powinno być najmniejszych problemów, zwłaszcza że od tylu lat jesteśmy z ojcem w separacji. — Umilkła i po chwili dodała: — Piętnaście lat — jakbym sama tego nie wiedziała.

— Powiedziałaś już tacie?

Zawahała się, nim odparła:

— Nie, jeszcze nie.

— Rozumiem.

— Nie miej takiej zasmuconej miny, Mal. Sądzę, że byłby...

— Nie jestem zasmucona — przerwałam jej, zastanawiając się, skąd jej to przyszło do głowy. Wcale nie byłam zasmucona. Wręcz przeciwnie, cieszyłam się, że przestanie w końcu żyć jak zawieszona w próżni lalka.



— Chciałam powiedzieć, zanim mi przerwałaś, że twój ojciec będzie chyba zadowolony, że w końcu zdecydowałam się na ten krok.

Skinęłam głową.

— Masz rację, mam. Jestem przekonana, że będzie.

Odgłos stukania obcasów na wypastowanej podłodze tuż pod drzwiami kuchennymi sprawił, że matka usiadła prosto. Podniosła palec do ust i patrząc na mnie z napięciem powiedziała bezgłośnie:

— To tajemnica.

Diana wsunęła się do kuchni w chwili, gdy myślamy pobiegłam ku tajemnicom. Tyle ich było w naszej rodzinie; jak zwykle natychmiast odsunęłam tę myśl daleko, jak najdalej od siebie. Nigdy nie chciałam spojrzeć prosto w oczy owym tajemnicom z czasów mego dzieciństwa. Najlepiej o nich zapomnieć; lepiej dalej udawać, że w ogóle ich nie było. Ale one istniały. Moje dzieciństwo składało się z tajemnic, nawarstwiających się jedna na drugiej.

Z udaną beztroską uśmiechnęłam się do Diany. To był promienny uśmiech, kłócący się z moimi myślami. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście mogła romansować z moim ojcem. A jeśli tak, to czy ta nagła zmiana jego sytuacji będzie miała wpływ na ich życie? Czy ten, wydaje się, dość bliski rozwód sprawi, że tato pomyśli o małżeństwie? Z nią? Czy moja teściowa zostanie też moją macochą? Zdusiłam śmiech, który zadrżał mi w gardle, ale i tak musiałam odwrócić głowę, bo moje usta, wbrew mej woli, rozciągnęły się w uśmiechu.

— Dzień dobry, Jessiko. Jak miło cię widzieć — mówiła właśnie pogodnie Diana.

Matka natychmiast zerwała się z krzesła i objęła ją.

— Cieszę się, że tu jesteś, Diano. Wyglądasz cudownie.

— Dzięki. Czuję się świetnie — odparła Diana, posłała jej swój słoneczny uśmiech i dodała: — Muszę przyznać, że i ty wyglądasz całkiem, całkiem. Prawdziwy okaz zdrowia.

Obserwowałam je uważnie.

Jakże odmienne wydawały się te dwie kobiety w średnim wieku, nasze matki.

Moja to blond loki, jasna cera, delikatne, doskonale rzeźbione rysy. Bardzo piękna kobieta o chłodnej, nordyckiej urodzie: szczupła, smukła, o specyficznej, godnej pozazdroszczenia wrodzonej elegancji.

Diana była o wiele ciemniejsza, miała śliczną, złocistą cerę i proste, jedwabiste, ciemne włosy, które dziś związała w koński ogon. Twarz szersza niż u mojej matki, o grubszych rysach i wspaniałych, lśniących, niebieskich oczach tak jasnych i przejrzystych, że wydawały się szare. Raczej niska niż wysoka, wzrostem nie dorównywała matce.

„Jestem Celtem”, powiedziała mi kiedyś. „W moich żyłach płynie o wiele więcej szkockiej niż angielskiej krwi”.

Czar Diany krył się w jej ciepłej, śniadej urodzie. Była bez wątpienia atrakcyjną kobietą, która, podobnie jak moja matka, doskonale się prezentowała jak na swoje sześćdziesiąt jeden lat.

Miały zupełnie inne charaktery oraz osobowości. Diana była o wiele poważniejsza od mojej matki, znacznie bardziej pociągała ją nauka, wiedza. Tak samo światy, w których się poruszały, diametralnie się od siebie różniły. Diana to prawdziwy maniak pracy, cały czas poświęcała prowadzeniu sklepu z antykami i przepadała za swoim zajęciem. Moja matka zaś przypominała raczej motyla; nie znosiła pracować i na szczęście nie musiała; najchętniej oddawała się życiu towarzyskiemu. Utrzymywała się z całkiem sporego dochodu z inwestycji, rodzinnych przedsiębiorstw oraz niewielkich alimentów otrzymywanych od mego ojca. Czemu je od niego przyjmowała? Tego nigdy nie potrafiłam pojąć.

Matka to w gruncie rzeczy nieśmiała i cicha kobieta. Czasem nawet myślałam o niej jako o kimś przygaszonym. A równocześnie było z niej nadzwyczaj towarzyskie stworzenie i jeśli chciała, potrafiła rozsiewać wokół siebie prawdziwy czar.

Moja teściowa zaś była spontaniczna, otwarta, pełna zaraźliwej *joie de vivre*. W jej towarzystwie zawsze czułam się szczęśliwa. I nie tylko na mnie tak wpływała.

Dwie tak odmienne kobiety, moja matka i teściowa. A mimo to zawsze względem siebie tak przyjacielskie, pozornie świetnie się dogadujące. Może rzeczywiście Robert, ja i bliźnięta stanowi-

liśmy łącznik między nimi. Na pewno obie były uszczęśliwione, że Robert i ja tworzymy tak szczęśliwą parę, że naszemu związkowi towarzyszy radość, prawdziwe błogosławieństwo. Może nasza czwórka okupiła smutek ich dotychczasowego życia, sprawiała, że klęski przestały tak boleć.

Obie kobiety usiadły, nie przerywając pogawędki. Wstałam, przeszłam w drugi koniec kuchni i zaczęłam szykować nad zlewem sałatę: odrywałam liście i starannie płukałam jeden po drugim.

Myślałam o małżeństwie, a dokładniej o bliskim kolejnym związku matki. Ale nagle moje myśli dokonały gwałtownego zwrotu i skierowały się ku ojcu. Nie zaznał w życiu wiele szczęścia — oczywiście z wyjątkiem pracy. Ona przyniosła i nadal przynosiła mu mnóstwo satysfakcji. Był dumny ze swej pozycji jako archeologa. Jego małżeństwo okazało się wielkim nieporozumieniem, całkowitą klęską — a tak wiele się po nim spodziewało, jak mi kiedyś wyznał. Rozleciało się kompletnie, kiedy jeszcze byłam dzieckiem.

Prawdziwa szkoda, że ojciec nigdy nie miał tyle szczęścia, by trafić na to, co posiadamy ja i Robert. Ogarnęło mnie wielkie współczucie dla taty. A jeszcze bardziej smuciło mnie, że nie znalazłam prawdziwej miłości trochę wcześniej. Teraz liczył sobie sześćdziesiąt pięć lat; to nie tak znowu wiele, może jeszcze nie jest dla niego za późno. Westchnęłam cicho. Za jego cierpienia winiłam matkę; od zawsze. On nigdy nie był winny. Dla mnie pozostawał bohaterem, trwającym w gorzkim, niewdzięcznym związku.

I kiedy nagle zamajaczyła mi ta nowa myśl, coraz wyraźniej rysując się przede mną, przyjrzałam się jej z taką samą uwagą, z jaką oglądałam liście sałaty płukane pod kranem. Czy aby nie postępuję trochę niesprawiedliwie? Nikt na tym świecie nie jest doskonały, a już na pewno nie mój ojciec. W końcu to przecież zwykły człowiek, a nie sam Pan Bóg, nawet jeśli za takiego go uważałam w okresie dojrzewania. Traktowałam go jak rycerza bez skazy; najprzystojniejszy, najwspanialszy, najmądrzejszy mężczyzna na świecie. I najdoskonalszy. To oczywiste. Tak, właściwie nie tak myślałam jako dziecko. Ale on musiał mieć swoje wady

i słabotki, jak każdy. Cnotom musiały towarzyszyć niedociągnięcia, braki. Czy przypadkiem nie powinnam zrobić kroku w stronę matki i choć przez moment zakwestionować ideał?

Myśl była tak zdumiewająca, że potrzebowałam chwili, by się do niej przyzwyczaić.

W końcu zerknęłam przez ramię na matkę. Siedziała spokojnie przy stole kuchennym, rozmawiając z Dianą i metodycznie szykując swą słynną sałatkę ziemniaczaną, którą z takim nabożeństwem przez całe me dzieciństwo i młodość szykowała każdego czwartego lipca.

Nieoczekiwanie, bez ostrzeżenia wróciło do mnie to wspomnienie. Właściwie zaledwie urywek wspomnienia tak starannie zdławionego w podświadomości, dokładnie zapakowanego, pogrzebanego i dzięki Bogu zapomnianego. Nagle zmartwychwstało i zaatakowało mnie z całą mocą, uderzając w świadomość. I oto, sama nie wiedząc kiedy, spoglądałam w korytarz czasu. Zobaczyłam dzień sprzed wielu, wielu lat; dokładnie sprzed dwudziestu ośmiu. Jako pięcioletnia dziewczynka stałam się mimowolnym świadkiem konfliktu małżeńskiego tak wstrząsającego, tak trudnego do przyjęcia, że poradziłam sobie z tym w jedyny możliwy sposób: odsunęłam go w niepamięć.

Niczym echo napłynęły przez ten groźny, mroczny tunel znajome głosy, aż do dziś przysypane. Wydobyte na powierzchnię, obnażone — znowu ożyły.

Widzę moją matkę — młodą, piękną, zwiewną cudowną postać w białej muślinowej sukni, ze złotymi włosami płonącymi w promieniach słońca. Stoi na środku olbrzymiej kuchni w letnim domu babki w Southampton. Ale jej głos tak bardzo kontrastuje z tym ślicznym obrazkiem. Jest ostry, gniewny, oskarżycielski.

Boję się.

Mówi ojcu, że nie może wyjechać. Nie dzisiaj, nie czwartego lipca, nie wtedy, gdy ma się zgromadzić cała rodzina, gdy zaplanowano tyle uroczystości. Nie może opuścić jej, jej rodziców i mnie.

— Pomyśl o dziecku, Edwardzie. Ona cię uwielbia — woła.  
— Mallory potrzebuje dziś twojej obecności!

Powtarza to raz za razem, jakby to była litania.

A ojciec tłumaczy, że po prostu musi wyjechać, że musi zdążyć na samolot do Egiptu. Wyjaśnia, że zaczynają nowe wykopaliska, a on jako głowa ekipy musi tam się znaleźć pierwszy.

Matka zaczyna się na niego drzeć. Twarz ma wykrzywioną gniewem. Oskarża go, że spieszy mu się do tamtej, do kochanki, a nie na wykopaliska.

Ojciec się broni, zapewnia o swojej niewinności, mówi matce, że jest idiotką, zazdrosną idiotką, to wszystko. Potem ton jego głosu trochę łagodnieje. Uspokaja, że nie ma powodów do zazdrości. Przysięga, że tylko ją kocha; cierpliwie tłumaczy, że musi wyjechać, bo musi pracować, musi nas wszystkich utrzymywać.

Matka tylko gwałtownie kręci głową, nie przyjmując jego wyjaśnień. To nieprawda. Nieprawda.

Nagle w jej rękach pojawia się salaterka z sałatką ziemniaczaną i niemal w tej samej chwili wylatuje z nich, gwałtownie ciśnięta. Leci przez kuchnię, trafiając w ścianę za ojcem, odbija się; na ciemnoniebieskich kafelkach zostają białe kawałki ziemniaków i smugi majonezu; wreszcie z hukiem, jakby eksplodowała bomba, rozbija się o podłogę.

Ojciec gniewnie się obraca, wychodzi z kuchni. Na jego przystojnej twarzy maluje się ból i rozpacz.

Matka szlocha histerycznie.

Kulę się w pomieszczeniu dla służby, przywierając do Elwiry, kucharki babki, mojej najlepszej przyjaciółki, jedynej — z wyjątkiem ojca — przyjaznej mi duszy w tym domu pełnym gniewu, tajemnic i kłamstw.

Matka wypada z kuchni, pędzi za ojcem, nawet mnie nie zauważa, mijając w biegu otwarte drzwi pomieszczenia, w którym chowam się obok Elwiry.

Znowu krzyczy na cały głos.

— Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Nigdy nie dam ci rozwo-  
du! Nigdy! Po kres swoich dni. Mercedes nie będzie miała przy-  
jemności zostania twą żoną! Przysięgam, nigdy! A jeśli mnie po-

rzucisz, nigdy więcej nie zobaczysz Mallory. Nigdy więcej. Już ja się o to postaram. Nie zapominaj, że mam pieniądze ojca. One zbudują mur, Edwardzie. Mur, który na zawsze oddzieli cię od Mallory.

Słyszę, jak biegnie po schodach za ojcem, bez przerwy mu wymyślając; jej przenikliwy, gorzki, oskarżycielski głos rozbrzmiewa w powietrzu.

Elwira gładzi mnie po głowie, uspokaja.

— Nie przejmuj się, malutka — szepce, obejmując mnie opiekuńczo pulchnym ciemnym ramieniem. — Nie przejmuj się, dziecko. Ci dorośli zawsze wykrzykują bzdury... Rzeczy, których tak naprawdę wcale nie myślą... Których dzieci nie powinny słyszeć. Nie przejmuj się, malutka. Mamusia wcale tak nie myśli.

Ojciec zostaje.

Nie wyjeżdża. Wytrzymuje tylko jeden dzień. Następnego ranka, piątego lipca, całuje mnie na do widzenia. Wraca na Manhattan i odlatuje do Egiptu.

Zjawia się dopiero po pięciu miesiącach.

Zamknęłam oczy, powstrzymując łzy, dławiąc ból, który wzbudziło to nieoczekiwane, tak długo tłumione wspomnienie.

Wolno uchyliłam powieki i wbiłam wzrok w ścianę. Starannie, bardzo starannie układałam liście sałaty, przykrywając je dużym kawałkiem papierowego ręcznika. Ręce miałam ciężkie, jakby ważyły tonę. Przytrzymując się zlewu, uspokajałam się, starając odzyskać panowanie nad sobą, by móc wrócić na środek kuchni. Po pewnym czasie udało mi się ruszyć. Przystanąłam przy kuchennym stole i spojrzałam na siedzącą matkę.

Z nagłą jasnością, niczym grom uderzyła mnie myśl, że zapewne ogromnie cierpiała jako młoda żona. Powinnam przestać ją w duchu oskarżać. Trudno musiało jej przychodzić pogodzenie się z długimi okresami nieobecności ojca. Jak bardzo musiała cierpieć, jak niewyobrażalnie samotna musiała się czuć. Czy rzeczywiście ojciec miał kochankę? Czy rzeczywiście była nią kobieta o imieniu Mercedes? Czy przez te wszystkie lata przesunęło się przez jego życie wiele innych kobiet? Całkiem możliwe — pomy-

siałam, czując jak żołądek mi się ściska. Ojciec był przystojnym, normalnym, zdrowym mężczyzną i w młodości zapewne nie stroił od kobiet. Do kiedy sięgam pamięcią, rodzice mieli osobne sypialnie i ta sytuacja utrzymywała się, póki ojciec nie odszedł na dobre, gdy skończyłam osiemnaście lat. Trwał w tym strasznym małżeństwie ze względu na mnie. Od dawna w to wierzyłam, dawno temu zaakceptowałam. I dziś także wierzyłam, że to prawda.

Może matka zniosła więcej upokorzeń, rozpaczy i cierpienia, niż do tej pory sądziłam. Ale nigdy nie uda mi się wyciągnąć z niej prawdy. Nigdy nie rozmawiała ze mną o przeszłości ani mi się nie zwierzała. Tak jakby chciała pogrzebać wszystkie tamte lata, zapomnieć o nich; może nawet wolałaby udawać, że w ogóle ich nie było. Może właśnie dlatego czasem traktowała mnie z takim dystansem. Może przypominałam jej o rzeczach, które chciała wymazać z pamięci.

Matka wpatrywała się we mnie.

Spotkałyśmy się wzrokiem; uśmiechnęła się niepewnie, a ja po raz pierwszy jako dorosła kobieta spytałam siebie w duchu, czy przez te wszystkie lata nie wyrządziłam jej straszliwej krzywdy.

— Co się stało, Mal? — spytała, unosząc jasne brwi. W jej migdałowych oczach błysnął niepokój.

Odchrząknęłam. Przez chwilę nie mogłam dobyć głosu.

— Nic, mamó — odparłam wreszcie. — Wszystko w porządku. Opłukałam już sałatę. Suszy się. Mogłabyś za kilka minut włożyć ją do lodówki?

— Oczywiście — zapewniła.

— A ja jak mogę ci pomóc, Mal? Przyszykować sos do sałatki? — spytała Diana.

— Tak, poproszę. I może obie wyjęłybyście mięso i zaczęły szykować kotlety?

— Się robi — odparła Diana, natychmiast podrywając się na nogi i idąc do spiżarni.

— Pójdę nakryć do stołu — powiedziałam, znowu przyglądając się matce.

Skinęła głowę i uśmiechnęła się do mnie. Tym razem uśmiech wydawał się pewniejszy. Z powrotem zajęła się sałatką.

Otworzyłam drzwi kuchenne i z Trixy depezącą mi po piętach wyszłam do ogrodu. Ciągle jeszcze byłam głęboko poruszona. Nie tylko przez tamto wspomnienie, ale i przez nagłą świadomość, że przez te wszystkie lata, kiedy dorastałam, nie opuszczał mnie strach, że ojciec opuści nas na zawsze; przerażenie, że już nigdy nie wróci.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

W ogrodzie było upalnie i duszno. Już po chwili moja bawełniana koszulka nasiąkła potem i przylgnęła do ciała. Nawet Trixy oklapła; ledwo podeszliśmy do drzewa, roztropnie schroniła się pod jednym ze stołów.

Ubiegłej nocy razem z Robertem ustawiliśmy je pod drzewami i teraz cieszyłam się z tej decyzji.

Klony i dęby, które tworzyły półkole wokół mej pracowni, były stare, potężne, z grubymi węzłastymi konarami. Gęsto porośnięte liśćmi gałęzie rozkładały się w szeroką koronę niczym cudowny, olbrzymi parasol zieleni; chłodny, gościnnie, zapewniający doskonałą ochronę przed słońcem. Ten cienisty zakątek bardzo nam się przyda. O pierwszej, tak jak to zapowiadała Nora w piątek, z nieba będzie się lał istny żar.

Wcześniej już przyniosłam obrusy w czerwono-białą kratę i duży kosz ze sztućcami. Zaczęłam nakrywać stoły. Właśnie kończyłam największy, przy którym usiądą dorośli, kiedy usłyszałam powitalny okrzyk Sary.

Miała na sobie biały szlafrok frotte i ciemne okulary. Kruczoczarne włosy zaczesła na czubku głowy, w rękę trzymała kubek. Kiedy się zbliżyła, zobaczyłam, że minę ma dość ponurą.

— Boże, ależ okropnie się czuję — jęknęła, ostrożnie siadając na ławce przy mniejszym stole.

— Wcale się nie dziwię — stwierdziłam. — I dzień dobry, słodyczko. — Było to jedno ze zdrobień, którymi ją nazywałam.

— Dzień dobry, mateńko — odpowiedziała też przezwiskiem z lat dziecinnych.

Uśmiechnęłam się i wysypałam noże i widelce na blat.

— Och, błagam, Mal, litości. Nie hałasuj tak. Głowa mi pęka, ledwo żyję.

— Twoja wina, wczoraj naprawdę dałaś sobie w szyję.

— Dzięki, droga przyjaciółko, za twe współczucie i zrozumienie.

Zorientowałam się, że Sara wyjątkowo nie przesadza i szybko podeszłam i położyłam dłoń na jej ramieniu.

— Przepraszam, nie powinnam się z tobą droczyć. Przynieść ci coś? Może proszki od bólu głowy?

— Nie, daj spokój, wypłam już morze aspiryny, dałoby się w nim utopić okręt wojenny. Jakoś przeżyję. Tylko błagam, obchodź się ze mną bardzo ostrożnie, stąpaj po trawie na paluszkach, nie szczękaj sztućcami i mów szeptem.

Pokręciłam głową.

— Och, Saro, Saro... Po co tak samą siebie mordować? Thomas Preston Trzeci nie jest tego wart.

— Przypuszczam, że odżywa się moja żydowska krew, odziedziczona po Charlesie Finkelsteinie... — odparła, ignorując moją ostatnią uwagę. — Pamiątka po kochanym, pocziwym tatusiu: lubowanie się w karaniu samej siebie, skłonność do traktowania wszystkiego niczym jakiejś tragedii narodowej, pokłady żydowskiego poczucia winy i ciemna oprawa.

— Ciemna wspaniała oprawa — poprawiłam. — Widziałas się ostatnio z Charliem dwa?

Uśmiechnęła się.

— Nie, niestety nie. Znalazł sobie drugą żonkę, kolejną snobistyczną blondynę w stylu mojej matki, więc ostatnie, o czym myśli, to siostra. Zadzwonię do niego w przyszłym tygodniu, dowiedzieć się, co słyszać, i umówię się z nim i Mirandą. Nie chcę znowu stracić z nim kontaktu.

— Oczywiście, nie możesz do tego dopuścić. Nie po tym, kiedy wreszcie ci wybaczył, że przyjęłaś nazwisko ojczyma. I w dodatku takie nieżydowskie.

— Matce, chciałaś powiedzieć! — zawołała podnosząc nieco głos. — To ona zmieniła mi nazwisko na Thomas! Myślisz, że nie rozumiejąca siedmiolatka mogła mieć na to jakiś wpływ?

— Wiem, że to jej вина — odparłam cicho, podchodząc do mniejszego stolika i zabierając się do jego nakrywania.

Sara upiła spory łyk kawy, potem odstawiła kubek. Zdjęła okulary, łokcie oparła na blacie, a brodę na dłoniach. Ciemnobrązowe oczy śledziły każdy mój ruch.

— Ile będzie osób, Mal? — spytała.

— Koło osiemnastu. Sprawdźmy: moja matka i Diana, ty i bliźnięta z Jenny, do tego ja, Robert, to już osiem. Zaprosiłam Norę, Eryka i Annę, co daje nam jedenaście. Oprócz tego trzy małżeństwa: Lowdenowie, Martinowie i Callenowie — siedemnaście i dwoje dzieci. Vanessa, córeczka Callenów, a Dick i Olivia Martinowie przywożą młodszego syna, Luke'a. Z tego wynika, że będzie nas dziewiętnastoro.

— Pozostaje mi tylko podziękować Bogu, że to nie my szykujemy jedzenie.

Roześmiałam się, widząc jej minę.

— Wiem, co masz na myśli. Na szczęście Robert nad wszystkim panuje i zagonił panów do przygotowania ogniska. Nora, mama i Diana będą mi pomagać donosić kolejne porcje.

— Mam nadzieję, że do południa się trochę pozbieram i będę mogła ci pomóc.

— Nie trzeba, Sash. Odpocznij sobie. A zresztą, bufet z jedzeniem będzie tutaj. Zmieści się na nim większość rzeczy: sałatki, pieczywo, fasola, pieczone ziemniaki i kukurydza. Trzeba będzie donieść tylko hot dogi, hamburgery i żeberka na grill.

Sara skinęła głową. Na dłuższą chwilę zapadła w milczenie. W zadumie wpatrywała się w przestrzeń.

— Twoja matka wyglądała dziś rano jak kot, który połknął kanarka — odezwała się wreszcie.

— To znaczy jak?

— Oczywiście jasne, błyszczące, bez przerwy się uśmiechała. Nie mogłam się powstrzymać od myśli, że to uśmiech zadowolenia. Nawet trochę przemądrzały.

— Chyba mogę ci powiedzieć — zaczęłam, potem się zawa-  
hałam.

— Pewnie że możesz, zwierzałaś mi się ze wszystkiego od  
dnia, kiedy nauczyłaś się mówić.

— To miała być tajemnica.

— I co z tego? Zawsze dzieliłaś się ze mną swoimi tajemnica-  
mi, Mal. Swoimi i cudzymi, skoro już o tym mowa.

— I ty też! — odpaliłam.

Sara uśmiechnęła się radośnie i puściła do mnie oko.

— Założę się, że chodzi o jakiegoś mężczyznę.

— Jestem pod wrażeniem. Jak się domyśliłaś?

Wybuchnęła śmiechem.

— Ta mina. Ta mina, która mówi wyraźnie: „Mam mężczyznę  
i on jest cały mój”. Facet może jej nie zauważyć, ale nie kobieta.

— Mama wychodzi za mąż.

— Rany kóguta! Zgrywasz się!

— Nie, mówię serio.

— Cieszę się. Kim jest wybranek?

— To David Nelson. Chyba spotkałaś go raz, może dwa, kie-  
dy był u mamy.

Sara gwizdnęła pod nosem.

— No, no, cioteczka Jess złapała całkiem niezłą partię. Bar-  
dzo przystojny, dobrze sytuowany, młodszy od niej.

— Jesteś pewna, że młodszy?

— Tak. Parę miesięcy temu mama wspominała coś o cioci  
Jess i Davidzie i mówiła, że on ma koło pięćdziesięciu ośmiu lat.

— Och, tylko cztery lata różnicy, to niewiele. Zresztą ona wy-  
gląda o wiele młodziej od niego, nie sądzisz?

— Tak, to prawda.

— Nie rozumiem, dlaczego chce sobie zrobić jeszcze jedną  
operację plastyczną. Moim zdaniem wcale jej nie potrzebuje.

Nawet jeśli Sarę moje stwierdzenie zaskoczyło, niczym tego  
nie okazała.

— Nie, nie potrzebuje, ale może brak jej pewności siebie, nie-  
pokoi ją wiek. Tak samo jest i z moją matką. Od kiedy przekro-  
czyła sześćdziesiątkę, ciągle stara się wyglądać na mniej. Przy-

puszczam, że wiele kobiet uważa to za swego rodzaju kamień milowy.

Wzruszyłam ramionami.

— Może. Ale z drugiej strony sześćdziesiąt to niewiele. Co więcej, ostatnio uważa się to za pełnię życia. Dziś rano, kiedy mama wspomniała, że przydałaby jej się niewielka korekta, usiłowałam ją przekonać, że wcale nie. Choć ona i tak zrobi po swojemu. Jak zwykle.

— Ciekawe, czy powiedziała o tym mojej matce? O tym, że wychodzi za mąż?

— Nie wiem. Ale na wszelki wypadek nie wspominaj o tym ani słowem, Sash. Jak ci mówiłam, to tajemnica. Mama nawet nie powiadomiła jeszcze o tym ojca ani nie rozmawiała z prawnikiem o rozwodzie. Decyzję podjęła dopiero kilka dni temu... Przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

— Nie pisnę ani słówka, Mał, obiecuję. I naprawdę bardzo się cieszę ze względu na ciocię Jess, cieszę się, że jest szczęśliwa.

— Ja też.

Umilkłam, przez chwilę wpatrywałam się w Sarę, a potem klapnęłam na ławkę naprzeciwko niej.

— Czy coś się stało? — spytała, lekko marszcząc brwi i przyglądając mi się bacznie tymi cudownymi ciemnymi oczami.

Potrząsnęłam głową.

— Nie. Dziś rano przeżyłam swego rodzaju... objawienie. Matka, jak to ona, cackała się z tą swoją sałatką i nagle przypomniało mi się inne wydarzenie z sałatką ziemniaczaną, sprzed wielu lat, też z czwartego lipca. Miałam wtedy pięć lat. Pogrzebałam je głęboko w podświadomości i o wszystkim zapomniałam. Wspomnienie, a właściwie jego fragment, wróciło nieoczekiwanie i zaczęłam się zastanawiać nad związkiem rodziców. I niespodzianie ogarnęło mnie współczucie dla mamy. Dotarło do mnie, że jako młoda kobieta musiała wiele wycierpieć.

Sara skinęła głową.

— Zapewne masz rację. Ona zawsze była samotna. Obie byłyście samotne. A przynajmniej tak ja to odczuwałam.

- Dziś rano ogarnęło mnie okropne, straszne uczucie, Sash...
- Jakie?
- Bólu w sercu. Nagle zrozumiałam, że byłam wobec matki nie w porządku, że niesprawiedliwie ją osądzałam. I to przez wiele lat.
- Co masz na myśli?
- Winiłam ją za ich problemy małżeńskie, ale teraz już nie jestem taka pewna, czy to była wyłącznie jej wina.
- Oczywiście, że nie. Zresztą, do tej zabawy potrzebne są dwie osoby, Mal. — Sara westchnęła. — Tak jak ja to sobie przypominam, to twojego ojca wiecznie nie było w kraju. Normalne było, że siedział na kupie piachu gdzieś na Środkowym Wschodzie, badając kawałki starych skorup, próbując ustalić, na ile są starożytne i z którego tysiąclecia pochodzą.
- Taki był charakter jego pracy, Saro. Musiał często wyjeżdżać — odparłam i nagle zdałam sobie sprawę, że przyjąłam defensywny ton.
- Ale nigdy, nigdy nie brał ze sobą twojej matki ani ciebie. Zawsze wyjeżdżał sam.
- Musiałam chodzić do szkoły.
- Nie, kiedy byłaś mała, przecież się nie uczyłaś, a kiedy podrosłaś, mogłaś uczęszczać do szkoły tam, gdzie twojego ojca akurat wywiało, albo mieć prywatnego nauczyciela.
- Uczęszczanie do lokalnych szkół nie byłoby zbyt praktycznym rozwiązaniem. Po pierwsze, nie znałabym języka. W końcu byłam dzieckiem, nie umiałam mówić po grecku, arabsku, portugalsku, w języku urdu czy jeszcze w innych narzeczach.
- Nie musisz być złośliwa, Mal. Zawsze znajdzie się rozwiązanie, nawet w najbardziej niezwykłych sytuacjach. I to nie jedno.
- Może rodziców nie było stać na prywatnego nauczyciela — bąknęłam.
- Sara milczała.
- Winisz mojego ojca? — spytałam.
- Hola. Ja nikogo ani niczego nie winię! — zawołała. — Skąd mam wiedzieć, co było między twoimi rodzicami? Nawet ty

właściwie nie wiesz. Chryste, przecież tego, co się działo między moimi, też nie rozumiałam. Dzieci nie rozumieją takich rzeczy. Ale zawsze to one cierpią. Najbardziej.

— Może twoja matka uważała, że będzie lepiej, rozsądniej, jeśli będziesz się wychowywać w Nowym Jorku — podjęła po chwili, gdy nie odpowiadałam — a nie w zapadłej dziurze, gdzie roi się od komarów, w środku jakiejś arabskiej pustyni.

— A może ojciec po prostu wolał nas zostawić i jechać sam. Z powodów osobistych, co?

Zmierzyłam ją baczным spojrzeniem.

— Chwileczkę, Mał, nic takiego nie powiedziałam, nawet nie dałam do zrozumienia!

— Nie oskarżam cię ani nie przypisuję ci słów, których nie mówiłaś. Ale to nie zmienia faktu, że mogło tak być. Pewnie jednak nigdy się nie dowiem, co się stało z ich małżeństwem, dlatego im nie wyszło.

— Spytaj matkę.

— Ależ, Saro, to niemożliwe.

— Jasne, że możliwe. Nadejdzie czas, że będziesz mogła ją spytać. Sama zobaczysz. I założę się, że nie połknie cię żywcem. Pewnie nawet będzie zadowolona, że spytałaś, ucieszy się, że może z tobą porozmawiać o ojcu i sobie. Ludzie chętnie pozbywają się takich ciężarów, a już szczególnie matki wobec córek.

Wątpiłam, żeby moja matka kiedykolwiek coś takiego poczuła, ale odpowiedziałam:

— Mam nadzieję, Sash. Aż nadto dobrze wiesz, ile jest między nią a mną różnic. Ale ona naprawdę mnie kocha i ja ją też, choć potrafi człowieka załamać. A dziś poczułam wobec niej coś jeszcze, coś nowego... falę prawdziwego współczucia i swego rodzaju... głębokiego żalu. Zdałam sobie sprawę, że życie z tatą nie było takie łatwe. I w tej samej chwili uświadomiłam sobie, jak niesprawiedliwie ją osądzałam.

— Może i byłaś względem niej niesprawiedliwa, ale teraz już tego nie zmienisz. Co się stało, to się nie odstanie. Cieszę się, że przeżyłaś to... to objawienie, jak je nazwałaś. — Sara odchrząknęła i patrząc mi prosto w oczy zakończyła: — Twojego ojca nigdy

nie było przy tobie, gdy najbardziej go potrzebowałam, Mal. Ona zaś zawsze.

Otworzyłam usta, chcąc zaprotestować, ale natychmiast szczelnie je zamknęłam. Uświadomiłam sobie, że Sara powiedziała szczerą prawdę. Ilekroć przechodziłam jakiś kryzys, ojciec zawsze był za granicą. To matka radziła sobie z moimi trudnościami okresu dojrzewania, dorastania i później.

Skinęłam głową.

— Masz rację — odezwałam się w końcu.

I w tej samej chwili z pewną konsternacją zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu okazałam brak lojalności wobec ojca i to nie tylko w myślach, ale i w słowach. Ale przecież najprawdopodobniej wina za rozpad ich małżeństwa w takim samym stopniu spadała na nich oboje.

Sara wstała, obeszła stół i uścisnęła mnie mocno, przytulając do siebie.

— Kocham cię — szepnęła.

— Ja ciebie też, moja najlepsza przyjaciółko — odparłam, ściskając jej dłoń, spoczywającą na moim ramieniu.

Wyprostowała się.

— Chyba pójde do domu się przebrać — powiedziała, śmiejąc się lekko. — Nie chcę, żeby twoi goście zdybali mnie w szlafroku.

Ja też się podniosłam.

— A ja muszę skończyć nakrywać stoły.

To mówiąc wzięłam serwetki w czerwono-białą kratkę i zaczęłam je składać na pół.

Sara była już ode mnie o kilka kroków, kiedy nagle się obróciła i powiedziała:

— To będzie dobry dzień, Mal. Ten czwarty lipca będzie najlepszym czwartym lipca w twoim życiu. Obiecuję.

Wierzyłam jej.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Widziałam je przez drzwi pokoju dziennego, jak bawiły się na tarasie. Moje cudowne dzieci.

Jakże wspaniale dziś wyglądały. Z tymi rozjaśnionymi przez słońce złotymi włosami, intensywnie niebieskimi oczami, tak podobnymi do oczu ich ojca, i zaokrąglonymi dziecięcymi policzkami, gładkimi i różowymi jak dojrzałe brzoskwinie, przypominały aniołki z obrazów Botticellego. Przysunęłam się bliżej, słuchając ich rozmowy. Były sobie takie bliskie, wręcz nierozłączne. Tak do siebie podobne, a zarazem tak bardzo różne.

— Tak, Jamie, to bardzo dobre — mówiła Lissa. — Dajmy każdemu po fladze. Na naszym domu wisi duża flaga, im też się należy.

— Nie wiem, kiedy zobaczą swoje — mruknął Jamie, rzucając szybkie spojrzenie na siostrę i wracając do poprzedniego zajęcia.

Mój sześćioletni syn wsadzał malutkie chorągiewki w murek, próbując jakoś je wcisnąć w szpary.

— Ta będzie dla Tabity i Henryczka. Ale nie wyjdą i nie zobaczą ich, bo za bardzo się boją, kiedy u nas są goście, a dziś mama zaprosiła całą masę ludzi na lunch. Przyjeżdżają też Vanessa i Luke.

— Ble! — wykrzywiła się Lissa. — Skąd wiesz?

— Babcia Jess mi powiedziała.

— Ble! — powtórzyła Lissa.

Przeszła nad bratem, serdecznie objęła go ramieniem i zapatrzyła się na chorągiewkę wetkniętą w murek.

— Nie martw się, Jamie, wiewiórki zobaczą flagę wieczorem.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście! Nocą wychodzą się bawić. Wszystkie. I czarny wąż, i króliczek — zapewniała Lissa, jak zwykle pewnym tonem. Nie znam chyba nikogo obdarzonego podobnym tupetem. — A teraz — ciągnęła — wsadźmy flagę tam, dla Algernona. I jeszcze jedną dla Angeliki.

Jamie skinął głową i popędził zatknąć chorągiewkę, jak mu powiedziała. Ale chorągiewka prawie natychmiast się przewróciła.

— Nie trzyma się — zawołał, obracając się ku siostrze, jak zwykle szukając u niej pomocy.

Lissa urodziła się pierwsza i posiadała bardziej wyrazisty charakter od brata. Jamie często popadał w zadumę, w wielu sprawach okazywał większą wrażliwość; chyba odziedziczył po mnie artystyczne zacięcie.

— Czy tacie zostało jeszcze trochę tego kleju, którego czasem używa? — spytała. — Mama mówi, że on skleja wszystko.

— Owszem — odezwałam się, otwierając drzwi i wychodząc na taras. — Ale nie chcę, żebyście dziś zabawiali się Szalonym Klejem. Potrafi płatać nieprzyjemne sztuczki i bardzo szybko wysycha; może przykleić się wam do skóry.

— Ale, mamusiu... — zaczęła Lissa.

— Nie dziś, maleńka — ucięłam. — Zresztą, wydaje mi się, że mam o wiele lepsze rozwiązanie twojego problemu, Jamie. Może byś wziął trochę plasteliny? Wsadzisz małą kulkę do szparki i wetkniesz w nią chorągiewkę. Założę się, że plastelina doskonale ją utrzyma.

— Och, to świetny pomysł, mamusiu! — wykrzyknął Jamie, uśmiechając się od ucha do ucha. — Przyniosę trochę.

— Wolniej, bo się przewrócisz! — zawołałam za nim, przyglądając się, jak pędzi ile sił w małych nóżkach. Trixy wytrwale deptała mu po piętach.

Popatrzyłam na Lissę i uśmiechnęłam się myśląc, jak rozkosznie wygląda w różowej koszulce bawełnianej i szortach do kompletu.

— A więc postanowiliście dać chorągiewki swoim małym przyjaciółom, którzy mieszkają w murku — rzekłam. — To miłe.

Skinęła głową, podnosząc ku mnie poważną buzię.

— Tak, mamusiu. Oni też powinni świętować czwartego lipca. W każdym amerykańskim domu powinna zawisnąć flaga, sama tak mówiłaś.

— Zgadza się. A skąd wzięliście chorągiewki?

— Tatuś kupił nam w tym sklepie obok warzywniaka. I kupił też kwiaty dla ciebie.

Urwała gwałtownie, otworzyła szerzej oczy, zasłoniła usta dłonią.

— Och, mammo, nie powinnam była ci tego mówić. To niespodzianka. Udawaj, że jesteś zaskoczona, kiedy tatuś da ci kwiaty.

Skinęłam głową.

— Już zapomniałam, co powiedziałaś.

Jamie wrócił z Trixy u nogi i zaczął lepić kulki z plasteliny i wtykać je w szpary. Lissa przyglądała mu się przez chwilę, wreszcie zwróciła się do mnie:

— Gorąco mi, mamusiu. Mogę zdjąć bluzkę?

— Raczej nie, kochanie. Nie powinnaś się wystawiać na słońce. Wiesz, jak łatwo się opalasz.

— Ale mi tak okroooopnie gorąco — narzekala.

— Co powiesz na kąpiel w basenie? — podsunęłam.

— O, tak. Cudo! Cudo!

Klasnęła w dłonie, uśmiechnęła się do mnie promiennie i zawołała do Jamiego:

— Chodź, lecimy po kostiumy, ryba!

— Ryba? — powtórzyłam. — Dlaczego akurat ryba?

— Bo tato mówi, że on pływa jak ryba, najlepiej ze wszystkich.

— To prawda, ale ty też całkiem niezłe sobie radzisz, myszko.

— Mamusiu, możemy wziąć Słelen do basenu, żeby sobie z nami popływała?

— Nie bądź niemądra, Lisso. Sue Ellen to tylko malutka złota rybka. Utonęłaby w basenie. I śmiertelnie by się przeraziła.

— Nie utonęłaby, mamusiu, słowo. To jest bardzo dzielna złota rybka. — Posłała Jamiemu znaczące spojrzenie i dodała: — Bardzo, bardzo, bardzo dzielna złota rybka.

— Ja nic nie zrobiłem twojej rybce — wymamrotał Jamie, nie patrząc na siostrę.

— Oczy wiście że nie, kochanie! — zawołałam, potem zwróciłam się do Lissy: — Naprawdę nie możesz wziąć jej ze sobą do basenu, nawet jeśli to nadzwyczaj dzielna złota rybka. Musisz wiedzieć, że chlor mógłby ją zatruć, a tego byś chyba nie chciała?

Moja córeczka pokręciła głową; jej niebieskie oczy robiły się coraz większe i bardziej okrągłe.

— Sue Ellen czuje się najlepiej tam, gdzie jest: w swojej czarze w twoim pokoju — wyjaśniałam dalej.

— Jak ci się podobają nasze flagi, mamó? — Jamie cofnął się o krok i z przechyloną głową podziwiał swe dzieło.

— Są wspaniałe! Świetnie to zrobiłeś! — pochwaliłam entuzjastycznie.

— Dzień dobry, pani Keswick — odezwała się Jenny, wyłaniając się zza rogu domu.

— Tu jesteś, Jenny — odparłam, odpowiadając uśmiechem na jej uśmiech.

Będę tęskniła za naszą ładną, młodą opiekunką do dzieci, kiedy wróci w listopadzie do Anglii. Muszę poprosić Dianę, żeby rozejrzała się za jakąś następczynią; to nie będzie łatwe. Jennifer Grange była wyjątkowa, niepowtarzalna i wszyscy bardzo się do niej przywiązaliśmy.

— Mogę jakoś pomóc przy lunchu? — spytała Jenny, podchodząc do Jamiego. Kiedy zobaczyła chorągiewki, na jej twarzy pojawił się wyraz aprobaty i serdecznie uściśnęła chłopca.

— Nic tam już dla ciebie nie zostało do roboty, Jen. Dopilnuj tylko maluchów, żeby niczego nie zbroiły. I możesz...

— Mamusia powiedziała, że możemy popływać — wpadła mi w słowo Lissa.

— Ale chcę, żebyś ty też znalazła się w tym basenie, Jenny — dodałam.

— Oczywiście, pani Keswick. Nigdy nie wpuściłabym ich do wody samych. Pójdę tylko do domu po ich kostiumy.

— Nie będziemy musieli siedzieć przy dzieciennym stole, prawda? — zwróciła się do mnie Lissa.

— Ależ oczywiście, że będziecie siedzieli.

Popatrzyłam na nią, zastanawiając się, o co tym razem chodzi.

— Nie chcemy, mamusiu — poinformował mnie Jamie.

— A czemuż to?

— Chcemy siedzieć z tobą i tatusiem — wyjaśnił.

— Och, Jamie, nie będzie miejsca. A poza tym powinniście zajmować się innymi dziećmi. To wasi goście.

— Vanessa i Luke. Ble! Ble!

Wykrzywił się, mocno zacisnął powieki i jeszcze raz się skrzywił.

— Nie lubisz ich?

Zaskoczyła mnie ta nagła antypatia do dzieci z sąsiedztwa, z którymi jeszcze niedawno często i bardzo dobrze się bawiły.

— Vanessa dziwnie pachnie — bąknął Jamie, otwierając oczy. — Jak futro prababci.

— Naftaliną — powiedziałam. — Pachnie naftaliną? — Spojrzałam na niego unosząc brwi. — Doprawdy dziwne. Jesteś pewny, Jamie?

Przytaknął gorąco.

— Aha. — Uśmiechnął się szeroko. — A może trzymają ją w naftalinie, tak samo jak prababcia Adelia trzyma swoje futro. W tej jej dziwacznej szafie. Ha, ha, ha.

Zaśmiał się radośnie, tak jak to potrafią tylko mali chłopcy.

Ja też nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Lissa zachichotała.

— Stara naftalina — śpiewała na cały głos. — Stara naftalina. Vanessa pachnie starą naftaliną!

— Ciiii... Nie bądź niegrzeczna — upomniałam ją. Ale nadal sama się śmiałam do rozpuku. — A skąd ta nagła niechęć do Lukea? — spytałam, zerkając na Jamiego.

— Chce się rządzić, a to my rządźmy.  
Rzuciłam synowi pytające spojrzenie.

— Lissa i ja, my rządźmy — stwierdził Jamie.

— Rozumiem. Mimo to jednak sądzę, że będziecie musieli z nimi usiąść dzisiaj w czasie lunchu, dzieci. Prawdę mówiąc, nie macie szczególnego wyboru. No, zróbcie to dla mnie, proszę.

— A czy babcie mogą z nami siedzieć? — zapytała Lissa.

— Poproszę, mamusiu.

— Nie wiem... Hmm, może. Och, a czemuż by nie? Dobra, zgoda.

— Cudo! Lubimy je — zawołał Jamie.

— Miło mi to słyszeć — mruknęłam, zastanawiając się, jak bym sobie poradziła, gdyby nienawidziły swoich babek.

— Kochamy je — poprawił się Jamie.

— Dają nam masę prezentów — zwierzyła mi się Lissa.

— I pieniędzy — dodał Jamie. — Całą furę.

— Nie powinny tego robić! — wykrzyknęłam, kręcąc głową i zasłaniając twarz, by ukryć uśmiech.

Nie ma nic równie zdumiewającego jak szczerłość dziecka. Jamie szarpał mnie za rękę.

— Tak, kochanie, o co chodzi?

— Czyja byłaś, zanim tatuś cię złapał?

— Chyba babci. Babci Jess. A czemu pytasz?

— To znaczy, że my jesteśmy twoi i taty, tak? — upewniała się Lissa.

— Jeszcze jak!

Przykucnęłam, chwyciłam moje dzieci w ramiona i mocno do siebie przytuliłam. Pachniały taką słodyczą, młodością, świeżością. I tak bardzo oboje kochałam. Moje aniołki Botticellego.

To Jamie pierwszy nieco się odsunął i bacznie popatrzył mi w oczy, pulchną, ciepłą rączką dotykając mej twarzy.

— Mamo, a czy nowe dziecko będzie nas wszystkich, czy tylko twoje i taty?

— Jakie dziecko?

— To, które próbujecie z tatą zrobić. — Zmarszczył delikatne jasne brewki. — A właściwie, to z czego je robicie, mamusiu?

Tak mnie zaskoczył, że na chwilę odebrało mi mowę. Nim zdążyłam wymyślić jakąś odpowiedź, Lissa oświadczyła z przekonaniem:

— Z miłości.

Uśmiechnęła się do mnie, najwyraźniej ogromnie z siebie dumna. Skinęła główką z miną młodej staruszki, skarbnicy mądrości.

— Co to znaczy, Lissa? — spytał jej brat, nie dając mi dojść do głosu.

— Rzeczywiście, chcemy mieć następne dziecko — wtrąciłam się szybko. — Kiedy tato wam o tym powiedział?

— Kiedy dawał nam śniadanie — odparł Jamie. — Złościł się na nas, że tyle hałasujemy. Powiedział, że niedługo będziemy musieli sami sobie radzić i że powinniśmy szybciotko zacząć dorastać. Mówił, że będziemy musieli zajmować się nowym dzieckiem, kiedy się urodzi, być odpowiedzialni i się o nie troszczyć. No, czyje ono będzie, mamó?

— Nasze wspólne. Oczywiście, o ile nam się uda je mieć.

— To znaczy, że może wam się nie udać go zrobić? — dopytywała się Lissa.

— Tak się obawiam — przyznałam.

— To go nie róbcie. Mnie się podoba tak jak jest teraz: tylko my i Trixy! — zawołała.

— A jeśli je zrobicie i nam się nie spodoba, czy będziemy mogli je oddać? — chciał wiedzieć Jamie.

— Wykluczone — ucięłam.

— Ale kiedy Miss Petigrew się okociła, Anna rozdała jej kocięta — przypomniał mi.

— To nie to samo, kochanie. Dziecko to dziecko, a kotek to kotek, Jamie.

— A czy możemy dać mu na imię Rover, mamó?

— Raczej nie, Jamie.

— To psie imię, głuptasie! — krzyknęła Lissa.

— Ale moje ulubione — odpalił Jamie.

— To imię dla psiego chłopczyka. Ludzkiej dziewczynki nie można tak nazwać — oznajmiła Lissa tonem wyższości.

— Jeśli urodzi się dziewczynka, nazwiemy ją Roverka albo Rovertyna.

— Jesteś głupi, Jamie! — zapiszczała jego siostra, mierząc go pogardliwym spojrzeniem. — Ale z ciebie głupi chłopiec!

— Nie jestem głupi! To ty jesteś głupia!

— Spokój już, jedno i drugie — wkroczyłam.

— Mamo. — Jamie utkwił we mnie spojrzenie swych intensywnie niebieskich oczu. — Proszę, powiedz, jak się robi dziecko z miłości?

Zawahałam się przez chwilę, myśląc, jak by tu im sprawę wyjaśnić, nie uciekając się do kłamstw. Ale Lissa pochyliła się w stronę Jamiego i znowu mnie uprzedziła.

— Seks. Tym się robi dziecko.

— Kto ci to powiedział? — wykrzyknęłam zdumiona.

— Mary Jane Atkinson, moja koleżanka z ławki. Jej mama uprawiała seks i teraz ma dziecko.

— Rozumiem. I co jeszcze Mary Jane ci powiedziała?

— Nic, mamo.

— Mhm.

Na szczęście w tej chwili wróciła Jenny i rozmowa o dzieciach odeszła w zapomnienie. Jenny przebrała się już w kostium, w rękach trzymała kostiumy dzieci.

— No, wkładajcie — odezwała się, podając Jamiemu kąpielówki, a Lissie miniaturowe różowo-żółte bikini, które Diana przywiozła jej z Paryża.

— Dopilnuj, żeby założyli dmuchane skrzydełka na ramiona, nie wolno im bez nich wchodzić do basenu. I bez ciebie też — ostrzegłam.

— Niech się pani nie niepokoi, pani Keswick. Odwróciła się do Lissy, pomagając jej zawiązać górę od bikini, potem zaprowadziła dzieci do basenu na jego płytszy koniec. Podniosła dmuchane skrzydełka i założyła jedną parę Lissie, drugą Jamiemu. Nie minęła chwila, a cała trójka bawiła się w basenie, błaznując, chlapiąc i śmiejąc się radośnie.

Przez parę minut z prawdziwą przyjemnością obserwowałam ich szaleństwo, zadowolona, że tak świetnie się bawią. Już miałam



wrócić do kuchni sprawdzić, co tam się dzieje, kiedy obok mnie pojawił się Robert. Pocałował mnie w policzek i wręczył olbrzymi bukiet czerwonych i białych goździków.

— Przykro mi, ale nie mieli niebieskich, żeby uzupełnić barwy narodowe — powiedział cicho i znowu mnie pocałował.

— Tylko od czasu do czasu specjalnie je barwią. Na dzień świętego Patryka barwią je na zielono. I tak ci dziękuję, kochanie. — Posłałam mu przenikliwe spojrzenie. — Bliźnięta uważają, że próbujemy zrobić następne dziecko, Robercie.

— No, bo próbujemy.

— Zzera je ciekawość. Czemu, u licha, im powiedziałaś?

Roześmiał się.

— Nie chciałem, tak wyszło. Naprawdę. Wyrwało mi się. Dziś rano zachowywały się okropnie, Lissa odstawiła pannę przemądrzałą. Chciałem je przywołać do porządku, więc wygłosiłem kazanie o bardziej dorosłym zachowaniu. I wtedy wspomniałem o następnym dziecku. Odebrało im mowę, więc osiągnąłem zamierzony efekt. Na krótko. — Znowu parsknął śmiechem. — Powiadam ci, babcie były uszczęśliwione. Po prostu w siódmym niebie.

— Coś ty powiedział? — odezwała się Diana, wychodząc na taras z dziennego pokoju.

— O, cześć, mamó — przywitał ją Robert. Potem znowu się roześmiał i przyciągnął ją do siebie. — Babcie. Nazwałem ciebie i Jessikę babciami, mamó. Ale muszę przyznać, że jesteście najszykowniejszymi babciami, jakie świat widział. Najpiękniejszymi. I z jakimi nogami!

— Prawdziwy pochlebca z tego twojego męża — oświadczyła jego matka, mrugając do mnie porozumiewawczo.

— Mówi szczerą prawdę, Diano — odparłam, kierując się do drzwi dziennego pokoju. — Muszę przebrać się na lunch. Nie pogniewacie się, prawda?

— Idź, idź, Mal, a ja tu posiedzę i popatrzę, jak moje wnuki chlapią się w wodzie.

Siadła na białym leżaku, natychmiast skupiając całą uwagę na basenie.

— Pójdę z tobą — zwrócił się do mnie Robert.

Wziął mnie pod rękę i razem weszliśmy do domu. Trixy jak maszyna ruszyła za nami.

— A może chciałabyś znowu spróbować? Teraz? Czy nie masz czasu? — szepnął mi do ucha, kiedy szliśmy przez pokój.

— Och, ty! Jesteś nieznośny! Zawsze taki sam, niepoprawny!

Ale mimo tej przygany uśmiechnęłam się do niego. Robert schylił się i pocałował mnie w czubek nosa.

— Naprawdę cię kocham, kiciu — powiedział cicho, nagle poważniejąc. Potem w jego oczach błysnął figlarny ogień. — Słuchaj, jestem gotów próbować o każdej porze, wszędzie. Wystarczy, że powiesz słówko.

Roześmiałam się.

— Dziś wieczorem?

— Masz to u mnie — zapewnił.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Connecticut, październik 1988*

Ptaki powróciły.

Ogromne stado wylądowało na trawniku niedaleko basenu, dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj. Tkwiły tam teraz nieruchome, milczące; czarne plamy na tle trawy zasłanej złocistymi i czerwonymi liśćmi.

Widziałam je z okna mej pracowni. Wyglądały na drapieźniki. Na tę myśl przeszył mnie mimowolny dreszcz, na szyi i twarzy poczułam gęsią skórkę.

Odłożyłam pędzel, obeszłam sztalugi i otworzyłam szeroko drzwi. Stojąc w progu, przyglądałam się ptakom. Ciekawa byłam, dlaczego tam tak tkwiły. Parę ładnych godzin temu, kiedy byłam w sypialni, widziałam, jak lądowały; najbardziej zdumiewało mnie to, że stoją zupełnie nieruchomo, bez najmniejszego odgłosu, nawet nie poruszywszy piórkami. Kątem oka dostrzegłam błysk, mignięcie barwnej plamy i obróciłam się gwałtownie, żeby spojrzeć na dom.

Po stopniach tarasu wchodziła Sara z tacą. Przed chłodem chronił ją obszerny szary sweter, szare wełniane spodnie i czarne zamszowe kozaki. Wokół szyi miała zarzucony niedbale długi szkarłatny szal i to właśnie on zwrócił przed chwilą moją uwagę.

— Czemu tak bacznie się przyglądałaś przed chwilą? — spytała, podchodząc bliżej.

— Tamtym czarnym ptakom — odparłam, ręką pokazując stado. — Ciągle tu przylatują.

Sara zatrzymała się w pół kroku i zerknęła przez ramię.

— Wyglądają tak dziwnie... — powiedziała. — Tak... zło-  
wóżbnie.

— Doskonale cię rozumiem — zgodziłam się i otworzyłam  
szerzej drzwi, wpuszczając ją do pracowni.

— Pomyślałam, że może miałabyś ochotę na filiżankę kawy  
— powiedziała. — Nie pogniewasz się, jeśli się przyłączę?  
A może przeszkadzam ci w pracy?

— Nie, wcale. I z rozkoszą się napiję.

Odwrociłam się od tego dziwnego stada, zamknęłam drzwi  
i poszłam za Sarą. Przesunęłam pudełko z akwarelami i słoiczek  
z wodą na stoliku przed starą sofą, żeby zrobić miejsce na tacę.

Sara usiadła i nalała kawy. Kiedy podniosła wzrok i wyjrzała  
przez okno, krzyknęła:

— Chryste, co te ptaszyska robią na waszym trawniku? Ile ich  
jest, Mall!

— Wiem. To naprawdę niesamowite, prawda? Stoją tak nie-  
ruchomo. Co prawda, ostatnio mnóstwo ptactwa tu się przewija.  
Pobliskie bagna to ich prawdziwe sanktuarium, całymi stadami  
przylatują kanadyjskie gęsi i dzikie kaczki. Czasem odwiedza nas  
siwa czapla. Robert wypatrzył nawet kilka razy jastrzębia. A przy-  
najmniej tak mu się wydaje, że to jastrzęb.

— Czy to kosa?

— Wrony — odparłam. — A może gawrony? Jak sądzisz?

— A bo ja wiem? Nie znam się na ptakach. Dla mnie wszyst-  
ko to jedno licho.

Roześmiałam się, łyknęłam kawy i ugryzłam kawałek maka-  
ronika.

Sara poszła w moje ślady, potem spojrzała na mnie znad fili-  
żanki.

— Czy już się zdecydowałaś? — spytała. — Jedziesz na week-  
end do Roberta do Londynu?

— Chyba tak. Chciałabym pojechać, Saro, zwłaszcza że bę-  
dzie tam uziemiony jeszcze przez dwa tygodnie. Oczywiście,  
o ile nie masz nic przeciwko, żeby przenieść się tu z Jennifer  
i bliźniętami. Albo jeśli wolisz, możecie na kilka dni przenieść się  
do mieszkania w mieście.

— Wiesz, że przepadam bawić się w mamusię, a poza tym uwielbiam Jamiego i Lissę; z rozkoszą tu zostanę. Te spokojne weekendy z dala od ogłupiających tłumów ludzi to prawdziwe błogosławieństwo. Tutaj ładuję baterie. A Bóg jeden wie jak bardzo ostatnio tego potrzebuję. Tyle mam napięć w pracy. Tak więc szykuj się. Zostanę na straży i to z prawdziwą ochotą. Zresztą, mnie... — Urwała i spojrzała za okno wychodzące na trawnik.

Poszłam za jej wzrokiem, zerwałam się i dopadłam drzwi. Otworzyłam je szeroko i wyszłam na dwór. Nieruchome dotąd ptaki nagle ożyły i z łopotem skrzydeł poderwały się do lotu. To były duże ptaki. Pięły się coraz wyżej, kołując pod ołowianymi chmurami.

— To nie wrony ani gawrony — powiedziałam. — Są od nich o wiele większe. Te ptaki to kruki.

— Cienie Edgara Allana Poe — odezwała się cicho Sara tuż za moimi plecami.

Przestraszyła mnie. Nie zdawałam sobie sprawy, że podeszła za mną do drzwi. Obróciłam się gwałtownie i stanęłam twarzą do niej.

— Przeraziłaś mnie! Omal nie dostałam zawału! — zawołałam. — Jakie znowu cienie Edgara Allana Poe?

— Kruki są bardzo w jego stylu. Przewijają się przez całą jego twórczość. Uważa sieje za zły omen, zwiastunów śmierci.

Przeszył mnie lodowaty dreszcz. Wzdrygnęłam się.

— Nie mów takich rzeczy, Sash. Boję się.

— Nie bądź niemądra — roześmiała się. — Żartuję sobie.

— Wiesz doskonale, że nie znoszę wszystkiego, co makabryczne, upiorne albo ma jakiś związek z okultyz...

Urwała w pół słowa. Sara wpatrywała się we mnie, w jej oczach dostrzegłam niepokój.

— Co się stało? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Tak... dziwnie?

— Strasznie zbladłaś, Mal. Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam, zapomniałam, że jesteś na tym tle przeczulona.

— Za to ty nie — odparowałam, próbując się wziąć w garść, zmusić do śmiechu. Ale nadal było mi zimno i choć to zupełnie irracjonalne, czułam lęk.

— Święta racja — zgodziła się Sara. — Dla mnie im coś okropniejsze i bardziej upiorne, tym lepiej, niezależnie czy to książka, czy film. — Znowu się roześmiała. — Poe był moim ulubionym poetą, póki nie poznałam Stephena Kinga i Anne Rice.

— Obawiam się, że mamy odmienne gusta — stwierdziłam. Zamknęłam za sobą drzwi i podeszłam do sofy.

Sara przechadzała się wzdłuż długiego stołu pod oknem w głębi pracowni, przystając, żeby obejrzyć rozłożone na nim akwarele.

— Są wspaniałe, Mally! — zawołała. W jej głosie brzmiało zaskoczenie. Potem rozbawienie. — Och, cudowne są te obrazki zwierzątek. Jest Algernon, czarny wąż, z łebkiem w słoiku z wiśniami w czekoladzie. A to jakie rozkoszne! Angelika wyrusza na wielką paradę w Piątej Alei. Wiewiórki szykują kołyskę dla dziecka, które zaadoptują.

Odwróciła się do mnie. Twarz rozjaśniał jej uśmiech.

— Mal, jesteś świetna, prawdziwy geniusz. Cudowne są i te obrazki, pełne wdzięku i humoru. Minęłaś się z powołaniem. Powinnaś robić ilustracje do książeczek dla dzieci.

— Miło to słyszeć, ale nawet jeśli nie zajmuję się Robertem i bliźniętami, mam ręce pełne roboty — powiedziałam. — Cieszę się, że ci się podobają. Świetnie się bawiłam, pracując nad tymi książeczkami, a Robert pomagał mi przy opowiadaniach.

— Dzieci będą uszczęśliwione, kiedy dostaną te książeczki pod choinkę.

— Mam nadzieję.

— Powinnaś zanieść to do jakiegoś wydawcy, Mal.

Potrząsnęłam głową.

— Nie jestem pewna, czy by się nadawały.

— Nadawałyby się, wierz mi.

— Pisałam je i malowałam dla Jamiego i Lissy. Tylko dla nich. I niech tak pozostanie.

Kiedy Sara wyszła z pracowni, sięgnęłam po pędzel i wróciłam do olejnego portretu, nad którym pracowałam. Przedstawiał Dianę i miał być świątecznym prezentem dla Roberta.

Pierwsze szkice zrobiłam w lipcu w czasie jej wizyty, oprócz nich pstryknęłam jej kilka zdjęć w tej samej pozie. Pracowałam nad tym obrazem od dwóch miesięcy, był już prawie skończony. Dobrą godzinę męczyłam się nad włosami Diany, starając się oddać ich rudawy blask i kiedy uznałam, że mi się udało, odłożyłam pędzel. Teraz musiałam zostawić obraz na kilka godzin, żeby później móc spojrzeć nań z nowej perspektywy. Poza tym zbliżała się pora lunchu, a chciałam go zjeść z dziećmi, Jenny i Sarą.

Wzięłam do ręki ściereczkę, zamoczyłam ją w terpentynie i oczyściłam pędzle, z których dziś korzystałam. Uporawszy się z tym, zgasiałam światło, włożyłam gruby sweter i ruszyłam do drzwi. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę.

— Halo?

— To ja, kochanie — odezwał się Robert.

— Cześć, najmilszy, co u ciebie? Jak tam Londyn? — spytałam ucieszona, że słyszę jego głos.

— Wszystko w porządku, Mal, ale tęsknię za tobą i dziećmi jak cholera.

— Nam też ciebie brak.

— Przyjedziesz w przyszłym tygodniu, prawda? — W jego głosie brzmiał niepokój.

— Nic mnie nie powstrzyma! Sara zgodziła się przywieźć tu dzieci i Jenny, razem będą się świetnie bawili.

— I my też, kiciu, obiecuję — odparł mój mąż.

## *Kilgram Chase*

### ROZDZIAŁ JEDENASTY

*Londyn, listopad 1988*

W czwartek o wpół do dziesiątej wyruszyłam concordem do Londynu-

To Robert nalegał, bym poleciała samolotem ponadźwiękowym, Którym lot trwa krótko, zaledwie trzy i pół godziny. Argumentowałam że skoro wyrwę się tylko na weekend, liczy się każda godzina- Moje wątpliwości rozwiął zapewnieniem, że za ogromnie drogą bilet zapłaci firma.

Szybko przekonałam się, że to świetny sposób podróżowania. Ledwo zdążyłam coś zjeść, odprężyć się i chwilę poczytać Collette, a już lądowaliśmy na Heathrow. Kolejną pozytywną stroną podróży concordem jest to, że bagaże tak prędko trafiają z samolotu na karuzelę. Nim się obejrzałam, a już bagażowy wrzucał walizki na wózek i mknął przez odprawę celną. Kiedy weszliśmy do hali głównej, ciągle jeszcze byłam pod wrażeniem tempa i sprawności, z jaką to wszystko przebiegło.

Rozglądałam się za Robertem i dostrzegłam go pierwsza. Stał tuż za barierką, przystojny, porywający, z prochowcem przerzuconym nonszalancko przez ramię. Miał na sobie szary garnitur w jodełkę, jasnobłękitną koszulę i gładki, szary krawat jedwabny. Jak zwykle prezentował się nienagannie; nie tylko jego ubranie, ale i o czubka starannie ostrzyżonej głowy po noski wypolerowanych brązowych pantofli.

Ni» jego widok przeszył mnie dreszcz, podniecenia. Zawsze tak był kiedy jakiś czas się nie widzieliśmy. To jedyny męż-



czynna, jakiego kochałam, jedyny, jakiego pragnę i będę pragnęła.

Nagle i on mnie zauważył. Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Pomachałam mu, też się uśmiechnęłam i pospieszyłam ku niemu, podczas gdy on biegł do mnie. W ułamku sekundy znalazłam się w jego ramionach, obejmowana, całowana. Wreszcie odsunęliśmy się od siebie.

— Bagaże mam na wózku — powiedziałam oglądając się przez ramię.

Robert zerknął na bagażowego i skinął głową.

— Dobry wieczór, szanpanu — odezwał się portier. — Zapewne czeka na pana samochód?

— Tak, na parkingu przed halą.

— To jazda!

Bagażowy ruszył przed nami, popychając turkoczący wózek. Szliśmy za nim. Robert spojrzął na mnie, unosząc brwi.

— Zostajesz do końca, tak?

— Jakiego końca?

— Mojego pobytu. Ubrań z pewnością ci nie zabraknie.

Roześmiałam się.

— Załedwie dwie walizki i kosmetyczka.

— Za to bardzo duże — mruknął Robert z lekkim uśmiechem.

Posłałam mężowi zalotne spojrzenie.

— Zostanę, jeśli zechcesz — dodałam.

— Naprawdę, kochanie?

Twą twarz mu się rozjaśniła.

Natychmiast pożałowałam swej kokieterii. Przybrałam poważniejszy ton:

— Bardzo bym chciała zostać na dłużej, Robercie, ale wiesz, że nie mogę. Muszę wrócić w poniedziałek.

— Dlaczego?

— Nie mogę zostawić dzieci na dłużej niż weekend.

— Ależ oczywiście, że możesz, kochanie. Nic im się nie stanie. Są pod opieką Jenny, twojej mamy i jeszcze Sary.

— Sara pracuje.

— Ale twoja matka nie. A Jenny jest bardzo odpowiedzialna. Przy niej nic im się nie stanie.

— Ustaliliśmy przecież, że przyjadę tylko na weekend — przypomniałam i patrząc mu prosto w oczy dodałam: — Nie powinnam była cię kusić ani prowokować mówiąc, że zostanę na dłużej. Naprawdę, to wykluczone. Źle bym się czuła, Robertcie.

Spochmurniał, ale nic nie powiedział. Szliśmy dalej w milczeniu. Podjęłam błyskawiczną decyzję i obróciłam się ku niemu.

— Słuchaj, kochanie, zostanę do wtorku. Chyba świat się nie zawali. Zgoda? Może tak być?

— Mal, to cudownie! — zawołał. — Po prostu cudownie!

Zdecydowanym ruchem wziął mnie pod ramię i przyspieszył kroku. Minęliśmy szklane drzwi hali przylotów i przeszliśmy przez jezdnię, kierując się na parking, gdzie bagażowy już czekał z moimi walizkami na wózku.

Wzdrygnęłam się. Był chłodny, wilgotny listopadowy wieczór, typowa angielska zima.

Podjechał do nas ciemnozielony rolls-royce. Ze środka wyskoczył szofer w liberii, uklonił mi się, przywitał grzecznie i zanim zdążyłam coś powiedzieć, poszedł do bagażowego, żeby mu pomóc w załadowaniu walizek.

Ledwie wsiedliśmy do samochodu, Robert wziął mnie w ramiona i pocałował — długo i mocno.

— Dobrze mieć cię przy sobie, Mal — powiedział wreszcie, odsuwając się trochę.

— Wiem. Ja czuję to samo. Cudownie jest być tutaj z tobą.

Szofer usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk. Zostawiliśmy za sobą budynek lotniska, kierując się na główną trasę wiodącą do miasta. Samochód mknął szybko, a ja przypatrywałam się swojemu mężowi. Po bliższej obserwacji zauważyłam, że wygląda na bardziej zmęczonego, niż początkowo sądziłam. Miał ciemne smugi pod oczami, a w rysach twarzy czaiło się zmęczenie. Wydał mi się ogromnie wycieńczony.

— Dali ci w kość o wiele bardziej, niż się przyznawałeś przez telefon, prawda? — spytałam marszcząc brwi.

Robert przytaknął, ścisnął mnie za rękę i ruchem głowy wskazał szofera, najwyraźniej nie chcąc rozmawiać w jego obecności.

— Powiem ci później — mruknął cicho.

— Zgoda.

Otworzyłam torebkę i wyjęłam stamtąd dwie koperty z nabazgranymi krzywo dziecięcymi literami: Tata.

— Lissa i Jamie napisali do ciebie listy — powiedziałam, podając je Robertowi.

Z zadowoloną miną nałożył okulary w kościanych oprawkach, otworzył koperty i zaczął czytać.

Oparłam się wygodniej i wyjrzałam przez okno. Dochodziło wpół do siódmej i zapadał mrok, tak że niewiele dawało się zobaczyć. Droga była śliska od deszczu, panował duży ruch, ale rolls-royce sunął równo, szybko i wiedziałam, że mimo ulewy, która siekła w okna, dotrzemy do hotelu „Claridge” za godzinę lub niewiele później.

Kiedy już zadzwoniłam do Jenny, rozpakowałam się, wzięłam prysznic, na nowo umalowałam i przebrałam w świeże ubranie, Robert zabrał mnie na kolację do restauracji hotelu „Connaught”.

— Dawnych wspomnień czar, najdroższa Mał — powiedział, gdy szliśmy do „Connaught”, mieszczącego się przy Carlos Place.

Nadal było chłodno i mokro, ale lodowata ulewa ustała i cieszyłam się, że po parogodzinnym pobycie w samolocie mogę odechnąć świeżym powietrzem. Poza tym w ogóle lubiłam spacerować po Londynie, a zwłaszcza późnym wieczorem po Mayfair.

Coś czarującego i pięknego kryło się w tej rozkosznej, starej dzielnicy Londynu. Większość budynków to nadal jeszcze prywatne mieszkania, ale część eleganckich rezydencji przerobiono na biura; tak czy owak te okolice darzyłam wyjątkowym sentymentem, wiązały się z nimi bowiem wspomnienia z okresu mego narzeczeństwa.

Kiedy już usiedliśmy przy stoliku, Robert zamówił kieliszek białego wina dla mnie i szklaneczkę wytrawnego martini dla siebie. Czekając, aż drinki się zmaterializują, zaczął mówić o lon-

dyńskim oddziale „Blau, Ames, Braddock and Suskind” i to bez żadnego podpytywania z mojej strony.

— Przepuszczam, że lada chwila powinienem się uporać z tymi problemami — wyjaśnił, opierając się o stół i patrząc mi prosto w oczy. — Jak ci wspominałem przez telefon, bajzel jest tu nieziemski. Oddział już od paru lat był źle kierowany. Zięć Braddocka to wyjątkowy matoł, tak że urobimy się z Jackiem Underwoodem po łokcie, żeby jakoś utrzymać firmę na powierzchni.

Nie wierzyłam własnym uszom.

— To znaczy, że może się okazać, że będziesz musiał zamknąć londyński oddział? — zawołałam zdumiona.

Pokiwał głową.

— Na to wygląda. Malcolm Stainley to największy głupek, jakiego w życiu widziałem. Nie mam pojęcia, co odbiło staremu. Powierzenie temu typkowi tutejszego oddziału to więcej niż głupota. To zbrodnia. A sytuacja w Londynie ma wpływ na inne oddziały europejskie, jako że większość naszych interesów z Francuzami, Niemcami, całym kontynentem jest finalizowana tutaj.

— Oczywiście, to wszystko skutki nepotyzmu — stwierdziłam. — Tylko dlatego Malcolm znalazł się tu, gdzie się znalazł. Ale co on właściwie narobił?

— Kupę bałaganu, to pewne — warknął Robert i zapadł w milczenie, gdyż przyszedł kelner z drinkami.

— Problem z Malcolmem Stainleyem leży w tym — podjęła Robert, kiedy stuknęliśmy się kieliszkami — że facet kompletnie nie zna się na ludziach. Po pierwsze, nie umie utrzymać pracowników, a to dlatego, moim zdaniem, że podszczuwa jednych przeciwko drugim. O morale już nie wspomnę, wszyscy serdecznie go nie znoszą. Poza tym lubi kutwić, tak że ciągle szuka sposobów zaoszczędzenia pieniędzy — tyle że w najgorszy sposób. Na przykład zamiast zatrudnić najlepszych, najinteligentniejszych pracowników, on szuka średniaków. W konsekwencji tracimy mnóstwo punktów w kontaktach z potencjalnymi klientami, bo kiepsko się przedstawiamy. — Pokręcił głową. — Malcolm podejmował wyjątkowo nietrafne decyzje na wielu poziomach.

— Ale jakie jest z tego wyjście? W końcu Malcolm jest mężem córki Braddocka, a ona bardzo lubi mieszkać w Londynie. Więc nie ma co liczyć, że Joe przeniesie jej męża gdzieś indziej albo go wyrzuci. Przynajmniej tak ja to widzę.

Robert z zamyśloną miną sęczył przez chwilę martini.

— Nie, nie sądzę, żeby Joe zamierzał zrobić coś w sprawie Malcolma — odezwał się wreszcie — więc ja i Jack będziemy musieli rozbroić tę bombę i jakoś ją unieszkodliwić.

— A jak to chcecie osiągnąć? — spytałam unosząc brwi.

— Wyznaczyć kogoś innego do prowadzenia londyńskiego oddziału i wyprowadzić go na prostą.

— Ale Joe może się na to nie zgodzić. A już na pewno Malcolm.

Robert posłał mi lekki uśmiezek.

— Nie, na pewne rzeczy Joe się zgodzi, Mal. Jack, Harvey Colton i ja od paru miesięcy coraz wyraźniej i ostrzej stawiamy sprawę jego emerytury, więc zgodzi się na wszystko, co zaproponujemy, byle tylko zostać w agencji. Nienawidzi samego pomysłu przejścia na emeryturę. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

Skinęłam głową, ale nic nie powiedziałam. Moim zdaniem Joe Braddock od dawna stał na progu dzieciennienia starczego i wieki temu powinno się było wysłać go na zieloną trawkę.

— Oczywiście masz rację — podjął Robert — że staremu nie spodobałoby się, gdyby jego zięcia przeniesiono albo zaproponowano mu niższe stanowisko. A tym bardziej nie spodobałoby się samemu Malcolmowi Wielkiemu. Gdybyśmy chcieli go wywalić, bez dwóch zdań wydałby nam walkę na całego. Więc tego nie zrobimy. Zamiast wyrzucić, my go podrzucimy: awansujemy, zrobimy z niego bardzo ważnego prezesa prezesów. I w ten sposób zwiążemy mu ręce. A jeśli będzie trzeba, zakujemy w kajdany. — Uśmiechnął się konspiracyjnie. — W ten sposób zrobi się miejsce dla nowego, otwartego gościa, który wyciągnie oddział z bagna. A także doprowadzi do bezpieczeństwa finansowego. Jack i Harvey chcieli, żebym to był ja. Ale powiedziałem: Nie, dziękuję uprzejmie. Nie chciałem nas wyrwać, ledwo zapuściliśmy korzenie, Mal, zabierać dzieciaki z domu i na parę lat przeno-

sie się do Londynu. Bo do tego to by się sprowadzało. Przeprowadzenie tej operacji potrwa najmniej dwa, trzy lata.

— Och — powiedziałam, nie odrywając od niego oczu — ale ja wcale bym się nie pogniewała, gdybym miała dwa, trzy lata mieszkać w Londynie, Robercie. Naprawdę. Skoro jeszcze nikogo nie znaleźliście, to dlaczego nie przyjmiesz tego stanowiska?

Pokręcił głową.

— Nie ma mowy, Mal. Sprzątanie cudzego bałaganu to nie moja broszka. A oprócz tego razem z Harveyem i Jackiem prowadzimy robotę w Nowym Jorku. Chcę dalej to robić. To dla mnie bardzo ważne. — Zmrużywszy te cudowne niebieskie oczy powiedział: — O cholera, jesteś rozzarowana, kochanie, prawda?

— Nie, skądże — protestowałam, choć doskonale odczytał moje myśli.

— Znam cię, Mallory — odparł bardzo cicho mój mąż. — I sądzę, że jesteś rozzarowana... tylko odrobinę.

— No cóż, tak — przyznałam. Potem uśmiechnęłam się do niego uspokajająco. — Ale to w tej chwili nie jest najważniejsze. Decyzja należy do ciebie. W końcu to twoja kariera i to ciebie najbardziej ta decyzja dotyka. Niezależnie od tego, gdzie postanowisz pracować: w agencji, w stolicy czy w dziurze, mnie to będzie odpowiadać, obiecuję.

— Dziękuję uprzejmie. Ja po prostu nie chcę mieszkać w Anglii, ale o tym wiedziałaś od zawsze. Kocham Manhattan, pracę na Madison Avenue. Rytm miasta pobudza mnie i podnieca. I kocham swoją pracę. A poza tym tęskniłbym za Indiańską Doliną. Ty zresztą też.

— To prawda, tęskniłabym. A więc kogo zatrudniście? A może jeszcze nikogo nie znaleźliście?

— Ależ znaleźliśmy... Jacka Underwooda. Przeniesie się tutaj i weźmie się do porządkowania tego bajzlu. Przylatuje w przyszłą środę, żebyśmy zdążyli wszystko obgadać przed moim wyjazdem. Potem tu zostanie i przejmie kierownictwo nad brytyjskim oddziałem. Dla niego to przeprowadzka na dobre. Zostanie tu co najmniej kilka lat. Będzie mi go brakowało.

— Czyli ty i Harvey będziecie musieli sobie radzić sami w Nowym Jorku?

— Owszem. Ta robota jest w sam raz dla nas. Ale obaj wierzymy, że uda nam się przywrócić agencję do dawnej świetności. Mimo że ostatnio traciła pozycję, nadal w pewnych dziedzinach reklamy jesteśmy kimś, poza tym mamy paczkę starych, dobrych i lojalnych klientów.

Wyciągnęłam do niego rękę i ujęłam dłoń spoczywającą na stoliku.

— Dawno już nie widziałam cię tak zmęczonego, kochanie. Przypuszczam, że miałeś tu straszne tyranie. O wiele większe niż mi się przyznawałeś przez telefon.

— To prawda, ale tylko do pewnego stopnia. — Westchnął cicho. — No i muszę przyznać, że wielogodzinna praca i kontakty z kompletnie zdezorientowanymi pracownikami ogłupiają, to fakt. — Potem mrugnął i zaskoczył mnie łżejszym, pogodniejszym tonem: — Ale teraz jesteś ze mną. Czekają nas cudowny weekend we dwoje i nie będziemy więcej rozmawiać o interesach. Zgoda?

— Zgadza się na wszystko, co zechcesz.

Ciemna brew uniosła się wysoko, z gardła Roberta dobył się głęboki śmiech.

— Zamówmy jeszcze po jednym, a potem zajrzemy do karty.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Piątkowy ranek był szary i pochmurny. Kiedy wyszłam z hotelu „Clarigde”, zamierzając pójść na Berkeley Square, spojrzałam na niebo. Przesłaniały je ołowiane chmury — tak jak zapowiedział Robert przed wyjściem do biura, zanosilo się na deszcz. Dlatego zamiast, jak to najchętniej robiłam, pójść do sklepu Diany pieszo, złapałam taksówkę. W samą porę. Kiedy zatrzaskiwałam drzwi i podawałam kierowcy adres, spadły pierwsze krople.

Angielska pogoda — myślałam ponuro, wyglądając przez okno taksówki. Tu zawsze pada. Ale nie przyjeżdża się do Anglii w poszukiwaniu pięknej pogody. Zawsze kochałam Anglię i Anglików, a Londyn był moim ulubionym miastem świata. Przedkładałam go nawet nad rodzimy Nowy Jork. Oparłam się wygodniej, radując się pobytym w ukochanym mieście. Właściwie zniosłabym nawet śnieg i deszcze. Pogoda była dla mnie bez znaczenia.

Sklep teściowej znajdował się na końcu King's Road. Taksówka wjechała w Knightsbridge, co mi przypomniało, że po południu muszę zajrzeć do „Harrodsa i Harveya Nicholasa” i kupić tam część prezentów choinkowych. A skoro święta spędzamy z Dianą, mogę poprosić, żeby upominki dla niej, dzieci i Roberta wysłano od razu do jej domu w Yorku. Na pewno oszczędzi mi to kłopotu z przywożeniem ich w grudniu z Nowego Jorku. Zapewne prezenty zostaną też od razu ładnie zapakowane.

Robert nie powiedział matce, że przyjeżdżam do niego do Londynu na wydłużony weekend; kiedy wczoraj wieczorem zadzwoniłam z wiadomością, że jestem w Londynie, zareagowała



w typowy dla siebie sposób: ożywieniem, radością, że mnie sły-  
szy, i natychmiastowym zaproszeniem na lunch dzisiaj.

Kiedy taksówka się zatrzymała, zapłaciłam kierowcy, a potem  
stałam przez chwilę na chodniku, oglądając cudenka, które zdobi-  
ły wystawę sklepu Diany.

Moje oczy syciły się widokiem eleganckich francuskich  
świeczników *dore*, pochodzących najprawdopodobniej z osiemna-  
stego stulecia, które stały na zgrabnej konsolce z marmurowym  
blatem i rzeźbionym drewnianym spodem — również osiemnasto-  
wiecznej i francuskiej, co do tego nie miałam wątpliwości.

Po dłuższej chwili oderwałam wzrok od tych rzadkich i bez-  
cennych przedmiotów i zjrzałam do wnętrza sklepu. Udało mi  
się dostrzec sylwetkę Diany, która stała w głębi pomieszczenia  
i rozmawiała z jakimś mężczyzną, zapewne klientem. Gestyku-  
lowała z ogromnym ożywieniem, potem obróciła się, wskazując  
mężczyźnie flamandzki kobierzec, który wisiał na ścianie za nią.  
Otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

Nie mogłam się powstrzymać od myśli, że Diana wygląda  
dziś po prostu cudownie. Miała na sobie jasnoczerwony wełnia-  
ny kostium — prosty, szyty na miarę, elegancki; jej szyję otaczał  
podwójny sznur pereł. Jaskrawy odcień kostiumu i mleczny blask  
pereł podkreślały piękno lśniących kasztanowych włosów i złoci-  
stą cerę.

Ogromnie ucieszyło mnie, że Diana ubrała się dziś na czer-  
wono, a to z tego powodu, że namalowałam ją w szkarłatnej je-  
dwabnej bluzce i tych samych perłach, które zawsze nosiła i które  
w pewnym sensie stały się jej znakiem rozpoznawczym. Patrząc  
na nią, natychmiast poczułam pewność, że udało mi się w por-  
trecie oddać Dianę taką, jaką była: ciepłą, piękną, promieniującą  
wewnętrznym czarem. Miałam nadzieję, że Robertowi spodoba  
się portret matki, który — jak twierdzi Sara — jest jednym z naj-  
lepszych moich obrazów.

Zauważywszy mnie, Diana przeprosiła klienta i pospieszyła  
w moją stronę z szerokim uśmiechem; w jej jasnoszarych oczach  
dostrzegałam tę samą niecierpliwość i radość, które zwykle ko-  
jarzyły mi się z Robertem. Zawsze, kiedy przez jakiś czas się nie

widzimy, przy pierwszym spotkaniu w jego oczach widzę ten sam, pełen szczęścia i oczekiwania wyraz.

— Kochanie, a więc naprawdę przyjechałaś! — zawołała Diana, chwytając mnie za ramię. — Nie mogę w to uwierzyć! Co za cudowna niespodzianka! Taka jestem szczęśliwa, że cię widzę!

Uśmiechnęłam się równie serdecznie jak ona.

— Witaj, Diano. Jesteś tym najlepszym, co Londyn ma do zaoferowania; oczywiście, po twoim synu.

Roześmiała się wesoło. Uścisnęłyśmy się mocno, potem zaprowadziła mnie w głąb sklepu.

— Mal, chciałabym ci przedstawić Robina McAllistera — powiedziała. — Robin, to moja synowa, Mallory Keswick.

Mężczyzna — wysoki, przystojny, dystyngowany i elegancki — ukłonił mi się uprzejmie. Podaliśmy sobie dłonie.

— Miło mi panią poznać, pani Keswick.

— Ja także bardzo się cieszę, że pana poznałam, panie McAllister.

— Mal, kochanie, pozwolisz, że na chwilę cię zostawię? Chciałabym pokazać panu McAllisterowi obraz na dole. To nie potrwa długo, a potem będziemy mogli już iść na lunch.

— Nie przejmuj się mną — odparłam. — Pokręcę się po sklepie. Już na pierwszy rzut oka dostrzegłam, że masz kilka cudownych rzeczy. Zresztą, jak zwykle.

Przepadałam za antykami, Diana zaś wystawiała u siebie najlepsze i najpiękniejsze przedmioty, jakie można dostać w Londynie, niektóre pochodzące nawet ze zbiorów wielkich rodów europejskich. Ciągle krążyła po Europie w poszukiwaniu przeróżnych skarbów, ale specjalizowała się w osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych francuskich meblach, ozdobnych drobiazgach, porcelanie oraz obrazach, choć miała także sporo rzeczy angielskich z okresu panowania Jerzego IV i regencji. Jednak sławę eksperta i reputację wiarygodnego antykwariusza zdobyła głównie dzięki świetnej znajomości francuskich mebli. Ale, jak każdy szanujący się antykwariusz, Diana bardzo dobrze orientowała się i w innych dziedzinach, potrafiła rozpoznać wzory charakterystyczne dla różnych okresów w poszczególnych krajach.

Zauważyłam, że dziś honorowe miejsce w sklepie zajęła kolekcja biedermeierowskich mebli; już z daleka widziałam, że jest po prostu doskonała. Poszłam jak po sznurku w drugi koniec sklepu, gdzie obok schodów wiodących na górę, oddzielone sznurem, stały owe meble.

Podziwiałam lśniące drewno i niewiarygodny wręcz artyzm wykonania. A już prawdziwy zachwyt wzbudził we mnie okrągły stół do jadalni zrobiony z różnokolorowych kawałków drewna, najprawdopodobniej drzew owocowych, inkrustowany hebanem. Taką kombinację dość często stosowano w meblach biedermeierowskich na przełomie stuleci, gdy ów styl cieszył się największą popularnością.

Ileż bym dała, żeby mieć taki stół.

Ale, pomijając już to, że kosztował zapewne majątek — byłam o tym przekonana — i tak nie miałabym go gdzie postawić. Co więcej, Indiańską Dolinę urządziliśmy starymi francuskimi i angielskimi meblami typowymi dla wiejskich rezydencji i choć biedermeier był dość uniwersalny i na tyle prosty, że wtopiły się niemal w każde wnętrze, dla nas się nie nadawał; ani do mieszkania na Manhattanie, ani w Connecticut.

— Tak czy owak, szkoda — mruknęłam pod nosem, przechodząc dalej.

Zatrzymałam się na chwilę przed osiemnastowiecznym francuskim tremo, podziwiając pięknie rzeźbioną ramę i namalowaną nad nią scenkę rodzajową. Potem zerknęłam na swoje odbicie w zmatowiałym lustrze.

Nie zachwycił mnie ten widok. Uznałam, że prezentuję się trochę za blade i mizernie, szczególnie na tle tej kaskady rudych włosów, ale nadal szykownie w ciemnoszarym wełnianym płaszczu i sukience.

Nic dziwnego, że wyglądam na zmęczoną — pomyślałam, przypominając sobie ubiegłą noc. Robert i ja daliśmy się ponieść namiętności. Uśmiechnęłam się lekko na wspomnienie tego, co się wczoraj działo i spuściłam wzrok. Nie mogliśmy się sobą nasycić, mój mąż i ja. Robert, choć w czasie kolacji sprawiał wrażenie zmęczonego, z chwilą gdy znaleźliśmy się w łóżku, doznał nag-

łego przyływu zdumiewającej witalności i energii. Jeśli wczoraj w nocy nie poczęliśmy dziecka, to już nie wiem, kiedy byśmy mogli.

— Cześć, Mallory, co u ciebie? — odezwał się nagle znajomy głos. Drgnąłam i szybko się obróciłam, stając twarzą w twarz z uśmiechniętą Jane Patterson, asystentką Diany. Zrobiłam krok w jej stronę i serdecznie się uściskałyśmy.

— Co u ciebie, Jane?

— Nie może być lepiej — odparła. — A i ty najwyraźniej tryskasz zdrowiem i energią. Wyglądasz kwitnąco.

Skinęłam głową i przyznałam, że owszem.

Spytała o bliźnięta. Ja o jej córkę, Serenę. Stałyśmy przez jakiś czas, gawędząc mile.

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. To pan McAllister zmierztał w stronę drzwi. Skinął nam uprzejmie głową i wyszedł. Zaraz potem zjawiała się Diana, stukając szybko szpilkami, szerokim ruchem zarzucając na ramiona czerwony wełniany szal.

— Możemy iść, Mal? — spytała. Potem zwróciła się do asystentki:

— Percy powiedział, że z przyjemnością zostanie na straży, kiedy ty wyjdiesz na lunch. Ja powinnam wrócić koło trzeciej.

— Nie ma sprawy, Diano — odparła Jane.

Pożegnałyśmy się.

Diana wybiegła na ulicę, uniosła parasolkę i nie zwracając uwagi na deszcz, wymachiwała nią z zapałem, przywołując tak-sówkę.

Zaprosiła mnie na lunch do hotelu „Savoy” na Strand. Choć leżał dość daleko od jej sklepu, wiedziała, że to jedno z moich ulubionych miejsc i jak zwykle chciała mi sprawić przyjemność. Broniłam się. Wiedząc, jak bardzo jest zajęta, próbowałam ją namówić, byśmy wybrały się gdzieś bliżej, ale ona nawet nie chciała o tym słyszeć. Czasami potrafiła być równie uparta jak syn.

Usiadłyśmy w głównej sali przy stoliku obok okna z widokiem na Tamizę. Wolałam ją od słynnego Grill Room, gdzie często spo-

tykali się wydawcy czasopism, politycy i gwiazdy teatru. Tu panował większy spokój, a poza tym nigdy nie potrafiłam się oprzeć temu wyjątkowemu widokowi Londynu. Był po prostu cudowny.

Wyrzałam przez okno. Jeszcze mżyło, niebo nadal zasnuwały ciemnostalowe chmury, ale przynajmniej ustąpił ten mocny, siekący deszcz. Nawet światło się zmieniło; igrało perłowym blaskiem na rzece, niczym miękka gaza spowijało stare rezydencje, nagle przydając im świetlistości; wreszcie zza chmur wynurzyło się blade zimowe słońce.

Światło na płynącej rzece, światło Turnera — pomyślałam.

Odchyliłam się w krzesło. Byłam odprężona, szczęśliwa, przepełniało mnie poczucie wyjątkowego spełnienia. Cóż za ogromne szczęście: być w Londynie z mężem, jeść teraz lunch z Dianą w „Savoyu” a do tego mieć cudowne dzieci. I może nawet jestem już w ciąży. Memu życiu towarzyszy dobry czar. Błogosławieństwo.

Śącząc wino, uśmiechnęłam się do Diany. Odpowiedziała tym samym, wyciągnęła rękę i uściśnęła moją dłoń.

— Robert miał tyle szczęścia, że cię znalazł, a ja mam takie szczęście, że cię mam, Mal. Córkę, której zawsze pragnęłam. Wiesz, jesteś wspaniała, naj-naj-naj.

— I ty też, Diano. Właśnie sobie myślałam, jakie to ja mam ogromne szczęście.

Skinęła głową.

— Sądzę, że obu nam szczęście dopisało. — Upiła łyk wina i podjęła: — Bardzo żałowałam, że nie mogłam przyjechać na ślub twojej matki. Wypadł akurat w najgorszym dla mnie momencie. Wzięłam na siebie różne zobowiązania na długo przedtem, jak mnie zaprosiła. Musiałam wyjechać na aukcję w Prowansji, potem do Wenecji. Po prostu nie mogłam się z tego wykręcić.

— Nic się nie stało, Diano, mama to zrozumiała, naprawdę. Szczerze mówiąc, chyba się cieszyła, że udało się zorganizować ślub w tak skromnym gronie. Przyznaję, że to dość nietypowe jak na nią: przecież takie z niej towarzyskie stworzenie, ale wyglądała na zadowoloną, że ograniczyło się do kilku osób. Nas, syna, synowej i wnuka Davida. Och, i Sary z matką, oczywiście. Mama bar-

dzo się przyjaźniła z cocią Pansy już w czasach, kiedy ja i Sara byłyśmy malutkie. Nie zaprosiła nawet swojej matki, babci Adeli, ale nie sądzę, żeby babcia miała dość sił. Biedactwo, bardzo się zestarzała. Co za szkoda. Kiedyś tak tryskała energią.

— Chyba jest już bardzo stara, prawda?

— Ma dziewięćdziesiąt jeden lat.

— Ojej, to rzeczywiście sporo.

— Nie pogniewałabym się, gdybym tyle pożyła, pod warunkiem, że mój umysł pozostałby krzepki — stwierdziłam.

Diana parsknęła śmiechem, ja też.

— A David Nelson okazał się dość miłym człowiekiem. Przez ostatnich parę miesięcy poznałam go lepiej i przynaję, że jest bardzo szczerzy i otwarty. Naprawdę kocha mamę.

— Cieszę się, że Jessika w końcu wyszła za mąż. Już od tak dawna była sama. Małżeństwo z Davidem to najrozsądniejsze, co mogła zrobić.

Spojrzałam na Dianę, przez chwilę bacznie ją obserwując.

— I ty też musisz być bardzo samotna, Diano — wyrwało mi się. — W końcu jesteś zupełnie sama.

— Sądzę, że większość kobiet... Nie, poprawka: większość ludzi, którzy żyją sami, czasem odczuwa samotność w codziennym życiu — odparła, uśmiechając się lekko.

Milczała przez krótką chwilę, w jej oczach dostrzegłam smutek. Wreszcie odezwała się z namysłem:

— W pewnym sensie samotność to rodzaj śmierci...

Nie dokończyła, tylko siedziała, wpatrując się we mnie.

Mnie też zabrakło słów, po raz pierwszy z taką siłą zdałam sobie sprawę z jej smutku.

Sączyłyśmy wino, wyglądałyśmy przez okno i na chwilę zatonęłyśmy w zadumie.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, ogarnęło mnie straszne pragnienie, by spytać o ojca, powiedzieć, co ja i Robert wymyśliliśmy na ich temat w czasie wakacji.

Tak, zapytam — postanowiłam.

Ale kiedy obróciłam się w jej stronę, odwaga mnie opuściła. Nie śmiałam odezwać się ani słowem. Nie dlatego, żeby mnie

onieśmiałą, ale dlatego, że tak naprawdę była bardzo skryta. Nie mogłam zakłócać jej prywatności ani wdzierać się do jej osobistego życia.

Dostrzegła mój wzrok i posłała mi promienny uśmiech.

— Ale moja samotność nie trwa długo, Mal — odezwała się lekko. — Najwyżej godzinę, dwie i to tylko od czasu do czasu. Powiedzmy sobie szczerze: ten interes to dla mnie prawdziwy łut szczęścia. Zapewnia mi zajęcie przez cały dzień i noc: podróże za granicę, wyprawy na aukcje i wyprzedaże w Europie, zabieranie klientów oraz potencjalnych klientów na obiady i kolacje, spotkania, przyjmowanie zagranicznych gości, że nie wspomnę o samym prowadzeniu sklepu. Ostatnio w ogóle nie mam chwili dla siebie. Ciągle jestem w rozjazdach: to do Francji, to do Włoch albo Hiszpanii czy jeszcze gdzieś indziej.

— A czy w czasie tych wojaży nie poznałaś kogoś rozkosznego? — spytałam. — Smukłego, szykownego Francuza o wyrafinowanym guście? Albo lirycznego, romantycznego Włocha? Lub może porywającego, namiętnego, rycerskiego Hiszpana?

— Obawiam się, że nie — odparła chichocząc jak nastolatka i kręcąc głową.

W jej oczach znowu zagościła radość. Uniosła kieliszek i upiła łyczek bardzo dobrego Montrachet. Znała się na francuskich winach.

W tej chwili zjawił się kelner z zakąskami.

Diana zamówiła przetartą zupę z porów i ziemniaków, ja wybrałam ostrygi i oto spoglądało na mnie kusząco dwanaście najwspanialszych okazów, jakie „Savoy” miał do zaoferowania. Wyglądały przepysznie. Czułam, jak napływa mi ślinka.

— Ilekroć jestem w Londynie, zawsze objadam się jak prosię tymi pysznościami. Nic nie poradzę, po prostu kocham ostrygi.

— To najlepsze danie pod słońcem, przynajmniej moim zdaniem. A poza tym nie zapominaj, że nietuczające.

— Tak jakbyś ty musiała się tym przejmować — mruknęłam. Zawsze podziwiałam smukłą figurę Diany. Nie żebym ja była gruba, ale ona, zwłaszcza jak na swój wiek, była wyjątkowo szczupła i kształtna.

— Ciekawe czy twój ojciec się ożeni, skoro już jest wolny?  
— spytała ni z tego, ni z owego Diana.

Oderwałam wzrok od ostryg i rozchyliłam wargi, zdumiona. Odłożyłam widelczyk i wyprostowałam się w krzesło, wpatrując się w Dianę. Czułam, że brwi same mi się ściągają, tworząc zmarszczkę nad nosem.

— Musiałby być w jego życiu ktoś... — odezwałam się wolno, kiedy już odzyskałam mowę — ktoś... ktoś, z kim chciałby się ożenić, prawda?

Nie mogłam mówić dalej. Byłam zbyt zdenerwowana, by wydusić z siebie jeszcze choć jedno słowo. Poza tym chciałam, żeby Diana sama mi powiedziała, podzieliła się wieścią o swoim ślubie z tatą.

— Och, ale on przecież ma kogoś — odparła. Na jej ustach znowu pojawił się ten cudowny, promienny uśmiech.

— Naprawdę?

— Ależ oczywiście. Wyobrażasz sobie, żeby mężczyzna taki jak twój ojciec mógł być samotny? Ma zbyt zależną naturę, by żyć w samotności.

Urwała nagle, bacznie mnie obserwując. Widać dostrzegła dziwny wyraz mojej twarzy. Siedziałam dalej jak ogłuszona, tępo wpatrując się w teściową.

Diana zmarszczyła brwi.

— Myślałam, że wiesz... Sądziłam, że matka już wiele lat temu powiedziała ci... — Znowu urwała w pół zdania.

— Powiedziała o czym? — spytałam zduszonym głosem.

— O rany — westchnęła Diana. — Czyżbym znowu nabroiła? Coś mi na to wygląda.

— Nie, Diano, wcale! — zaprzeczyłam gorąco, niecierpliwie czekając na ciąg dalszy. — Co miałas na myśli? Co mama miała mi powiedzieć?

Głęboko zaczerpnęła tchu.

— Ze w jego życiu były też inne kobiety. To znaczy, po tym jak twoja matka i on zgodzili się na separację, przez te wszystkie lata, kiedy studiowałaś w Radcliffe. Jess kiedyś opowiedziała mi o jego... romansach, związkach, czy jak je tam sobie nazwiesz.



Zakładałam po prostu, że powiedziała ci o tym, gdy dorosłaś. No, a już na pewno po twoim ślubie.

— Nie, nie wspomniała ani słowem. Ale muszę powiedzieć, że ostatnio myślałam nad jego życiem. O tym, że mógł... mieć inne kobiety.

Diana skinęła głową.

— Teraz też kogoś ma? Kogoś wyjątkowego?

Znowu milcząco potaknęła, jakby bała się mówić — podobnie jak ja parę minut temu. Doskonale rozumiałam czemu. Głęboko zaczerpnęłam tchu.

— To ty, Diano, tak? — wypaliłam. — Robert i ja domyślaliśmy się tego od miesięcy.

Moja teściowa wyglądała jak rażona gromem, wpatrywała się we mnie z niewysłowionym zdumieniem, potem wybuchnęła śmiechem. Śmiała się, aż łzy jej napłynęły do oczu. Powstrzymała się tylko ogromnym wysiłkiem woli. Sięgnęła po torebkę, wyjęła koronkową chusteczkę i osuszyła łzy.

— Och, naprawdę przepraszam, Mal, kochanie — odezwała się po chwili, choć nie do końca jeszcze odzyskała panowanie nad sobą. — Przepraszam, że tak się zachowałam, ale to najzabawniejsza rzecz, jaką od wieków słyszałam. Twój ojciec i ja? Wielki Boże, nie. Jestem zbytnią realistką, za mocno stąпам po ziemi. Edward potrzebuje kogoś bardziej bezbronniego i słodkiego niż ja. Potrzebuje romantyczki, idealistki, kogoś nie z tego świata. Tak, nie z tego świata, to określenie doskonale pasuje do Gwenny.

— Gwenny? Jakiej znowu Gwenny?

— Gwendolyn Reece-Jones. To moja serdeczna przyjaciółka, pracuje jako scenograf teatralny i jeśli nie jest akurat w Londynie, mieszka w siedemnastowiecznej rezydencji w Welsh Marshes. Jest obdarzona ogromną wyobraźnią, jest czarująca, zabawna i tak, moja droga, bardzo, bardzo nie z tego świata.

— I jest przyjaciółką taty?

— Zgadza się. I jest dla niego bardzo dobra. — Diana odchrząknęła i po chwili dodała: — I obawiam się, że to ja ich sobie przedstawiłam.

— Czy to coś poważnego?

- Dla Gwenny tak. Wiem to z całą pewnością. Zupełnie zwa-  
riowała na jego punkcie. Jest w nim szaleńczo zakochana.

Diana wyprostowała się, przechyliła głowę na bok, na jej twa-  
rzy pojawiło się zamyślenie.

— Sądzę, że i dla Edwarda to coś poważnego, choć nie mogę  
tego twierdzić z całą pewnością. Właśnie dlatego zastanawiałam  
się na głos, czy się ożeni. Może. Naprawdę, trudno powiedzieć.

— Długo się znają?

— Od jakichś czterech lat.

— Rozumiem.

— Powiedz mi coś — odezwała się po chwili milczenia.  
— Jakim cudem ty i Robert uznaliście, że to ja związałam się  
z twoim ojcem?

Wtedy opowiedziałam o tym, jak latem Robert znalazł list,  
wyjaśniłam, jak oboje snuliśmy domysły na ich temat, analizo-  
waliśmy ich zachowanie, kiedy byli razem i to, jak zupełnie od-  
miennie reagowali, gdy znaleźli się w towarzystwie. To wszyst-  
ko doprowadziło nas w końcu do wniosku, że mają ze sobą  
romans. Diana okazała tyle dobroci, że tylko parsknęła śmie-  
chem.

— Jeśli uważasz, że w towarzystwie Edwarda zachowuję się  
inaczej niż zwykle, to masz całkowitą rację. Rzeczywiście, to  
prawda. Sądzę, że przy nim staję się bardziej kobieca. Jestem ko-  
bietą, nie matką, a już na pewno nie babką. Pod wieloma wzglę-  
dami jestem bardziej sobą. To znaczy, że w jego obecności zacho-  
wuję się tak jak wtedy, gdy jestem sama, kiedy nie jestem z tobą,  
Robertem czy bliźniętami. Przy nim zachowuję się naturalniej.  
Bo twój ojciec ma w sobie coś, co sprawia, że kobieta czuje się...  
dobrze i...

— Z wyjątkiem mamy — przerwałam.

— Trafione, kochanie. I jak wspominałam, ma ten dar, tę  
umiejętność sprawiania, że kobieta czuje się wspaniale: atrakcyj-  
na, kobieca, pożądana. Edward potrafi sprawić, że w jego towa-  
rzystwie kobieta wierzy, że jest kimś wyjątkowym, pożądanym,  
nawet jeśli on sam jakoś szczególnie się nią nie interesuje. Poza  
tym lubi flirtować, sypie pochlebstwami. Trudno to wyjaśnić.

Spróbuję w ten sposób: twój ojciec to przykład mężczyzny stworzonego dla kobiet. Uwielbia kobiety, podziwia je, szanuje i chyba na tym polega jego czar. — Pochyliła się nad stolikiem. — To wszystko kwestia jego stosunku do kobiet, Mal.

— Czy ożeni się... z Gwenny? Jak sądzisz, Diano?

— Już ci mówiłam: nie wiem.

Zacisnęła wargi, przez ułamek sekundy na jej twarzy znowu zagościła zaduma.

— Jeśli ma trochę rozumu, to tak. Gwenny dałaby mu szczęście, tego jestem całkowicie pewna.

— Ciekawe, czy teraz, gdy mama się z nim rozwiodła i wyszła za mąż, przestanie się z tym kryć?

Diana popatrzyła na mnie dziwnie.

— On wcale nie krył się ze związkiem z Gwenny. To wcale nie jest tajemnica. Przynajmniej tutaj, w Londynie. Zapewne nie wspominał ci o Gwenny, bo nie chciał cię zranić.

— Może.

— Jestem pewna, że to nim kierowało — stwierdziła z mocą.

Przeszło mi przez myśl, że Diana występuje w obronie mego ojca. A przecież, jeśli chodzi o mnie, nie potrzebował żadnej obrony. Zawsze go kochałam i nadal Kocham. Poza tym jego małżeńskie utarczki z matką to stara sprawa. W końcu wśród nich do-rastałam. I dodajmy jeszcze, że to ja zawsze sądziłam, że rodzice powinni byli się rozwieść wiele lat temu. Nigdy nie rozumiałam ich zachowania.

— Czy kiedykolwiek przyjechał z Gwenny do Stanów? Do Nowego Jorku? — spytałam, odchrząknawszy.

— Do Nowego Jorku, o ile mi wiadomo, nie. Ale zdaje mi się, że była z nim, kiedy miał ten cykl wykładów na uniwersytecie w Los Angeles.

— Ile ona ma lat?

— Pięćdziesiąt trzy, cztery, nie więcej.

— Była mężatką? Opowiedz mi coś o niej, Diano.

Diana skinęła głową.

— Oczywiście, to zupełnie naturalne, że jesteś ciekawa. Ale niewiele tu jest do powiedzenia. Tak, była mężatką. Wyszła za

Laurence'a Wiltona, tego aktora. Jak ci zapewne wiadomo, zmarł dwanaście lat temu. Nie mieli dzieci. Gwenny to bardzo miła kobieta, bardzo się interesuje archeologią, antropologią, sztuką i architekturą. Łączy ją z twoim ojcem wiele wspólnych zainteresowań. Sądzę, że Gwenny by ci się spodobała.

— Żałuję, że tato nie ufał mi na tyle, by mi o niej powiedzieć — odparłam cicho, spuszczać wzrok. W milczeniu dokończyłam ostrygi.

Diana zanurzyła łyżkę w zupie, spróbowała.

— Pozwoliłam jej ostygnąć — mruknęła.

— Zamówimy drugą — zaproponowałam, obracając się w krześle, żeby przywołać kelnera.

— Nie, nie — broniła się Diana. — Naprawdę jest świetna. Wcale nie straciła smaku. Teraz przypomina nieco... podawaną na chłodno *vichyssoise* i jest bardzo dobra.

Skinęłam głową i wychyliłam spory łyk białego wina.

Teściowa utkwiała we mnie wzrok, bacznie mi się przyglądając. Po chwili odezwała się cicho, z troską:

— Wiesz, z tego co słyszałam i sama zdążyłam się przekonać, twój ojciec zawsze był bardzo dyskretny. Nigdy nie chwalił się głośno swoimi... przyjaciółkami. A musisz pamiętać, że trudno jest odstąpić od starych nawyków. To dotyczy każdego. Edward to prawdziwy dżentelmen, a więc i człowiek dyskretny. Nie potrafi się zmienić. Jestem przekonana, że według niego postępował słusznie, nie mówiąc ci o Gwenny. Ani was sobie nie przedstawiając. I coś jeszcze. Jestem pewna, że nie chciał ci sprawić przykrości.

— Chyba tak — zgodziłam się, ale i tak miałam do ojca trochę żalu.

Odróciłam głowę i wyrzałam przez okno. Byłam rozczarowana; tato nie rozumiał, że bym sobie z tym poradziła; nie chciał wierzyć, że ja wszystko bym zrozumiała: i Gwendolyn Reece-Jones, i jego potrzebę zaznania w życiu odrobiny szczęścia. W końcu, na miłość boską, skończyłam trzydzieści trzy lata, jestem mężatką i matką dwójki dzieci. Jego córka to już nie mała dziewczynka, ale dorosła kobieta.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Apartament w hotelu „Claridge” nie był zbyt duży, ale za to bardzo wygodny, a urządzony w stylu wiktoriańskim salonik należał do najbardziej czarujących pomieszczeń, jakie kiedykolwiek widziałam.

Swój wyjątkowy charakter zawdzięczał czynnemu kominkowi oraz pianinie, które stało w rogu obok wysokich okien. One z kolei były ozdobione śliwkowymi aksamitnymi zasłonami, malowniczo udrapowanymi, które podkreślały gołębi kolor tapet, a orientalny dywan rozciągał się na podłodze, mieniąc się bogactwem barw i odcieni. Przed kominkiem, przy zabytkowym niskim stoliku stała wygodna sofa z obiciem ze śliwkowego jedwabiu i dobre do kompletu fotele. Nad kominkiem wisiało lustro, stanowiąc tło dla złotego, rzeźbionego w marmurze francuskiego zegara, podtrzymywanego przez dwa amorki.

W celu uzyskania lepszego efektu do urządzonego w stylu z przełomu wieków wnętrza dodano wiktoriańskie biurko, przeszkloną szafkę ze stylowymi talerzami oraz mahoniowe stoliki.

Wazon z kwiatami, miska owoców, gazety i czasopisma, wszystko to sprawiało, że pokój nabierał jeszcze bardziej miłego, domowego charakteru. A szczególnie przytulny wydawał się w ten listopadowy wieczór, z ogniem płonącym wesoło w kominku, przy delikatnym świetle lamp w różowych abażurach.

Przy kominku stał telewizor. Włączyłam go i usiadłam na sofie, by obejrzeć wiadomości. Niestety spóźniłam się, podawano już informacje sportowe, tak że szybko się znudziłam.

Wyłączyłam telewizor i poszłam do sypialni, zastanawiając się, kiedy Robertowi uda się wyrwać z biura. Rozmawialiśmy późnym popołudniem, zaraz po moim powrocie z Tate Gallery; mówił, że kolację zjemy na mieście i że zarezerwował stolik w barze „U Harry'ego”. Nie wspomniał jednak, na którą godzinę ani kiedy wróci do hotelu.

Dla zabicia czasu przeczytałam kilka rozdziałów powieści Colette, a potem, uświadomiwszy sobie, że dochodzi już ósma, rozebrałam się, włożyłam szlafrok i poszłam do łazienki. Starłam dzienny makijaż, jeszcze raz się umalowałam, uczesałam włosy. Właśnie kończyłam zaplatać francuski warkocz, gdy usłyszałam, że ktoś przekręca klucz w zamku. Z radosnym uśmiechem pobiegłam do salonu.

Robert wieszal prochowiec na wieszaku w małym korytarzyku.

— Cześć — powiedział.

Podniósł aktówkę i ruszył w moją stronę.

Wpatrywałam się w niego intensywnie. Widziałam, że jest skrajnie wyczerpany. Przeraziłam się. Głębokie cienie pod oczami rysowały się wyraźniej niż kiedykolwiek, twarz miał zmizerniałą, o wiele bledszą niż zwykle.

— Źle się czujesz? — spytałam.

— Jestem zmęczony. Cholernie, śmiertelnie skonany.

— Nie musimy wychodzić na miasto na kolację — zaproponowałam. — Możemy zamówić coś do pokoju.

Posłał mi chłodne spojrzenie.

— Nie obchodzi mnie, gdzie pójdziemy na kolację. Obchodzi mnie za to perspektywa wleczenia zadka do Yorku, do mojej matki. Niniejszym oświadczam, że nie zamierzam tam się udawać — wyrzucił z siebie ostrym tonem. — Właśnie rozmawiałem z nią przez telefon i cały czas nudziła, że za ciężko pracuję, upierała się, że musimy jutro do niej pojechać. Żebym sobie odpoczął, jak się wyraziła. Czy to właśnie knułyście przez całe popołudnie pod pozorem jedzenia lunchu?

— Prawie o tym nie rozmawialiśmy! — zaprzeczyłam gorąco. — Diana wspomniała o tym tylko przelotnie.

— Teraz za to się rozgadała — warknął, mierząc mnie wściekłym spojrzeniem. — Wygłosiła mi prawdziwe kazanie. Poza tym stwierdziła, że ty bardzo chcesz jechać i postępuję nieuczciwie, przetrzymując cię w mieście przez cały weekend...

— Robert — przerwałam mu ostro — wszystko mi jedno, czy pojedziemy czy nie!

Widziałam, że jest nie tylko zmęczony, ale i zły, a do tego ogarnęło mnie straszne, ściskające w dołku przecucie, że ta złość jest skierowana w tym samym stopniu przeciwko matce co i mnie.

— Miło mi to słyszeć, bo i tak nie możemy jechać. To jest absolutnie wykluczone. Jutro muszę pracować i w niedzielę najprawdopodobniej też.

— Och — powiedziała zbita z tropu.

— A to co znowu ma znaczyć?

— Nic, po prostu och. Ale skoro miałeś pracować w weekend, to po co mnie to ściągałeś? Żeby siedzieć w hotelowym apartamencie, czekając na ciebie? Równie dobrze mogłam zostać w Nowym Jorku z bliźniętami albo zabrać je do Indiańskiej Doliny.

Nie odpowiedział, tylko roztargnionym ruchem przeciągnął palcami przez włosy i potarł oczy.

— To był diabelny dzień — mruknął tym samym zaczepnym tonem. — Malcolm Stainley zachowuje się jak idiota. Którym zresztą jest, co do tego nie ma dwóch zdań. A oprócz tego jest z niego kawał prawdziwego drania. I myśli wyłącznie o sobie, ego ma wielkości sporego domu.

Milczałam.

Robert nagle się wyprostował i popatrzył na mnie.

— Dziś po południu natknąłem się na kolejny bajzel, wyprodukowany przez Stainleya. Uporządkowanie go może trochę potrwać. Niewykluczone, że będę musiał zostać w Londynie jeszcze tydzień.

— Wydawało mi się, że Jack Underwood przyjeżdża w środę — stwierdziłam. — I ma to od ciebie przejąć.

— Może potrzebować pomocy. Mojej pomocy.

Otworzyłam usta, by zaprotestować, ale natychmiast je zamknęłam. Ciężko opadłam na sofę.

— Może zadzwonię do „Harry'ego” i odwołam rezerwację — zaproponowałam po chwili. — Najwyraźniej nie jesteś w nastroju do wychodzenia na kolację.

— Ale ty jesteś, więc pójdziemy.

— Robert, proszę. Jesteś taki zgryźliwy, a ja nie wiem...

Przygryzłam wargę, czując pod powiekami łzy. Przełknęłam ślinę i powiedziałam najspokojniej jak potrafiłam:

— Chcę zrobić to, czego ty chcesz. Chcę, żebyś był zadowolony.

— Muszę się napić — mruknął i ruszył prosto do konsoli, stojącej między dwoma wysokimi oknami.

Przyglądałam się, jak nalewał sobie czystej szkockiej. Dwoma haustami opróżnił szklankę i nalał sobie jeszcze, tym razem z lodem i kroplą wody z dzbanka. Potem bez jednego słowa, z drinkiem w rękę przeszedł do sypialni.

Patrzyłam za nim oniemiała.

Dawno nie widziałam go w tak kłótliwym nastroju. A ponieważ zranił moje uczucia, ponieważ uważałam, że potraktował mnie niesprawiedliwie, zerwałam się i ruszyłam za nim. Byłam wściekła.

Stał obok łóżka, na którym już leżała marynarka, i rozluźniał krawat. Słyszając, że weszłam, obrócił się szybko i popatrzył na mnie ze złością.

— Rozumiem, że miałeś zły dzień i bardzo ci współczuję — powiedziałam. — Bóg jeden wie, że kto jak kto, ale ty na to nie zasługiwałeś. Ale nie będziesz się na mnie wyżywał! Nie zgodzę się na to! Ja nie zrobiłam ci nic złego!

— To były złe dwa tygodnie, nie tylko jeden dzień — odpalił i syknął: — Idę wziąć kąpiel — po czym zaczął rozpinać koszulę.

— Wsadź głowę pod wodę i nie wyciągaj jej przez żadnych parę godzin! — krzyknęłam.

Wykręciłam się na pięcie i wypadłam z pokoju, trzaskając drzwiami. Kryształowy żyrandol zakołysał się i zadzwieczał, ale nic mnie to nie obchodziło. Miałam taki cudowny dzień, a mój mąż w ciągu paru sekund go zniszczył. Trzęsłam się z gniewu, dawno nie byłam taka wściekła.



Niemal natychmiast drzwi sypialni gwałtownie się otworzyły i wszedł Robert. Podszedł do mnie, chwycił za ramiona i popatrzył prosto w oczy.

— Przepraszam, Mal, strasznie przepraszam. Rzeczywiście, wyżywałem się na tobie, a nie powinienem był tak robić. Nie mam żadnego usprawiedliwienia, najmniejszego. Problem w tym, że matka naprawdę nadepnęła mi dziś na odcisk. Tym nudzeniem, żebyśmy spędzili u niej weekend, wyrzekaniem, że wcale się ze mną nie widywała w czasie mego pobytu w Londynie. Oczywiście to prawda i matka majak najlepsze chęci, ale... — Potrząsnął głową. — Chyba dziś w ogóle łatwo mnie wyprowadzić z równowagi.

Przyglądał mi się uważnie.

Kiedy nie powiedziałam ani jednego dobrego słowa, nie okazałam nawet cienia serdeczności, zamruczał cicho:

— Wybaczysz mi, kiciu?

Niemal namacalnie czułam jego zmęczenie; gniew ulotnił się równie szybko, jak się pojawił.

— Nie ma czego wybaczać, głuptasie.

Z uśmiechem, z tą samą co zwykle czułością i miłością w oczach, pocałował mnie w czubek nosa.

— Co ja bym bez ciebie zrobił?

— A ja bez ciebie...

Wyciągnęłam rękę i delikatnie musnęłam jego policzek.

— Słuchaj, twardzielu, pozwól mi odwołać tę rezerwację, zamówić butelkę dobrego wina i twoje ulubione jedzenie. Zostaniemy tutaj, zjemy kolację przy kominku. Tylko we dwoje. Przytulnie, ciepło, z miłością. Co ty na to?

— Ja na to — zgoda, masz to u mnie.

— Dobrze. A teraz idziemy — zarządziłam. — Zaraz zapakujemy cię do gorącej kąpeli. Pomoczysz się chwilkę w moich kąbelkach. Odprężysz się trochę.

— Przyłączysz się do mnie? — spytał, posyłając mi znaczące spojrzenie.

— Absolutnie nie!

Pierwszy raz dzisiajszego wieczoru się roześmiał, ja też.

— Żadnego bara-bara dzisiaj, panie Keswick. Jest pan na to za bardzo zmęczony.

— Obawiam się, że tak. Nawet dla ciebie, kiciu.

Kolacja była cudowna. I wieczór też, jak się okazało.

Podczas gdy Robert moczył swe zmęczone kości w wannie wypełnionej po brzegi gorącą wodą z hojną porcją mojego sosnowego olejku, zamówiłam kolację do pokoju.

Chcąc dopieścić mojego zmęczonego męża i poprawić mu nastrój, zamówiłam jego ulubione dania: krewetki z zatoki Morecombe, jagnięce bitki w sosie miętowym, ziemniaki, groszek i marchewkę. Do tego chateau lafit-roth-schild, nie zważając na cenę. Na deser — budyń. Nie przepadałam za nim, ale Robert go po prostu kochał; było to jego ulubione danie.

O jedenastej odświeżony, odprężony i najedzony mój mąż był w znacznie łagodniejszym nastroju. Ale i tak mnie zaskoczył, kiedy nagle oświadczył:

— Dobra, jutro mimo wszystko pojedziemy do Yorku, kiciu.

Siedziałam z głową opartą na jego ramieniu i oglądałam wieczorne wiadomości. Teraz gwałtownie się wyprostowałam.

— Wydawało mi się, że musisz jutro pójść do biura! — zawołałam, patrząc na Roberta ze zdumieniem. — Podobno miałeś kolejny bajzel do uporządkowania!

— To prawda. Ale chyba sam nie dam rady. Potrzebuję rady Jacka. To kwestie finansowe, a w tym on jest ekspertem. A zresztą, część papierów mogę wziąć ze sobą i przejrzeć w drodze do mamy.

— Jesteś pewny, kochanie?

— Najzupełniej.

— Nie robisz tego dla mnie, prawda? Żebym nie siedziała w hotelu, czekając na ciebie. To nie to, prawda?

— Robię to dla nas obojga, Mal. I dla mamy. Zresztą sądzę, że dobrze mi zrobi, jeśli ucieknę od roboty na dwa dni. Dzięki temu zdystansuję się, zyskam nowe spojrzenie na wszystko. I, już tak zupełnie z ręką na sercu, muszę się wyrwać z biura, odsunąć od tej sprawy, podsumować.

— Jeśli jesteś zupełnie pewny...

Wiedziałałam, że w moim głosie słychać wahanie, ale nie nie mogłam na to poradzić.

— Naprawdę chcę — zapewnił Robert. — Słowo harcerza.

— Pojedziemy pociągiem?

Potrząsnął głową.

— Nie, raczej nie. Chciałbym wyruszyć wcześniej, gdzieś o wpół do siódmej, tak żeby zdążyć nim zacznie się ruch na autostradzie. Jeśli wyjedziemy tak jak planuję, dotrzemy do mamy koło południa, akurat na Junch. Mogę nawet posiedzieć nad papierami w sobotę po południu. W niedzielę będziemy się lenili, a do Londynu wrócimy z mamą w poniedziałek rano.

— Ale jakim cudem dotrzemy jutro do Yorku? Nie mamy samochodu, a twoja matka już wyjechała. Mówiła, że najpóźniej o ósmej chce być w drodze.

— Tak, wiem o tym. Ale to nie problem, pamiętaj, że mieszkamy w hotelu i to jednym z najlepszych na świecie.

Wstał i podszedł do biurka.

— Zaraz zadzwonię do recepcjonisty i zamówię samochód z kierowcą na jutro o wpół do siódmej. Jak to brzmi?

— Cudownie — odparłam, uśmiechając się do niego. — I Diana będzie uszczęśliwiona, że spędzimy z nią weekend.

— Nie robi ci szczególnej różnicy, czy twój ojciec ożeni się z Gwenny Reece-Jones czy nie, prawda, Mal? — spytał Robert, zgasiwszy lampkę nocną i przykrywając się kołdrą.

— Nie, właściwie nie — odparłam po krótkim namyśle. — Po prostu chcę, żeby był szczęśliwy, to wszystko.

— Jest bardzo miła.

— A mówiłeś, że jej nie pamiętasz.

— Początkowo jej sobie nie skojarzyłem. Ale przez ostatnich kilka godzin coraz lepiej ją sobie przypominałem i teraz już prawie wszystko odtworzyłem. Mama zna ją od lat. Starsza siostra Gwenny, Gladys, studiowała z mamą w Oksfordzie, stąd ta znajomość. Kiedy byłem mały, często je odwiedzaliśmy. Jak przez

mgłę przypominam sobie stary, bardzo piękny dom w Welsh Marshes.

— Mama wspomniała o nim wcześniej. Ale mów dalej, skoro odtworzyłeś sobie wszystko. Jak ona wygląda?

— Wysoka, szczupła. Ciemna, jak większość Walińczyków, z dość miłą twarzą, łagodną. I pamiętam ładne oczy, chyba brązowe, duże i głębokie. Ale dziwacznie się ubierała.

— To znaczy, jak?

— Długie powiewne spódnice, kozaki, chłopskie bluzki, szaliczki, dyndające kolczyki i wielgachne kamizele. — W ciemności usłyszałam jego śmiech, później podjął rozbawionym tonem: — Teraz myślę, że stanowiła skrzyżowanie Cyganki z rosyjską chłopką i hipiską. To znaczy, z wyglądu. I ogromnie ekscentryczna. Ale nie zrozum mnie źle, strasznie była kochana. I zapewne taka pozostała.

— Tak, do tego utalentowana, przynajmniej tak twierdziła twoja matka.

— Mał?

— Tak, kochanie?

— Nie wyrażaj się o Gwenny z taką niechęcią. Wiem, że rozdrażniło cię, że ojciec ci się nie zwierzył, ale jestem pewien, że zrobił tak tylko dlatego, że nie chciał cię zawstydzić albo zasmucić. Mama miała rację.

— Chyba tak. I nie chciałam wyrażać się o Gwenny z niechęcią. Cieszę się, że tato ją znalazł. Mam nadzieję, że wkrótce ją poznam. W przyszłym roku tato może spędzi w Meksyku sześć miesięcy. Wtedy powinien częściej zaglądać do Nowego Jorku.

— Czyżby przyjął zaproszenie uniwersytetu Los Angeles do udziału w wykopaliskach w Yaxuna?

— Możliwe. W końcu, jak wiesz, już od dawna interesowała go cywilizacja Majów i sądzę, że chętnie wyrwie się ze Środkowego Wschodu. W ostatnim liście napisał, że ma go po dziurki w nosie.

— Wcale mu się nie dziwię.

— Mam nadzieję, że pojedzie do Meksyku. I że ożeni się z Gwenny i będą spędzać u nas jak najwięcej czasu. Bliźniętom

wyjdzie na dobre, jeśli bliżej poznają dziadka, a jestem pewna, że Gwenny okaże się doskonałym kompanem. Tak przynajmniej wnioskowałam z opowieści Diany — że Gwenny lubi się bawić. Słuchaj, Robert, możliwe, że tato przyjedzie do Yorku na święta. Zresztą Diana mówiła, że zadzwoni do Gwenny i oboje ich zaprosi. To byłoby miłe, jak uważasz?

Robert nie odpowiedział i wtedy zdałam sobie sprawę, że zasnął. Oddychał równo i głęboko, co wcale mnie nie zaskoczyło. Był taki wyczerpany. Prawdziwy cud, że nie zasnął przy kolacji.

Leżałam przy nim w ciemnościach, myśląc o ojcu i Gwenny. Miałam nadzieję, że są szczęśliwi. Jednego na tym niepewnym świecie byłam pewna: że mama jest szczęśliwa z Davidem Nelsonem. Początkowo miałam co do niego trochę wątpliwości, jako że był prawnikiem i występując w sprawach kryminalnych zdobył znaczną sławę; wydawał mi się przemądrzały, twardy, trochę śliski. Tymczasem okazał się przemiłym mężczyzną, zupełnie innym, niż uznałam na początku. Czarujący, ale nie przesłodzony, inteligentny, ale nie nadęty, błyskotliwy, ale bez ostentacji. Miał spore poczucie humoru, ale przede wszystkim był dobrym, wrażliwym człowiekiem, obdarzonym umiejętnością rozumienia i przenikania ludzi. Uwielbiał matkę, ona jego też; tyle mi wystarczyło.

Zapadłam w sen z uśmiechem na twarzy, myśląc o tym, jak to dobrze, że mama w wieku sześćdziesięciu jeden lat rozpoczęła zupełnie nowe życie.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Całą drogę do Yorku Robert ślezczał nad papierami. Ukołysana przez ciepło i ruch samochodu przysnęłam, podczas gdy wóz mknął autostradą na północ. Kiedy się ocknęłam i spojrzałam na zegarek, dochodziło wpół do dziesiątej.

— Jedziemy ponad trzy i pół godziny — zwróciłam się do Roberta, zaskoczona. — Musimy już być w Yorku, prawda?

— Jeszcze jak, kiciu — potwierdził, odrywając wzrok od dokumentów rozłożonych na kolanach i posyłając mi lekki uśmiech. — Przespałaś większą część drogi. W każdym razie Harrogate minęliśmy już dawno temu.

Obróciłam głowę i wyjrzałam przez okno. Ranek był jasny i słoneczny; niebo nad nami miało delikatny odcień błękitu, a dalej, nad zielonymi dolinami, było niemal białe. Kiedy tak dalej wyglądałam przez szybę, zachwycając się pięknem poranka, ogarnęło mnie nagłe podniecenie na myśl, że wkrótce spotkamy się z Dianą w jej rozkoszonym starym domu tuż za West Tanfield.

Od początku naszego małżeństwa przynajmniej raz w roku przyjeżdżaliśmy z Robertem na wakacje do Anglii i nigdy jej nie opuściliśmy bez wycieczki do Yorku. W ciągu dziesięciu lat pokočałam to rozległe, największe w Anglii hrabstwo, gdzie znajdowały się zielone doliny, wielkie wrzosowiska, wyniosłe turnie, zażytkowe katedry i romantyczne ruiny średniowiecznych opactw. Był to bogaty zakątek kraju, z niezmiernymi połaciami żyznej, uprawnej ziemi i rozbudowanym przemysłem. W żadnym innym

hrabstwie Wielkiej Brytanii nie postawiono tylu zamków i siedzib rodowych. Nauczyłam się także szacunku i podziwu dla jego zaradnych i roztropnych mieszkańców, którzy słynęli z pragmatyzmu, ostrych języków i gościnności.

Wensleydale i dolinę Ure, przez które właśnie przejeżdżaliśmy, znałam najlepiej, ponieważ właśnie tu znajdowało się gniazdo rodu Keswicków. Dom był w rękach rodziny od ponad czterech wieków; Michael i Diana, choć po swoim wczesnym ślubie osiedlili się w Londynie, prawie każdy weekend spędzali tutaj, z rodzicami Michaela, podobnie jak wszystkie większe święta.

Robert — tak jak większość Keswicków — przyszedł na świat w siedzibie rodu.

— Moja matka dopilnowała, by poród odbył się w Yorku nie tylko ze względu na tradycję rodzinną, ale także ze względu na krykieta — stwierdził nieco tajemniczo w czasie mojej pierwszej wizyty w West Tanfield, gdy przyjechaliśmy do Anglii w podróż poślubną.

Spytałam go, co miał na myśli mówiąc o krykiecie, a on parsknął śmiechem i wyjaśnił:

— Krykiet narodził się w Yorku, Mal. Ojciec i dziadek chcieli, żebym przyszedł na świat w hrabstwie, bowiem tylko mężczyźni, którzy urodzili się w granicach hrabstwa Yorku, potrafią naprawdę grać w krykieta. Obaj mieli względem mnie wielkie oczekiwania. Mieli nadzieję, modlili się, żebym wyrósł na drugiego Lena Huttona albo Freddy'ego Truemana. Bo musisz wiedzieć, że tato i dziadek byli maniakami na tym punkcie.

A ponieważ nie miałam pojęcia o krykiecie, Robert musiał mi wyjaśnić, że Hutton i Trueman to sławni na całym świecie gracze z Yorku, którzy grali w reprezentacji Anglii i zostali mistrzami kraju.

Tak się złożyło, że Robert przepadał za krykiem i grał w niego za szkolnych czasów.

— Ale nigdy nie byłem wyjątkowy, grałem przeciętnie. Po prostu brakowało mi talentu — wyznał mi przy innej okazji, pewnego letniego dnia następnego roku, kiedy zabrał mnie do Lords na pierwszy mecz.

Dalej wyglądałam przez okno. Przed oczami mignęła mi lśniąca wieża katedry w Ripon, rysująca się wyraziście na błękitnym niebie. Katedra należy do najbardziej wyjątkowych budowli, jakie kiedykolwiek widziałam. To tu ochrzczono mego męża, tu pobrali się jego rodzice. Teraz jej wysoka wieża mówiła mi, że do rodzinnego domu Keswicków zostało nam jakieś pół godziny jazdy.

— Jestem głodny — odezwał się Robert, przerywając mi zadumę. — Mam nadzieję, że pocziwa Parky przygotowała dla nas dobre śniadanko. Zjadłbym konia z kopytami.

— Wcale ci się nie dziwię — roześmiałam się. — Ja też jestem dość głodna; tak wcześnie wyjechaliśmy z Londynu. Mam nadzieję, że ten recepcjonista zadzwonił do Diany, tak jak go prosiłeś. Nienawidzę przyjeżdżać nie zapowiedziana.

— Wielki Boże, Mal, kiedy ty zmądrzejesz? Gotów jestem ryzykować własną głowę za słowność recepcjonistów z „Claridge”. Są prawdziwą solą ziemi, można im zaufać.

— Zgadza się. Ale mimo wszystko może powinniśmy byli zatrzymać się w drodze i sami zadzwonić.

— Nie ma potrzeby, słodyczko. A poza tym nic by się nie stało, gdybyśmy się zjawili nie zapowiedziani. Na miłość boską, przecież jedziemy do mojej matki.

Skinęłam tylko głową, a potem sięgnęłam po torebkę. Wyjęłam puderniczkę, upudrowałam nos i nałożyłam odrobinę szminki. Oparłam się wygodniej i znowu wyjrzałam przez szybę. Jechaliśmy przez targowisko w Ripon. Tutaj co wieczór o dziewiątej, na każdym rogu malutkiego, czystego placu trębacz w kostiumie z jakiejś zamierzchłej epoki ogłaszał porę gaszenia świateł. Była to wiekowa tradycja, którą Anglicy starannie kultywowali, a którą Amerykanie, także i ja, uważali za dziwactwo.

W chwilę potem zostawiliśmy za sobą centrum miasta. Pilotowany przez Roberta kierowca skręcił w kierunku Middleham i wkrótce znowu znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Tu, między Ripon a Middleham, bliżej tego ostatniego, znajdowało się miejsce słynące ze swych stajni, gdzie hodowano i układało wspaniałe konie wyścigowe; była to także skarbnica historii,



znana w czasach Edwarda IV i Ryszarda III Plantagenetów jako „Windsor północy”.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedziała cicho, kiedy samochód przetoczył się po kamiennym moście nad rzeką Ure i wjechał w główną ulicę West Tanfield, typowego miasteczka w dolinie: czarującego, malowniczego i bardzo, bardzo starego.

Spojrzałam w lewo, gdzie rozciągał się znajomy widok: ciąg ślicznych kamiennych domków z dachami krytymi czerwoną dachówką, stojących nad brzegiem rzeki. Zielone trawniki dochodziły do samej wody. Dalej, na tle bladego zimowego nieba rysowała się sylwetka starego, romańskiego kościoła i wieży Marmion, otoczonych przez stare dęby, jesiony i sosny.

Wyciągnęłam rękę i ścisnęłam dłoń Roberta. Wiedziałam, jak bardzo kocha to miejsce. Uśmiechnął się, zaczął składać papiery i wrzucać je do aktówki.

— Dużo zrobiłeś? — spytałam, gdy już zamknął walizkę.

— Tak. Podejrzewam, że nawet więcej, niżbym zrobił w tym przeklętym biurze. Cieszę się, że mama tak mnie wczoraj docisnęła i że w końcu się zdecydowałem, byśmy spędzili z nią ten weekend. Obojgu nam wyjdzie to na zdrowie.

— Tak, na pewno. A jutro może wybierzemy się na przejażdżkę konną.

— Dobry pomysł, Mal. Pojedziemy do Middleham i przyłączymy się do stajennych i dżokejów trenujących konie wyścigowe. Oczywiście, o ile znowu się zgodzisz wstać wcześniej.

— Ja przecież zawsze wcześniej wstaję, zapomniałeś? — roześmiałam się. — Oj, Robert, ależ ja jestem głupia. Zapomniałam. Przecież nie mamy ubrań do konnej jazdy!

— Nie przejmuj się. Na pewno zostały u mamy jakieś moje ubrania z zamierzchłych czasów. Pewnie są nieźle zakurzone, ale ujdą w tłoku, a tobie mama pożyczy buty i jakieś dzinsy albo stare bryczesy. Do tego ma furi ciepłych marynarek, kurtek wszelkich kolorów i maści. Poradzimy sobie.

— Tak, będzie świetnie. — Przyjrzałam mu się uważnie i spytałam: — Czy dobrze jest wracać do domu?

Między jego równymi gęstymi brwiami pojawiła się zmarszczka, gdy patrzył mi prosto w oczy i mówił:

— Teraz, Mal, dla mnie dom jest wszędzie tam, gdzie jesteś ty. Ty i bliźnięta. — Pochylił się, pocałował mnie w policzek i dodał: — Ale tak, rzeczywiście, dobrze jest znowu znaleźć się w Yorku, wrócić do miejsca narodzin. Przypuszczam, że wszyscy tak się czują, to atawizm. Naturalna rzecz, prawda?

— Tak — przyznałam.

Odwrociłam się od niego i patrzyłam prosto przed siebie, nad ramieniem kierowcy, przez przednią szybę. Miasteczko zostawiłszy za sobą dobre dziesięć minut temu, teraz jechaliśmy drogą wśród wrzosowisk Coverdale i wysokich grani. Droga skręciła. Widziałam na wprost siebie wysoki kamienny mur, bramę z kutego żelaza, a za nią długi podjazd do domu Diany.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Minęliśmy bramę i pięliśmy się drogą — wolno, ponieważ często kręciły się tu owce i zabłąkane jelenie. W oddali czasem mignął mi fragment domu, wysokie kominy rysujące się na tle nieba.

Nazywał się Kilgram Chase. Zawsze nosił tę nazwę, od samego początku. Wybudowany w 1563 roku, pięć lat po wstąpieniu na tron Elżbiety I, miał typowy kształt budowli z okresu Tudorów. Solidny kamienny budynek na planie kwadratu, ale zgrabny, z licznymi oknami, wysokimi kominami, ostrymi szczytami i kwadratowymi wieżami na rogach. W każdej zwieńczonej blankami wieży znajdowały się tylko po dwa okna rozdzielone kamiennymi kolumnkami, za to olbrzymie, doprawdy imponujące, co zapewniało wyjątkowe oświetlenie w pomieszczeniach.

Kilgram Chase ze wszystkich stron otaczał park, zielone trawniki i pastwiska ciągnące się aż do żelaznej bramy, którą dopiero co przejeżdżaliśmy. Park z trzech stron przechodził w gęsty las, wyżej wznosiły się wrzosowiska, a nad nimi ogromne skały. Tak oto dom, park i drzewa schroniły się w niewielkiej dolinie, której zbocza osłaniały je przed wiatrem, a w przeszłości również przed rabusiami, jako że do budynku i parku można się było dostać jedynie przez bramę.

Kiedy pierwszy raz tu przyjechałam, byłam, co oczywiste, zaintrygowana rodzinnym domem Roberta. Diana oprowadziła mnie wtedy po nim, odpowiedziała na każde pytanie dotyczące domu i rodziny. Była dumna z Kilgram Chase i doskonale знаła jego historię.

Część nietypowej nazwy dom zawdzięczał swemu budowniczemu sprzed 425 lat, tutejszemu rycerzowi, Sir Johnowi Kilgramowi. Bliski przyjaciel Roberta Dudleya, earl Leicester, należał do zwolenników Elżbiety I i był jednym z „nowych ludzi”, jak ich określano w kręgach polityków pałacowych. Kilgram otrzymał olbrzymi park i lasy na mocy dekretu Elżbiety, w zamian za szczególne zasługi dla Korony. Ale na długo przed rządami Elżbiety z rodu Tudorów, kiedy krajem władali jeszcze Plantageneci, był tu *chase*, to znaczy przestrzeń, na którą spędzano dzikie zwierzęta, aby tutejsza szlachta mogła na nie polować. Później tereny przeszły na własność mnichów z pobliskiego opactwa Fountains. Zakonnikom odebrano ziemie, gdy ojciec Elżbiety, król Henryk VIII, dokonał sekularyzacji dóbr kościelnych. Po rozwiązaniu zakonów ich włości stały się własnością Korony.

Keswickowie weszli w posiadanie domu i majątku legalnie: poprzez małżeństwo, które zawarto latem 1589 roku. Sir John miał tylko jedno dziecko, córkę o imieniu Jane, a kiedy wyszła za mąż za Daniela Keswicka, syna ziemianina, ofiarował małżonkom Kilgram Chase jako część jej wiana. Od tamtej pory Kilgram Chase pozostał w rękach rodziny, przechodził z pokolenia na pokolenie. Pewnego dnia stanie się własnością Roberta, potem Jamiego, a następnie jego syna, o ile będzie go miał.

Diana nazywała Kilgram Chase typową wiejską rezydencją i stale się upierała, że mimo swego prestiżu i historycznego znaczenia nie jest wcale wielki. I miała rację. Z architektonicznego punktu widzenia został wyjątkowo dobrze zaprojektowany, a w porównaniu z niektórymi rezydencjami w Yorku był dość mały. Mimo to już od dawna Dianie trudno przychodziło jego utrzymanie. Nie bez znaczenia były tu koszty, jakie pociągało za sobą utrzymanie całości w dobrym stanie. Dlatego mieszkała tylko w dwóch skrzydłach, pozostałe dwa zamykając na większą część roku.

W prowadzeniu domu pomagali jej Joe i Edith Parkinsonowie, którzy już od ponad trzydziestu lat mieszkali i pracowali w Kilgram Chase. Wraz z córką, Hilary Broadbent, troszczyli się o wnętrze, tak w otwartej jak i zamkniętej części domu, zajmowa-

li się praniem i gotowaniem. Joe pełnił także funkcję złotej rączki, oprócz tego pracował na dworze, doglądał obu koni Diany i dbał o czystość stajni.

Mąż Hilary, Ben, i jego brat Wilf byli ogrodnikami odpowiedzialnymi za park. Kosili trawniki, pracowali w ogrodzie przy kwiatach, przycinali drzewa w sadzie, raz w roku czyścili staw i dbali, by otoczony murem ogród różany pozostał chlubą majątku, jak to było od setek lat.

Róże to moje ulubione kwiaty i zawsze ciągnęło mnie do tej części Kilgram Chase. Ale nie tym razem. Wiedziałam, że czeka mnie tam smutny widok, że wszystko, podobnie jak w Indiańskiej Dolinie, będzie bez życia i koloru, bure i wypłowiałe. Dla takiego ogrodnika jak ja te chłodne, ponure miesiące, kiedy ziemia jest twarda jak stal, powietrze ostre od mrozu, a wszystkie rośliny śpią nieruchomo, stanowią martwy okres.

Wyglądając przez szybę samochodu zauważyłam, że większość potężnych dębów, które rosły wzdłuż drogi, już zrzuciła liście, że zima wprowadziła się tu na dobre. Wszystko obumierało. Zima to pora śmierci w ogrodach i na wsi; zupełnie nieoczekiwanie ogarnęła mnie melancholia. Wzdrygnęłam się i mocniej otuliłam płaszczem. Ale zimowa śmierć pól oznaczała jedynie powtórne narodziny wiosną, upominałam się w duchu, próbując się otrząsnąć z tego dziwnego przygnębienia, które mnie ogarnęło. Znowu się wzdrygnęłam. Widać jakaś biedna dusza przeszła właśnie po moim grobie — pomyślałam.

W chwilę później smutek zniknął, bowiem przed nami wyrósł dom w całej okazałości. Stał w cieniu wrzosowisk, dumny, pozornie nie zmieniony przez te wszystkie wieki. Moje serce rozradowało się na widok tej starej, kochanej siedziby. Jasne kamienie błyszcząły złościście w świetle poranka, słońce odbijało się w oknach. Uniosłam wzrok i zobaczyłam dym dobywający się z kominów, rozwijający się niczym szaroniebieska wstążka, rzucona bez troski na jedwabiste, pogodne niebo.

Ledwo samochód zdążył zatrzymać się przed frontem domu, a już wielkie dębowe drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich Diana. Na nasz widok jej twarz rozjaśniła się szczęściem.

— Cześć, mammo! — zawołał Robert.

Podbiegłam do niej, uścisnęłam mocno.

— Diano!

— Jesteś najcudowniejszą dziewczyną pod słońcem — powiedziała na powitanie — skoro udało ci się tu ściągnąć mojego upartego syna.

Roześmiałam się, odsunęłam od niej i potrząsnęłam głową.

— To nie moja zasługa, Diano, ja go nie namówiłam. On sam z własnej nieprzymuszonej woli zmienił zdanie. Późno w nocy, więc nie mogliśmy zadzwonić. A dziś rano wyjechaliśmy bardzo wcześnie, już o szóstej, i nie chcieliśmy cię budzić. Dlatego poprosiliśmy recepcjonistę, żeby zadzwonił. Zatelefnował, prawda?

— Tak, kochanie. — Obróciła się do syna, objęła go i mówiła dalej: — Liczy się, że jesteście tu oboje. Spędzimy miły weekend. Wiem już, że Parky postanowiła oboje was rozpieszczać.

Robert uśmiechnął się szeroko.

— Tego właśnie oczekiwaliśmy. Zanim zwolnię kierowcę — spytał przysuwając się bliżej — powiedz, czy mam mu kazać wrócić po nas jutro wieczorem, czy załapiemy się z tobą na powrót w poniedziałek rano?

— Oczywiście, że tak. Zresztą, nie warto tu przyjeżdżać na jedną noc. Będzie mi bardzo przyjemnie jechać do Londynu w twoim i Mal towarzystwie. Co więcej, Robert, poproszę cię, żebyś prowadził samochód przez część drogi. Dobrze, kochany?

— Masz to u mnie — odparł Robert. — I dzięki, mammo. Ach, jeszcze jedno: chcielibyśmy wyjechać w poniedziałek dość wcześnie rano. Powiedzmy, koło wpół do siódmej. Co ty na to?

— Zwykle też ruszam o tej porze.

Robert skinął głową i poszedł porozmawiać z szoferem.

Diana wzięła mnie pod ramię i poprowadziła ku kamiennym schodom, wiodącym do wejścia. Przy drzwiach stał Joe Parkinson.

— ...dobry pani — przywitał mnie, uśmiechając się szeroko. — Wspaniale widzieć panią z powrotem, niech mnie kule biją, wspaniale.

— Dziękuję, Joe. Też się cieszę, że udało nam się tu wyrwać na weekend.

— Już idę pomóc paniczowi Robertowi z walizkami. — To mówiąc, Joe pokonał ostatnie stopnie. — Nie, paniczu Robert, ja to zrobię! Już ja się nimi-k zajmę!

Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam jak Robert i Joe ściskają sobie dłonie, witając się serdecznie. Robert miał osiem lat, kiedy Parkinsonowie sprowadzili się do Kilgram Chase. Całą wiedzę o wsi i zwierzętach zawdzięczał Joemu; zawsze bardzo się przyjaźnili. Jak mawiał, Joe to prawdziwa sól ziemi, rodowity mieszkaniec Yorku: nie bojący się ciężkiej pracy, sprytny, mądry i oddany.

— Chłodno dzisiaj — powiedziała Diana, drząc i dokładniej otulając się swetrem. — No, chodźcie już, wejdziemy do środka napić się herbaty.

W małym hallu wejściowym czekały na nas Edith Parkinson, którą Robert od dziecka nazywał Parky, i jej córka, Hilary. Obie przywitały mnie ciepło, ja odpowiedziałam równie serdecznym powitaniem.

— Jaka szkoda, że nie ma z państwem maluszków, człek by uradował oczy — powiedziała Parky.

— Nie zapominaj, Parky, że przyjadą tu za miesiąc na święta — odparłam z uśmiechem. — Planujemy nawet, żeby zostać aż do Nowego Roku. Panicz Robert już mi to obiecał.

— Co za radość! — zawołała Parky, rozpromieniona. — Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę moje robaczki. Pani Keswick, w tym roku musimy postawić wielką choinkę — zwróciła się do Diany. — A Joe może odegra świętego Mikołaja: włoży swoje czerwone przebranie i brodę, tak jak to robi dla dzieci ze szkółki niedzielnej.

— Tak, to wspomniały pomysł — przyznała Diana.

Zabrawszy ode mnie płaszcz, powiesiła go w szafie w korytarzu.

— A teraz chodźmy do kuchni, Mal. Przez ostatnią godzinę Parky pichciła różne pyszności. Oczywiście, wszystko to przysmaki Roberta.

Kuchnia w Kilgram Chase jest równie stara jak sam dom i niewiele się zmieniła przez wieki. Długa, pomalowana na biało, z niskim sufitem i długimi ciemnymi belkami. Podłogę stanowiły wciąż te same kamienne płyty, tak stare, że w miejscach, gdzie od stuleci kucharki chodziły od ognia do okna, potem do drzwi i z powrotem, wytarły się w nich głębokie ścieżki.

Obszerne palenisko z wypalanych w okolicy cegieł, otoczone drewnianymi balami, mieściło się na wysokiej podmurówce, wyżej wisiała półka. Obok znajdowały się staromodne piece chlebowe. Nie korzystano z nich od lat; już dawno Diana zainstalowała agę — wspaniałą angielską obszerną kuchenkę, za którą oddałabym źrenicę oka. Zgadzałam się z teściową, że to najlepsza kuchenka na świecie, która do tego jeszcze przez cały rok ogrzewa dość duże pomieszczenie kuchenne. I bardzo dobrze, bo ta kuchnia z grubymi starymi murami i kamienną posadzką zawsze była dość chłodna, nawet latem.

Pomieszczenie kredensowe, znajdujące się tuż obok kuchni, Diana unowocześniła i przebudowała tak, by lepiej służyło jej i Parky. Wstawiła tam podwójną lodówkę, dwie zmywarki do naczyń i blaty do szykowania jedzenia. Nad nimi wisiało mnóstwo szafek nie tylko z porcelaną, ale i licznymi praktycznymi urządzeniami, bez których zgrzytają kółka kuchennej maszyny.

Za staroświeckimi oknami rozciągał się widok na trawniki, staw i nieodłączne wrzosowiska, sięgające po horyzont. Przy ścianie naprzeciwko okna rozpierał się dumnie zabytkowy walijski kredens, wypełniony po brzegi ślicznymi niebiesko-białymi talerzami. Na środku kuchni stał staromodny wiejski stół z solidnym blatem na masywnych nogach. Na nim ustawiono zielony wazon z majoliki, wypełniony gałązkami słodkogorzu.

Na półce nad paleniskiem znalazła gościnę kolekcja drewnianych i mosiężnych świeczników z białymi woskowymi świecami, poniżej wisiały przeróżne mosiężne naczynia, lśniąca w jasnych płomieniach ognia. Wszędzie można było dostrzec błyski miedzi: w foremkach, rondlach, patelniach dyndających z wieszaka przy-



czepionego do sufitu, w łyżkach, chochlach i miarkach, leżących na pomocniku.

Przepadałam za tą kuchnią, uważałam ją za jedno z najbardziej gościnnych pomieszczeń, jakie widziałam. Była nie tylko pogodna, miła, ale i dobrze urządzona. Jak mawiała Diana, to jądro domu, pomieszczenie, w którym winno się dobrze czuć.

Diana pochylała się nad Kuchenką, szykując herbatę. Podała ją na stół, ale stwierdziła, że lepiej, by się jeszcze chwilę parzyła.

— Tak, tak, panienko, proszę jeszcze nie nalewać. Musi naciągnąć — poinstruowała rruie Parky.

— Dobrze, Parky — zgodziłam się posłusznie i uśmiechnęłam do Roberta. Parky powtarzała mi to od lat.

W kuchni unosił się zapach smażącego się boczku i wspaniała woń piezonego chleba. Parky odstawiła pieczywo i herbatniki na blat, żeby trochę ostygły, i obróciła się do nas.

— W razie gdybyście się nie domyślali — stwierdziła — właśnie szykuję kanapki z bekonem. Pana ulubione, paniczu Robercie.

Uśmiechnęła się do niego serdecznie i zajęła się zdejmowaniem bekonu z patelni i przekładaniem go na duży talerz. Parky traktowała Roberta jak małego chłopca, był dla niej właściwie drugim dzieckiem.

— Co za pyszności, Parky! — krzyknął Robert i zwrócił się do mnie. — Po powrocie do Indiańskiej Doliny też musisz mi je robić, Mal.

Diana przyłączyła się do nas i zaczęła nalewać gorącą, parującą herbatę do niebiesko-białych filiżanek. W chwilę potem za nią stanęła Parky, podając gorące kanapki: grube pajdy ciepłego, świeżego chleba, hojnie posmarowane masłem, przełożone plasterkami chrupiącego bekonu.

— Czysty, żywy cholesterol — jęknął z udanym przerażeniem Robert. — Ale, Boże, jaki pyszny! — dodał po pierwszym kęsie.

— Wiem, że powinno się ich zakazać — powiedziała ze śmiechem Diana. — Ale nie jedzcie za dużo — ostrzegła. — Parky szykuje na lunch smażoną rybę z pietruszką.

— I do tego frytki — wpadła jej w słowo Parky. — A na deser kolejne ulubione danie panicza: pudding z melasy.

— O Boże, Parky, chyba umarłem i znalazłem się w niebie — zawołał, zadowolony z zamieszania, jakie wokół niego robiła. Zawsze miał do niej słabość.

— Ależ, kochany, zapomniałeś? Właśnie tu jest niebo — odparła Diana, uśmiechając się do niego z miłością.

Robert potrząsnął głową i czule pocałował ją w policzek.

— Nie, mamó, nie zapomniałem. Co więcej, jestem tu z trzema z czterech moich ulubionych kobiet.

— A która jest czwarta? — spytała szybko, przyglądając mu się podejrzliwie.

— Nie wiesz? Oczywiście moja córka — odparł, puszczając do mnie oko.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Książki znalazłam w sobotę po południu. I jakimż cennym odkryciem się okazały!

Po lunchu Diana wyruszyła do West Tanfield po zakupy. Proponowała mi, żebym się do niej przyłączyła, ale odmówiłam, wolać zostać z Robertem w Kilgram Chase. Tymczasem okazało się, że mój mąż zamierza pracować.

— Muszę przejrzeć resztę tych papierzyśk — powiedział pokazując mi aktówkę. — Przepraszam, Mal.

— Nic się nie stało — odparłam, choć byłam rozczarowana, że zamiast pójść ze mną na spacer, resztę popołudnia spędzi w gabinecie Diany, ślęcząc nad dokumentami.

— To nie potrwa długo, jakieś półtorej godziny, góra dwie.

Potrząsnął głową i stanął w progu gabinetu.

— Część to dość skomplikowane sprawy, te kwestie finansowe, o których wspominałem ci w Londynie. Przydałby mi się Jack. On o wiele lepiej ode mnie zna się na liczbach.

— Może ja mogłabym ci pomóc?

— Obawiam się, że nie — uśmiechnął się z żalem. — Nie gniewaj się, że popracuję, dobrze? Na spacer pójdziemy później, tuż przed podwieczorkiem.

— Świetnie, nie przejmuj się — powiedziałam całując go w policzek.

Skierowałam się do biblioteki, która nieodmiennie mnie fascynowała. Uwielbiałam zaglądać to tu, to tam w poszukiwaniu skarbów literatury albo rodzinnych pamiątek. Niestety, nie udało

mi się jeszcze trafić na nic szczególnie interesującego ani nadzwyczajnego.

Podobnie jak kuchnia, biblioteka niewiele się zmieniła przez te cztery wieki, tylko z pokolenia na pokolenie przybywało książek zbieranych przez Keswicków. I odnosiłam wrażenie, że oni nigdy niczego nie wyrzucali. Biblioteka była większa od pozostałych pokoi w Kilgram Chase, jako że mieściła się w jednej z kwadratowych wież, tej północno-wschodniej, z widokiem na wrzosowiska.

Pokój mierzył prawie dziesięć metrów wysokości. Kasetonowy sufit równoważyło okno wybite w głównej ścianie, wyjątkowo piękne, o niezwykłych rozmiarach i kształcie, które zapewniało doskonale światło przez cały dzień. Wyłożone jasnym dębem pomieszczenie zabudowano półkami od podłogi do sufitu. Stały na nich tysiące książek, w większości bardzo starych. Naprzeciwko okna znajdował się zgrabny kominek, przy którym ustawiono wygodne krzesła, dębowy stolik i sofę. Tuż za sofą widać było duży stół, a na nim najświeższe czasopisma, wśród nich wiele specjalistycznych, dotyczących antyków, dzisiejszy „Times”, wybór krajowych i lokalnych gazet oraz parę najnowszych powieści.

Pobieżnie przejrzałam to wszystko, ale jako że nic szczególnie mnie nie zainteresowało, zaczęłam krążyć po pokoju, przeglądając niższe półki.

W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że w bibliotece jest dość chłodno, więc drżąc lekko podeszłam do kominka, odsunęłam szyber, zapaliłam papier i szczapki pod polanami. Nie minęło parę minut, a w kominku zapłonął ogień, "wkrótce zajęły się i polana, trzaskając głośno.

W rogu pokoju dostrzegłam mahoniową drabinkę biblioteczną. Przyciągnęłam ją do kominka, wspięłam się i przejrzałam rząd książek oprawionych w ciemnozieloną skórę, których nigdy przedtem nie zauważyłam, ponieważ za wysoko stały. Ku memu rozczarowaniu okazało się, że to w większości stare atlasy i mapy Yorku oraz innych hrabstw.

Odchyliwszy głowę, zerknęłam wyżej i tuż nad sobą wypatrzyłam duży tom oprawiony w fioletową skórę. Ten królewski kolor mnie zaintrygował, wspięłam się więc wyżej, na ostatni stopień.

Wyciągnęłam rękę, próbując dosięgnąć książki. Nie miałam pojęcia, co to może być, ale oczywiście, skoro znajdowała się poza moim zasięgiem, postanowiłam, że muszę ją przejrzeć.

Spróbowałam jeszcze raz, ale zachwiałam się i omal nie spadłam. Przytrzymałam się kurczowo najbliższej półki i jakoś udało mi się odzyskać równowagę. Głęboko zaczerpnęłam tchu. Serce waliło mi jak młotem. Niewiele brakowało. Po chwili, kiedy już jako tako przyszłam do siebie, powoli, ostrożnie zesłam na dół. Nie miałam zamiaru spadać. Kiedy w końcu stanęłam pewnie obiema nogami na podłodze, odetchnęłam z ulgą. Szybko ruszyłam na poszukiwanie Joego.

Znalazłam go w kuchni, zajętego rozmową z Parky. Wyjaśniłam mu, czego potrzebuję, i wróciłam do biblioteki. Po paru minutach wszedł Joe z bardzo wysoką drabiną, którą zwykle trzymał w swoim schowku.

— Ależ ogromna — stwierdziłam, mierząc ją wzrokiem.

Skinął głową.

— Tak, tak, panienko. Potrzebna mi do czyszczenia żyrandoli. I mycia okien. Oczywiście, mam szczotkę na składanym kijku, ale to nie zawsze wystarczy. Dość spojrzeć na te okna w wieżach, jak ta tu. Diabło trudno się do nich dostać, diabło. I gdzie panience tę drabinę ustawić?

— Tutaj, Joe, jeśli możesz. Chciałabym przejrzeć książkę na tamtej półce. — Wskazałam mu miejsce. Joe poszedł za moim wzrokiem.

— Jaki ma tytuł?

— Nie wiem, ale to ta oprawiona w fioletową skórę. Obok tej z podartym, ogryzionym przez mole grzbietem.

Zauważyłam, że Joe patrzy na zupełnie inną półkę.

— Nie zwracaj sobie tym głowy, Joe, wejdę i sama ją zdejmę. Ty przytrzymasz mi drabinę, dobrze?

To mówiąc, przysunęłam się bliżej drabiny.

— O nie, panienko! Nie pozwolę pani wchodzić na górę! Niebo mi świadkiem! A gdyby tak panienka spadła? Panicz Robert by się na mnie rozgniewał aż strach, to samo pani Keswick. Wszyscy by ruszyli huzia na mnie, założę się o ostatniego szylinga. — Krę-

cił zamasyżycie głowę. — O nie, nie, nie. Nie może panienka wchodzić na drabinę. Ja panience zdejmę książkę. A teraz hop na górę i panienka mnie nakieruje, które mam wziąć.

— Dobrze — ustąpiłam.

Wiedziałam, że nie ma się co sprzeczać. Próbowалаm już nie raz, bez skutku. Joe był bardzo uparty i jeśli już raz coś sobie postanowił, to trudno było mu to wyperswadować albo namówić go do zrobienia czegoś, co mu nie odpowiadało. Najwyraźniej uznał mnie za niezdolną do wspinania się po drabinie; nie zamierzałam robić wokół tego szumu. W końcu przed chwilą omal nie spadłam z mniejszej drabinki.

Kazałam mu ustawić drabinę tuż obok półki, potem jeszcze raz pokazałam książkę.

— Widzę! — krzyknął i w zaskakującym tempie, zdumiewająco zgrabnie wspiął się po drabinie. Oczywiście bez problemu dosięgnął książki, ponieważ był ode mnie wyższy i miał o wiele dłuższe ręce.

— Co to jest, Joe? — spytałam, kiedy otworzył książkę.

— Wygląda jak książka rachunkowa za sprzęt stolarski. Piśze tu: „gwoździe — pół pensa” i jeszcze kilka innych rzeczy, ale poza tym nic ciekawego — mówił przerzucając kartki. — Jest na niej data. Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty drugi. Niech mnie kule biją, toż to ma prawie sto lat!

— Ciekawe. A co to za książka obok?

— Wygląda na kolejną księgę rachunkową. Jest w płóciennej oprawie. — Przewrócił kilka kartek i spojrzął w dół, ku mnie. — Na pewno rachunkowa. Tylko jeden zapis: „Świeże ryby — dwa pency”. Poza tym nic. Bez daty.

— A ta zniszczona, która została na półce? Ta nadgryziona przez mole. Co to jest, Joe?

Wyjął książkę. Przez chwilę ją przeglądał, wreszcie odrzekł:

— Ta wygląda na pamiętnik albo cosik w tym rodzaju.

— Pamiętnik? Czyli jest pisane ręcznie?

— Tak, ręcznie, panienko.

— Mógłbyś mi ją dać? I te dwie pozostałe też. Chciałabym rzucić na nie okiem.

— Już się robi, panienko.

Pod oknem znajdował się długi stół z ośmioma krzesłami z wysokimi oparciami, pokrytymi zielonym aksamitem. Podeszłam tam, przysunęłam jedno z krzesel i usiadłam. Joe położył książki przede mną.

— Dziękuję, Joe.

— Zostawić drabinę, panienko?

— Tak, proszę. Będziesz mógł później odłożyć książki. Kiedy już je przejrzę. Przyjdę po ciebie, gdy skończę.

Skinął głową i ruszył w stronę drzwi. Nagle zatrzymał się i obrócił na pięcie.

— Tylko niech mi panienka nie próbuje wchodzić na tę drabinę! Jak panienka będzie jeszcze chciała, cobyk jej zdjął książkę albo co, to niech mnie panienka woła.

— Dobrze, Joe, obiecuję.

Zajrzałam do obu ksiąg rachunkowych i nie znalazłam w nich niczego interesującego. Ale intrygował mnie ten pamiętnik. Skóra na grzbiecie była poprzecierana, papierowe okładki drukowane we wzór przypominający nieco liście pietruszki w różnych odcieniach brązu, ochry, rdzy i beżu. Przewróciłam kilka pierwszych, pustych stron, wreszcie natrafiłam na pisany ręcznie wstęp. Zaczęłam go czytać z rosnącym podnieceniem.

*Ja, Klarysa Keswick, żona Robina Keswicka, pani na Kilgram Chase, odnalazłam dziś dziennik i osobistą książkę gospodarską, spisaną przez żonę przodka mego drogiego Małżonka, Letycję, urodzoną w 1640, zmarłą w 1683 roku. Przypadkowo natknęłam się na jej notatki w naszej bibliotece, tu, w Kilgram Chase, kiedy mój drogi Małżonek poprosił, bym mu przyniosła egzemplarz słynnego dzieła Williama Szekspira, „Hamleta”. Słowa Letycji Keswick znalazłam wielce ciekawymi, tak więc postanowiłam przepisać je, by zachować dla potomności. To czynię dla przyszłych pokoleń rodziny, które nastaną po mię i mej rodzinie.*

*Mą pracę rozpoczęłam dziesiątego dnia sierpnia roku 1894 pod chwalebnyimi, dostatnimi rządami naszej wielkiej Królowej*

*i Cesarzowej Indii Wiktorii. Niech Bóg błogosławi Jej Wysokość i oby nam władala jak najdłużej.*

Klarysa było imieniem często nadawanym w rodzinie Keswicków, współczesną wersją tego imienia, Clarissa, nazwaliśmy i my naszą córkę, a przed nią przewinęło się mnóstwo innych Klarys. Wiktoriańska imienniczka Lissy, której eleganckie, równe pismo właśnie czytałam, była jedną z nich. Uradowana odkryciem, niecierpliwie przewróciłam kolejną kartkę i znalazłam stronę z napisanymi na środku słowami:

*Letycja Keswick  
Dziennik  
Kilgram Chase  
Hrabstwo York*

Odwróciłam kartkę i przeczytałam pierwsze słowa pamiętnika Letycji skopiowanego przez wiktoriańską Klarysę sprzed prawie stu lat.

*Ja, Letycja Keswick, rozpoczynam pisanie tego dziennika dwudziestego piątego dnia maja roku pańskiego 1660. Tego właśnie dnia cała Anglia raduje się, cieszy i weseli w sercu swoim, albowiem dziś nasz ukochany władca, Karol Stuart, z wygnania powrócił i postawił swą stopę na angielskiej ziemi w Dover.*

*I oto znowu nastanie monarchia. Władca nasz będzie ukoronowany jako Karol II, a krwawa śmierć jego ojca została wreszcie pomszczoną.*

*Śmierć zdrajcom, którzy powiedli jego ojca pod topór kata!*

*Tegoż dnia w hrabstwie Yorku oraz całej naszej ojczyźnie dzwony katedr i wszystkich kościołów głosiły chwałę Miłościwego Pana, potężnym cudem nam przywróconego. Od jednego krańca po drugi płonęły ognie, wysłańcy przemierzali kraj wzdłuż i w szerz, głosząc radosną wieść.*

*Mój drogi Małżonek zebrał nas wszystkich na modlitwie, całą służbę i rodzinę, w błękitnej wieży i zanieśliśmy wdzięczne modły*



*do naszego drogiego Pana nad Pany, za Jego dobroć i laskawość. Nasz prawdziwy Monarcha jest bezpieczny. Wszyscy na nowo powstajemy do życia.*

*Kreślę te słowa późną nocą — dawno wybiła już północ — przy blasku świeczki. Tej właśnie nocy mój ukochany Małżonek Francis przyszedł do mnie i wziął miłością cielesną i oboje wielceśmy się miłowali. Może, z Bożą pomocą, tej radosnej nocy poczęłam dziecię i z naszej wielkiej radości i miłości narodzi się kolejny potomek. O to modli się mój Pan i Małżonek, o to ija błagam i jeśli Bóg okaże nam laskawość, wkrótce przyjdzie na świat tak oczekiwań syn, dziedzic, który podtrzyma dumę Keswicków. Modlę się, by tak się stało. Modlę.*

*Świeczka już gaśnie. Mój Małżonek śpi. Na ciemnym niebie świeci miesiąc biały. Jest bardzo późno. Słyszę, że mój Małżonek się porusza. Czas odłożyć pióro i zgasić świeczkę, sklonić głowę obok niego i dzielić jego sny. Tak też uczynię. Jutro znów sięgnę po pióro, by skreślić słów więcej.*

Czytałam łapczywie, oczy prześlizgiwały się po słowach, przewracałam stronę za stroną. Zafascynowana opisem życia codziennego w siedemnastowiecznym Yorku, chciałam się dowiedzieć więcej i więcej. W dzienniku były jeszcze krótkie notatki z końca czerwca, potem Letycja opisała parę dni z sierpnia. Znowu opowiadała o swym codziennym życiu, o dwóch córeczkach, Racheli i Wioli, o zajęciach żony posiadacza ziemskiego oraz pani na włościach. Ostatni wpis z sierpnia to radosna informacja, iż spodziewa się dziecka i ma nadzieję, że będzie to syn.

Na chwilę przerwałam lekturę i zapatrzyłam się przez okno. Nic się nie zmieniło. Mamy te same marzenia, nadzieje i pragnienia jak ci, którzy żyli tyle wieków przed nami. Oto siedzę tu dziś, w 1988 roku, i czytam o pragnieniu Letycji posiadania dziecka w 1660 roku. Po tym zapisku Letycja zбочyła na inne tematy; teraz zapełniała strony radami gospodarskimi, na które ledwo rzuciłam okiem, potem wyliczała przeróżne przepisy — na potpourri, pomadki z suszonych płatków kwiatów, ziół, niektórych owoców i przypraw. Opisywała także sposoby robienia świec

z pszczelego wosku i mydła; znalazłam też staranne notatki dotyczące ziół: słodko pachnące do odświeżania pokoi i szaf, inne do sporządzania olejków na różne dolegliwości, jeszcze inne do poprawiania smaku potraw.

Następny rozdział Letycja poświęciła konfiturom. Poznałam przepisy na dżem rabarbarowo-agrestowy, galaretkę z pigwy, galaretkę z jagód, sosy i jabłka na ostro. Znowu tylko rzuciłam okiem na te strony i szukałam dalej.

W końcu wróciła do opisywania codziennego życia. Z zapartym tchem pochłaniałam opisy różnych zajęć rodzinnych, robótek i haftów Letycji, polowań i doskonalenia się w strzelaniu jej męża, jego umiejętności doglądania koni. Pisała o zimowym zrównaniu dnia z nocą, pogodzie, swej trudnej ciąży. Ale nim przystąpiła do opowiadania o swoich losach w 1661 roku, ponownie przez dłuższy czas zapełniała niezliczone stronicie recepturami na sporządzanie ciast, deserów, domowego wina, a nawet piwa.

Pod wieloma względami dziennik stanowił prawdziwą skarbnicę wiedzy. Niestety, nie miałam czasu starannie i w całości go przeczytać. Dlatego resztę tylko przerzuciłam, nieustannie podziwiając piękne, kaligraficzne pismo Klarysy. Ani jednej krzywo postawionej literki. Jej kopia była nieskazitelna, stanowiła prawdziwe dzieło sztuki.

W końcu znowu trafiłam na osobiste notatki Letycji Keswick: zaczynały się na początku 1661 roku, kończyły wiosną. Pisała o długim i ciężkim porodzie zakończonym narodzinami syna, Milesa, w kwietniu tamtego roku, o urodzinach męża w maju.

Ostatni wpis nosił datę 29 maja. Po nim nie było nic, bo skończył się zeszyt. Zapisała go cały.

Po raz kolejny ogarnęło mnie rozczarowanie, ale po jakimś czasie dotarło do mnie, że pamiętnik się skończył tylko dlatego, że zabrakło stron. Z pewnością Letycja dalej go prowadziła, bowiem była urodzoną pisarką, obdarzoną lekkim piórem i wspinała umiejętnością obserwacji. Pisała naturalnie, tak że odnosiło się wrażenie, że rozmawia z czytelnikiem. Gdzieś w tej bibliotece musi być kolejny tom i Klarysa niewątpliwie znalazła go i przepi-

sala. Podobnie jak mnie musiała ją zjadać ciekawość, co wydarzyło się dalej.

Zerwałam się od stołu i zaaferowana ruszyłam do drabiny, zapominając o zakazie Joego. Jego ostrzeżenie przed wdrapywaniem się na drabinę przypomniało mi się, dopiero gdy stałam na przedostatnim stopniu. Nie odważyłam się wejść wyżej, bałam się, że mogę spaść. I bez tego znalazłam się dość wysoko, tak mi się przynajmniej wydawało. Stałam tuż pod półką, z której Joe wyjął księgi rachunkowe i pamiętnik, tak że bez trudu czytałam tytuły książek. Były tam dwie powieści Thomasa Hardy'ego, trzy siostr Bronte, sześć Karola Dickensa, a także tom sonetów Szekspira. I nic poza tym, tylko dziura w miejscu, gdzie stały księgi rachunkowe i dziennik Letycji.

A ponieważ bardzo mi się spodobały sonety, oprawione we wspaniałą czerwoną skórę ze złotymi literami, zdjęłam je z półki. I wtedy ją zobaczyłam. Małą grubą książeczkę w okładce z czarnej skóry. Leżała tuż za powieściami sióstr Bronte, w głębi. Przez moment sądziłam, że to Biblia, ale kiedy uważniej jej się przyjrzałam, zobaczyłam, że wierzch nie ma żadnych tłoczeń. Żadnych złotych liter, którymi byłby wypisany tytuł.

Ostrożnie balansując na szczycie drabiny, otworzyłam czarną książeczkę. Serce zabiło mi szybciej. Natychmiast go rozpoznałam. To oryginalny dziennik Letycji, spisany jej własną dłonią, ten, który Klarysa tak starannie skopiowała w 1893 roku. Szukałam jeszcze za tomami sióstr Bronte, Hardy'ego i Dickensa, ale niczego nie znalazłam. Mocno ściskając w dłoni pamiętnik, ostrożnie zeszłam na dół i podbiegłam do stołu przy oknie. Usiadłam i otworzyłam oryginalny dziennik Letycji Keswick. Wpatrywałam się w niego z nabożeństwem, ostrożnie przewracając kartki w obawie, by ich nie zniszczyć zbyt gwałtownymi ruchami.

Dziennik liczył sobie ponad trzysta lat, ale ku memu zdumieniu dotrwał do naszych czasów w doskonałym stanie. Niektóre strony trochę się kruszyły, od czasu do czasu zauważałam dziury po molach, lecz mimo to w większości był cudownie zachowany.

Prawdziwy cud, że tyle przetrzymał. Choć z drugiej strony, przecież nikt nie wiedział o jego istnieniu, nikt nie trzymał go

w ręce. Oczywiście z wyjątkiem Klarysy, która go odnalazła, przepisała i zapewne odłożyła z powrotem na półkę. Poza tym w bibliotece od stuleci utrzymywała się stała temperatura; zawsze było tam chłodno i sucho. Ani siadu wilgoci, a ciepło kominka z pewnością nie wyrządziło książkom szkody, jako że z trudem ogrzewało pomieszczenie. W takim razie nic dziwnego, że siedemnastowieczny dziennik tak dobrze się zachował.

Swój pamiętnik Letycja sporządziła typowym dla epoki starannym i pełnym zawijasów pismem, lecz litery były dość czytelne. Z zachwytem odkryłam też, że manuskrypt zawierał zgrabne szkice i akwarelowe obrazki kwiatów, owadów, ziół i innych płodów z ogródka Letycji.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że natrafiłam na prawdziwy skarb. Oczywiście wartość przedstawiał wyłącznie dla rodziny Keswicków i tylko oni przeczytają go z zainteresowaniem. Nie mogłam się doczekać, kiedy pokażę go Dianie i Robertowi.

Zerknęłam na zegarek i stwierdziłam, że przesiedziałam nad dziennikiem ponad półtorej godziny. Dochodziła czwarta. Wstałam i poszłam korytarzem do gabinetu Diany. Ponura mina rozmawiającego przez telefon Roberta mówiła sama za siebie. Na pewno konsultował się z Jackiem Underwoodem, który siedział jeszcze w Nowym Jorku. Choć głos mój mąż miał opanowany, brzmiała w nim lodowata pasja; nawet nie zauważył, że uchyliłam drzwi. Zamknęłam je cicho, uznając, że będzie roztropniej zostawić go sam na sam ze sprawami zawodowymi.

Za to ja naprawdę potrzebowałam łyku świeżego powietrza po długiej podróży z Londynu i całym dniem spędzonym w domu. Usiadłam na ławce w przedsionku, zdjęłam buty, pożyczycyłam sobie parę zielonych ocieplanych gumiaków Diany i wzięłam z wieszaka jej kurtkę. Przepadałam za tymi obszytymi runem, impregnowanymi, ogromnie wygodnymi kurtkami, które można nosić przy każdej pogodzie. W kieszeniach były wełniane rękawiczki. Włożyłam je, zabrałam też czerwony wełniany szalik, zarzuciłam wokół szyi i wyszłam bocznymi drzwiami.

Na dworze panował przenikliwy chłód. Poranne słońce już dawno zniknęło, niebo było wyblakłe, prawie bez koloru. Wokół siebie czułam typowe zapachy jesieni: wilgoci, gnijących liści, gryzącego dymu. Gdzieś niedaleko jeden z ogrodników rozpalił ognisko. Właśnie o tej porze roku puszczano z dymem suche liście, obumarłe rośliny i korzenie oraz wszelkiego rodzaju odpadki; sama tydzień temu urządziłam taki stos w Indiańskiej Dolinie.

Za rogiem domu niemal wpadłam na Wilfa, który zgarniał w jedno miejsce liście, szykując je do spalenia. Krzyknęłam przestraszona. Uniósł głowę.

— Ach, to pani, panienko. — Dotknął daszka czapki i uśmiechnął się szeroko. — Jak leci?

Oparł brudne ręce na trzonku łopaty i stał z rozchyłonymi ustami, gapiąc się na mnie.

— Dziękuję, dobrze. A jak ty się czujesz, Wilf?

— Nie mogem narzekać. Trochę mnie męczy reumatyzm, ale poza tym w porządku. Dużo czasu upłynie, nim będę wachać kwiatki od spodu.

Roześmiał się. Zabrzmiało to jak skrzek.

— Miło mi to słyszeć.

Coś dziwnego było w Wilfie Broadbencie. Zawsze, gdy ze mną rozmawiał, w jego oczach pojawiał się dziwaczny błysk. Moim zdaniem był niespełna rozumu. Robert twierdził, że to zwykły kiep — tak w Yorku określano kogoś głupiego i tępego. Ale Diana zawsze śmiała się z nas, kiedy słyszała te rozmowy. Jej zdaniem Wilf kwalifikował się do miana soli ziemi. Skinęłam mu na pożegnanie głową i czmychnęłam w stronę stawu.

Kiedy się zbliżyłam, cztery brązowe kaczki odpłynęły ku drugiemu brzegowi. Przyglądałam się, jak pracowicie machają nogami i zastanawiałam się, czy staw zamarźnie do świąt. Bliźnięta tak bardzo pragnęły pojeździć na nim na łyżwach, tak jak to w dzieciństwie robił ich tato. Ja jednak wątpiłam, by ochłodziło się na tyle, by woda zamarzała.

Postanowiłam obejść staw. Myślami błądziłam wokół Letycji i Klarysy, żon Keswicków, które przeżyły tu całe swoje życie. Gdyby ściany mogły mówić, ileż sekretów by zdradziły, jakież

opowieści by snuły! Choć z drugiej strony, pamiętnik także mówił, prawda? Przez krótką chwilę, to fakt, ale przecież opowiadała 0 przeszłości, przekazał mi fragment rodzinnej historii.

Nawet krótki wstęp Klarysy i to, że tak skrupulatnie przepisała dziennik, wiele mi o niej mówił. Musiała być dobrą, sumienną kobietą, żyjącą w bojaźni bożej, ale także osobą obdarzoną inteligencją i wrażliwym sercem. Na pewno wysoko sobie ceniła ten pamiętnik, rozumiała, co znaczy dla rodziny. A równocześnie zdawała sobie sprawę, że oryginał może ulec niszczącemu wpływowi czasu. Oczywiście brakowało jej talentu artystycznego, bo nie skopiowała rysunków ani akwareli, ale to bez znaczenia.

A co dziennik mówił o samej autorce?

Po pierwsze i najważniejsze, że Letycja była urodzoną pisarką, wykształconą, posiadającą dogłębną znajomość języka i świadomość jego piękna. Miała to we krwi i potrafiła skorzystać ze swego daru. Ilustracje wskazywały na talent artystyczny, rady i przepisy kazały domyślać się w niej dobrej pani domu i kucharki, a także świetnej zielarki oraz producentki win. Liczne wzmianki o mężu i dzieciach świadczyły, że była kochającą żoną i matką. Poza tym musiała mieć zacięcie polityczne; dowodziły tego liczne wzmianki na temat obrad parlamentu i kąśliwe uwagi, a już z pewnością była rojalistką do szpiku kości, skoro tak cieszyła się, kiedy Karol Stuart powrócił do Anglii, by zasiąść na tronie.

Znowu pomyślałam, że gdzieś w olbrzymiej bibliotece musi znajdować się kolejny tom jej dzienników. Urodzona pisarka nie mogła przerwać pisania w pół słowa. Ale jak go odszukać wśród tysięcy książek na setkach półek?

Teraz nie miałam na to czasu — ani dziś, ani jutro. Może kiedy przyjedziemy na święta. Dziennik wart był podjęcia tego wysiłku. W końcu uważałam go za mały skarb. Wiedziałam, że Diana będzie zaintrygowana i Robert też — o ile uda mi się go oderwać od tej okropnej aktówki i sterty papierzysk. Nie miałam pojęcia, co ten przekłety Malcolm Stanley nabroił. Może, uchowaj Boże, fałszował rachunki? Jeśli tak, Robert nie cofnie się przed niczym, a Jack chętnie mu pomoże.

Idąc szeroką alejką między trawnikami, zobaczyłam, że pod dom podjeżdża samochód. Wlókł się w ślimaczym tempie pod potężnymi dębami. Wiedziałam, że to z całą pewnością nie Diana. Ona miała inny wóz.

Po chwili ja i samochód zbliżyliśmy się do siebie. Wtedy zorientowałam się, że to jasnoniebieski jaguar.

Czyżby Diana spodziewała się gościa? Byłoby dziwne, gdyby o tym nie wspomniała. Zwykle o tym mówiła, wręcz ostrzegała, w razie gdybyśmy woleli zniknąć. I Robert zazwyczaj salwował się ucieczką, jako że na ogół były to panie z kółek kościelnych, pastor z żoną, przewodnicząca klubu miłośników ogródków albo ktoś w tym rodzaju.

Samochód zwolnił, potem zatrzymał się u stóp kamiennych schodów. Poszłam tarasem, przystanęłam przed drzwiami i wycekująco patrzyłam w dół.

W końcu drzwi jaguara się uchyliły. Wysunęła się z nich kobieta.

Była wysoka, smukła, chmura ciemnych kręconych włosów otaczała jej szczupłą, ale dość pociągającą twarz. Oczy miała ciemne, przykuwające wzrok, a pełne usta umalowane jaskrawo-czerwoną szminką.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest ubrana dziwacznie, po cygańsku. Ale po chwili, kiedy uważniej się przyjrzałam, dostrzegłam w tym ubraniu sens i harmonię. W każdym razie jeśli chodzi o kolory. Kobieta miała na sobie długą zieloną spódnicę, nad nią krótki żakiet z czerwonych, zielonych, fioletowych i złotych łat. Wielobarwny surdut do konnej jazdy. Przynajmniej na taki wyglądał. Wokół szyi zamotała żółte, fioletowe i czerwone szaliki, które spływały po plecach. Buty czerwone, torebka żółta.

Nie musiano mi przedstawiać tej barwnej postaci.

Doskonale wiedziałam, kto zacz.

Gwendolyn Reece-Jones we własnej osobie.

Kochanka mego ojca.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wpatrywałyśmy się w siebie, ona i ja. I przez ułamek sekundy żadna się nie odezwała.

Po jej spojrzeniu domyśliłam się, że ona też wie, z kim ma do czynienia, że rozpoznała córkę Edwarda Jordana. choć wątpiłam, by się do tego przyznała. Z pewnością nie wyzna mi, jakiego charakteru jest ich związek, nawet nie powie, że się przyjaźnią. Wyczuwałam to instynktownie.

Ona przemówiła pierwsza.

— Szukam pani Keswick — odezwała się podchodząc do schodów. — Nieuprzejme. Tak przyjeżdżać bez uprzedzenia. Próbowałam. Telefon zajęty. Czy pani Keswick jest w domu?

Potrząsnęłam głową.

— Nie, niestety nie, pojechała rozejrzeć się po sklepach. Ale powinna wrócić lada chwila. Zechce pani wejść i poczekać?

Gweny przygryzła wargę, po jej szczupłej twarzy przemknął wyraz zakłopotania.

— Nie chciałabym się narzucać.

— Diana niedługo wróci. Z pewnością byłoby jej bardzo przykro, gdyby się z panią minęła.

— Bardzo to miłe. Tak, hmm... dziękuję pani. Może. Poczeka chwilę.

Ruszyła w górę po schodach. Kiedy znalazła się na tym samym stopniu co ja, wyciągnęła rękę.

— Gwendolyn Reece-Jones.



— Mallory Keswick — odparłam, ściskając jej dłoń.

Potem szybko obróciłam się, podeszłam do drzwi, otworzyłam je i wpuściłam gościa.

— Rozbierze się pani? — spytałam uprzejmie.

— Tylko z szalików, dziękuję — odrzekła, zdejmując trzy szale z szyi.

Powiesiłam je w szafie z ubraniami i zaprowadziłam Gwenny do saloniku obok jadalni. Był to niewielki, wygodny, sympatyczny pokój trochę w stylu wiktoriańskim, miły zakątek, w którym chętnie przesiadywaliśmy. Tu oglądaliśmy telewizję, tu zwykle piliśmy popołudniową herbatkę i drinki wieczorem.

Parły zdążyła już włączyć tu światła i rozpałiła w kominku.

— Zechce się pani rozgościć — powiedziałam — i wybaczyć, że ją na chwilę opuszczę. Muszę zmienić buty i powiedzieć Robertowi o pani wizycie. Na pewno się do nas przyłączy. Właśnie dzwoni.

— Nie ma pośpiechu. Nie trzeba sobie robić kłopotu.

Sięgnęła po najświeższy numer „Country Life”, który leżał na otomanie, i usiadła w fotelu przy kominku.

Szybko uporawszy się z kaloszami i kurtką, ruszyłam na poszukiwanie męża. Robert nadal rozmawiał przez telefon, ale tym razem zauważył mnie, gdy otworzyłam drzwi, uśmiechnął się i pytająco uniósł brwi.

— Mamy gościa — poinformowałam, wznosząc oczy ku niebu.

— Chwileczkę, Jack — rzucił do słuchawki i popatrzył na mnie, lekko się marszcząc.

— Kto to? — zapytał.

— W życiu byś nie zgadł, więc ci powiem. Gwendolyn Reece-Jones. Przyjechała do twojej matki. Próbowwała się dodzwonić, ale nie mogła. — Roześmiałam się. — Ciekawe dlaczego?

— Gwenny! — zawołał. — Niech mnie kule biją! Skoro mama jeszcze nie wróciła, poczęstuj ją herbatą, a ja za chwilę się do was przyłączę, tylko skończę z Jackiem.

Skinęłam głową.

— Pozdrów go ode mnie.

— Dobrze.

— To była Mal — usłyszałam, wychodząc z gabinetu. — Kazała cię pozdrowić. Cóż, to właściwie wszystko, brachu.

Parky znalazłam w kuchni; właśnie rozstawiała filiżanki i spodeczki na tacy. Podniosła wzrok, gdy weszłam i zatrzymałam się przy stole, przy którym pracowała.

— Cześć, Parky — odezwałam się. — Będziesz musiała dodać jeszcze jedną filiżankę i spodeczek. Właśnie przyjechała przyjaciółka pani Keswick. Pani Gwendolyn Reece-Jones. Z pewnością znasz ją dobrze. Tak czy owak, zostanie na herbacie.

— Och. Pani Reece-Jones musiała przyjechać nie zapowiedziana, inaczej pani Keswick powiedziała by mi o tym. Zawsze dokładnie mnie informuje, na ile osób nakrywać.

— Owszem, pani Reece-Jones przyjechała niespodzianie.

— Bardzo niegrzeczne, jeśli chce panienska wiedzieć — prychnęła Parky — tak wpadać bez zapowiedzenia.

Pomaszerowała do pokoju kredensowego i wróciła z dodatkowym nakryciem.

— Zwykle najpierw się telefonuje.

— Próbowała się dodzwonić — powiedziałam, powściągając uśmiech.

Bawiła mnie irytacja Parky. Ale ona zawsze była przeczulona na punkcie dobrych manier. Zdążyłam się o tym przekonać. Z niejasnych dla mnie samej powodów czułam, że muszę bronić Gwenny. Dlatego dodałam:

— Panicz Robert od ponad godziny rozmawia z Nowym Jorkiem, Parky, dlatego pani Reece-Jones nie mogła powiadomić wcześniej o swojej wizycie.

Parky tylko prychnęła pogardliwie i dalej krzątała się przy czajniczku. Jednak po chwili posłała mi ciepły uśmiech, przysunęła się bliżej i stwierdziła konfidencjonalnie:

— Przyszykowałam pyszne ciasteczka z kminkiem, panicz Robert za nimi przepada. I kanapeczki. Takie jakie lubił w dzieciństwie. Cztery rodzaje: z pomidorami, ogórkiem, sałatą i jajkami. Do tego domowe bułeczki z dżemem truskawkowym własnej roboty i gęstą śmietaną.

— Wielkie nieba, to wystarczy też i za kolację! — wykrzyknęłam.

— Przecież zawsze to podaję, panienko, niezmiennie od trzydziestu lat — oświadczyła, cofając się i patrząc na mnie zdumiona. Wyglądała na nieco zbitą z tropu.

— Podwieczorek zapowiada się wspaniale — poprawiłam się szybko, zdając sobie sprawę, że nieświadomie mogłam zranić jej uczucia. — Panicz Robert z pewnością będzie jadł, ile wlezie. I ja też. Już mi ślinka leci.

Rozpromieniła się, uspokojona.

— Zresztą, panienko, kolacja będzie dziś bardzo skromna. Tylko krewetki, mielone mięso w cieście i sałata.

— Bez deseru? — zażartowałam.

— Ależ skąd! — oburzyła się, biorąc to na serio. — Zawsze szykuję deser, kiedy przyjeżdża panicz Robert. Sama pani wie, jak on przepada za słodkościami. Tylko jeszcze się nie zdecydowałam: czy ciasto ponczowe, czy babeczki z kremem.

— I jedno, i drugie będzie pyszne — bąknęłam i ruszyłam do drzwi. — Pójdę dotrzymać towarzystwa pani Reece-Jones. A właśnie, Parky, czy pani Keswick mówiła, o której wróci?

— Herbaty nie podajemy później niż za piętnaście piąta, a ona nigdy się nie spóźniła. Nigdy.

— W takim razie podaj, kiedy tylko przyjedzie — podsunęłam.

— Dobrze, panienko. Przypuszczam, że paniczowi przyda się coś solidniejszego po całym dniu pracy. Biedak, żeby nawet w sobotę musiał ślęczeć nad papierzykami!

— Tak — przyznałam i wysunęłam się z kuchni.

Kiedy weszłam do salonu, Gwenny nadal przeglądała gazetę.

— Robert zaraz do nas przyjdzie — powiedziałam, zamykając drzwi — a Diana powinna wrócić lada chwila. Mam nadzieję, że zostanie pani na podwieczorek.

— Z rozkoszą.

— Cieszę się.

Jakby uważając za konieczne wyjaśnienie swej niespodziewanej wizyty, odchrząknęła i powiedziała:

— Pracowałam w Leeds. Nad „Snem nocy letniej”. Dla Teatru Królewskiego. Scenografia. Robię scenografie.

— Diana wspominała, że robi pani scenografie teatralne.

— Och. — Wyglądała na zaskoczoną. — Byłam dziś" w Kilburn. Wie pani, co to?

— Chyba tak. Chodzi o to miejsce, gdzie na stoku wzgórza wyrzeźbiono olbrzymiego konia?

— Zgadza się. Na stoku Roulston Scar. Zamówić stół w pracowni Roberta Thompsona. Wspomniały stolarz i rzeźbiarz. Nieżyjący już. Teraz interes prowadzi wnuk. Równie dobrze. Pomyślałam, że warto by się zatrzymać, wracając do Leeds, zajrzeć do Diany.

— Cieszę się, że pani przyjechała. Co więcej, Diana nie dawniej niż wczoraj mi o pani wspomniała.

— Naprawdę?

Głęboko zaczerpnęłam tchu i brnęłam dalej.

— Mówiła, że zna pani mojego ojca, Edwarda Jordana. Że się przyjaźnicie. Bardzo blisko przyjaźnicie.

Oszołomiona, wpatrywała się we mnie z rozchylonymi ustami. Spłonęła intensywnym rumieńcem od szyi po korzonki włosów.

— Rzeczywiście, blisko się przyjaźnimy — przyznała.

Odwróciła wzrok i zapatrzyła się w ogień. Nagle przeraziłam się, czy niechcący jej nie dotknęłam. A przecież chciałam ułatwić sytuację, postawić sprawę jasno.

— Bardzo się cieszę, że tato ma przyjaciółkę — zapewniłam szybko. — Martwię się o niego, boję, czy nie jest samotny. Miło wiedzieć, że ma towarzystwo, gdy przyjeżdża do Londynu, pani Reece-Jones.

— Mów mi Gwenny — odparła i uśmiechnęła się do mnie szeroko.

Wydawało mi się, że dostrzegłam na jej twarzy wyraz ulgi i odpowiedziałam uśmiechem. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do saloniku wszedł Robert.

— Witam, pani Reece-Jones, pamięta mnie pani? — spytał uśmiechając się od ucha do ucha. — Wozila mnie pani na kolanie, kiedy byłam małą.

Podszedł do niej i uściśnął jej rękę.

— Nigdy cię nie zapomniałam — roześmiała się, przyglądając mu się ciepło. — Psoтник. — Zerknęła na mnie. — Psoтny chłopczyk.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo drzwi znowu się otworzyły i weszła Diana, najwyraźniej wcale nie zaskoczona widokiem przyjaciółki. Z pewnością zauważyła jej samochód na podjeździe.

Gwenny zerwała się z fotela, uściśnęła Dianę.

— Nieładnie z mojej strony. Tak bez zapowiedzi. Chciałam wpaść.

— Proszę, nie przepraszaj, cudownie cię spotkać — odparła serdecznie Diana. — Musisz zostać na herbatę. Zajrzę do kuchni powiedzieć Parky, że może już podawać. Przepraszam na moment.

— Pójdę z tobą — zawołałam, ruszając w stronę drzwi. — Pomogę ci.

Diana zerknęła na mnie zdziwiona, ale nic nie powiedziała i razem wyszliśmy do kuchni.

Oczywiście jeszcze tego samego wieczoru, kiedy tylko Gwendolyn Reece-Jones wyruszyła w drogę powrotną do Leeds, oplotkowaliśmy ją dokładnie. Co, biorąc pod uwagę sytuację, było zupełnie naturalne.

— Tak dziwnie mówi — zwróciłam się do Diany, kręcąc głową. — Rodzaj staccato.

— Wiem, że mówi urywanymi seriami i najchętniej ograniczałaby się do jednowyrazowych zdań. Ale świetny z niej kompan, dobry, wrażliwy człowiek, złego słowa nie powie o innych, w niej samej nie ma krzty zła.

— Bardzo mi się spodobała — przyznałam.

— A ty jej — odparła Diana. — Co więcej, właściwie była zadowolona, że wiesz o jej związku z twoim ojcem.

— Mam nadzieję, że nie poczuła się zażenowana, po prostu chciałam być z nią szczerą; żeby wiedziała, że ja wiem. — Posłałam Dianie przenikliwe spojrzenie. — Czy powiedziała coś, kiedy wprowadzałaś ją do samochodu?

— Tylko że zaskoczyłaś ją wspominając o Edwardzie i jaka z ciebie śliczna dziewczyna. Nie mogła się nazachwycać twoimi włosami.

— Tymczasem mnie to ona wydała się bardzo ładna, widzę ją razem z tatą. Popieram ten związek. Ona rzeczywiście jest bardzo miła.

— Ale ekscentryczna jak lichy! — wtrącił się Robert. — Oryginał z niej. A kiedy słyszę imię Gwendolyn, widzę przed sobą szaliki. Odkąd pamiętam, zawsze je nosiła i to całe mnóstwo; czy słońce, czy deszcz. Moim zdaniem Gwenny to regularna Isadora Duncan. — Roześmiał się i wstał. — Jeszcze wina, mamo?

— Na razie dziękuję, kochany — odparła Diana. — Mam jeszcze pół kieliszka.

— A ja chyba tak — stwierdził i podszedł do stolika w rogu pokoju, gdzie Parky ustawiła tacę z butelką białego wina w pojemniku z lodem i syfon z wodą sodową. — Tobie, Mal?

— Dziękuję, Robert. Słuchajcie, jeszcze przed kolacją chciałybyśmy wam pokazać moje znaleziska.

— Znaleziska? Jakie znaleziska? — spytał Robert, obracając się i uśmiechając do mnie czule.

— Dziś po południu szperałam w bibliotece i znalazłam pamiętnik waszej praprapra...babki, Letycji Keswick, napisany w siedemnastym wieku. Właściwie znalazłam kopię oryginału — prawdziwy okaz sztuki kaligraficznego pisma. Sporządziła ją Klarysa Keswick w 1893 roku, by zachować ten dziennik dla potomności.

— Wielkie nieba! Więc tak spędziłaś popołudnie? Grzebiąc w tych pogryzionych przez mole książkach? Jesteś lepsza ode mnie, najmiłsza. — Robert uścisnął mnie, schylił się i pocałował w czubek głowy. — Ty zawsze musisz natrafić na coś wyjątkowego!

— Ale powiedziałaś: znaleziska, Mal — wtrąciła Diana. — W liczbie mnogiej. Czego jeszcze się dokopałaś?

— Cóż, oprócz kopii znalazłam też oryginał — stwierdziłam i wyjaśniłam, jak to stało. Potem wstałam i ruszając w stronę drzwi dokończyłam: — Poczekajcie, zaraz je przyniosę: zostały

w bibliotece. Kiedy zobaczycie obie książki, zrozumiecie, co miałam na myśli.

Blask płonącego na kominku ognia tańczył na ścianach i suficie, napelniając pokój różowawą poświatą. W sypialni nie paliło się inne światło; czułam się odprężona, senna, niczym spowita w kokon ciepła i miłości, leżąc w ramionach Roberta.

Wcześniej zerwał się ostry wiatr i słyszałam teraz, jak hula po wrzosowiskach. Z oddali dobiegł grzmot, mignęła błyskawica, na moment zalewając sypialnię białym blaskiem.

Mimo ciepła przeszył mnie dreszcz, objęłam męża i mocniej się do niego przytuliłam.

— Cieszę się, że nie jesteśmy teraz na dworze. Rozszalała się prawdziwa burza.

Parsknął śmiechem.

— Tak, rzeczywiście, a my wybraliśmy najlepsze miejsce z możliwych. Miętko i przytulnie, jak w uchu. Ale wiesz co? Kiedy byłem mały, zawsze marzyłem, żeby właśnie na taką pogodę wyjść: na wichurę, deszcz i burzę. I nie pytaj dlaczego. Po prostu przepadałem za burzami. Może coś w tej okropnej, ale jakże dramatycznej scenerii poruszało we mnie jakąś strunę. Kiedyś, miałem wtedy chyba siedem lat, ojciec powiedział mi, że to nasi przodkowie, odziani w zbroje, nacierają w niebie, że ich duchy ruszają do walki z wrogami, tak samo jak oni sami robili za życia. Jestem przekonany, że to jakoś zapłodniło moją wyobraźnię.

— I rzeczywiście wychodziłeś na dwór w czasie burzy?

— Czasem udało mi się wymknąć, ale tylko jeśli zmyliłem mamę. Zawsze była trochę nadopiekuńcza.

— A któraż matka nie jest? Zresztą, ja w nią nie rzucę kamieniem; burze bywają niebezpieczne. Człowieka może razić piorun...

— Tak jak mnie, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem! — przerwał, biorąc mnie pod brodę i obracając twarzą do siebie. Delikatnie, czule pocałował mnie w usta. — Francuzi mówią na taką miłość od pierwszego wejrzenia właśnie *coup de foudre*. U mnie

też tak poszło, ot tak — pstryknął palcami. — Jedno rażenie pionem i przepadłem.

— Wiem, co to znaczy.

Zapadła cisza. Byliśmy szczęśliwi, leżąc razem w tak cudownej harmonii.

— To był rozkoszny weekend, Robert — odezwałam się po paru minutach. — Cieszę się, że przyjechaliśmy do Yorku, a ty?

— Ja też, ale weekend się i skończył. Przed nami jeszcze niedziela. Jeśli chcesz, rano możemy pojechać konno zmierzyć się z dżokejami. A potem cały dzień przeleniuchować. Zjemy pyszny niedzielny lunch, przeczytamy gazety, pooglądamy telewizję.

— Nie będziesz pracować? — spytałam zaskoczona.

— Na pewno nie. Zresztą, zrobiłem, ile mogłem. Teraz pozostaje mi tylko czekać na przyjazd Jacka z Nowego Jorku.

— Mam wrażenie, że odkryłeś coś w sprawie Malcolma Stainleya. Coś okropnego.

Milczał, więc podjęłam:

— Coś... nieprzyjemnego, może wręcz śmierdzącego?

Za odpowiedź musiało mi wystarczyć długie, ciężkie westchnienie.

— O co chodzi? Co on zrobił? — naciskałam, płonąć z ciekawości.

— Nie chcę o tym na razie mówić, kochanie, naprawdę. — Znowu westchnął. — Ale zapamiętaj jedno: nigdy nie ufaj domokrażcom, którzy sprzedają jakieś cudowne panaceum.

— Oszukiwał, Robert! To masz na myśli, tak?

Robert dźwignął się, oparł na łokciu i pochylił nade mną, odgarniając mi włosy z twarzy. Mocno pocałował w usta, a potem popatrzył głęboko w oczy.

— Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Mam o wiele ważniejsze sprawy na głowie.

— Mianowicie? — spytałam przekornie.

— Doskonale pani wie, pani Keswick — mruknął z lekkim uśmiechem.

Spojrzałam na tę ukochaną twarz, tak mi drogą. Pojawiło się na niej napięcie, intensywnie niebieskie oczy Roberta pociemnia-



ły, w świetle ognia wydawały się niemal granatowe; patrzyłam w nie jak urzeczona.

— Ciebie — powiedział wreszcie. — Ciebie mam na głowie. Tak bardzo cię kocham, Mal. Jesteś dla mnie jedynym sensem życia.

— Ja ciebie też kocham.

Przywarł ustami do moich warg i długo całował. Najpierw delikatnie, potem owładnęło nim pożądanie i pocałunki stały się dziksze, bardziej namiętne.

Zrzucił z nas kołdrę, zsunął ramiączka mojej koszuli nocnej, uwalniając piersi spod cienkiej tkaniny.

— Jesteś taka cudowna, taka piękna, moja wspaniała żona.

Zaczął je całować, a jego dłoń po śliskim jedwabiu zsuwała się ku moim udom, póki nie uchwycił rąbka koszuli. Wtedy podciągnął mi ją do pasa, całował mnie po brzuchu, później po wewnętrznej stronie ud. Równocześnie gładził mnie długimi, pieścizłowymi ruchami dłoni. W końcu jego usta dotarły do samego jądra mnie. Tonęłam, przepełniała mnie miłość do Roberta. Zsunął się niżej, ukląkł między moimi nogami i wkrótce doprowadził prawie do szczytowania. Wtedy wsunął się we mnie, wypełniając całą. Przywarliśmy do siebie i staliśmy się jednością.

Ogień przygasał, długie cienie chwiały się na ścianach sypialni. Na dworze dął wiatr, deszcz chlustał strugami o szyby. Wrzosowiska objęła we władanie dzika listopadowa noc i sądząc z odgłosów, wcale nie zamierzała się uspokoić.

Robert poruszył się i spytał:

— Dorzucić drew do kominka?

— Nie, chyba że ci zimno.

— Nie. Zresztą lepiej, żeby ogień wygasł.

Usiadłam, wygrzebałam się z łóżka i bosopodeszłam do okna, żeby zaciągnąć zasłony i w ten sposób oddzielić nas od burzy.

— To było miłe ze strony twojej mamy, prawda? — odezwałam się, wracając do łóżka.

— Ze zaprosiła Gwenny na święta, tak?

— Tak.

Przykryłam się kołdrą i przytuliłam do męża.

— Mam nadzieję, że przyjedzie i ściągnie tatę. Wtedy mielibyśmy prawdziwie rodzinne święta.

— Myślę, że twój ojciec i tak by nie wytrzymał i przyjechał. A bliźniaki będą uszczęśliwione. Czekają nas cudowne święta, Mal.

## *Nowy York*

### ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*Nowy York, grudzień 1988*

— Bawcie się dobrze. Do zobaczenia jutro — powiedział Robert, idąc do drzwi.

— Bez ciebie to nie będzie to samo, ale doskonale cię rozumiem, że chcesz dać nogę — odparłam ze śmiechem.

On też się roześmiał.

— Szesnaście kobiet w jednym mieszkaniu to odrobinę za dużo nawet jak dla mnie.

Wziął smycz Trixy i torbę. Otworzył drzwi wejściowe.

— No, ruszamy, dzieciaki, pora w drogę. Jeśli się nie pospieszymy, dotrzemy do Indiańskiej Doliny dopiero na podwieczorek.

— Już idę, tato — zawołał Jamie, starannie zapinając ciepłą kurtkę. Niestety, guziki trafiły do niewłaściwych dziurek. Schyliłam się, żeby mu pomóc. Popatrzył na mnie z powagą i spytał:

— Czy to ku czci naszego dziecka, mamó?

Potrząsnęłam głową.

— Nie, Alicji Munroe. To ona urodziła dziecko, kochanie.

— Och. — Jego buzia posmutniała. — A co słyhać z naszym, mamó? Zrobiliście je już? — spytał z błyskiem nadziei w jasnoniebieskich oczach.

— Jeszcze nie — odparłam, prostując się.

Zerknęłam na męża, wymieniliśmy rozbawione spojrzenia, Robert mrugnął do mnie znacząco.

— Nie zapomnij nakarmić Stelen, mamó, dobrze? — upewniała się Lissa.

— Nie, nie zapomnę, kochanie.

Kucnęłam i pocałowałam córeczkę. Otoczyła ramionkami moją szyję i końcami rzęs muskała mnie delikatnie po policzkach.

— Pocałunki motyli dla ciebie, mamusiu. Tak jak tatuś mnie całuje. — Potem przechyliła główkę swoim charakterystycznym gestem i spytała: — Czy powiedziałaś Mikołajowi, żeby przyniósł mi dużą lalkę?

— Tak, a właściwie tato powiedział.

— A czy Mikołaj będzie wiedział, gdzie to zanieść? — zatroskała się nagle. Na jej buzi pojawił się wyraz niepokoju. — Czy znajdzie dom buni w Yorku?

— Oczywiście, tatuś dał mu adres babci.

Rozpromieniła się, zapięła kurtkę, włożyła niebieską czapkę dokładnie w kolorze jej oczu.

— Proszę! Wyglądasz ślicznie! Moja śliczna córeczka, najśliczniejsza córeczka na całutkim świecie. A teraz włóż rękawiczki. Ty też — dodałam, zerkając na Jamiego. — I macie nie biegać po dworze bez kurtek. Jest bardzo zimno. I nie wolno karmić Trixy pod stołem.

— Dobrze, mamó —• zapewniły dzieci jednym głosem.

— Słyszałaś, Trixy? — zwróciłam się do naszej miniaturowej suczki.

Popatrzyła na mnie swoimi mądrymi, ciemnymi ślepiami i zamierdała ogonem. Podniosłam ją, przytuliłam, ucałowałam w czubek łebka i odstawiłam na podłogę. Odprowadziłam całą czwórkę do drzwi i czekałam razem z nimi na windę. Robert objął mnie i pocałował w policzek.

— Włożyłaś listę do walizki? Listę rzeczy, które mam przywieźć jutro?

— Tak. Właściwie nic takiego tam nie ma. Kilka drobiazgów dla dzieci, nasze kożuchy na pobyt w Yorku.

— Dobrze, nie ma sprawy, kiciu.

Jeszcze raz mnie pocałował, zagonił dzieci i psa do windy.

— Do zobaczenia.

— Jedź ostrożnie! — zawołałam, kiedy drzwi windy zaczęły się zamykać.

— Obiecuję — odrzyknął. — I zadzwonię po przyjeździe, Mal.

Po ich wyjeździe w domu zapanował spokój. Poszłam do gabinetu i usiadłam przy biurku, aby napisać życzenia na kartce, którą zamierzałam dołączyć do prezentu dla Alicji.

Alicja była serdeczną przyjaciółką Sary i moją, razem studiowałyśmy w Radcliffe. Też pochodziła z Nowego Jorku, dwa lata temu wyszła za Jonathana Munroe i przeprowadziła się do niego, do Bostonu. Teraz przyjechała na weekend, by odwiedzić rodziców i wziąć udział w pępkowym, które Sara i ja wydawałyśmy u mnie na jej cześć.

Trzy tygodnie temu na wieść o naszych planach Robert wyrzyknął:

— A więc mój weekend na wsi, Mal! Tak czy owak powinienem zrobić w Indiańskiej Dolinie ostatnie porządki przed naszym wyjazdem do Yorku na święta. Wezmę ze sobą dzieci i Trixy, żebyś miała spokój i mogła sobie urządzić babski weekend z Sarą.

Kiedy na głos wyraziłam niepokój, jak poradzi sobie bez pomocy Jenny, która wróciła już na stałe do Londynu, uśmiechnął się promiennie i odpowiedział jednym słowem: Nora. A ja, oczywiście, słysząc je, natychmiast się uspokoiłam. Nora uwielbiała bliźniaki, chętnie dla nich gotowała, rozpieszczała je. Podobnie Eryk, który ogromnie lubił Jamiego i Lissę.

Zerknęłam na kalendarzyk na moim biurku. Dziś sobota, dziesiąty. Dokładnie za jedenaście dni wylatujemy do Londynu, a następnego ranka wsiadamy w pociąg do Yorku.

Diana zaprosiła też Sarę, która ochoczo skorzystała z zaproszenia; zamierzaliśmy zostać wszyscy w Kilgram Chase aż do pierwszych dni stycznia. Gwenny Reece-Jones wraz z moim ojcem także się z nami tam spotkają; nie dalej jak wczoraj tato telefonował do mnie z Londynu. Chciał mi powiedzieć, jak niecierpliwie

wygląda świąt, które spędzi z córką, zięciem i wnuczętami. Poza tym powiedział, że bardzo się cieszy, że polubiłam Gwendolyn.

Zostało jeszcze sporo przygotowań przed wyjazdem. Jutro wybieraliśmy się z Sarą po ostatnie zakupy świąteczne. Teraz zaczęłam sporządzać listę prezentów i utknęłam przy Gwenny. Wczoraj wieczorem Robert złośliwie zaproponował, żebyśmy kupili jej szalik. A choć żartował, to chyba w sumie nie najgorszy pomysł, skoro tak przepadała za wszelkimi szalami. Może natrafię na coś wyjątkowego i niezwykłego w „Bloomingdale”.

Skończywszy listę, włożyłam kartkę z życzeniami do torby z prezentem dla Alicji: zabytkowym, srebrnym kubeczkim dawanym z okazji chrztu. Potem z torbą w ręku przeszłam do salonu.

Josie, nasza sprzątaczką, czarująca, serdeczna kobieta pochodząca z Chile, przetrzepywała poduchy na sofach i fotelach.

Kiedy weszłam, zerknęła na mnie i powiedziała:

— Odkurzyłam już w jadalni, teraz pójdę zająć się kuchnią, pani Keswick.

— Dzięki, Josie, ale może będzie lepiej, jeśli najpierw pościelisz łóżka i sprzątniesz sypialnie. Lada chwila powinna się zjawić pani Thomas i zaczniemy szykować jedzenie. Kuchnię powinnas chyba zostawić sobie na koniec.

— Ma pani rację, a kiedy tylko skończę sprzątanie, pomogę przy robieniu kanapek.

Kiedy pół godziny później przyszła Sara, zdążyłam rozstawić filiżanki, spodki, talerzyki i kryształowe kieliszki do szampana, jako że nazwałyśmy nasze pępkowe podwieczorkiem z szampanem i zamierzałyśmy podać veuve cliquot.

— Niewiele zostawiłaś mi do roboty — stwierdziła Sara, rozglądając się po jadalni.

— Nie łudź się — ostudziłam ją. — Zostało jeszcze co nieco. Zawijaj rękawy i ruszamy do kuchni.

Ale najpierw wypiliśmy kawę. Usiadłyśmy przy oknie, gawędząc o planowanym przyjęciu, szaleńczym tygodniu Sary i trochę plotkując.

Po kwadransie zajęłyśmy się szykowaniem jedzenia: siekałyśmy plastry wędzonego łososia, gotowały jajka do sałatki, kroiły

ogórki, pomidory, rozgniatały sardynki. Wszystkie te składniki wykorzystamy później do zrobienia kanapek tuż przed przyjściem gości. Koleżanki zostały zaproszone na trzecią, także był na to jeszcze czas.

— Cieszę się, że zrobiliśmy imprezę tak wcześnie — odezwała się w pewnym momencie Sara. — Koło szóstej, góra wpół do siódmej wszyscy sobie pójdą. Może wtedy wybrałybyśmy się do kina, na kolację w mieście albo coś w tym stylu?

— Świetny pomysł. A co byś powiedziała na małą przekąskę teraz? Nie wiem jak ty,\*ale ja konam z głodu. — Zerknęłam na zegar ścienny. — Dochodzi wpół do drugiej.

— Odchudzam się. W ramach przygotowań świątecznych.

Roześmiałam się.

— Ależ, Saro, wyglądasz fantastycznie! Jesteś smukła i zwiewna.

— Choć przydałoby się zrzucić parę kilo. Zresztą, co mi tam. Spróbuję wędzonego łososia.

— Już się robi — odparłam, sięgając po chleb.

Zadzwoił telefon. Podniosłam słuchawkę.

— Halo, kiciu, to ja, jesteśmy na miejscu — usłyszałam głos Roberta. — I wiesz co? Pada śnieg! Mal, jest cudownie, jak w bajce. Wszystko białe. Śnieg błyszczy w słońcu. Obiecałem dzieciom, że urządzimy sobie bitwę na śnieżki.

— Świetnie, ale dopilnuj, żeby włożyły ciepłe kalosze i dokładnie się okutały, kochanie, dobrze?

— Dopilnuję, nie martw się, kiciu.

— Czy Nora jest na miejscu, Robercie?

— Jasne. I Eryk też. Rozpalił w całym domu, a Nora przyszykowała wspaniałą zupę jarzynową i upiekła chleb. Zaraz siadamy do stołu. A ta zupa! Cóż za niebiański zapach! Tak więc nie martw się o nas i nie kłopotz swojej małej główki, w Indiańskiej Dolinie wszystko jest w porządku.

— Kolejny dowód, jak świetnie potrafisz sobie radzić beze mnie — mruknęłam.

— O nie, nie potrafię — zapewnił. — Bez ciebie w żaden sposób bym sobie nie poradził, Mal.

- Ani ja bez ciebie. Kocham cię.
- Ja ciebie też. Całuję mocno, kochanie. I ucałuj Sarę. Spotkamy się wszyscy jutro na kolacji. Powiedz Sarze, że wyglądam niecierpliwie jej spaghetti primavera.
- Powiem. Baw się dobrze z dziećmi.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Znowu padał śnieg, tak samo jak wczoraj. Ale dziś płatki były lekkie, a kiedy wyglądałam przez okno, widziałam, jak rozpuszczają się, dotykając chodnika. Czyli to nie pogoda jest przyczyną nieobecności Roberta.

Odstawiłam kieliszek z białym winem na niski stół, wyszłam z saloniku i przez niewielki hall skierowałam się do kuchni. Słyszając mnie, Sara szybko się obróciła.

— Wyłączyłam wodę na spaghetti, nie ma sensu teraz wstawiać makaronu. Zrobię wszystko w ostatniej chwili, kiedy już przyjedzie Robert z bliźniętami.

Skinęłam głową, a moje spojrzenie automatycznie powędrowało ku kuchennemu zegarowi. Było dziesięć po ósmej.

— Nie wiem, co się dzieje, dlaczego jeszcze nie ma go w domu, Sash — powiedziałam.

— Byle co mogło go zatrzymać — odparła Sara, kładąc pokrywkę na garnku z gorącą wodą. — Korki. Śnieg.

— Na pewno nie śnieg. Właśnie wyglądałam przez okno, ziemia jest czarna.

— Na Wschodniej Siedemdziesiątej Siódmej może i tak, ale jeśli pada w Connecticut, śnieg może utrudniać jazdę wszystkim, którzy wracają do miasta. Pewnie są straszne korki.

— To prawda, rzeczywiście.

Uczepiłam się tej myśli, ale to nie zmieniało faktu, że Robert ogromnie rzadko się spóźniał; dlatego tak się martwiłam. Sara

wiedziała o tym równie dobrze jak ja, ale żadna z nas wołała w tym momencie głośno o tym nie mówić.

— Spróbuję jeszcze raz przedzwonić do Anny. Może już jest w domu.

— Dobrze, spróbuj — zgodziła się Sara.

Zdjęłam słuchawkę z aparatu wiszącego na ścianie i wystukałam numer naszej ogrodniczki w Indiańskiej Dolinie. Tak samo jak przedtem, przez dłuższą chwilę wsłuchiwałam się w sygnał. Już miałam odłożyć słuchawkę, kiedy ktoś odebrał.

— Halo — odezwała się Anna.

— To ja, Mal — powiedziałam. — Musiało cię nie być w domu, dzwoniłam do ciebie setki razy.

— Tak, wybrałam się do Sharon do siostry i...

— Czy widziałas się z Robertem przed jego wyjazdem? — przerwałam, przechodząc od razu do rzeczy.

— Tak, widziałam się. Czemu pytasz?

— O której?

— Gdzieś koło drugiej, trzeciej.

— Drugiej! Ależ to ponad sześć godzin temu! — krzyknęłam i spojrzałam na Sarę.

Wstała i podeszła do mnie. Na jej twarzy pojawił się niepokój.

— To znaczy, że jeszcze nie przyjechał do domu? — spytała Anna.

— Nie, nie przyjechał i zaczynam się niepokoić. Zwykle nie zajmuje mu to więcej niż trzy godziny.

— U nas pada spory śnieg, Mal, i może gdzieś na trasie ich zasypało. Och, i coś jeszcze: Robert wspomniał, że po drodze chce zrobić trochę zakupów. Może dlatego się spóźnia.

— Rzeczywiście, może wstąpił do kilku sklepów po drodze. Teraz wszystko jest pootwierane do późna. Dziękuję, Anno, trochę mniej się niepokoję.

— Nie martw się, Mal, z pewnością przyjadą lada chwila. I zadzwonisz przed wyjazdem do Anglii, dobrze?

— Tak, w tygodniu. Cześć, Anno.

— Cześć, Mal.

Rozłączyliśmy się.

— Robert powiedział Annie, że musi zrobić jeszcze zakupy świąteczne — zwróciłam się do Sary. — Jestem pewna, że to wyjaśnia jego spóźnienie. A ty jak sądzisz?

Sara skinęła głową, posyłając mi uspokajający uśmiech.

— Uwielbia zaglądać do sklepików z antykami. Poza tym dzieci mogły chcieć do toalety albo coś zjeść, więc pewnie często się zatrzymywał.

— Ale dlaczego nie zadzwonił? Wiesz, że to nie w jego stylu — mruknęłam, prz gryzając wargę.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Wymieniłyśmy z Sarą znaczące spojrzenia, na naszych twarzach zagościły radosne uśmiechy.

— No, jest! Myślałby kto, że nie ma kluczy! — zawołałam, śmiejąc się z ulgą i biegnąc do drzwi. Otworzyłam je ze słowami: — I gdzieście się po...

Nie dokończyłam zdania. W progu nie stał mój mąż ani moje dzieci, ale dwóch mężczyzn w mokrych płaszczach.

— Tak?

Jeszcze nim się przedstawili wiedziałam, że to gliniarze. Jako mieszkanka Nowego Jorku wyczuwałam policjanta na kilometr. Nagle zabrakło mi tchu.

— Czy pani Keswick, żona Roberta Keswicka? — zapytał starszy z nich.

— Tak, to ja. Czy coś się...

— Jestem detektyw Johnson, a to detektyw DeMarco. Jesteśmy z dwudziestego piątego komisariatu. Musimy z panią porozmawiać, pani Keswick.

Pokazali mi swoje odznaki.

— Czy coś się stało? — wydusiłam w końcu, niespokojnie wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. Bałam się odpowiedzi. Serce waliło mi jak młotem.

— Możemy wejść? — spytał detektyw Johnson. — Chyba będzie lepiej, jeśli porozmawiamy w domu.

Skinęłam głową, szerzej otworzyłam drzwi i wpuściłam mężczyzn do mieszkania. DeMarco zamknął drzwi.

— Nazywam się Sara Thomas, jestem przyjaciółką pani Keswick, a właściwie całej rodziny — odezwała się Sara.

Detektyw Johnson skinął głową, detektyw DeMarco zaś potworzył: — Pani Thomas — i skłonił się lekko.

Poprowadziłam ich do salonu.

— Czy coś się stało? — spytałam. — Mój mąż dziwnie się spóźnia. Jestem... jesteśmy, Sara i ja, trochę zaniepokojone. Mam nadzieję, że nie miał wypadku?

— Niech pani usiądzie, pani Keswick — powiedział DeMarco.

Potrząsnęłam głową.

— Nie, powiedzcie mi, panowie, co się stało.

DeMarco odchrząknął.

— Wydarzyło się coś tragicznego — zaczął. — Myślę, że powinniśmy usiąść.

— Niech mi pan wreszcie powie.

Mój głos zdrzął, nagle ogarnął mnie strach i musiałam przytrzymać się bujanego fotela.

— Znaleźliśmy mercedesa pani męża na skrzyżowaniu Pierwszej Alei i Sto Dziewiętnastej. Pani mąż... hmm... był ranny...

— O Boże! Czy to poważna rana? Gdzie go zawieziono? Boże, dzieci! Czy nic im się nie stało? Gdzie teraz są? Gdzie jest mój mąż?

Chwyciłam DeMarco za ramię.

— Dlaczego nie przywieźliście dzieci do domu? — dopytywałam się. — W którym szpitalu leży mój mąż? Bliźnięta muszą być przerażone. Proszę mnie do nich zabrać.

Z trudem chwytając powietrze, obróciłam się do Sary i krzyknęłam:

— Prędko, Sash, jedziemy! Musimy jak najszybciej dostać się do dzieci i Roberta. Szybko! Sash! Oni mnie potrzebują!

— Pani Keswick, pani Thomas, chwileczkę — przerwał mi DeMarco.

Zatrzymałam się, spojrzałam na niego. W jego głosie usłyszałam dziwny ton. Żołądek mi się ścisnął. Policjant zaraz powie coś okropnego, coś, czego nie chcę słyszeć. Czułam to.

— Przykro mi, że muszę to pani mówić, pani Keswick, ale pani mąż został postrzelony i...

Szeroko otworzyłam oczy.

— Postrzelony? Kto do niego strzelał? Dlaczego?

Krew odpłynęła mi z serca, nogi się pode mną ugięły. Wzrokiem poszukałam Sary. Jej twarz śmiertelnie zbladła.

— Sądziłam, że to był wypadek samochodowy! — zawołała przenikliwym głosem.

— Nie, pani Thomas — odparł DeMarco.

— Ale nie stało mu się nic złego? — dopytywała się Sara, starając się zapanować nad głosem.

— Gdzie są moje dzieci? — zawołałam, nim któryś z policjantów zdążył odpowiedzieć Sarze. — Chcę pojechać do moich dzieci i męża.

— Wszyscy są w Bellevue — wyjaśnił detektyw DeMarco. — Państwa pies także. Bardzo mi przykro, że muszę pani to mówić, ale pani...

— Moim... dzieciom... nic... się... nie stało... prawda?

Detektyw Johnson pokręcił głową.

— Nie, pani Keswick — odpowiedział DeMarco. — Pani mąż, dzieci i pies zostali zastrzeleni dziś po południu. Bardzo pani współczujemy.

— Nie! Nie! Nie Robert! Nie Jamie i Lissa! To niemożliwe! To nieprawda! — krzyczałam, wpatrując się w DeMarco.

Słyszałam, jak Sara powtarza:

— O Boże, Boże, Boże!

Odsunęłam się od DeMarco, od krzesła i rzuciłam się do drzwi, kręcąc głową, zaprzeczając, nie przyjmując do wiadomości. Wyciągnęłam rękę, chwytając nią powietrze. Musiałam stąd wyjść.

Jechać do Bellevue.

Bellevue.

Tam byli oni wszyscy.

Mój mąż.

Dostać się do Roberta.

Do Lissy i Jamiego.

Dostać się do moich dzieci.

Moje dzieci mnie potrzebują.  
Mój mąż mnie potrzebuje.  
Moja malutka Trixy mnie potrzebuje.  
Powiedział, że oni wszyscy nie żyją.  
Wszyscy nie żyją.

Cała czwórka.

NIE!

Pokój wypełniła jasność, ściany zaczęły się chwiać i kołysać.  
I wtedy usłyszałam krzyk.

Straszliwy, przenikliwy krzyk, który przeszywał mnie dreszczem. Przypominał wycie torturowanego zwierzęcia, schwytanego w pułapkę.

Narastał — coraz silniejszy, coraz mocniejszy — aż całkowicie wypełnił mój umysł. Ogłuszył.

A kiedy podłoga nagle się uniosła, uderzając mnie w twarz, zrozumiałam, że to ja tak krzyczę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy odzyskałam przytomność, leżałam na jednej z sof w salonie. Otworzywszy oczy, zobaczyłam przed sobą twarz Sary. Siedziała na krześle obok mnie.

— Mal — szepnęła, wyciągając rękę i ściskając moją dłoń.  
— Och, Mal, kochanie.

Głos jej się załamał, w ciemnych oczach załśniły łzy. Wpatrując się w nią intensywnie, z całej siły chwyciłam jej dłoń.

— Powiedz, że to nieprawda, Sash — błagałam ze łzami.  
— Powiedz, że to nieprawda. Nic im nie jest, prawda? To jakaś okropna pomyłka, tak?

— O, Mal — udało jej się tylko wydusić. Dalej nie mogła mówić, łzy popłynęły po zbielełej, smutnej twarzy.

I wtedy go zobaczyłam.

Detektyw DeMarco.

Stał obok okna, patrząc na mnie. Przez jego twarz przemknął wyraz litości i wtedy pojęłam, że to prawda.

To naprawdę się wydarzyło.

To nie koszmar, z którego właśnie się przebudziłam.

Ów koszmar to rzeczywistość.

Odwrociłam wzrok od policjanta. Przez łzy widziałam jego kolegę, Johnsona. Starszy detektyw stał przy niewielkim zabytkowym biurczku. Rozmawiał przez telefon.

— Tak, zgadza się — usłyszałam jego słowa.

— Chcę jechać do męża i dzieci! — krzyknęłam ze złością ostrym, przenikliwym głosem. — Chcę do mojej rodziny! Chcę do mojego psa! Chcę być z nimi!

Próbowałam wstać z sofy, ale Sara objęła mnie, próbując uspokoić.

— Chcę do moich dzieci! — wołałam ze szlochem. — Chcę do mojej rodziny. Już do nich jadę.

Próbowałam wyrwać się Sarze, ale trzymała mnie mocno.

— Tak, pojedziemy, Mal, ale dopiero za parę minut. — Głos Sary był cichy, głuchy. — Policjanci zawiozą nas do kost... do Bellevue. Właśnie dałam panu Johnsonowi numer twojej matki. Rozmawia z nią i Davidem. Już tu jadą, będą za parę minut.

Przywarłam do Sary, szlochając na jej ramieniu. Chciałam Roberta. Bliźniąt. Co się stało dziś po południu? Nie rozumiałam. Kto zastrzelił moją rodzinę? I dlaczego? Dlaczego to przytrafiło się właśnie nam? Dlaczego ktoś miałby zastrzelić porządnego, dobrego człowieka, Roberta? Niewinne dzieci i psa? Dlaczego?

Nagle usłyszałam, jak otwierają się drzwi wejściowe, a potem krzyk matki:

— Gdzie jest moja córka? Gdzie pani Keswick? Jestem jej matką.

Wyrwałam się Sarze. Mama biegła do mnie przez salon. Twarz miała ściągniętą bólem, spopielała, w oczach widziałam przerażenie i niedowierzenie.

— Och, mamo! — zawołałam. — Mamusiu! Ktoś zastrzelił Roberta i dzieci. I Trixy. Dlaczego, mamo? Ja nie rozumiem.

Matka opadła na sofę obok mnie, objęła mnie mocno i przytuliła do siebie.

— To bez sensu — szepnęła.

Rozpłakała się i obie ścisnęłyśmy się kurczowo, zmagając się z bólem i cierpieniem.

— Nie wiem, jak ci pomóc, Mal — odezwała się mama, szlochając — ale jestem przy tobie, kochanie. Boże, czy ktoś w ogóle może ci pomóc? To za wiele dla jednego człowieka.

Kołysała mnie w ramionach i szeptała chrapliwie:

— Nie wierzę. Lissa i Jamie zabici. Robert zabity. To bez sensu. Co się dzieje na tym świecie? Gdzie jest Bóg? Gdzie jest Bóg?

David skończył rozmowę z policjantami, podszedł do sofy, przykląkł i objął mnie i matkę.



— Tak bardzo, bardzo ci współczuję — przemówił łagodnie, czule. — Jestem tu, żeby wam pomóc: tobie i mamie. Zrobię wszystko, by wam pomóc. Powiedz tylko jak. Co tylko zechcesz, Mal.

Wreszcie udało mi się usiąść prosto. Łagodnie wyswobodziłam się z objęć matki. David podniósł się z podłogi i usiadł na krześle obok.

— Spokojnie, Mal, nie musimy się spieszyć.

Popatrzyłam na niego, próbowałam przemówić, ale bez skutku. Znowu się rozplakałam. Kołysałam się, cicho jęcząc i zawodząc. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Moje ciało, umysł i dusza umierały. Wreszcie przestałam się kołysać, przymknęłam oczy. Ale łzy nadal płynęły, wymykały się spod zamkniętych powiek. W końcu otworzyłam oczy i bezradnie spojrzałam na Davida. Podał mi chusteczkę.

— Chcę zobaczyć moją rodzinę — odezwałam się urywanym głosem, kiedy już wytarłam oczy.

— Oczywiście, możesz to zrobić w każdej chwili — zapewnił David. — Policjanci zabiorą cię do Bellevue, Mal. Wszyscy z tobą pojedziemy. Mama, Sara i ja. Będziemy z tobą.

Udało mi się jedynie skinąć na znak, że rozumiem.

— Potrzebujesz czegoś? Może dać ci coś do picia? Brandy?

Potrząsnęłam głową.

— Poproszę wodę.

Mama wstała chwiejnie.

— Ja przyniosę, mnie też się przyda.

— Pójdę z tobą, ciociu — powiedziała Sara.

David wziął mnie za rękę i trzymał mocno, starając się w ten sposób mnie pocieszyć. W jego szarych oczach widziałam współczucie. Cieszyłam się, że tu jest. Po jego ślubie z mamą poznałam go dość dobrze i przekonałam się, że to dobry, wrażliwy człowiek. A równocześnie zdecydowany, inteligentny, kompetentny; jako prawnik wiedział, jak skutecznie postępować z policją.

— Muszę porozmawiać z policjantami, Mal — odezwał się po chwili. — Przez telefon niewiele się dowiedziałem. Moja wina, nie

dałem im czasu na lepsze wprowadzenie mnie w sytuację. Razem z mamą myśleliśmy tylko o tym, by jak najszybciej tu dotrzeć.

Próbował wstać, ale nie wypuszczałam jego dłoni z uścisku. Zdziwiony przyjrzał mi się uważnie.

— O co chodzi, Mal?

— Mógłbyś ich tu poprosić? Chcę usłyszeć, co mają do powiedzenia.

Skinął głową, wstał i podszedł do policjantów. Przez parę minut rozmawiał z nimi, potem we trzech usiedli obok mnie.

— Nie wiemy, co się właściwie stało, pani Keswick — odezwał się Johnson. Zerknął na Davida i podjął: — Mogło to być przestępstwo z przypadku, na przykład rabunek, jeszcze nie wiemy. I nie będziemy mogli udzielić pani żadnej konkretnej odpowiedzi, dopóki nie przeprowadzimy szczegółowego śledztwa.

— Powiedział mi pan — wtrącił się David — że samochód znaleziono na skrzyżowaniu Park Avenue i Sto Dziewiętnastej. Na światłach.

— Tak — potwierdził Johnson.

— Czy rodzina znajdowała się w samochodzie?

— Tak — powtórzył Johnson. — Pan Keswick siedział za kierownicą, właściwie leżał przewrócony na fotel pasażera. Drzwi jego strony były otwarte, nogi miał poza samochodem, jakby próbował wysiąść. Jedne z tylnych drzwi także były otwarte, dzieci wraz z psem leżały na tylnym siedzeniu.

Zerwałam się z sofy. Chwiejnym krokiem wyszłam z salonu. Udało mi się dotrzeć do łazienki. Zamknęłam za sobą drzwi na klucz, klęknęłam obok sedesu i wymiotowałam, krztusząc się, póki wreszcie nie było już czym wymiotować. Wtedy przewróciłam się na bok, skuliłam w kłębek i szlochałam rozpaczliwie. To niemożliwe, niemożliwe. Jeszcze dziś rano rozmawiałam z Robertem przez telefon, śmialiśmy się, żartowaliśmy, a teraz...

— Mal, Mal, nic ci nie jest? — odezwała się Sara, stukając do drzwi łazienki. — Niepokoiimy się o ciebie.

— Dajcie mi chwilkę.

Jakoś dźwignęłam się na nogi, opłukałam twarz chłodną wodą i popatrzyłam w lustro. Twarz, którą zobaczyłam, była twarzą nie-

znajomej. Napięta, z ostrymi, wystającymi kośćmi policzkowymi, pod piegami biała jak śnieg.

To nie ja, nie ja. Ale w końcu przecież już nigdy nie będę tą samą kobietą, co kiedyś.

W szpitalu Bellevue, gdzie mieściła się miejska kostnica Nowego Jorku, czekało na nas dwóch lekarzy. Poszłam za nimi. Towarzyszyli mi detektywi Johnson i DeMarco oraz David. Zaprezentowałam, błagając DeMarco, żeby pozwolił mi wejść do środka z samymi lekarzami. Johnson wyjaśnił mi, że policjanci, którzy pierwsi przybyli na miejsce zbrodni, muszą być obecni przy identyfikacji zwłok. Tego wymagało prawo.

David nalegał, że pójdzie ze mną, a ja nie miałam siły protestować. Zresztą lekarze wyraźnie uważali jego obecność za ważną.

Kiedy odsłoniли ciało Roberta, gwałtownie wciągnęłam powietrze, krzyknęłam i zasłoniłam usta dłońmi. Nogi się pode mną ugięły, ale David był tuż za mną i objął mnie, przytrzymując, bym nie upadła.

Och, Robert, mój ukochany — krzyczało we mnie serce.

Łzy płynęły mi potokami, kiedy poprowadzono mnie do dwóch następnych stanowisk i pokazano Lissę, potem Jamiego. Moje dzieci, moje ukochane dzieciątka. Łzy zalewały mi oczy, z trudem widziałam ich twarze. Byli tacy nieruchomi, spokojni, cisi. A ja chciałam tylko dać im ciepło, bezpieczeństwo. Moje biedne dzieci.

Patrząc na jednego z lekarzy, spytałam przez łzy:

— Nie cierpieli bardzo, prawda?

Potrząsnął głową.

— Nie, pani Keswick. Żadne z nich nie cierpiało. Śmierć była natychmiastowa.

— Chcę z nimi zostać — szepnęłam. — Proszę, pozwólcie mi zostać.

— Nie możemy, pani Keswick — odparł Johnson. — Będzie mogła pani być z nimi jutro w domu pogrzebowym, kiedy już wydamy ciała. — I dodał bardzo cicho: — Jest też tu pani pies.

W normalnych okolicznościach zwierzę zostałyby przewiezione do weterynarza, ale stanowi dowód.

— Ona — powiedziałam. — To była ona, nie zwierzę.

— Zapewne miała swego weterynarza, prawda? Będzie nam potrzebne jego nazwisko i adres. Oddamy ją tam jutro.

Mogłam tylko skinąć głową. Szlochałam bez opanowania.

Jeden z lekarzy zabrał mnie do Trixy, pokazał. Schyliłam się i musnęłam czubek puszystego łebka.

Trixy. Moja maleńka Trixola.

Płakałam, kiedy David wyprowadził mnie na korytarz. Wiódł mnie do poczekalni, ale ledwo szłam.

Kiedy weszliśmy do poczekalni, matka wstała. Sara też. Obie podbiegły do mnie.

— Och, mamó, mamusiu — szlochałam. — To oni. Nie żyją. I co ja bez nich pocznę?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Park Avenue i Sto Dziewiętnasta to bardzo niebezpieczna okolica, pani Keswick. W biały dzień handluje się tam narkotykami, kręcą się prostytutki. Co, pani zdaniem, mąż robił tam w niedzielne popołudnie? — spytał detektyw Johnson.

Wpatrywałam się w niego, zaciskając dłonie na kolanach, próbując powstrzymać ich ciągłe drzenie.

— Wiem, co tam robił — odparłam spokojnie. — Wracał z dziećmi do domu. Jechali z Connecticut.

— Której części Connecticut? — uściślał DeMarco, poprawiając się w krześle. W jego oczach widziałam współczucie.

— Z Sharon — wyjaśniłam. — Mamy tam dom.

Detektyw Johnson ściągnął brwi.

— I pani mąż zwykle przejeżdżał przez sam środek Harlemu? Skinęłam głową.

— Tak. Robert zawsze jeździ... — urwałam, uspokoiłam się i podjęłam: — Robert zawsze jeździł trasą 684, która prowadzi do Saw Mili River Parkway, potem skręcał w Henry Hudson Parkway. To najkrótsze połączenie między Sharon a Manhattanem. Kierując się przez Harlem wyjeżdżał na Park Avenue.

— A w którym miejscu skręcał z Henry Hudson Parkway? — pytał Johnson.

— Na wylocie Sto Dwudziestej Piątej, żeby przejechać na East Side. Nigdy nie zmieniał trasy, zawsze jechaliśmy Sto Dwudziestą Piątą, przez Dwunastą Aleję i Amsterdam Avenue, aż do Park Avenue.

— Czy jechał pod wiaduktem północnej linii metra na Sto Dwudziestej Czwartej, obok szpitala i szkoły Edwarda Horana przy Sto Dwudziestej? — upewniał się DeMarco.

— Zgadza się. Potem Park Avenue aż do Siedemdziesiątej Drugiej. Uważał, że to najkrótsza trasa do domu i rzeczywiście jest najkrótsza.

— To raczej ruchliwa trasa. Korzysta z niej wielu nowojorczyków, żeby szybko przebrnąć przez East Side, ale ostatnio okolice Sto Dziewiętnastej stały się bardzo niebezpieczne — stwierdził DeMarco. — Sprzedaje się tam olbrzymie ilości kokainy, właśnie pod wiaduktem kolejowym, tuż obok świateł, przy których znaleziono pani... samochód.

— Mąż nie brał narkotyków! — krzyknęłam gniewnie. — Nie robił nic złego. Po prostu wracał do domu.

Wargi zaczęły mi drżeć, zasłoniłam je ręką. Pod powiekami czułam wzbierające łzy.

— Wiemy, że nie robił nic złego, pani Keswick — odezwał się łagodnie detektyw Johnson.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Sympatyczniejszy wydawał mi się do tej pory DeMarco.

— Dlaczego mój mąż i dzieci zostali zastrzeleni? — spytałam znowu, powtarzając pytanie, które bez przerwy zadawałam od dwóch dni.

DeMarco odchrząknął.

— Pani mąż albo zatrzymał się na czerwonym świetle, albo został do tego zmuszony przez napastnika bądź napastników. Albo wysiadał z samochodu sprawdzić, co się stało, albo drzwiczki zostały wyszarpięte. Następnie padły strzały; wedle lekarzy nastąpiło to między wpół do piątej a piątą. Nie wiemy, dlaczego on i dzieci zostali zastrzeleni, pani Keswick.

Wpatrywałam się w niego. Nie mogłam wydobyć słowa.

— Przypuszczamy, że to mógł być nieudany atak samochodowy, innymi słowy próba ataku samochodowego.

— Atak samochodowy? — powtórzyłam. — A co to takiego?

— To ostatnio coraz bardziej rozpowszechniające się przestępstwo — wyjaśnił Johnson. — Zwykle dochodzi do niego, kie-

dy samochód zatrzyma się na czerwonym świetle albo zaparkuje w zatoczce. Zostaje zaatakowany, zwykle przez liczną grupę napastników. Zmuszają oni pasażerów do opuszczenia wozu i odjeżdżają samochodem. W wypadku pani męża napastników ktoś mógł wystraszyć, tak że uciekli bez samochodu. Możliwe też, że opuścili miejsce zbrodni przerażeni tym, że jednemu z nich zachciało się postrzelać. Mogą być świadkowie; mamy nadzieję, że ktoś się z nami skontaktuje.

— Wiemy od pana Nelsona — włączył się DeMarco — że pani mąż zawsze nosił złoty zegarek marki Rolex i portfel. Tych przedmiotów, jak już wczoraj poinformowaliśmy pana Nelsona, brakowało. Czy w samochodzie było coś jeszcze? Jakież bagaże?

— Moje i Roberta kożuchy. Parę drobiazgów, ubrania, buty do konnej jazdy, tego typu rzeczy, które spakował do walizki. O ile wiem, nic szczególnie wartościowego.

— Tych rzeczy także nie znaleziono. Samochód był pusty — przypomniał mi DeMarco. — Wróci z ekspertyzy jutro, może go pani odebrać następnego dnia. Szukaliśmy na nim odcisków palców, te, które znaleźliśmy, wysłaliśmy do sprawdzenia do FBI.

Nie odpowiedziałam. Po co mi ten wóz? Nie chcę go widzieć na oczy. Johnson wstał.

— Zaraz wracam — mruknął do DeMarco i ruszył do drzwi. Kiedy je otworzył wychodząc, do cichego pokoju wdarł się gwar ruchliwego dwudziestego piątego komisariatu.

— Muszę pani zadać kilka pytań, pani Keswick — podjął DeMarco.

— Tak.

— Założmy, że wykluczmy możliwość ataku samochodowego, to jest próbę ataku samochodowego... Czy może pani znaleźć powody, dla których ktoś mógłby chcieć zabić pani męża?

Potrząsnęłam głową.

— Czy miał jakichś wrogów?

— Nie, oczywiście, że nie — zaprzeczyłam.

— Czy robił z kimś jakieś podejrzone interesy?

— Nie.

DeMarco chrząknął.

— Jakieś przyjaciółki, pani Keswick?

— Co?

— Czy pani mąż mógł mieć związek z jakąś inną kobietą? Rozumiem, że mogła pani o tym nie wiedzieć, ale czy istniało takie prawdopodobieństwo?

— Nie, nie istniało, panie DeMarco. Nie, mój mąż nie miał żadnych przyjaciółek. Nasze małżeństwo było szczęśliwe — oświadczyłam chłodno.

Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymywałam się od płaczu. Byłam oburzona, że nie przyszli do mnie, tylko kazali stawić się na komisariacie i poddali przesłuchaniu, zamiast wysłuchać mego oświadczenia. Lecz wczoraj wieczorem David powiedział, że muszę pójść, że tak po prostu wygląda policyjna procedura.

W chwilę później detektyw DeMarco wyprowadził mnie na korytarz, gdzie na ławce czekała Sara. Wzięła mnie pod ramię i szybko wyprowadziła z komisariatu.

Kiedy już znalazłyśmy się w czekającym na nas samochodzie, powiedziała kierowcy, żeby zawiózł nas na Siedemdziesiątą Czwartą, gdzie mieszkała moja matka. Od niedzieli mieszkałam u niej i Davida. Mama nie chciała, żebym była sama. Zresztą, mieszkanie, do którego David przeprowadził się po ich ślubie, do czasu mego małżeństwa z Robertem było moim domem. Tu spędziłam najmłodsze lata. Tu dorastałam.

Oparłam się o siedzenie samochodu, zmęczona i wyczerpana. Od tamtego wieczoru starałam się trzymać w garści, ale czułam, że lada chwila pękne. Nie mogłam sobie na to pozwolić — przynajmniej do pogrzebu.

Sara trzymała mnie za rękę i od czasu do czasu zerkała na mnie niespokojnie. Samochód mknął Park Avenue. Wreszcie spojrzałam na nią.

— Zdaniem policji to mogła być próba ataku samochodowego — odezwałam się.

— Co? — Patrzyła nierozumiejącym wzrokiem. — Co to jest?

— To stosunkowo nowy rodzaj przestępstwa, z którym ostatnio coraz częściej mają do czynienia. Złodzieje atakują samochód.



który czeka na czerwonym świetle, zwykle grożą bronią, a kiedy zmuszą pasażerów do opuszczenia wozu, kradną samochód.

— Wielki Boże!

Sara wpatrywała się we mnie ze zgrozą.

— Johnson i DeMarco sądzą, że samochód zaatakowano właśnie w ten sposób, ale złodzieje czegoś się wystraszyli — powiedziała i dalej powtórzyła wszystko, co usłyszałam od policjantów.

— Nikt już nie jest bezpieczny — westchnęła Sara, gdy skończyłam.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ojciec był pierwszą osobą, którą zobaczyłam po wejściu do mieszkania matki. Widać usłyszał, jak przekręcąc klucz w zamku, bo wyszedł z małej biblioteki. Wokół jego ust rysował się wyraz niepokoju i troski, szczupła twarz była napięta.

— Dzień dobry, wujku — przywitała się Sara i czym prędzej skierowała się do kuchni, zostawiając nas sam na sam.

— Mał! — zawołał ojciec, biegnąc ku mnie przez hall, ale w jego głosie nie brzmiała radość, lecz niepokój.

— Och, tato!

Rzuciłam mu się w ramiona i mocno do niego przytuliłam.

— Och, tato, nie zniósę tego, nie zniósę. Nie mogę żyć bez Roberta, Lissy i Jamiego. Powinam być z nimi. Wtedy ja także bym zginęła i odeszlibyśmy razem.

Nie wytrzymałam i zaczęłam szlochać na jego piersi.

Gładził mnie po głowie, próbując pocieszyć. Ale mnie nie można było pocieszyć. Tulił mnie przez jakiś czas, wreszcie powiedział:

— Kiedy Diana mi powiedziała, nie wierzyłem. Nie sposób uwierzyć... że coś takiego mogło się stać Robertowi i bliźniętom...

Umilkł, nie mogąc mówić dalej. Wstrząsał nim płacz i staliśmy tak oboje na środku przedsionka, szlochając i przytulając się do siebie. Po chwili udało nam się trochę opanować i odsunęliśmy się od siebie. Ojciec wyjął chusteczkę i delikatnie wytarł mi łzy, jak to robił, gdy byłam dzieckiem. Potem otarł swoje policzki

i wydmuchał nos. Pomógł mi zdjąć płaszcz, odwiesił do szafy, objął mnie ramieniem i zaprowadził do biblioteki.

— Gdzie jest Diana? — spytałam, unosząc ku niemu głowę. — Sądziłam, że razem przyjedziecie z Londynu.

— Przyjechaliśmy. Jest w sypialni matki, doprowadza się do porządku. Kiedy weszliśmy i zobaczyła twoją matkę, zaczęła płakać. Tak samo matka, oczywiście. Trudno zrozumieć, że nie mamy już Roberta ani wnucząt...

Silny, pewny głos ojca zadrżał, zobaczyłam łzy w kącikach jego oczu. Usiedliśmy na sofie.

— Chciałem cię pocieszyć, pomóc ci — odezwał się ojciec. — Tymczasem chyba nie najlepiej się spisałem, prawda, kochanie?

— A jak mógłbyś się lepiej spisać? — odparłam zduszonym głosem. — Ty też cierpisz. Wszyscy cierpimy, tato, i nasza żałoba nigdy się nie skończy, nigdy.

Skinął głową, wziął mnie za rękę i mocno ją przytrzymał.

— Kiedy David odbierał nas dziś rano z lotniska, wyjaśnił, że zostałam wezwana na komisariat w celu złożenia oświadczenia, że tego wymaga procedura. Ale czy powiedzieli ci tam coś więcej? Podali może jakieś nowe informacje?

— Nie, wspomnieli tylko, że ich zdaniem zginęli na skutek ataku samochodowego.

Ojciec, tak samo jak wcześniej Sara, popatrzył na mnie zaskoczony. Wyjaśniłam mu, co to znaczy i powtórzyłam wszystko, czego dowiedziałam się od policjantów. Kręcił głową; na jego opalonej twarzy malowała się mieszanina gniewu i bólu.

— To tak przerażające, że trudno o tym myśleć, a co dopiero zrozumieć.

Z jego piersi dobyło się ciężkie westchnienie, jeszcze raz pokręcił głową.

— A to wszystko dla zegarka, portfela, a pewnie też i samochodu, gdyby ktoś lub coś ich nie spłoszyło. — Głos mi zadrżał, popłynęły znowu łzy. — I możliwe, że nigdy nie zostaną schwytani.

— Jestem z tobą, kochanie — usłyszałam łagodny, kochający głos ojca. — Zrobię, co w mojej mocy, by pomóc ci znieść... ten... ten straszliwy ból i cierpienie.

— Nie chcę żyć bez nich, tato. Nie mam już po co żyć. Życie bez Roberta i bliźniąt to dla mnie nie jest życie. Chcę umrzeć.

— Ciiii — uspokajał jeszcze łagodniej. — Nie mów tak, nie pozwól, żeby mama albo Diana cię usłyszały. Gdyby usłyszały, że to mówisz, na nowo by się załamały. Obiecuj mi, że więcej nie dopuścisz do siebie takiej myśli.

Milczałam. Jak mogłam obiecywać coś, czego — wiedziałam — nie dotrzymam?

— Wiem, że chcesz... — zaczął ojciec, gdy nie odpowiedziałam.

— Mal! — odezwała się z progu Diana i zabrzmiało to jak okrzyk bólu.

Poderwałam się i podeszłyśmy do siebie. Na jej twarzy widziałam straszliwy ból, ogromne cierpienie. Ze względu na nią starałam się być silna, kiedy obejmowałam ją ramieniem.

— Tylko ty mi już pozostałaś, Mal — szepnęła cicho i rozpląkała się na moim ramieniu tak samo jak ja przed chwilą na piersi ojca.

Wstał, podszedł do nas i poprowadził obie na sofę, gdzie usiadłyśmy. Sam zajął krzesło naprzeciwko.

— Przynieść ci herbaty, Diano? I tobie. Mal? — zapytał po chwili.

— Nie wiem... — odparła Diana. — Nie mam ochoty, Edwardzie.

— Właściwie, czemu nie — bąknęłam. — Tak, przynieś mi, tato, proszę.

— Dobrze.

Wstał i ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się w drzwiach.

— Mama jest w kuchni, pomaga gospodyni szykować kanapki. Choć nie sądzę, żeby ktokolwiek je tknął.

— Ja nie mogę i jestem pewna, że Diana podobnie.

Diana milczała. Otarła łzy chusteczką i długo wydmuchiwała nos.

— Po prostu nie potrafię tego przyjąć, Mal — przemówiła, kręcąc głową. — Nie wierzę, że oni wszyscy... odeszli. Robert,

Lissa, Jamie. Mój syn, moje wnuki. Ich życie tak bezsensownie, tak okrutnie przerwane.

— Nie cierpieli — udało mi się wydusić. Dopiero po chwili nabrałam dość sił, by podjąć. — Pytałam lekarzy, czy cierpieli, i jeden z nich zapewnił, że nie, że śmierć nastąpiła natychmiast.

Diana przygryzła wargę, jej oczy napelniły się łzami i właśnie w tym momencie uświadomiłam sobie, jak bardzo Robert przypominał matkę. Zasłoniłam usta dłońmi, powstrzymując łzy.

— Nie wiem, co ja bez niego zrobię — szepnęłam. — Tak bardzo go kochałam. Był moim życiem. Bliźnięta były moim życiem.

Diana wyciągnęła rękę i mocno uściśniła moją dłoń.

— Wiem, wiem. Chcę ich zobaczyć. Chcę zobaczyć mego syna i wnuki. Czy możemy do nich pójść, Mal?

— Tak. Są w domu pogrzebowym. To blisko stąd.

— A pogrzeb jest jutro, tak mówiła twoja matka. Rano. W kaplicy świętego Bartłomieja.

— Tak.

Diana nic więcej już nie powiedziała. Po prostu siedziała, wpatrując się we mnie. Wiedziałam, że jest w szoku, podobnie jak ja. Jak my wszyscy. Kilka razy przełknęłam ślinę, próbując nad sobą zapanować, wreszcie się odezwałam:

— Muszę cię o coś poprosić, Diano.

— Och, Mal, co tylko zechcesz.

— Czy mogłabyś pójść do naszego mieszkania? Muszę wybrać... wybrać... dla nich... ubrania... ubrania, które będą mieć... w trumnach — udało mi się wydusić i po raz kolejny w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin dotarło do mnie okropieństwo tego, co się wydarzyło.

— Oczywiście, że pójde — zapewniła Diana zdławionym głosem, który nagle wydał mi się stary i zmęczony.

Bez ostrzeżenia, bez jednego słowa, poderwała się i wypadła z pokoju.

Doskonale rozumiałam jej uczucia.

Oparłam się o sofę i myślałam o swoim życiu, o tym, jak nieodwracalnie zostało zniszczone.

## *Indiańska Dolina*

### ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

*Indiańska Dolina, styczeń 1989*

Zostałam sama.

Mój mąż nie żyje.

Moje dzieci nie żyją.

Mój mały pieszczoł, Trixy, nie żyje.

Ja też powinnam nie żyć.

I nie żyłabym, gdybym w tamten grudniowy weekend pojechała z nimi do Indiańskiej Doliny. Ale zostałam w mieście, żeby wyprawić przyjęcie na cześć Alicji Munroe i dlatego teraz żyję-

Nie chciałam żyć. Nie miałam już po co żyć.

Życie bez Roberta jest bez wartości.

Życie bez dzieci jest bez sensu.

Nie wiedziałam, co bez nich począć. Nie umiałam sobie radzić z codziennym życiem, nie wiedziałam, jak funkcjonować.

Wydawało mi się, że poruszam się jak we mgle; robiłam wszystko automatycznie, jak mi kazali. Rano wstawałam, myłam się, ubierałam i piłam filiżankę kawy bądź herbaty. Słałam łóżko i zajmowałam się domem, podobnie jak kiedyś pomagając Norze.

Czasem zaglądałam do Anny i koni; rozmawiałam przez telefon z mamą lub Sarą. Kilka razy w tygodniu dzwoniłam do Diany albo ona do mnie, a ojciec ciągle telefonował, jak nigdy przedtem.

Ale przez większość dnia nie robiłam nic. Nie miałam siły, ochoty. Byłam apatyczna.

Od czasu do czasu co prawda zaglądałam do swego gabinetu i próbowałam odpowiedzieć na niektóre listy kondolencyjne. Były ich setki, ale ja potrafiłam przeczytać najwyżej kilka, zbyt wiele mnie kosztowała ich lektura.

Często przesiadywałam w swoim saloniku na górze, myśląc o Robercie, Lissie i Jamiem, opłakując ich i Trixy. Moja suczka bicheon frise była moją stałą towarzyszką jeszcze przed urodzeniem dzieci, zawsze depcząc mi po piętach, wszędzie za mną chodząc. Była prawdziwą mafą obecnością.

Nie rozumiałam, dlaczego przytrafiło się nam to straszne nieszczęście. Co takiego zrobiliśmy, żeśmy na nie zasłużyli? Dlaczego Bóg pozwolił, by zginęli? Czyżbym Go czymś obraziła? A może my wszyscy czymś Go obraziliśmy? Zrobiliśmy coś, co wzbudziło Jego gniew.

A może Boga nie ma?

Może na świecie jest tylko szatan?

Szatan to wynalazek człowieka, nie Boga. Istniał od początku czasów i będzie istniał, póki nasza planeta sama się nie wysadzi w powietrze — co na pewno nastąpi, bowiem człowiek to złe stworzenie, nastawione na zniszczenie i zabijanie.

Moje życie, nasze życia, zetknęły się ze złem, kiedy tamto zwierzę pociągnęło za spust, niszcząc dwójkę niewinnych dzieci, małego psiaka i przyzwoitego mężczyznę, który przez czterdzieści jeden lat życia nikomu nie wyrządził krzywdy.

Robert został zabrany u szczytu życia, moje dzieci u jego początku; nie potrafiłam tego pojąć. Niektórzy znajomi mówili, że taka była wola Boża i nie powinnam podawać jej w wątpliwość. Ani pytać Boga, dlaczego coś robi. Musimy po prostu się na to godzić, choćby straszliwie bolało.

Jak mogłam pogodzić się ze śmiercią mego męża i dzieci? Tak więc ciągle pytałam: dlaczego? Chciałam zrozumieć, czemu to się stało. Musiałam się dowiedzieć, dlaczego Bóg pozwala rodzajowi ludzkiemu na popełnianie takich zbrodni. Czy Bóg chce naszego cierpienia? Czy to jest wyjaśnienie?

Nie wiedziałam. Nie znajdowałam odpowiedzi.

Może po prostu nie ma odpowiedzi. Może nie ma Boga. Nad tym właśnie się zastanawiałam od pięciu tygodni. Mama powiedziała, że żyjemy w świecie bez Boga i musiała mieć rację.

Z raportu balistycznego dowiedziałam się, że moją rodzinę zastrzelono z półautomatycznego pistoletu kaliber dziewięć milimetrów, z którego można było za jednym naciśnięciem wystrzelić siedemnaście do osiemnastu kul. DeMarco powiedział o tym Davidowi dodając, że broń tę można kupić bez najmniejszego kłopotu i że jest wykorzystywana właśnie do takich celów.

Do takich celów.

Oto, do czego doszliśmy. Czy niczego nie nauczyliśmy się przez tyle stuleci?

Wedle słów DeMarco cała moja rodzina została zabita z tego samego pistoletu, więc on i Johnson byli prawie pewni, że strzelał tylko jeden człowiek. Ale to nie wykluczało ataku całej bandy, poinformował DeMarco Davida. Niestety, nadal nie znaleziono podejrzanych. I nie zgłosił się żaden świadek.

Z tego co wiedziałam, mimo rozgłosu, jaki nadano sprawie, nie się nie wydarzyło. I nadal głośno się o niej mówiło. Śmierć mojej rodziny, pogrzeb i śledztwo przyciągnęły dziennikarzy; w końcu wszystko zmieniło się w cyrk, codziennie prześladowali nas dziennikarze i telewizja. Ku naszej rozpacz dopadła nas też prasa brytyjska.

Przestałam czytać gazety, oglądać wiadomości. Nie chciałam nagle usłyszeć czegoś o sobie lub swojej rodzinie. A już na pewno przestało mnie obchodzić, co się dzieje na świecie. Świat był bez znaczenia.

Uciekłam do Indiańskiej Doliny.

Chciałam się wyrwać z nowojorskiego mieszkania, które znienawidziłam. Miasto budziło we mnie obrzydzenie i strach.

David przekonywał, że bym aż tak nie gardziła mediami i ich ciągłym zainteresowaniem moją tragedią.

— Wywierają ciągły nacisk na policję — zwrócił mi niedawno uwagę. — Ciesz się z tego, Mal. Nowojorska policja nie chce



zostać spalona żywcem. Dzięki temu zwiększą wysiłki zmierzające do wykrycia sprawców. — I po chwili namysłu dorzucił: — No i jeszcze Johnson z DeMarco zawzięli się, że odnajdą morderców, zwłaszcza DeMarco, który zrobił z tego swoją osobistą wyprawę krzyżową.

Wszystko to było prawdą. I DeMarco rzeczywiście wyglądał na osobiście zaangażowanego. A mimo to wątpiłam, by kiedykolwiek odnaleziono tego potwora, który z zimną krwią odebrał życie mojej rodzinie.

Już dawno uciekł ze swą śmiercionośną bronią.

Był wolny.

Mógł dalej wieść swe szatańskie życie. I nadal zabijać, jeśli mu się zachce.

A mnie pozostała tylko żałoba.

Opłakiwałam swego męża i dzieci, ich życia, których nie przeżyją, przyszłość, którą im skradziono, wszystko, co mogło się wydarzyć, a już się nie wydarzy.

Chciałam umrzeć.

I umrę.

Wkrótce. Już bardzo niedługo.

Do tej pory nie mogłam się zabić, bo nawet na chwilę nie zostawałam sama. Zawsze ktoś mi towarzyszył.

Czy podejrzewali, co zamierzam?

Od dnia pogrzebu, kiedy z Dianą i ojcem wróciłam do Sharon, ciągle ktoś przy mnie był.

Ofiarowali mi swoją miłość. Próbowali ukoić mój ból, tak samo jak ja próbowałam ich pocieszyć. Ale nasze wysiłki pozostawały bezowocne. Zbyt wielką ponieśliśmy stratę, zbyt ogromny był nasz ból. Tkwił w nas, ani na chwilę nas nie odstępował.

Po pewnym czasie wszyscy wyjechali, choć część tylko na pewien czas, tak jak matka, David i Sara. Ale po kilku dniach wrócili, a Nora i Anna nigdy nie odstępowały mnie na dłużej. Nawet Eryk, mąż Nory, zdawał się ciągle krążyć w tle.

Diana postanowiła wrócić do Londynu pod koniec grudnia. Chciała ze mną zostać, choćby po to, żeby pomóc mi jakoś przebrnąć przez święta. Podobnie ojciec. Zwróciłam im uwagę, że mama, David i Sara przyjadą do Indiańskiej Doliny. Powinni wracać, spróbować najlepiej jak potrafią powrócić do swoich spraw i życia.

— Może i masz rację, Mal — odparła Diana. — Jeśli zostanę, obie będziemy wzajemnie pogłębiały swój ból.

Mówiła to tylko dlatego, że chciała mi pomóc. Wiedziałam, że serce jej pęka na myśl o rozstaniu ze mną. Co więcej, w ostatniej chwili, kiedy już ruszali z ojcem na lotnisko Kennedy'ego, błagała, bym szybko się spakowała i pojechała z nią do Londynu, a potem do Yorku.

Ojciec także zaklinał, bym im towarzyszyła. Prosił, bym spędziła święta z nim, Dianą i Gwenny w Kilgram Chase, a gdybym uważała, że to dla mnie za trudne, żebyśmy wspólnie gdzieś wyjechali. Choćby do Francji.

Lecz dla mnie nie było nic pociągającego w Londynie, Yorku czy Francji, ani w żadnym zakątku ziemi. Przestałam dobrze się czuć na naszej planecie. Jakże marzyłam o zupełnie innym, odległym miejscu.

Dlatego potrząsnęłam głową, ucałowałam ich na pożegnanie i wysłałam w świat. Chciałam zostać tutaj ze wspomnieniami. I poczynić przygotowania do swej śmierci.

Był jeden powód, dla którego jeszcze tego nie zrobiłam. Czeakałam na pewną przesyłkę. Gdy już tu będzie, zabiję się i dołączę do mego męża i dzieci. Będziemy razem i skończy się męka.

Zerknęłam na datę w kalendarzyku. Był wtorek, siedemnasty stycznia. Paczka powinna dotrzeć jutro, osiemnastego. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że zrobię to dziewiętnastego. A więc niech się stanie.

Wstałam, wyszłam z gabinetu i poszłam korytarzem do przedsiionka, gdzie trzymałam kalosze i płaszcze przeciwdeszczowe. Rano Anna prosiła mnie, żebym zajrzała do stajni; uznałam, że

ten moment jest równie dobry jak każdy inny. Nie dotarłam jednak do przedsiönka, bo wpadłam na Norę z tacą.

— Mal! Właśnie niosłam ci supę.

— Nie mam ochoty, Noro, nie jestem głodna. Dzięki. Zresztą, właśnie wychodziłam.

— Nie, nigdzie nie wyjdiesz — oświadczyła, stając przede mną. — Najpierw musisz coś w siebie wrzucić. — Zmierzyła mnie wzrokiem. — Nie pamiętam już, kiedy ostatnio zjadłaś coś solidnego. Herbata, kawa, kromka chleba. Na czymś takim nie można długo żyć. Masz zjeść tę supę.

Ustałam.

Nie chciało mi się z nią kłócić, zresztą miała w oczach ten nieugięty błysk, który ostatnio aż nadto dobrze poznałam. Poza tym bałam się, że rzeczywiście może nie wypuścić mnie na dwór, jeśli nie zjem tej supy.

Zmięła odrobinę.

— Gdzie zjesz? — spytała.

— W kuchni.

Bez słowa obróciła się na pięcie i ruszyła do długiej galerii, wiodącej do kuchni.

Z jej ruchów widziałam, że jest na mnie rozzłoszczona, może nawet dotknięta, i to mnie zasmuciło. Za nic w świecie nie chciała-bym obrazić Nory. Była dobrą kobietą, ona także cierpiała i bolała nad śmiercią Roberta i dzieci. Do szaleństwa uwielbiała bliźniaki, Robert był jej ogromnie bliski. Ona, Eryk i Anna przyjechali do Nowego Jorku na pogrzeb i od tamtej pory jeszcze się nie otrząsęli.

Postawiła przede mną tacę i położyła mi dłoń na ramieniu. Chciała coś powiedzieć, ale głos się jej załamał i uciekła, nim zdążyłam jeszcze coś dodać.

Choć to już połowa stycznia, nie ma mrozów i jak do tej pory niewiele spadło śniegu. Cieniutką warstwą przykrywał ziemię wokół domu, na trawnikach było trochę więcej, jedynie na stoku wiodącym do stajni, pastwisk i stawu leżało go dużo. Eryk przekopał ścieżkę, wysypał ją solą i piaskiem. Szłam nią, kierując się ku

mieszkanu Anny. Byłam prawie na miejscu, kiedy Anna wynurzyła się ze stajni, zauważyła mnie i pomachała. Odpowiedziałam tym samym i przyspieszyłam kroku.

Najpierw jak zwykle serdecznie mnie uściskała.

— Chodzi mi o... kucyki, Mal. Mówiłaś, żebym zrobiła z nimi, co zechcę i... hmm... znalazłam klienta.

Zmarszczyłam brwi.

— Klienta? Co masz na myśli? — spytałam, wpatrując się w nią twardo.

— Znalazłam kupca na nie — odparła szybko. W jej brązowych oczach pojawiło się zakłopotanie.

— Przecież nie mogłabym ich sprzedać! — krzyknęłam. — Za nic!

Widać mój głos zabrzmiał ostro, bo Anna splonęła rumieńcem i wyjąkała:

— Chyba źle cię zrozumiałam.

Wyciągnęłam rękę i uspokajająco dotknęłam jej ramienia.

— Nie, nie zrozumiałaś mnie źle, Anno. To ja niejasno się wyraziłam. I przepraszam, że tak ostro się teraz odezwałam. Mówiąc, że możesz zrobić z kucykami, co zechcesz, miałam na myśli, żebyś je oddała. Nie mogłabym sprzedać Pippy i Punchinelli.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

— Mam przyjaciółkę, która o nich marzy. Będzie się o nie troszczyć, Mal, i jej dzieci też. To wspaniały dar, dziękuję.

Skinęłam głową.

— Czy jeszcze o czymś chciałaś porozmawiać?

— Nie, to było wszystko — odparła Anna.

— Chyba zajrzę do kucyków, żeby się z nimi pożegnać — odezwałam się właściwie do siebie i poszłam do stajni.

Anna miała dość wycucia, żeby nie ruszyć za mną.

Podeszłam do boksów i wyciągnęłam z kieszeni jedną marchewkę dla Punchinelli, a drugą dla Pippy. Nakarmiłam konie, poklepałam je po łbach i wyszeptalam:

— Ruszajcie do nowego domu. I dopilnujcie, żeby tamte dzieci miały z was tyle radości, co moje.

\*

Wolno wracałam pod górę do domu.

Dotarwszy na szczyt, usiadłam pod jabłonią. Była taka naga, ogołocona, ale wiosną i latem pokrywały ją liście i delikatne białe pączki. Piękne drzewo, zawsze tak o niej myślałam.

To mój najukochańszy kącik w Indiańskiej Dolinie. Robert nazywał go zakątkiem mamusi, bo ilekroć miałam wolną chwilę, przychodziłam właśnie tutaj: odpocząć, pomyśleć, czytać, czasem malować, a bardzo często po prostu siedzieć i marzyć. Po jakimś czasie to miejsce stało się także ich schronieniem: Roberta i dzieci. Jeśli zniknęłam im z oczu, zwykle tutaj mnie znajdowali i zawsze ze mną zostawali.

Pod tą jabłonią opowiadałam dzieciom bajki, czytałam im, czasem urządaliśmy sobie pikniki. Zawsze ofiarowywała cień i chłód, nawet w najbardziej upalne letnie dni.

To właśnie tu przychodziliśmy z Robertem, gdy chcieliśmy po-  
być sami, zwłaszcza w ciepłe noce, kiedy na granatowym niebie  
lśniły tysiące gwiazd. Objęci siedzieliśmy pod drzewem, rozmawiając o przyszłości albo nie rozmawiając w ogóle, zawsze odnajdując tu spokój.

Jak bardzo kochaliśmy tę starą jabłoń.

Zacisnęłam powieki, by nie widzieć bladego nieba i stycznego słońca, by powstrzymać łzy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

— Mal, przyjechał jakiś samochód, wóz dostawczy — odezwała się Nora, pochylając się nade mną.

Poderwałam się zaskoczona, mrugając oczami.

— Przepraszam, że cię budzę. Wiem, że ostatnio prawie nie spałaś. Ale kierowca musi mieć podpisane papiery i prosił, żeby mu powiedzieć, gdzie wnieść sejf.

— Tutaj — powiedziałam, wstając z łóżka. — Chcę, żeby go wstawili tutaj, do szafy z ubraniami.

Posłała mi zdziwione spojrzenie.

— Po co nam sejf, Mal?

— Chcę do niego włożyć parę rzeczy — wyjaśniłam. — Osobiste notatki, biżuterię, dokumenty.

Kłamałam, ale musiałam wymyślić jakieś wytłumaczenie.

— Chyba powinnaś zejść na dół i z nim porozmawiać — mruknęła, dając mi papiery, które trzymała w ręku.

Szłam za nią korytarzem, z ulgą myśląc, że firma dotrzymała terminu. Sejf zamówiłam już dawno, natychmiast wysłałam im czek i od tamtej pory cierpliwie czekałam.

Samochód stał przy tylnych drzwiach, a kierowca był w kuchni. Nora zniknęła w spiżarni.

— Jestem Mallory Keswick — przedstawiłam się. — Chciałabym, żeby pan wniósł sejf na górę, ale to może być trudne. Schody są dość wąskie.

— Mam pomocnika. Został w wozie — burknął. — Może mi pani pokazać, gdzie to ma stanąć?

— Proszę za mną.

Zaprowadziłam go na górę do mojego saloniku i otworzyłam drzwi garderoby, w której trzymałam ubrania.

— Chcę, żeby go panowie umieścili tu, na tylnej ścianie.

Pokazałam mu miejsce, o które mi chodziło.

— Dobra — stwierdził i ruszył na dół.

Deptałam mu po piętach. W kuchni usiadłam przy stole, rzuciłam okiem na papiery, wzięłam długopis i podpisałam. Nora wychyliła głowę ze spiżarni.

— Sara przyjeżdża jutro czy w piątek?

— Nie będzie jej w ten weekend.

— Och. — Wyglądała na zaskoczoną. — To znaczy, że będzie twoja matka.

Potrząsnęłam głową.

— Nie, będę sama.

— Ale to będzie pierwszy raz, kiedy zostaniesz sama.

Stała bez ruchu, bacznie mi się przyglądając.

— Poradzę sobie — zapewniłam ją. — Mam parę rzeczy do zrobienia.

Przez moment się nie ruszała, potem obróciła się i wróciła do spiżarni.

W chwilę później dostawca z Acme i jego pomocnik wtoczyli do środka wózek z sejfem.

— Będę musiał zdjąć te drzwi — oświadczył mężczyzna, po czym to uczynił.

Zdjawszy drzwi z zawiasów, postawił je na podłodze. Potem ułożył sejf płasko na wózku i razem z pomocnikiem pchali go przez galerię, kierując się w stronę schodów. Zawrócili, by z powrotem założyć drzwi i zaledwie po piętnastu minutach sejf stał w mojej garderobie dokładnie w tym miejscu, gdzie sobie życzyłam.

Kiedy już zostałam sama, przećwiczyłam otwieranie i zamykanie sejfu zgodnie ze wskazówkami, jakie znalazłam w instrukcji, a gdy się upewniłam, że załapałam, w czym rzecz, wymazałam kod fabryczny i wprowadziłam swój własny: datę mojego ślubu.

Miałam wrażenie, że Norze wszystko wyjątkowo wolno dzisiaj idzie. Raz po raz spoglądałam na zegar na półce nad kominkiem. Dochodziła czwarta.

Odpowiedź znalazłam niemal od razu. Prawdopodobnie zajrzy tu Eryk, jak to ostatnio miał w zwyczaju, i chciała być przy tym, jak on przyjedzie z pracy.

Teraz, gdy miałam już sejf, mogłam uporządkować wszystkie sprawy, siedziałam więc, wystawiając czeki i regulując wszelkie zobowiązania. Skończywszy z rachunkami, dodałam wszystko w moim żółtym notesie, wpisałam sumę, jaka mi pozostała, zamknęłam książeczkę czekową i schowałam ją do szuflady biurka.

Nasze podstawowe źródło dochodów stanowiła pensja Roberta, dlatego teraz dysponowałam bardzo małą sumą. I nie dostałam jeszcze pieniędzy z jego polisy. Mieliśmy coś niecoś na koncie, ale niewiele. Oboje lubiliśmy zaszczać, często żyliśmy ponad stan.

Zresztą, jakie to teraz ma znaczenie? Nie będę potrzebować pieniędzy. Będę martwa.

Mama sprzeda nowojorskie mieszkanie i ten dom, żeby spłacić pożyczki, które na nie zaciągnęliśmy, a z reszty ureguluje nasze pozostałe długi. Nie zostawimy po sobie żadnych zobowiązań, żadnych zaległości; właśnie tego chciałam.

Testament sporządziłam kilka dni temu. Wybrałam prawnika w New Milford. Wołałam nie korzystać z usług kancelarii, która prowadziła sprawy mamy. Gdyby mama się dowiedziała, że spisałam ostatnią wolę, byłaby śmiertelnie przerażona.

Ją i Sarę wyznaczyłam na wykonawczynię mego testamentu, mamie pozostawiłam swój majątek, ale perły i większość biżuterii ofiarowałam Sarze. Z wyjątkiem pierścionka zaręczynowego — on wróci do Diany. W końcu stanowił dziedzictwo Keswicków i ona nosiła go przede mną. Niektóre drobiazgi i obrazy zapisałam Norze, Erykowi i Annie. Pozostałymi obrazami matka mogła dysponować zgodnie ze swoją wolą.

Kochałam Sarę. Była moją najbliższą, najdroższą przyjaciółką, siostrą, której nigdy nie miałam. Wiedziałam aż nadto dobrze, że będzie zdruzgotana. Ale nie mogłam już dłużej żyć bez mojej rodziny.



Drzwi gabinetu nagle się otworzyły i pojawiła się w nich głowa Eryka.

— Cześć, Mal, jak leci?

— Wszystko w porządku — odparłam, bez większego powodzenia próbując się uśmiechnąć. — Au ciebie?

Skrzywił się i potrząsnął głową.

— Ostatnio w składzie nie najlepiej idzie. W tym tygodniu szef musiał zwolnić kilku chłopaków. Ale na razie jakoś leci, nie martwię się zbytnio.

— Cieszę się, że u ciebie wszystko dobrze, Eryk. Nora jest na górze. Parę minut temu słyszałam jej kroki.

Uśmiechnął się szeroko.

— Zaraz do niej zajrzę. Zejdę do piwnicy i przyniosę kilka polan, a potem zerknę na ten trzeci grzejnik w stajni. Anna mówiła Norze, że od kilku dni ledwo grzeje. Musimy pilnować, żeby koniki nie pomarzły.

— Oczywiście, że musimy. I dzięki, Eryku, bardzo jestem ci wdzięczna za pomoc.

— Nie ma sprawy, Mal. Mów, jeśli będzie trzeba coś naprawić. Piec nie odstawia żadnych numerów?

— Nie, wygląda na to, że dobrze działa, dziękuję.

— Zajrzę jeszcze do ciebie przed wyjazdem.

Uśmiechnął się i zniknął.

Eryk Matthews był dobrym człowiekiem. Od kiedy na stałe przeniosłam się do Indiańskiej Doliny, zaglądał tu w drodze z pracy i wykonywał wszystkie roboty, którymi zwykle zajmował się Robert, a które były za ciężkie dla mnie lub Nory. Podobnie jak jego żona i Anna też jeszcze się nie otrząsnął po śmierci Roberta i dzieci, a choć zawsze, gdy przychodził, próbował przybierać pogodną minę, w jego oczach widziałam ból.

Nora i Eryk w końcu pojechali. Ona rozsypującym się starym chevy, on poobijanym pikapem. Choć bardzo ich kochałam, odechnęłam z ulgą.

Wreszcie zostałam sama.

Zamknęłam na klucz wszystkie drzwi, pobiegłam na górę i podeszłam do komódki w sypialni; w jej najniższej, najgłębszej szufladzie trzymałam cztery kartonowe pudełka.

Wyjęłam je jedno po drugim i ostrożnie przeniosłam do saloniku przy sypialni, gdzie ułożyłam je na sofie.

Najpierw otworzyłam pudełko z naklejką weterynarza i wyjęłam małą kremową puszkę. Następnie otworzyłam pozostałe trzy, z nazwą krematorium. Ustawiłam cztery puszki obok siebie **na** stoliku i patrzyłam na nie. Kiedy David odebrał je i przywiózł mi tutaj, natychmiast na każdym pojemniku napisałam imię, datę urodzenia i śmierci Roberta, Lissy, Jamiego i Trixy.

Oto oni — tyle pozostało z mojej rodziny. Cztery urny popiołu.

Łzy napłynęły mi do oczu, ale zdławiłam je, sięgnęłam po chusteczkę i wytarłam nos.

Odzyskawszy panowanie nad sobą, wzięłam pojemniki z prochami Lissy i Jamiego i zaniiosłam je do garderoby. Postawiłam je na **półce** w sejfie, potem **Wróciłam** do salonu po prochy Roberta, **a** na końcu Trixy.

Zamknęłam drzwi sejfu, ustawiłam kombinację i wsunęłam kluczyk do kieszeni.

— Teraz jesteście bezpieczni. Zupełnie bezpieczni. Nikt ani nic już nigdy was nie skrzywdzi — powiedziałam głośno do mej rodziny, jak to często ostatnio czyniłam. — Wkrótce do was dołączę. Będziemy razem już na zawsze.

Następny ranek spędziłam przy telefonie.

Rozmawiałam z Dianą w Londynie, mamą i Sarą w Nowym Jorku, a na końcu z tatą, który przebywał w Kalifornii na spotkaniach na UCLA.

Gawędziłam z nimi miło, dbając, by mój głos brzmiał pogodnie, każdego zapewniłam, że czuję się o wiele lepiej.

Chyba mi uwierzyli. Kiedy chcę, potrafię być bardzo przekonująca.

Po południu napisałam listy pożegnalne do nich czworga. Dołączyłam też piąty list do Davida Nelsona, w którym dziękowałam

za wszystko, co dla mnie zrobił, prosiłam, by dbał o moją matkę i ją pocieszył. Poinstruowałam go także, co ma zrobić z naszymi prochami. Zakleiłam koperty, na każdej napisałam imię adresata i zostawiłam je w szufladzie obok książeczki czekowej.

Dziś wieczorem się zabiję. Moje ciało zostanie znalezione jutro rano. A wkrótce potem listy.

Leżałam na sofie w saloniku na górze, popijając wódkę i słuchając Marii Callas śpiewającej „Toscę”. To była ulubiona opera Roberta.

Zimowe słońce dawno już zniknęło za horyzontem, nadchodził zmierzch. Wkrótce zapadnie zmrok — szara godzina, jak ją określał Robert. Nazwa rodem z północy kraju, powiedział kiedyś.

Z piersi wyrwało mi się głębokie westchnienie.

Wkrótce moje życie dobiegnie kresu.

W słabym świetle odchodzącego dnia widziałam twarz Roberta, spoglądającego na mnie z portretu, który sama namalowałam. Uśmiechnęłam się z niewysłowioną miłością. Potem przeniosłam spojrzenie na portret bliźniąt. Jamie i Lissa. Jakże pięknie wyglądały, moje aniołki Botticellego. Znowu się uśmiechnęłam. Moje dwa cudenka.

Sięgnęłam po kieliszek i łyknęłam jeszcze trochę wódki. Przymknęłam oczy i dałam się kołysać muzyce.

Wraz z końcem tej płyty skończy się i moje życie.

— Mal! Mal! Gdzie jesteś?

Wyprostowałam się gwałtownie, śmiertelnie przerażona wypuściłam z ręki kieliszek.

Zanim zdążyłam się pozbierać, do pokoju wpadła Sara. Była blada, w jej oczach malował się niepokój.

— Nic dziwnego, że nie słyszałaś, jak waliłam do drzwi! — zawołała. — Ta Callas drze się jak opętana!

Podeszła do wieży, ściszyła muzykę.

— Tkwiałam na dworze od Bóg wie jak dawna. Myślałam, że sobie pięści odbiję od tego walenia.

Nie pojmowałam, jakim cudem się tu znalazła.

— Jak weszłaś? — spytałam słabym głosem.

— Drzwiami kuchennymi.

— Ależ były zamknięte na klucz!

— Nie, nie były, Mal.

— Były! — krzyknęłam. — Sama je zamykałam.

Przypomniałam sobie dzisiejsze popołudnie. Odprowadziłam Norę do kuchni, pożegnałyśmy się, zamknęłam za nią drzwi. Potem przekręciłam klucz w zamku i zasunęłam zasuwę. Może ból odebrał mi jasność myślenia, ale nie miałam najmniejszych wątpliwości co do tych drzwi. Kto je otworzył?

Sara stała, patrząc na mnie.

— A w ogóle co ty tu robisz?

Zrzurowała moje plany. Byłam na nią wściekła.

Rzuciwszy płaszcz na fotel, usiadła na sofie i wzięła mnie za rękę.

— Dlaczego tu jestem, Mal? Bo się o ciebie bałam, to jasne. Bardzo się bałam.

Wpatrywałam się w nią bez słowa.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Sara najwyraźniej przyjechała do Indiańskiej Doliny na weekend. Kiedy weszłyśmy do kuchni, zobaczyłam jej walizkę, którą porzuciła obok drzwi.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było sprawdzenie drzwi. Obróciłam gałkę, drzwi się otworzyły.

— Rozumiem, że nie zamknęłaś ich, kiedy szłaś na górę mnie szukać.

— Nie, Mal, nie zamknęłam. Były otwarte, więc tak je zostawiłam. Przepraszam.

— W porządku. Po prostu nie rozumiem. Na pewno je zamknęłam na klucz. To niepojęte.

Sara nie odpowiedziała. Podeszła do sosnowej szafki, wyjęła szklankę i nalała wódki.

— A ty, Mal? Nalać ci?

— Czemu nie.

Skoro nie mogę się dziś zabić, przynajmniej się upiję. To choć na kilka godzin pozwoli mi zapomnieć.

Wyjęłam z zamrażarki pojemnik z lodem i dałam go Sarze, potem zajrzałam do lodówki.

— Jest zapiekanka — powiedziałam. — Nora zrobiła ją rano. A może chcesz omlet?

— Dziękuję za jajka — odparła Sara, wrzucając do szklanek kostki i plasterki zielonej cytryny. — Spróbuję tej zapiekanki. A co ty zjesz?

— To samo — burknęłam, choć nie byłam głodna.

Włożyłam zapiekankę do piekarnika.

— Musi się podgrzać, to potrwa jakies pół godziny.

Przeszliśmy razem do pokoju dziennego. Mimo mnóstwa okien i drzwi balkonowych panowało w nim ciepło — dom miał centralne ogrzewanie. Zapaliłam światła. Zobaczyłam, że za oknem znowu pada śnieg. Trawniki przykryła biała kołdra, drzewa wyglądały, jakby rozkwitły na nich białe kwiaty.

Usiadłam na krzesło, plecami do okna. Sara zajęła obszerny fotel, oparła stopy o niski stolik i w ciszy uniosła szklankę.

Zrobiłam to samo.

Sara się nie odzywała. Ja też. Przez dłuższą chwilę siedziałyśmy w milczeniu.

— Moja kuzynka, Vera, wraca do Nowego Jorku — odezwała się w końcu Sara, otrząsając się z zadumy i patrząc na mnie.

— Och — odparłam, spoglądając na nią szybko. — Czyżby nie podobało jej się Zachodnie Wybrzeże?

— Podobało, ale mąż ją zostawił. Zamieszkał z inną. Chce się rozwieść, więc Vera postanowiła spakować manatki i wrócić do domu.

— To przykre — mruknęłam, chcąc okazać uprzejmość.

— Vera przyleci do Nowego Jorku za jakies dwa tygodnie — ciągnęła Sara. — Rozejrzeć się za mieszkaniem. I kiedy tu jechałam, wpadło mi na myśl, że twoje idealnie by się dla niej nadawało. Pewnie pamiętasz, że ma nastoletnią córkę i gospozię, która mieszka z nią od lat. Twoje mieszkanie jest dla niej w sam raz.

Wychyliłam łyk wódki i milczałam.

— No i? Co o tym myślisz? — spytała Sara, przypatrując mi się bacznie.

Wzruszyłam ramionami.

— Chcesz je sprzedać, Mal?

— Tak, chyba tak.

— Mówisz, jakbyś się wahała. A przecież sama mi powiedziałaś, że nigdy więcej nie chcesz oglądać Nowego Jorku, że nienawidzisz tego miasta. Po co trzymać mieszkanie w mieście, którego się nienawidzi?

— Masz rację, Sash. Jeśli Vera chce kupić mieszkanie, niech kupuje. Oprowadź ją po nim, kiedy będziesz miała ochotę. Albo niech to zrobi mama. Ma swoje klucze.

— Dzięki, Mal. — Uśmiechnęła się do mnie. — Byłoby mi miło, gdybym obu wam się przysłużyła.

— Jak to?

— Vera szuka miłego mieszkania. A tobie te pieniądze na pewno się przydadzą, prawda?

Skinęłam głową.

— Polisa Roberta nie jest szczególnie wysoka.

— Mieliście pożyczkę na zakup mieszkania, prawda?

— Tak — potwierdziłam. — I drugą na kupno tego domu.

Sara popatrzyła na mnie uważnie.

— Jak sobie poradzisz? — spytała cicho, z wyraźnym niepokojem. — Skąd weźmiesz pieniądze?

Nie będą mi potrzebne, pomyślałam. Wtedy nie będę już żyć.

Ale na głos powiedziałam:

— Trochę dostaję z agencji reklamowej, ale niewiele. Jack Underwood powiedział mi, że mają poważne kłopoty. Stracili sporo dobrych klientów, a w londyńskim oddziale mają wszelkie możliwe problemy finansowe. Ale o tym sama wiesz. Robert ci mówił w listopadzie, po powrocie z Londynu.

— Kiedy rozmawiałaś z Jackiem?

— Przyjechał mnie odwiedzić parę dni temu. Dopiero co wrócił z Londynu. Strasznie bolał po stracie Roberta — byli sobie bardzo bliscy — i niepokoił się o firmę. On i Harvey odchodzą. Zakładają własną agencję. Tamto trzymało się wyłącznie dzięki Robertowi...

Umilkłam i wpatrywałam się w Sarę niewidzącym wzrokiem, potem wyprostowałam się i dokończyłam pewniejszym, silniejszym głosem:

— Tak więc będą realizować swoje plany, mimo że Roberta już z nimi nie ma.

Sara milczała. Siedziała z posmutniałą twarzą, sącząc drinka i wyglądając przez okno na pokryte śniegiem trawniki. Wstałam

i zgasila część swiateł. Za jasno bylo tu dzis dla mnie. Potem wrócila na miejsce.

— Martwię się o ciebie, Mal — odezwała się nagle Sara.

— O pieniądze? Ze ich nie mam?

Potrząsnęła głową.

— Nie, o to wcale się nie martwię. Ciocia Jess i David ci pomogą, ja też. Wiesz, że wszystko co moje jest i twoje. A twój ojciec i Diana też będą cię wspierać, póki nie staniesz na nogi.

— Chyba tak — odparłam. Oczywiście, to nie będzie potrzebne, bo mnie już tu nie będzie.

— Boję się o ciebie, o twoje zdrowie — podjęła cicho Sara. — A przede wszystkim o stan twego umysłu. Wiem, że żałoba i cierpienie ani na chwilę cię nie opuszczają. Chciałabym ci pomóc. Nie wiem jak.

— Nikt nie może mi pomóc, Sash. Dlatego najlepiej zostawić mnie samą.

— Nie zgadzam się z tobą, absolutnie nie. Ktoś musi być z tobą, żeby cię pocieszyć, na ile potrafi. Potrzebujesz kogoś, żeby móc porozmawiać, wyłakać się, jeśli trzeba. Nie możesz być sama.

Nie odpowiedziałam.

— Wiem, że mam rację — naciskała. — Wiem, że to ja jestem tą osobą. To ja powinnam z tobą być. Znamy się całe życie, od dzieciństwa. Jesteśmy przyjaciółkami... Powinnam być przy tobie teraz, kiedy potrzebujesz drugiego człowieka. To mnie potrzebujesz, Mal.

— Tak — odparłam cicho. — Jesteś najlepsza. I chyba jesteś jedyną osobą, która umie sobie ze mną radzić.

— Obiecuj, że będę mogła przyjeżdżać w każdy weekend i że nie będziesz próbowała mnie odepchnąć, jak to robiłaś ostatnio.

— Obiecuję.

Uśmiechnęła się.

— Kocham cię, Mal.

— I ja ciebie też, Sash.

Znowu na moment zapadła cisza.

— To ta nicość — odezwałam się w końcu.



— Nicość?

— To jej codziennie muszę stawić czoło. Nicości. Oprócz niej nie ma. Tylko pustka, próżnia. Od dziesięciu lat moje życie koncentrowało się na Robercie, naszym małżeństwie, jego karierze, potem doszły jeszcze bliźnięta. Ale teraz, kiedy ich nie ma, nie ma też żadnego celu. Jedyne nicość. Dla mnie po prostu nic nie zostało.

Sara skinęła głową. W jej oczach zabłysły łzy i przez chwilę nie mogła wyrzec słowa. Zresztą, ona nigdy nie uraczyłaby mnie bezsensowną gadką, pustymi słowami, których ostatnio tyle usłyszałam.

Podniosłam się.

— Nie rozmawiajmy o tym więcej.

Kolację zjadłyśmy w kuchni. A właściwie Sara jadła, ja tylko skubałam zapiekankę. Straciłam apetyt i nie mogłam go odzyskać. Ale otworzyłam butelkę dobrego czerwonego wina i hojnie się nim raczyłam w czasie posiłku.

W pewnym momencie Sara zerknęła na mnie znad kieliszka i powiedziała:

— Teraz nie, bo jeszcze nie jesteś na tyle silna, by to zrobić, ale za jakieś pół roku może zaczęłabyś pracować. Wiem, że to by ci pomogło.

W odpowiedzi wrzuciłam ramionami. Za pół roku mnie już tu nie będzie, ale tego nie mogłam jej powiedzieć. Kochałam ją. Nie chciałam jej zasmucać.

— Mogłabyś pracować tu, na wsi, Mał, robiąc to, co kochasz.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

— Malowanie. Jesteś bardzo utalentowana i sędzę, że bez trudu powinnaś dostać zamówienie na ilustracje do książek. Mam kilku przyjaciół w branży, na pewno by ci pomogli. Poza tym mogłabyś sprzedać trochę akwarel i płócien.

— Nie bądź niemądra, Sash. Za słabo maluję, nikt tego nie kupi.

— Mylisz się, kupi.

— Jesteś nieobiektywna.

— Owszem. Ale równocześnie potrafię ocenić, czy ktoś" jest dobry w tym, co robi, zwłaszcza w dziedzinach artystycznych. A pani jest dobra, Mallory Keswick.

— Skoro tak twierdzisz — mruknęłam, nalewając sobie kolejny kieliszek najlepszego francuskiego wina z zapasów Roberta.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

W niedzielę znów padał śnieg.

Choć przygnębiona, nie mogłam nie zauważyć piękna krajobrazu otaczającego Indiańską Dolinę. Jego uroda zatykała dech w piersiach.

Kiedy szliśmy z Sarą do stawu, serce mi się ścisnęło. Pomyślałam o Lissie i Jamiem, o tym z jaką radością by teraz bawili się na śniegu z Robertem, rzucali śnieżkami, lepili bałwana, zjeżdżali na sankach ze stoku pod jabłonią. Tak bardzo za nimi tęskniłam. Pragnienie ich obecności nieustannie żyło w moim sercu. Ale teraz odsunęłam cierpienie, pogrzebałam je głęboko, próbując je ukryć. Nie chciałam obciążać Sary. Kochała mnie, rozumiała, ciągle się o mnie martwiła. Uznałam, że muszę się postarać zachowywać w jej obecności jak najbardziej normalnie. Jutro wyrusza do Paryża ze swymi współpracownikami i chciałam, żeby wyjeżdżała w przekonaniu, że czuję się już lepiej.

— Nigdy nie widziałam tylu kaczek! — wykrzyknęła, kiedy podeszliśmy do stawu. — Musi ich być ze trzydzieści!

— Tak, to dzikie kaczki. Urządziły sobie w Indiańskiej Dolinie mieszkanie na zimę — odparłam. — Niewątpliwie dlatego, że codziennie je karmimy.

To mówiąc, postawiłam na śniegu koszyk, który ze sobą przyniosłam, wyjęłam z niego plastikowe pudełko okruszków i podeszłam do brzegu. Kaczki natychmiast się rozpierzchły. Część odfrunęła, pozostałe wskoczyły na zamrażającą część stawu i poczłapały w drugi koniec.

Pierwszej zimy po przeprowadzce do Indiańskiej Doliny Robert zamontował w stawie pompę cyrkulacyjną. Elektryczna pompa nieustannie poruszała wodę, dzięki czemu staw nawet w czasie mrozów nie był skuty lodem.

Sara podeszła do mnie, chcąc pomóc mi rozrzucić okruchy. Wzięła pełną garść, przeszła dalej i rzuciła je dalej od brzegu, na lód.

— Głupie kaczki — stwierdziła, oglądając się na mnie. — Nie chcą jeść.

— Zjedzą, kiedy tylko odejdziemy.

Sara wróciła do mnie i zapatrzyła się na pompę poruszającą wodę.

— To rzeczywiście działa — powiedziała, zerkając na mnie. — To był świetny pomysł: wstawić ją dla kaczek i innych dzikich zwierząt i w ten sposób pomóc im przeżyć zimę. Jak na to wpadliście?

— Eryk powiedział o tym Robertowi. Nawet obaj ją instalowali. Tego rodzaju pompy zwykle są instalowane przez hodowców, którzy chcą zostawić część stawu nie zamrażającą, by krowy mogły zimą pić z niego wodę.

— Cześć, Ma! Cześć, Sara!

Obejrzałyśmy się i zobaczyłyśmy Annę brnącą ku nam przez śnieg. Podobnie jak my, ubrała się ciepło. Była okutana w całe masy swetrów, szalików i na moment zamajaczyła mi przed oczami Gwendolyn Reece-Jones. Tak samo jak ona, Anna dziś rano włożyła na siebie rzeczy w jasnych, ostrych kolorach. Uwagę przykuwały zwłaszcza trzy szaliki owinięte wokół szyi: turkusowy, czerwony i żółty, pasujące do długiej kurtki, która wyglądała jakby ją uszyto z koca jakiegoś Apacza. Na głowie miała szafirową czapkę narciarską z żółtymi pomponami, a stroju dopełniały bryczesy, buty do konnej jazdy i zielone wełniane rękawiczki. Czy to możliwe, by Anna była daltonistką?

— Co za cudowna kurtka! — zawołała Sara, gdy Anna stanęła obok nas. — Nie tylko piękna, ale i bardzo oryginalna. To jakieś indiańskie dzieło?

— Właściwie nie — odparła Anna. — No, może tkanina tak.

— Kupiłaś ją gdzieś na zachodzie? W Arizonie?

Anna potrząsnęła głową.

— Nie, w „Pony Traders”.

— „Pony Traders” — powtórzyła Sara. — Co to jest? Jakiś sklep?

— Nie. To niewielka firma rzemieślnicza w pobliżu jeziora Wononpakook. Jedna z właścioleek, Sandy Farnsworth, to moja znajoma. Szyją kurtki, peleryny, spódnice, kamizelki, nawet kozaki i mokasyny. Wszystko ma w sobie coś indiańskiego. A w tej kurtce zakochałam się od razu.

— Nie dziwię ci się. Jest naprawdę świetna — powiedziała Sara. — Jutro wyjeżdżam do Europy, ale może po powrocie zabrałabyś mnie do nich? Chętnie bym kupiła u nich parę rzeczy.

— Ej, byłoby fantastycznie — ucieszyła się Anna. Potem zwróciła się do mnie: — Pomyślałam, że może miałabyś ochotę wpaść do mnie na filiżankę gorącej czekolady, kawy czy czegoś innego, Mal. — Spojrzała na koszyk. — Widzę, że wzięłaś marchewkę dla koni. W takim razie może najpierw zajrzyjmy do stajni.

Już miałam odmówić, ale zmieniłam zdanie. Starła się być miła, nie chciałam jej dotknąć. Zawsze tak serdecznie traktowała moje dzieci, spędzała z nimi mnóstwo czasu, gdy uczyły się jeździć konno, pokazywała, jak radzić sobie z kucykami. Dlatego powiedziałam:

— Rzeczywiście, chętnie bym się napiła kawy, Anno. A ty, Saro?

— Marzę o gorącej czekoladzie, ale muszę poprzestać na czarnej kawie — odparła Sara, wykrzywiając się do Anny. — Wiecznie pilnuję wagi.

Anna roześmiała się i potrząsnęła głową.

— Jesteś piękną kobietą, Saro. Kto jak kto, ale ty nie musisz się przejmować wagą.

W trójkę poszliśmy do niewielkiej, przebudowanej stodoły, w której mieszkała Anna. Od miesiący nie byłam w środku, dlatego tak mnie teraz uderzyła przytulna atmosfera mieszkania.

W kamiennym kominku płonął ogień, przed kominkiem leżał wyciągnięty czarny labrador, Blackie. Słyszając nas, wstał i pod-

biegł, obwąchując nogi Anny i radośnie merdając ogonem na powitanie.

— Cześć, Blackie — powiedziałam, głaszcząc go po łbie.

Labrador patrzył w stronę drzwi, nie przestając machać ogonem. Serce mi się ścisnęło, gdy sobie uświadomiłam, że wyglądał Trixy, która zawsze mi towarzyszyła w czasie obchodu majątku.

Anna chyba pomyślała o tym samym. Spojrzała na mnie z niepokojem i szybko zagadała:

— No, dajcie mi kurtki, zaraz przyniosę kawę. Jest już gotowa. Zjecie coś?

— Chętnie bym zjadła, ale nie zjem — odparła Sara.

— Dla mnie samej kawy, Anno, dziękuję — powiedziałam, siadając na sofie przed kominkiem.

— Mogę obejrzeć mieszkanie? — spytała Sara. — Ostatni raz byłam tu wieki temu.

— Jasne, czuj się jak u siebie w domu. Jeśli masz ochotę, możesz pójść na górę do sypialni.

Położyłam głowę na oparciu dużej czerwonej sofy i przymknęłam oczy, myśląc o Lissie i Jamiem. Kochali Annę, z rozkoszą wpadali tu na mleko, ciastka i inne pyszności. Ona zaś kochała ich oboje, rozpuszczała i troszczyła się o nie, jakby to były jej dzieci.

— Ta stodoła wygląda świetnie — odezwała się Sara, kiedy wracałyśmy już do domu. — Anna zrobiła z nią cuda. Załadowane to po sam sufit różnymi bambetlami, ale jakoś wszystko trzyma się kupy.

— Tak, Anna świetnie sobie poradziła — odparłam, kuląc się w ciepłym płaszczu przed nagłym chłodnym powiewem.

— Wiesz, Mal, ona jest bardzo ładna: te blond włosy i łagodne, ciepłe brązowe oczy. Świetny zestaw, naprawdę. A gdyby jeszcze się trochę umalowała, zwłaszcza oczy, byłaby z niej prawdziwa piękność. Bez właściwego makijażu oczu blondynki zawsze wyglądają tak blado, bezbarwnie.

— Doskonale rozumiem, co masz na myśli, Sash. Ale podejrzewam, że jej wygląd guzik ją obchodzi.

— Abnegatka?

Potrząsnęłam głową.

— Nie, nie to miałam na myśli. — Zawahałam się. — Myślę, że Anna jest zadowolona ze swej urody. I z tego, jak teraz wygląda. Zdrowa, pełna życia, żadnych sińców, podbitych oczu. Z tym chłopakiem, z którym żyła, zanim u nas zamieszkała, miała naprawdę ciężkie doświadczenia. I sądzę, że dość dawno dała sobie spokój z zabieganiem o względy mężczyzn. Tamten ciągle ją bił. Stanowił dla niej prawdziwe zagrożenie i dobrze, że w porę od niego uciekła.

— Rzeczywiście, kiedyś mi o tym wspominałaś. Cóż, chyba lepiej być samej bez faceta niż... — Urwała, przerażona, potem schwyciła mnie za rękę. — Przepraszam, Mał, jestem bezmyślna.

Obróciłam się do niej, objęłam ramionami i mocno przytuliłam.

— Nie możesz ciągle uważać na słowa, Sash, cały czas gryźć się w język. Życie ma swoje prawa, doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

— Dałabym wszystko, byś poczuła się choć odrobinę lepiej — odparła cicho. — Wszystko, Mał, wszystko.

Wpatrywała się we mnie; w wilgotnych, ciemnych oczach zebrała się cała miłość i przyjaźń, jaką do mnie żywiła.

— Wiem o tym, najmilsza Saro, i naprawdę jest mi lżej, gdy jesteś ze mną — zapewniłam.

Chciałam ją uspokoić, uciszyć jej niepokój o mnie.

Dom był tak nieruchomy, że czuło się ten bezruch wręcz namacalnie. Stałam na środku długiej galerii, wsłuchując się w ten bezruch, dając mu się ogarnąć. W moim sercu nadal żył smutek, a mimo to nagle poczułam się dziwnie spokojna.

Oczywiście, to sprawka tego domu.

Zawsze był miejscem pełnym spokoju, ciszy, łagodności, zawsze czułym objęciem ogarniał mnie i moją rodzinę. Od pierwszej chwili, ledwo go zobaczyłam, myślałam o nim raczej jak o żywej istocie, a nie martwym budynku. Zawsze wierzyłam, że to nie my znaleźliśmy dom, ale on sam nas do siebie przywołał, przyciągnął, bo chciał, byśmy w nim zamieszkali, kochali go i dali mu życie.

I przez pewien czas tak było.

Moje dzieci ze śmiechem biegały po jego krętych korytarzach, bawiły się w niezliczonych pokojach. Robert i ja kochaliśmy się tu, kochaliśmy naszą rodzinę, przyjaciół i przez jakiś czas dom rzeczywiście był szczęśliwy.

Spacerowałam po pokojach, po raz ostatni patrząc na wszystkie przedmioty, pomieszczenia. Zamknęłam drzwi zewnętrzne, pogasiłam światła. Potem wolno wspięłam się po schodach do salonu na górze.

W pokoju panował półmrok. Od czasu, kiedy godzinę temu pożegnałam się z Sarą, zdążyło się ściemnić. Ale polana w kominku syczały, strzelały iskrami i mimo przenikliwego mrozu na dworze tu było ciepło i przytulnie.

Zapaliłam światło, rozebrałam się i włożyłam szlafrok. Nalałam sobie wódki i usiadłam przed portretem bliźniąt, przyglądając mu się przez dłuższą chwilę. Rzeczywiście, udało mi się oddać je takimi, jakimi były. Ta świadomość mnie ucieszyła. Potem powędrowałam spojrzeniem do wizerunku Roberta, wiszącego nad kominkiem. Nie dorównywał portretowi dzieci, ale poprawnie oddał rysy twarzy i doskonale uchwycił błękit oczu. Były idealne, takie jak w rzeczywistości.

Dopiłam drinka, nalałam jeszcze jedną porcję, zawahałam się chwilę i wreszcie jednym haustem opróżniłam kieliszek.

Wstałam, przeszłam do łazienki. Odkręciłam krany i nalałam wody do wanny. Kiedy już się napełniła, zdjęłam szlafrok, rzuciłam go na stołek i podeszłam do umywalki.

Nożyk leżał tam, gdzie go położyłam, jego ostrze osłaniała plastikowa pochwa. Było ostre, bardzo ostre. Wiedziałam. Nieraz cięłam nim gruby papier, kartony, czasem nawet płótno. Spisze się doskonale.

Gdzieś kiedyś przeczytałam, że to bezbolesna śmierć, o ile śmierć można uznać za bezbolesną. Leżeć w wannie, podciąć żyły i wykrwawić się spokojnie do nieprzytomności, czekając aż przyjdzie śmierć. Bez bólu.

Sięgnęłam po nóż, przyjrzałam mu się uważnie. Podeszłam do wanny, położyłam go obok kranu i podciągnęłam koszulę noc-



ną. W chwili gdy ściągałam ją przez głowę, usłyszałam cichutki śmiech. Ktoś się śmiał w pokoju obok. Byłam tak zaskoczona, że wypuściłam rąbek koszuli.

Wyszłam do saloniku.

Na środku pokoju stała Lissa w koszulce nocnej.

— Mamusiu! Mamusiu! — zawołała i znowu się roześmiała swoim delikatnym, dźwięcznym śmiechem. Właśnie ten śmiech słyszałam przed chwilą.

— Lissa!

Roześmiała się i Wybiegła na korytarz. Ruszyłam za nią, wołając ją po imieniu, krzycząc, żeby się zatrzymała, wróciła. Pędziłam po schodach, korytarzem, wpadłam do kuchni. Otworzyła na oścież drzwi kuchenne i śmignęła na śnieg, śmiejąc się, wołając mnie.

Na dworze było ciemno.

Nie widziałam jej.

Brnęłam przez śnieg, ciągle ją wołając.

Nagle wyrosła tuż obok mnie i pociągnęła za koszulę.

— W chowanego, mamusiu, pobawmy się w chowanego.

Uciekła, znowu zniknęła w domu.

Goniłam ją. Serce mi dudniło, dyszałam pędząc po schodach na górę. Mignęła mi w drzwiach saloniku, ale gdy tam zajrzałam, był pusty. Sprawdziłam w łazience, wpadłam do sypialni, ale Lissy nigdzie nie było.

Trzęsąc się z zimna, spojrzałam na koszulę nocną.

Dół miała mokry, a moje stopy były przemarznięte. Wybiegłam na dwór boso. Zaczęłam szczekać zębami, wzięłam więc szlafrok i zarzuciłam na siebie. Ręcznikiem wytarłam stopy, wyjęłam z szafy kapcie.

Gdzie schowała się Lissa?

Sprawdziłam wszystkie pokoje na piętrze, potem każdy pokój na dole. Zeszłam nawet do piwnicy.

W domu byłam tylko ja.

Nie wiem, ile czasu szukałam Lissy, ale w końcu się poddałam. Wróciłam do swego pokoju, dorzuciłam drewno do ognia i nałapałam sobie wódki na rozgrzewkę. Usiadłam na sofie i zaczęłam się zastanawiać nad tym, co właśnie się wydarzyło.

Czy to był sen? Ale przecież nie spałam.

Byłam wtedy w łazience, zupełnie przytomna.

Czy to moje pragnienie? Zapewne. Nie. Prawdopodobnie.

Czy zobaczyłam właśnie ducha Lissy?

Ale czy coś takiego w ogóle istnieje?

Robert mawiał kiedyś, że w tym domu roi się od przyjaznych duchów. Ale, na miłość boską, przecież żartował, nie?

Nie znam się na parapsychologii, ektoplazmie, psychokinezie, czarach czy innych temu podobnych zjawiskach. Wiedziałam tylko, że zobaczyłam moją córkę, albo przynajmniej tak mi się wydawało, i że obraz ten był na tyle żywy, że w niego uwierzyłam.

Zmieszana, zagubiona westchnęłam, dopiłam wódkę i oparłam się o poduszki sofy, zamykając oczy. Nagle poczułam się zmęczona, wyczerpana.

— Mamusiu. Mamusiu.

Nie reagowałam. To jej głos w moich myślach.

— Pocałunki motyli — powiedziała i poczułam na policzkach jej delikatne dziecięce wargi i ciepły oddech.

Otworzyłam gwałtownie oczy i usiadłam prosto. Przede mną stała Lissa.

— O! Werowi jest zimno, mamusiu — odezwała się, podając mi misia, a potem wdrapała się na sofę i wtuliła w moje ramiona.

Przebudziło mnie słońce, zagładające do pokoju przez koronkowe firanki. Obróciłam się, przeciągnęłam, omal przy tym nie spadając z sofy. Podciągnęłam się do pozycji siedzącej i zupełnie zdezorientowana rozejrzałam po pokoju. Najwyraźniej zasnęłam na sofie. Bolał mnie kark i plecy, w ustach mi zaschło. Byłam obołała i połamana. Kątem oka dostrzegłam na wpół opróżnioną butelkę wódki i wzdrygnęłam się.

I wtedy sobie przypomniałam.

Wróciły wspomnienia wczorajszego wieczoru. Była tu Lissa. Miała na sobie nocną koszulę, ścisnęła Olivera i powiedziała, że mu zimno. Dała mi go i wślizgnęła mi się w ramiona.

Trzymałam ją. Naprawdę ją trzymałam. Wiem o tym.

Nie, to był sen. Halucynacje. Moja wyobraźnia płata mi figle. Wódka.

Usłyszałam kroki Nory na schodach, jej wołanie:

— Mał, Mał, jesteś tam?

Kiedy spojrzałam na zegar, ku swemu zdumieniu stwierdziłam, że jest wpół do dziesiątej.

Wpół do dziesiątej.

Nie spałam tak od dnia śmierci Roberta. Właściwie aż do wczoraj prawie w ogóle nie sypiałam.

— Zimno tu jak w psiarni — oznajmiła Nora, wchodząc do pokoju. Stała w drzwiach, mierząc mnie wzrokiem. — To nie w twoim stylu, żeby tak się lenić. Zwykle o tej porze już dawno byłaś na nogach. Mał, nawet nie zrobiłaś kawy.

— Nie zrobiłam. Dopiero co się obudziłam, Nora. Musiałam zasnąć na sofie. Przespałam na niej całą noc.

Zerknęła na butelkę.

— Nic dziwnego — stwierdziła. — Ale potrzebny był ci taki porządny sen.

— Zaraz zejść na dół.

— Nie spiesz się. Parzenie kawy potrwa chwilę — powiedziała, wychodząc.

Przeszłam do łazienki i schyliłam się nad wanną, żeby wyciągnąć zatyczkę. Ku memu zdumieniu wanna była pusta.

Ale to niemożliwe. Wczoraj w nocy nalałam wody. Aż po brzegi. Chciałam się zabić, podcinając sobie żyły kozikiem.

Noża nie było.

To idiotyczne — pomyślałam, rozglądając się za nim. — Położyłam go na krawędzi wanny obok kranu. Gdzieś spadł.

Szukałam noża przez dobre dwadzieścia minut, ale bezskutecznie. Zniknął.

Te numery z pustą wanną, zagubionym nożem i kuchennymi drzwiami zastanawiały mnie i niepokoiły. Może ból odebrał mi jasność myślenia, ale przecież nie zwariowałam. Tego byłam pewna.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

— Gdybyś mnie potrzebowała, będę w pracowni — oznajmiłam Norze jakiś czas potem.

— Och, miło to słyszeć — odparła z nutą zadowolenia w głosie.

— Będę porządkowała, nie malowała — ostudziłam ją, wkładając kurtkę.

Mina jej się wydłużyła, ale nie skomentowała mojego stwierdzenia, tylko z powrotem zajęła się szykowaniem kolejnej z niezliczonych zup. Postanowiła sobie, że mnie odkarmi, a jedyne, co ostatnio udawało się jej we mnie wmusić, to zupa albo owsianka. Nie miałam apetytu.

Lodowaty wiatr szczypał mnie w twarz, gdy szłam szybko ścieżką po tarasie i obok basenu. Drzwi pracowni były zamknięte. Trzęsąc się, szukałam klucza. Nora znowu miała rację. Na dworze panował przenikliwy mróz, musiało być poniżej osiemnastu stopni.

Kiedy weszłam do środka, powitało mnie ciepło. W ubiegłym roku zainstalowałam tam ogrzewanie gazowe i zimą nastawiałam je na plus dziesięć stopni. Teraz podeszłam do termostatu i podwyższyłam temperaturę do dwiętnastu.

Rozglądając się po pracowni zauważyłam, że Nora próbowała ją posprzątać po moim ostatnim pobycie w listopadzie. Mimo to wszędzie poniewierały się pędzle, palety z zaschlą farbą, a na stole leżały rzucone byle jak ramy; gotowe obrazy stały oparte o sofę.

Zdjęłam kurtkę, powiesiłam ją na wieszaku, nie zwracając uwagi na bałagan, który ponoć zamierzałam uporządkować. Zaczęłam szukać innego noża. Byłam pewna, że w szufladzie szafki, w której trzymałam swoje rzeczy, powinien leżeć jeszcze jeden. Znalazłam tam jednak tylko pędzle, pastele, małe słoiczki farb, nowe pudełko akwareli i mnóstwo kolorowych kredek.

Wyprostowałam się i przygryzając wargę wpatrywałam się w szafkę. Wszystko wskazywało na to, że jedynym kozikiem, jaki miałam, był ten zaginiony.

Jak podetnę sobie żyły bez ostrego noża?

Mogłabym zatruć się gazem. Utkwiłam wzrok w piecyku gazowym na ścianie.

Zabrzączał telefon, który łączył pracownię z mieszkaniem. Podniosłam słuchawkę.

— Słucham, Noro.

— Mał, czy oczekiwałaś dziś swojej matki?

— Nie.

— W każdym razie jest tutaj. A na pewno jej samochód. Właśnie się zatrzymał na podjeździe.

— Dobrze. Już idę.

— Dobrze się złożyło, że szykowałam tę zupę na lunch — stwierdziła, odkładając słuchawkę.

Obniżyłam temperaturę na termostacie, zamknęłam drzwi na klucz i pobiegłam ścieżką do domu. Byłam zaskoczona. Mama nigdy nie przyjeżdżała bez uprzedzenia. Poza tym dziwiło mnie, że zdecydowała się na podróż do Connecticut w taki mróz i śnieg.

Zdążyłam wpaść do korytarza w chwili, gdy matka wchodziła frontowymi drzwiami.

— Mamo, co za niespodzianka — przywitałam ją, obejmując. — Co cię sprowadza w taką pogodę?

— Chciałam się z tobą spotkać, Mallory, a bałam się, że wykręcisz się, jeśli zadzwonię. Dlatego przyjechałam bez uprzedzenia.

— Wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziana, mamo.

Popatrzyła na mnie dość dziwnie, ale nic nie powiedziała. Zdjęłam z niej ciężki wełniany płaszcz i zaniiosłam do szafy z ubraniami w głębi domu, niedaleko mojego pokoju do pracy.

— Napijesz się kawy? — spytałam wróciwszy.

— Chętnie, ale raczej herbaty — odparła, idąc za mną do kuchni.

Wstawiłam czajnik.

— Dzień dobry, pani Nelson — odezwała się Nora. — Drogi pewnie okropne, co?

Mama pokręciła głową.

— Nie, dopiero co przejechał pług. I dzień dobry, Noro, co słychać?

— Wszystko dobrze. A u pani?

— Tak dobrze, jak można się spodziewać w tej sytuacji — brzmiała odpowiedź matki. Posłała Norze wątyły uśmiech, potem spojrzała na kuchenkę i wciągnęła nosem powietrze. — Twoja zupa pachnie pysznie.

— To na lunch. I mogę zrobić pani kanapkę. Albo omlet, jeśli pani woli.

— Wszystko jedno, Noro, dziękuję. Zjem to samo co Mal.

Nora podeszła do szafki, wyjęła filiżankę i spodek na herbatę dla mojej matki.

— A co dla ciebie, Mal? — spytała oglądając się przez ramię. — Też napijesz się herbaty?

— Tak, to mnie rozgrzeje — odparłam i odwracając się do matki spytałam: — Jak tam David?

— Dobrze. Ma mnóstwo roboty.

— Dowiedział się może czegoś? DeMarco się z nim kontaktował?

— Nie. A z tobą?

— Nie.

— Czujesz się trochę lepiej, kochanie?

— Tak, świetnie — skłamałam.

Podeszłam do kuchenki, wyłączyłam ogień pod czajnikiem i zalałam herbatę. Ustawiłam wszystko na drewnianej tacy, spojrzałam na mamę i powiedziałam:

— Przejdźmy do pokoju dziennego. Dziś jest tam wyjątkowo przyjemnie.

— Jak sobie życzysz, Mal.

Usiadłyśmy naprzeciwko siebie przy dużym niskim stoliku ze szklanym blatem i popijałyśmy herbatę. Wypiwszy swoją, mama spojrzała na mnie.

— Powiedz mi szczerze, Mal: naprawdę dobrze się czujesz?

— Oczywiście, mam!

— Bardzo się o ciebie niepokoję. Siedzisz tu zupełnie sa...

— Nie jestem sama. Jest Nora, prawie codziennie zagląda Eryk, Annę mam o parę kroków.

— Ale nie są z tobą w nocy.

— Owszem, ale mnie naprawdę nic nie jest, słowo. Nie martw się tak o mnie, mam.

— Kiedy nie mogę przestać. Kocham cię, Mallory.

— Wiem, mam.

— No i kwestia weekendów. — Przerwała i przez moment bacznie mi się przyglądała. — Czy chcesz, żebyśmy więcej z Davidem nie przyjeżdżali?

— Ależ nie! Przyjeżdżajcie, kiedy tylko chcecie. Dlaczego pytasz? W dodatku takim dziwnym tonem?

— Ostatnio miałam wrażenie, że nas odpychasz.

— To nieprawda. Już ci powiedziałam, że zawsze jesteś mile widziana. David też..

— Niepokoi mnie, że tak długo przebywasz sama — powtórzyła.

— Nieprawda. Poza tym Sara ciągle przyjeżdża. Była w ten weekend.

— Wiem. Dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem po powrocie do miasta. Opowiadała mi o swojej kuzynce, Verze. Mówiła, że Vera chciałaby obejrzeć twoje mieszkanie. To znaczy, że je sprzedajesz, prawda?

— Czemu nie? Nie chcę tam mieszkać,

— Tak — odparła cicho. — Rozumiem.

— Vera przyjeżdża do Nowego Jorku za parę tygodni, przynajmniej tak mówiła Sara. Zechciałabyś ją oprowadzić po mieszkaniu? To znaczy, gdyby Sara nie mogła.

— Chętnie to zrobię, kochanie.

— Sara pewnie ci mówiła, że wyjeżdża dziś do Paryża?

Matka skinęła głową.

— Wiesz, macie z Sarą prawdziwe szczęście.

Spojrzałam na nią zdumiona. Ja? Mam szczęście?

— No, że macie siebie — wyjaśniła, dostrzegając moje zaskoczenie. — Ze jesteście sobie tak bliskie...

— Tak, to prawda — przyznałam, chcąc zakończyć ten temat.

— Ze jesteście dla siebie prawdziwymi przyjaciółkami — ciągnęła. — Przyjaciółkami na całe życie, które darzą się tak stałą, niezmienną miłością. Obie jesteście wobec siebie lojalne i pod wieloma względami od siebie zależne.

— Nasza przyjaźń trwa tak długo, mamó.

— Tak, rzadko, bardzo rzadko spotyka się taką przyjaźń.

— Przecież ciebie z cocią Pansy łączy podobnie silna więź.

— Do pewnego stopnia, ale nigdy nie byłyśmy sobie tak bliskie jak ty i Sara. Sądzę, że Pansy nie życzyła sobie aż tak wielkiej zażyłości. Jest zupełnie inna niż jej córka. Sara jest o wiele cieplejsza.

— Cóż, muszę przyznać, że nikt nie może się równać z moją Sarą.

— Zgadzam się, że jest wyjątkowa, Mal. Ale ostatnio tak sobie myślałam... Sądziś, że ona wystarczy?

— Nie rozumiem, mamó. — Wyprostowałam się i baczniej jej przyjrzałam. — Do czego zmierzasz?

— Nie mówię o przyjaźni, kochanie. Mówię o twoim cierpieniu, bólu, twoim nieszczęściu. Może potrzebujesz większej pomocy, niż ja i Sara możemy ci ofiarować. Może byłoby dobrze, gdybyś skontaktowała się ze specjalistą. Psychiatrą.

— Psychiatrą... Uważasz, że potrzebny mi psychiatra, mamó?

— Może. Taki, który by ci pomógł żyć z bólem. Wielu lekarzy się w tym specjalizuje i o ile wiem, pomagają ludziom wziąć się w...

— Nie pójdę do czubologa — przerwałam. — Sama sobie idź, jeśli masz ochotę.

— Może poszłybyśmy razem?

— Nie, mamó.

- Wiesz, są takie grupy, w których spotykają się matki i ojcowie tragicznie zmarłych, zamordowanych dzieci.

Wpatrywałam się w nią bez słowa.

— Słyszałam o pewnej młodej kobiecie, której dziecko zginęło w wypadku samochodowym — ciągnęła. — Ona prowadziła i przeżyła. Założyła grupę. Spotykają się tam ludzie, których los podobnie dotknął, i rozmawiają. Moja przyjaciółka, Audrey Laing, radzi mi, żebym tam poszła. Wybrałabyś się ze mną. Mal? Może to by ci pomogło?

— Nie sądzę — odparłam cicho. — Nie, nie, to by nie pomogło, mam, jestem tego pewna. Wiem, że miałaś jak najlepsze chęci, ale po prostu nie mogłabym... nie mogłabym rozmawiać z Lissie, Jamiem i Robercie z zupełnie obcymi ludźmi, ludźmi, którzy ich nie znali. Naprawdę, nie mogłabym.

— Dobrze, rozumiem, o co ci chodzi. Ale nie odrzucaj tego tak od razu. Zastanów się nad tym, obiecujesz?

— Wolę rozmawiać z tobą i Sarą. I Dianą albo tatą, jeśli zadzwoni. Osobami, które najlepiej wiedzą, co straciłam.

— Tak, kochanie. — Matka odchrząknęła. — Tak się o ciebie martwię. Może powinnam ci dać innego psa.

— Innego psa! — krzyknęłam, podrywając się na nogi. — Nie chcę zasranego innego psa! Chcę mojego psa! Chcę Trixy! Chcę moje dzieci! Mojego męża! Chcę dostać z powrotem swoje życie!

Zmierzyłam matkę surowym wzrokiem, potem obróciłam się na pięcie i podbiegłam do drzwi balkonowych. Otworzyłam je i wypadłam na dwór. Coś we mnie pękło — płakałam, trzęsłam się z wściekłości.

Stałam na śniegu, z dłońmi przy twarzy, szlochając, jakby mi miało serce pęknąć. Nie obchodził mnie lodowaty wiatr ani śnieg, który znowu zaczął sypać.

Po chwili poczułam na plecach ramię matki.

— Wejdz do środka. Mal. Wejdz do środka, kochanie.

Dałam się zaprowadzić z powrotem do pokoju, usadzić na sofie. Matka zajęła miejsce obok mnie, oderwała mi dłonie od twarzy i popatrzyła w oczy. Spojrzałam na nią. Łzy ciekły mi po policzkach.



— Wybacz mi, Mal. Nie chciałam, żeby to tak wyszło, tak zabrzmiało. Naprawdę, nie chciałam — szeptała urywanym głosem.

Widząc jej rozpacz i ból poczułam, że mój gniew gaśnie.

— Wiem, że nie chciałaś, i nie trzeba prosić o wybaczenie. Wiem, że nigdy byś mnie nie zraniła.

— Nigdy — szlochała, tuląc się do mnie. — Bardzo cię kocham.

— I ja ciebie też, mamó.

Uniosła głowę i znowu zajrzała mi w oczy.

— Zawsze wolałaś ojca... — zaczęła i urwała w pół słowa.

— Może faworyzowałam go, bo rzadko bywał w domu i dlatego wydawał się kimś wyjątkowym. Ale zawsze cię kochałam, mamó, i wiem, że w trudnych chwilach zawsze byłaś przy mnie.

— I nadal jestem, Mal.

Kilka dni po wizycie matki popadłam w głęboką depresję. Ogarnęło mnie przygnębienie, melancholia, byłam niespokojna, apatyczna. Z trudem się ruszałam, bolały mnie wszystkie stawy, jakbym była zreumatyzowaną staruszką. Był to rodzaj fizycznego ograniczenia, z jakim nigdy przedtem u siebie się nie zetknęłam. Stałam się bezradna, czułam się jak inwalidka. Chciałam tylko skulić się w łóżku i spać. A mimo to sen nie nadchodził; mogłam jedynie drzemać, a w mojej głowie bez końca krążyły bolesne, nie dające spokoju myśli.

Choć bardzo chciałam ze sobą skończyć, okazało się, że nie mam siły wstać z łóżka, a co dopiero mówić o zabiciu się. Apatia w połączeniu z samotnością sprawiła, że stałam się dla siebie bezużyteczna.

Zdarzały się momenty, kiedy ogarniała mnie rozpacz. Nieobecność mej rodziny przerażała mnie, a samotność i pragnienie obecności męża i dzieci niszczyły.

Czasem zjawiały się myśli, które rzucały mnie na klęczki: poczucie winy, że nie byłam z nimi, że żyję, podczas gdy oni umarli; wściekłość, że padli ofiarą szerzącej się na ulicach przemocy, że nie mogę pomścić ich śmierci. Bywały chwile, kiedy ogarniała

mnie żądza mordu — chciałam zabić tego, kto zabił moje dzieci i męża.

Dzwoniłam wtedy do dwudziestego piątego komisariatu i rozmawiałam z detektywem DeMarco, chcąc się dowiedzieć, czy odkryli coś nowego.

Zawsze, gdy mówił, że jeszcze nie, w jego głosie brzmiał żal. Obiecał, że nie odpuszcza tej sprawy. Miał szczere chęci, aleja nie wierzyłam mu ani przez chwilę.

Jedyną pociechą były wspomnienia. Zapadałam w nie, bez najmniejszego trifu przywołując przed oczy Lissę, Jamiego, Roberta i małą Trixy. Jeszcze raz przeżywałam nasze życie i to przynosiło mi radość. Lecz pewnego dnia wspomnienia nie stawily się na żądanie. Przestraszyłam się. Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć przeszłości, naszej przeszłości? Dlaczego twarze dzieci nagle się zamazały? Czemu z takim trudem przychodziło mi odtworzenie rysów twarzy Roberta?

Nie wiedziałam, ale kiedy ta całkowita niemożność przywołania ich twarzy utrzymywała się przez tydzień, zrozumiałam, że pozostało mi tylko jedno: muszę pojechać do Kilgram Chase. Chciałam się znaleźć w rodzinnym domu Roberta, miejscu, gdzie się wychował. Może tam znów poczuje się bliżej niego i może tam do mnie wróci.

# *Kilgram Chase*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

*York, marzec 1989*

Wiosna nadeszła wcześniej, o wiele szybciej, niż wszyscy w Kilgram Chase się spodziewaliśmy.

Kiedy przyjechałam tu z Connecticut pod koniec stycznia, wszystko przykrywał śnieg; początek lutego był nieprzyjemny, z częstymi opadami zacinającego, marznącego deszczu i niestannymi burzami. Ale w połowie miesiąca pogoda się zmieniła. Deszcz i ostre wiatry nagle ustały; zrobiło się cieplej, co wszyscy, a zwłaszcza rolnicy, przyjęli z radością.

W pierwszy piątek marca na drzewach pojawiły się delikatne zielone pąki i pierwsze zalążki listków. Z ziemi wyrastały już pierwsze źdźbła trawy, a brzegi trawników rozkwitły fioletem, złotem i bielą krokusów, spośród których wychylały się gwiazdki przebiśniegów. Nad stawem i pod drzewami w lesie tańczyły żonkile. Wysokie, wdzięczne, kołysały zgrabnymi główkami na wietrze, a żółte kielichy stanowiły odbicie jasnego popołudniowego słońca.

Stałam w oknie biblioteki, patrząc na wrzosowiska i myśląc, że chyba powinnam wybrać się na spacer.

W ciągu tych pięciu tygodni, które spędziłam w Kilgram Chase, niewiele miałam okazji do spacerów. Niemal natychmiast po przyjeździe zachorowałam, dopadł mnie silny atak grypy i ponad dziesięć dni przeleżałam w łóżku. Diana, Parky i Hilary doglądały mnie w chorobie i robiły, co w ich mocy, bym jak

najszybciej wyzdrowiała. Ale zła ze mnie była pacjentka, niechętna do współpracy; odmawiałam przyjmowania leków, które mi podawały, i nie robiłam nic, by wrócić do zdrowia; miałam nadzieję, że złapię zapalenie płuc i umrę. Nie złapałam. Ale wyzdrowieć też nie wyzdrowiałam do końca. Nieprędko udało mi się wstać z łóżka i wrócić do normy. Kiedy przyjechałam do Kilgram Chase, byłam wyczerpana i niedożywiona, a wirus grypy wyraźnie mnie osłabił. Osłabienie fizyczne i apatia sprawiły, że stałam się jeszcze bardziej niespokojna i wycieńczona, niż byłam w Indiańskiej Dolinie. "

Choć znajdowałam się w rodzinnym domu Roberta, nadal musiałam stawiać czoło koszmarnym, pustym dniom, bezsennym nocom i wiecznej pustce.

Nawet Dianie nie udawało się mnie podnieść na duchu. Świętą rację miała moja matka mówiąc, że zmiana miejsca nie pomaga, że wyjeżdżając zabiera się ze sobą swoje problemy.

— Ból, rozpacz doskonale znoszą podróży — stwierdziła, wioząc mnie na lotnisko Kennedy'ego, skąd wyruszałam do Anglii.

I rzeczywiście, zniosły doskonale.

Mimo to jednak tu, w Kilgram Chase, tak jak pragnęłam, czułam się bliżej Roberta. Wspomnienia o nim i dzieciach wróciły bez wysiłku, znowu wyraźnie i jasno widziałam ich ukochane twarze. Prawie cały czas moje myśli kierowały się ku nim; nosiłam ich w sobie i dzięki temu mogłam z nimi żyć: w sobie, w myślach.

Dni mijały spokojnie, bez wydarzeń. Prawie nic nie robiłam. Czytałam, oglądałam telewizję; czasem słuchałam muzyki, ale najchętniej siedziałam przed kominkiem w bibliotece, pogrążona we własnym świecie, niemal zupełnie zapominając o żyjących. Oczywiście, kiedy Diana przyjeżdżała, musiałam ją zauważać. Próbowала wyrwać mnie z letargu. Naprawdę się starałam, czyniłam wysiłki, by wydać się bardziej ożywioną, ale bezskutecznie. Nie miałam niczego ani nikogo, dla kogo warto by żyć. Po prostu egzystowałam. Nawet już nie chciało mi się zabić.

Teraz, odchodząc od okna, podeszłam do kominka i dorzuciłam drew do trzaskającego ognia. Potem wzięłam tacę z naczyniami i filiżanką kawy i odniosłam ją do kuchni.

— Nie, pani Mal, nie trzeba było! — zawołała Parky, podnosząc wzrok. — Wysłałabym później Hilary albo Joe, żeby przynieśli.

— Żaden kłopot, Parky. I dziękuję ci za pyszną kawę. Właśnie tego potrzebowałam.

— Prawie nie tknęła pani lunchu — stwierdziła z niepokojem w oczach. — Jeśli dalej będzie pani tak skubać jedzenie, to nigdy nie wróci pani do zdrowia i sił.

— Wiem. Naprawdę się staram, Parky. I bardzo mi smakowało to, co zjadłam. Ta płastuga z rusztu i frytki były pyszne.

— Śliczności dziś dzień — podjęła, zarabiając ciasto na dużej marmurowej płycie. — Śliczności. Szkoda kisić się w bibliotece. Powinna się pani przewietrzyć, łyknąć świeżego powietrza na wrzosowiskach. Dobrze by to pani zrobiło, pani Mal, oj, dobrze.

— Szczerze mówiąc, Parky, to właśnie zastanawiałam się, czyby się nie przespacerować.

Uśmiechnęła się, skinęła głową z aprobatą.

— Dziś pani Keswick przyjedzie nieco wcześniej niż zwykle. Gdzieś koło wpół do piątej. Akurat na herbatę — powiedziała.

— Cieszę się — odparłam. — Parky, mogę cię o coś spytać?

— Oczywiście, że pani może, pani Mal.

— Zastanawiałam się, dlaczego ty, Joe, Hilary i ogrodnicy zaczęliście się tak do mnie zwracać? Przez dziesięć lat byłam dla was panienką, a kiedy przyjechałam w styczniu, nagle się okazało, że jestem panią Mal. Dlaczego?

Popatrzyła na mnie zażenowana, czerwieniąc się odrobinę.

— To dlatego... dlatego... że... Po prostu nie chcieliśmy jeszcze bardziej pani smucić — zaczęła niepewnie. — Sądziliśmy, że jeśli będziemy mówić panienko, będziemy pani przywodzić na myśl panicza Roberta, a to byłoby dla pani... no, bolesne.

— Nie, Parky — przerwałam cicho. — Nie byłoby. W końcu jestem żoną panicza Roberta i wołałabym, byście nazywali mnie tak jak dawniej.

— Przepraszam, jeśli sprawiliśmy panience przykrość — powiedziała z troską. — Za nic nie chcielibyśmy panienki zasmucić. Staraliśmy się tylko okazać zrozumienie dla panienki bólu.

— Rozumiem to i bardzo wam jestem wdzięczna za to i za dobroć, jaką mi okazywaliście przez ostatnie tygodnie.

— Była panienka w takiej złej formie, kiedy tu przyjechała, że nie chcieliśmy jeszcze tego pogarszać. Uznaliśmy, że musimy być bardzo ostrożni. Jakbyśmy... jakbyśmy chodzili po jajkach.

— Przepraszam, Parky.

— Och, nie ma za co, pani Mal, to jest panienko Mal. Rozumiemy. Kochaliśmy panicza Roberta i robaczki... — Wargi zaczęły jej drżeć, oczy wypełniły się łzami, ale zaczerpnęła głęboko tchu i dokończyła. — To taka tragedia. Tak trudno z tym żyć...

— Tak, to prawda.

Zasłoniłam usta dłonią, zakasłałam, próbując nad sobą zapanować. Wiedziałam, że jeśli nie będę mocno panować nad uczuciami, bardzo łatwo mogę się załamać. Ból czał się ciągle blisko mnie.

— Był dla mnie jak syn, jak moje własne dziecko — powiedziała Parky cicho, właściwie do siebie. Odłożyła wałek i schroniła się do drugiego pokoju. — Muszę poszukać tej dużej foremki do ciasta na zapiekankę z mięsem! — zawołała stłumionym głosem, nie oglądając się w moją stronę.

— Idę na spacer! — powiedziałam i szybko uciekłam z kuchni. Wiedziałam, że rozsądniej będzie zostawić Parky samą, żeby nad sobą zapanowała. Inaczej lada chwila obie będziemy tonęły we łzach. Skierowałam się do przedsiönka. Tam zdjęłam kaptcie, włożyłam kalosze i opatuliłam się w starą kurtkę Diany. Na głowę zarzuciłam szal i wyszłam na dwór.

Dzień był pogodny, powietrze rześkie, ale nie mroźne. W gałęziach szumiał delikatny wietrzyk, kołysząc pierwszymi listkami. Wsadziłam ręce do kieszeni kurtki i ruszyłam w stronę lasu. Zaraz za stawem zaczynała się wąska ścieżka, którą parę lat temu ogrodnicy wycięli w gęstwinie. Prowadziła do wrzosowisk.

Idąc do stawu zauważyłam, że w parku nikogo nie widać. Zwykle kręcili się tu Ben i Wilfkopiąc, sadząc rośliny, pieląc albo paląc liście. Dziś po południu gdzieś się zaszyli. Kiedy jednak zbliżyłam się do stawu, na ścieżce wiodącej z sadu do domu do-

strzegłam Wilfa z taczka. Kiedy się zbliżyliśmy do siebie, zatrzymał się i uchylił czapki.

— Dobry, pani Mal.

— Witaj, Wilf.

— Chyba nie wybiera się pani na wrzosowiska?

— Owszem, właśnie tam miałam zamiar się przespacerować.

— Nie, nie, jo byk tego nie robił.

Odwrócił się, dłonią zacienił oczy i popatrzył na wzgórze rysujące się na horyzoncie.

— Niemądrze by było. Teraz na wrzosowiskach pogoda zmienna. Trochę poświeci słońko, jak tera, ale zara przyjdą chmury i leje jak z cebra. Znad Morza Północnego one przychodzą.

— Dziękuję za ostrzeżenie, Wilf — powiedziałam i szybko ruszyłam ścieżką.

Wariat — myślałam. — Kiep, jak by powiedział Robert. Przecież pogoda dziś jak złoto; niebo błękitne, bez śladu chmurki.

Ale w słowach Wilfa musiało coś być, bo w końcu nie poszłam na wrzosowiska. Zresztą czekałaby mnie długa, stroma wspinaczka, wybrałam więc łagodniejszą trasę lasem. Po półgodzinie wróciłam, okrążyłam staw i ruszyłam szerokim kamiennym chodnikiem między trawnikami. Wystarczy mi świeżego powietrza na dziś. I tak już czułam zmęczenie. Nie da się ukryć, wyszłam z wprawy i nadal jeszcze byłam osłabiona.

Kiedy zbliżyłam się do domu, zauważyłam, że Hilary idzie mi naprzeciw, machając i przywołując do siebie. Przyspieszyłam kroku.

— Jest do panienki telefon — powiedziała. — Z Nowego Jorku. Dzwoni pan Nelson.

— Dzięki, Hilary.

Razem obeszłyśmy dom, kierując się do bocznego wejścia.

— Mogłabyś powiedzieć, że za chwilę podejść? — poprosiłam, kiedy znalazłyśmy się w środku. — Muszę jeszcze zdjąć kalosze.

— Tak, panienko — odparła, znikając w korytarzu.

W chwilę później podniosłam słuchawkę aparatu w bibliotece.

— Halo, David, co słychać?

— Wszystko w porządku, Mal, a u ciebie?

— Wreszcie doszłam do siebie po grypie. Chyba nie stało się nic poważnego? Mamie nic nie jest, prawda?

— Nie, u niej wszystko w porządku. Oczywiście, nie przestaje się o ciebie niepokoić i ciągle mówi o wyjeździe. Chce, żebyśmy wybrali się do Anglii, gdybyś zamierzała dłużej zostać w Yorku.

— To dlaczego nie przyjedziecie? W tej sprawie dzwonisz, David?

— Nie, nie w tej. Mam dla ciebie wiadomości, Mal.

Zauważyłam zmianę w jego głosie, zabrzmiało w nim napięcie. Serce mi się ścisnęło. Mocniej przytrzymałam słuchawkę.

— Od DeMarco?

— Tak. W sprawie nastąpił przełom. DeMarco dzwonił do mnie jakieś piętnaście minut temu. Na szczęście nie byłem dziś w sądzie.

— Czyżby złapali sprawcę? Tego, który strzelał? — spytałam przez zaciśnięte gardło.

— Nie, ale go złapią i to już wkrótce, Mal. Sprawa wygląda tak: dobę temu Johnson i DeMarco aresztowali jakiegoś handlarzynę narkotykami, który działa na tamym terenie. Te łuki pod wiaduktem to część jego rewiru. Nieważne, facet próbował pójść na układ. Twierdzi, że wie, kto zabił Roberta i dzieci. Jest tam taka czwórka młodych chłopaczków, którzy trzymają się razem. Ten handlarz podał ich nazwiska i adresy, tak że DeMarco i Johnson mają nadzieję, że dziś ich aresztują i odstawią na przesłuchanie na dwudziesty piąty komisariat. DeMarco jest przekonany, że owe nie zidentyfikowane odciski palców na mercedesie Roberta będą się pokrywać z odciskami tych chłopaków. Jest gotów stawiać na to grube pieniądze.

Nogi nagle się pode mną ugięły, opadłam na krzesło. Zabrakło mi słów.

— A jeśli odciski będą się zgadzać? — udało mi się wydusić po chwili.

— Napastnicy zostaną przeniesieni do głównego aresztu policyjnego i zatrzymani jako podejrzani o morderstwo drugiego stopnia. I zostanie zatrzymana cała czwórka, Mal, bo...



— Sądziłam, że tylko jeden strzelał? — przerwałam mu.

— Tak, zdaniem DeMarco tak. Ale nie trzeba pociągnąć za spust, żeby zostać zatrzymanym i skazanym za morderstwo. Czasem wystarczy być obecnym w chwili popełnienia zbrodni, żeby zostać skazanym — wyjaśnił David. — Nazywa się to działanie w porozumieniu. Jeśli będzie dość dowodów, oskarżeni w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin staną przed wielką ławą przysięgłych rozpatrującą sprawy kryminalne. A jeśli po przesłuchaniu przed ławą zostaną postawieni w stan oskarżenia, trafią przed sąd.

— A kiedy to nastąpi?

— Nie jestem pewien. To może potrwać i kilka miesięcy. Trzeba wyznaczyć termin rozprawy, poza tym zastępca prokuratora okręgowego będzie chciał mieć pewność, że dysponuje każdym dostępnym skrawkiem dowodu, że sprawa jest jasna i przesądzona. DeMarco i Johnson urobią się przy tym po łokcie, ale nie wątpię, że nie popuszczą. Oskarżyciel chce, żeby uznano ich za winnych, tak samo DeMarco i Johnson.

— I jeśli zostaną uznani za winnych?

— W stanie Nowy Jork nie ma kary śmierci, Mal. Dostaną dwadzieścia pięć, trzydzieści lat bez możliwości zwolnienia za dobre zachowanie.

— Rozumiem. A czy jest możliwość... — urwałam, głęboko zaczerpnęłam tchu i dokończyłam: — Czy jest możliwość, że wyjdą na wolność?

— Żadnej. DeMarco i Johnson są przekonani, że dogadali się z tym handlarzyną i zdobędą dość dowodów, żeby tamtych skazać.

— Mam nadzieję.

— Na pewno. Traktują to jak swoją osobistą wyprawę krzyżową, zwłaszcza DeMarco. Poza tym ja znam prawo karne na wylot, sędzia zażąda najwyższego wymiaru, możesz być spokojna. Mordercy nigdy więcej nie zobaczą świata; nigdy nie wyjdą.

— Czy powinnam zadzwonić do DeMarco, David? Jak mi radzisz?

— Nie musisz, Mal. Prosił mnie, żebym przekazał ci wiadomość. Zresztą wątpię, żebyś go zastała, śledztwo ruszyło pełną

parą. Teraz, kiedy już wpadł na trop, chce jak najszybciej załatwić sprawę. Chce zamknąć te... zwierzęta. Chce, żeby jak najszybciej znaleźli się pod kluczem. Jeszcze dziś.

— Rozumiem. I dziękuję ci, David, za wszystko.

— Możesz na mnie zawsze liczyć, Mal. Pozdrów serdecznie Dianę.

— Pozdrowię. Aha, czy mama już wie?

— Tak. Powiedziałem jej, zanim do ciebie zadzwoniłem. Prosiła, żeby cię uściskać.

— Ty też ją uściskaj ode mnie.

— Skontaktuję się, kiedy tylko dostanę jakieś wieści od De-Marco.

— Podziękuj mu ode mnie, gdy będziesz z nim rozmawiał.

— Dobrze, kochanie. Na razie.

— Na razie, David.

Kiedy się rozłączyliśmy, siedziałam z ręką na słuchawce, przetrawiając wszystko, co David mi powiedział. Nie czułam nic. Świadomość, że mordercy mojej rodziny zostaną aresztowani, wcale nie zmniejszyła mojego bólu i cierpienia.

Przez jakiś czas siedziałam zadumana wyglądając przez okno. Ale w pewnej chwili niebo się zachmurzyło i podniosłam oczy. Ogród nadal tonął w blasku słońca, ale błękitne niebo nad wrzosowiskami poszarzało, nadpłynęły olbrzymie ciemne chmury, z których chlusnął deszcz, tak jak przepowiedział stary Wilf. Wzdrygając się mimowolnie, ogarnięta nagłym chłodem, podszłam do kominka i usiadłam na sofie, żeby ogrzać się przy ogniu. I czekać na Dianę.

Musiałam zasnąć, bo ocknęłam się nagle, słysząc jej głos. Weszła do biblioteki wraz z Hilary, która niosła tacę z podwieczorkiem.

— Dzień dobry, kochanie — odezwała się, podchodząc do mnie. — Trochę lepiej się czujesz?

Wcale nie czułam się lepiej. Mimo to skinęłam głową. Tak było łatwiej.

Diana pochyliła się nade mną, pocałowała w policzek, potem stanęła przed kominkiem, plecami do ognia, w pozycji, którą tak

często przyjmował Robert. Bez słowa przyglądała mi się uważnie przez dłuższą chwilę. Ledwo Hilary odstawiła tacę i zniknęła, spytała:

— Co się stało, Mal? Wyglądasz, jakbyś miała mi coś do powiedzenia.

— Mam — odparłam. — Niedawno dzwonił David. Wreszcie nastąpił przełom w śledztwie.

— Opowiedz mi szybko! — zawołała podchodząc i siadając na sofie.

Nie odrywała ode mnie wzroku, kiedy relacjonowałam rozmowę z Davidem. Kiedy skończyłam, zareagowała tak samo jak ja wcześniej.

— Dzięki Bogu — powiedziała cicho. — Choć to nie przywróci życia mojemu synowi i wnukom... — Głos jej zadrżał i potrzebowała chwili, żeby nad sobą zapanować. W końcu dodała: — Ale przynajmniej będziemy wiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość i winni zostaną ukarani.

— Niewielka pociecha — mruknęłam. — Ale lepsze to niż wiedzieć, że są na wolności.

— I znowu mogą zabić — dokończyła Diana.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- W środę muszę jechać do Paryża — odezwała się Diana. — Może zabrałabyś się jutro ze mną do Londynu? I razem poleciałybyśmy do Paryża? Moim zdaniem, to by ci dobrze zrobiło, Mal.

Był niedzielny ranek, siedziałyśmy w bibliotece, czytając prasę. A raczej to Diana czytała, ja tylko przerzucałam gazety. Spojrzałam na nią i potrząsnęłam głową.

— Nie sądzę. Nadal czuję się nieco osłabiona po chorobie.

Diana wpatrywała się we mnie bardzo długo, wreszcie powiedziała:

— Nonsens, Mal, czujesz się o wiele lepiej, już na początku tygodnia wróciłaś do zdrowia. Twój problem to duchowa apatia.

Zaskoczona tym spokojnym stwierdzeniem, najpierw poczułam się nieco urażona, potem powiedziałam:

— Może i masz rację.

— Wiem, że mam — oświadczyła, odkładając gazetę. Nachyliła się ku mnie i skupiając na mnie całą uwagę, podjęła: — Mal, tak dalej być nie może.

Wytrzymałam jej spojrzenie, ale nie odpowiedziałam.

— Co zamierzasz zrobić? Przesiedzieć resztę życia na sofie w bibliotece? Taki masz plan?

— Nie mam żadnych planów.

— Ale za to masz kilka wyjść. Możesz po kres swoich dni tkwić na sofie, jak to robisz teraz, pozwalając, żeby życie ci uciekało. Możesz popełnić samobójstwo, co, jak wiem z twoich opo-

wieści, brałaś pod uwagę. Lub też możesz się wziąć w garść, pozbierać to, co zostało, i ruszać naprzód.

— Ruszać, ale dokąd? Po prostu... po prostu nie wiem... co co ze sobą zrobić — zaczęłam z wahaniem, zagubiona, niepewna.

Diana siedziała przypatrując mi się z ogromną miłością i współczuciem — tak jak to zawsze robiła. Kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiała czułość.

— Aż nadto dobrze wiem, co straciłaś: osoby, które kochałaś całym sercem, najbliższe ci i najdroższe. Ale choć to się wydaje niewykonalne, musisz zacząć od nowa. To twoje jedyne wyjście, Mal, kochanie. Uwierz mi, to prawda. Bóg jeden wie, że nie masz już nic do stracenia, bo i tak wszystko straciłaś, za to wszystko przed tobą.

— Czyżby?

— Tak. Chociażby twoje życie. Nowe życie. Musisz spróbować, kochanie, jeśli nie ze względu na siebie, to na mnie.

Westchnęłam, odwróciłam wzrok; poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

— Nie mogę — szepnęłam. — Jestem przygnieciona. Moja żaloba nigdy się nie skończy, Diano.

— Wiem, wiem. Ja też cierpię...

Diana nie mogła dokończyć. Głos jej się załamał. Przeniosła się na sofę i wzięwszy mnie za rękę, mocno ją ścisnęła.

— Robert nie chciałby zobaczyć cię taką, Mal — powiedziała. — Zawsze twierdził, że, oprócz mnie, jesteś najsilniejszą kobietą, jaką w życiu spotkał.

— Nie mogę bez niego żyć. Nie chcę żyć bez niego i bliźniąt.

— Będziesz musiała — odparła Diana cicho, ale w jej głosie nagle zabrzmiała twarda nuta. — Musisz przestać użalać się nad sobą, i to w tej chwili. Myślisz, że jesteś jedyną kobietą, która straciła swoich ukochanych? Rodzinę? Weź chociażby mnie. Straciłam syna, moje jedyne dziecko, wnuki, a przedtem jeszcze, jako młoda kobieta, męża. Albo twoją matkę. Ona też jest pogrążona w żalobie i bólu, tak samo jak my. A co z milionami innych lu-

dzi na świecie — ciągnęła — którzy musieli żyć po stracie swoich rodzin? Pomyśl choćby o tych, którzy przeżyli Holocaust: w obozach zagłady stracili mężów, żony, dzieci, rodziców, a zrozumiesz, że nie jesteśmy same. Strata ukochanych stanowi element naszego życia. Bolesne, ale prawdziwe. Straszne, takie trudne do zaakceptowania...

Diana nie mogła dalej mówić. Nie wytrzymała, rozplakała się, ale już po chwili podjęła przez łzy:

— Nie ma dnia, bym o nich nie myślała. O Robercie, o maleńkiej Lissie i Jamiem. 'Serce ani na chwilę nie przestaje mi krwawić. Ale wiem, że nie wolno mi się poddać, nie mogę. Dlatego próbuję się wziąć w garść, najlepiej jak potrafię. Mal, posłuchaj. Nie możesz odrzucić swego życia. Musisz spróbować, tak samo jak i ja próbuję.

Lzy płynęły jej po policzkach. Popatrzyła na mnie bezradnie. Otoczyłam ją ramieniem i mocno do siebie przytuliłam. I razem z nią zapłakałam.

Jej słowa trafiły do mnie, przeniknęły do samej głębi i nagle uświadomiłam sobie, jak okropnie się zachowywałam. Myślałam wyłącznie o sobie.

— Byłam taka egoistyczna, Diano — odezwałam się wreszcie. — Strasznie samolubna. Masz rację, myślałam wyłącznie o swoich uczuciach, o tym, co ja straciłam, jak ja cierpiałam, a nie o tobie czy mamie.

— Nie chciałam, by to zabrzmiało tak surowo, kochanie — powiedziała, wysuwając się z moich objęć, prostując się i ocierając łzy. — Chciałam tylko, byś zobaczyła... zobaczyła nieco jaśniej.

Milczałam przez kilka minut, potem zerknęłam na Dianę i spytałam cicho:

— Co miałaś na myśli mówiąc, że wszystko przede mną?

— Mówiłam ci: przede wszystkim życie. Ale miałam także na myśli twoje samopoczucie, równowagę psychiczną. Masz zaledwie trzydzieści trzy lata, Mal, jesteś jeszcze taka młoda i po prostu nie wolno mi dopuścić, żebyś zmieniła się w roślinkę, kupkę nieszczęścia, która siedzi nie robiąc nic z wyjątkiem pogrążania

się w bólu i uzalania nad sobą. Rzeczywiście, jest bardzo ważne, byś dawała upust swemu bólowi. Musimy to robić, musimy go z siebie wyrzucać. Ale nie mogę pozwolić, nie dopuszczę, byś odzucała przyszłość.

— A czy ja mam przyszłość, Diano?

— O, tak, tak, masz. Oczywiście, że masz. To kolejna rzecz przed tobą. Twoja przyszłość. Ale musisz wykonać ruch, chwycić życie w obie ręce i zacząć od początku. To będzie najtrudniejsza, może nawet najboleśnieszka rzecz, jaką w życiu robiłaś, ale zapewniam: warta tego.

— Nie wiem, co zrobić. Jak mam zacząć od nowa? — spytałam.

Po raz pierwszy od śmierci Roberta zaczęłam myśleć o czymś pogodniejszym.

— Po pierwsze, powinnaś odzyskać formę fizyczną. Jesteś **0** wiele za chuda. Musisz zacząć jeść, ruszać się, ćwiczyć, by odzyskać siły, ten wigor i energię, które zawsze tak u ciebie podziwiałam. Po drugie, musisz się zastanowić, jaką pracę chciałybyś sobie znaleźć. Musisz pracować. Nie tylko po to, by na siebie zarobić, ale po to, by się czymś zająć.

— Nie mam pojęcia, od czego zacząć. — Przygryzłam wargę i potrząsnęłam głową. — Zdaję sobie sprawę, że muszę zacząć na siebie zarabiać i to szybko. Nie mogę pozwalać, by rodzice mnie utrzymywali. Ale nie mam pojęcia, co mogłabym robić. Co w ogóle potrafiłabym robić, skoro już przy tym jesteśmy.

— Kiedyś wymyślałaś hasła reklamowe — przypomniała mi Diana.

— To było dawno temu i nie jestem pewna, czy byłam w tym dobra, nawet jeśli Robert twierdził, że jestem genialna. Poza tym chyba nie miałabym ochoty pracować w biurze, a już z całą pewnością nie w Nowym Jorku. Tak więc Madison Avenue możemy skreślić na dzień dobry.

— Mogłabyś mieszkać w Londynie — podsunęła Diana, przyglądając mi się uważnie. — Bardzo bym się z tego cieszyła. Tylko ty mi pozostałaś, Mal, jesteś całą moją rodziną.

Skinęłam głową.

— Wiem, Diano. Ty też stanowisz ważny element mojego życia. To jakieś rozwiązanie, to znaczy przeprowadzka do Londynu. Indiańską Dolinę zawsze mogę sprzedać.

— A co z mieszkaniem? Nie wspominałaś, jaką decyzję podjęła kuzynka Sary.

— Vera chce je kupić i zgodziła się na cenę, jaką wyznaczyła mama. Ale jeszcze nie rozmawiała z zarządem spółdzielni. Zdaje się, że jest umówiona na rozmowę w przyszłym tygodniu. Tym, co prawda, się nie martwię, na pewno ją przyjmą.

— Wracając do twojej pracy. Gdybyś została w Londynie, mogłabyś się zastanowić nad współpracą zę mną. Przepadasz za antykami, mnóstwo o nich wiesz, twoja wiedza z pewnością by mi się przydała. No i twój niezaprzeczalny talent dekoratorski.

Kiedy nie odpowiadałam, Diana wyprostowała się, przez chwilę na mnie patrzyła, wreszcie ujęła za rękę.

— Chciałabym, żebyś została moją współpracowniczką, Mal.

— Och, to bardzo hojnie i szlachetnie z twojej strony! Dziękuję, Diano. Nie jestem pewna. Czy mogłabym się nad tym zastanowić?

— Tak. Nie spiesz się. — Uśmiechnęła się lekko i musnęła mój policzek. — Jesteś dla mnie jak córka. Nie, ty jesteś moją córką. Kocham cię.

— Ja ciebie też, Diano.

— Wspomniałam, że przydałby mi się twój talent dekoratorski. Jesteś w tym świetna, a wielu klientów chciałoby nie tylko kupować u mnie antyki. Chcą także, żebyim urządziła im pokoje. Wręcz całe domy.

— Rzeczywiście, lubię urządzać mieszkania, choć nie jestem pewna, czy chciałabym to robić dla innych. Ale zawsze to jakiś pomysł.

— Możemy spróbować. Nie mamy nic do stracenia.

— Co masz na myśli?

— Nie ma powodów, żebyś nie mogła zostać w Londynie na kilka miesięcy. Mogłabyś pracować w sklepie, razem ze mną, albo nawet sama, jeździć do Francji kupować antyki. A weekendy spędzałybyśmy tutaj, w Kilgram Chase. Latem jest tu naprawdę



ślicznie. A jesienią, gdybyś uznała, że tak będzie lepiej, mogłabyś wrócić do Connecticut.

— Nikt nie może się z tobą równać, Diano, jesteś taka dobra, taka kochająca.

Oparłam głowę o poduszkę i przymknęłam oczy. Wyrwało mi się słabe westchnienie.

— Nie będę bardziej naciskać — odezwała się cicho Diana — ale zastanów się nad tym poważnie, Mal. I pamiętaj, byłabym bardzo szczęśliwa, gdybyś zechciała zostać moją współniczką.

Tej nocy długo leżałam bezsennie w łóżku, przyglądając się odbłaskom ognia z kominka, które tańczyły na suficie. Tu, w tym pokoju, w którym Robert mieszkał jako chłopiec, zmarły mąż był mi zawsze wyjątkowo bliski. A dziś szczególnie wyraźnie czułam jego obecność. Tak jakby stał w nogach łóżkach i czuwał nade mną.

Rozmawiałam z nim, pytałam, co powinnam zrobić i wydawało mi się, że radził, bym została tu, w Kilgram Chase, razem z jego matką. Jeśli tego chce, to tak uczynię. Tu, w Yorku, byłam daleko od straszliwej przemocy, która dotknęła moją rodzinę. Tu czułam się bezpiecznie, tak samo jak w Londynie. Rzeczywiście, może najlepiej będzie jeśli zostanę w Anglii i tu rozpocznę nowe życie.

Zastanawiałam się nad tym, rozważałam tę myśl, aż wreszcie zasnęłam.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Diana wyjechała do Londynu, by potem wyruszyć do Paryża, a ja po raz kolejny zostałam sama w Kilgram Chase.

W ciągu ostatnich kilku tygodni biblioteka stała się moim sanktuarium i gdy teraz, w poniedziałkowy rano, siedziałam tam, przeglądając gazety, pijąc kawę, myślałam o tym, co Diana powiedziała mi w czasie weekendu.

Miała rację, mówiła szczerą prawdę.

Przyznałam się do tego wobec niej i wobec siebie. Samooszukiwanie się nie należało do moich wad. Co w niczym nie zmieniło faktu, że zdawałam sobie sprawę, że trudno mi przyjdzie zapanować nad cierpieniem, że długo potrwa, nim zdobędę nad nim całkowitą kontrolę. Ból, który czułam w sercu, nie ustawał, ani na chwilę nie ustępował; moja żaloba nie chciała się skończyć; samotność napelniała mnie rozpaczą.

Wspomnienie okrutnego gwałtu, który pozbawił mnie rodziny i odmienił me życie, na zawsze pozostanie w moim sercu. Tego byłam pewna. Ale rzeczywiście spróbuję zacząć od nowa. Obiecałam to Dianie; byłam to winna jej i sobie. A to już byłby jakiś początek początku.

Nadal nie wiedziałam, co począć z resztą swego życia, gdzie będę mieszkać ani jak zarabiać na życie. Przede wszystkim musiałam się otrząsnąć z rozpacz, zwyciężyć ją, jeśli to możliwe. Nie bardzo wiedziałam, jak to osiągnąć.

Rano, gdy się nad tym zastanawiałam, przyszło mi na myśl, że powinnam znaleźć coś, na czym mogłabym się skupić, choćby na

chwilę; coś, co oderwałoby myśli od problemów, od samej siebie. Malarstwo, do którego powrót sugerowała mi Sara w Indiańskiej Dolinie, nieszczęśliwie mnie teraz pociągało, a więc nie stanowiło rozwiązania.

Jednak było coś, co zafascynowało mnie w czasie ostatniego pobytu w Kilgram Chase w listopadzie. Pamiętnik odnaleziony w tym właśnie pokoju. Kiedy to sobie przypominałam, uświadomiłam sobie, że tamta siedemnastowieczna Letycja Keswick nadal mnie intryguje. I nie mogłam się powstrzymać od tej samej myśli, co w listopadzie: czy zachował się kolejny — a może było ich więcej — tom jej dzienników i czy jest gdzieś tutaj, w Kilgram Chase?

Dziennik z pewnością nie był wiele wart, ewentualna praca nad nim nie miałyby nic wspólnego z zarabianiem pieniędzy. Jednak poszukiwanie następnego tomu, ciągu dalszego pierwszej księgi, pozwoliłoby mi odwrócić myśli od mojej tragedii. A to byłby już krok we właściwym kierunku.

Zrobię to. Rozpocznę poszukiwania. To da mi zajęcie, póki nie wymyślę czegoś poważnego na przyszłość — choć teraz wydawała mi się taka pusta.

Drabinka znajdowała się w drugim końcu biblioteki; przyciągnęłam ją do kominka, zamierzając najpierw przejrzeć wszystkie książki w tej części pomieszczenia. W końcu kopię Klarysy i oryginał Letycji znalazłam właśnie tu.

Wspięłam się na pierwszy stopień, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i weszła Hilary z tacą, na której przyniosła kawę.

— Pamiętasz te pamiętniki, które twój ojciec i ja znaleźliśmy w ubiegłym roku, Hilary? — spytałam, patrząc na nią z góry.

— Tak, pamiętam, panienko. To dopiero było znalezisko. Pani Keswick pokazała je proboszczowi. Był pod wrażeniem.

Skinęłam głową.

— Pomyślałam wtedy, że może jest ich więcej, ale przed wyjazdem nie zdążyłam poszukać. Dlatego postanowiłam spróbować dzisiaj.

— Tato i ja już szukaliśmy, panienko — wyjaśniła szybko Hilary. — Bo pani Keswick tak samo jak panienka przypuszczała,

ze może gdzieś na półkach wala się kolejny dziennik. No i w ogóle chciała, żeby odkurzyć książki, tak więc przez jakiś czas przeszukiwaliśmy bibliotekę, półka po półce.

— Och — powiedziałam z lekkim ukłuciem rozczarowania. — I niczego nie znaleźliście?

— Nie, niestety nie. Przynajmniej jak do tej pory. Nie sprawdziliśmy jeszcze półek po obu stronach kominka, tam gdzie panienka stoi. I tamtej. — Ruchem głowy wskazała półki przy drzwiach na korytarz.

— Dobrze. Więc b\*ędę szukała tutaj, Hilary.

— Jeśli panienka chce, przyjdę pomóc — zaoferowała się. — Tylko odniosę tacę do kuchni. Wrócę za sekundkę.

— Dzięki, będę wdzięczna za pomoc — odparłam, wspinając się wyżej na szczeble drabinki i patrząc na oprawione w skórę grzbiety książek, które miałam przed sobą. Kiedy już przeczytałam wszystkie tytuły, wyciągnęłam parę tomów i poszukałam z tyłu, czy nie kryją się tam jakieś skarby.

Po paru minutach wróciła Hilary z ojcem, który niósł długą drabinę, używaną do czyszczenia żyrandoli.

— To by dopiero było wspaniale, gdybyśmy znaleźli kolejny pamiętnik, panienko — odezwał się, opierając drabinę o ściankę. — Pani Keswick nie posiadałaby się z radości.

— I ja też, Joe — odparłam i dodałam: — A właśnie, nie odkurzałam tych książek. Może powinnam?

— Nie, nie, niech sobie panienka tym główki nie zawraca. Hilary przeczyści je miotelką. Hilary — zwrócił się do córki — biegnij do kuchni i przynieś małą drabinkę. Będiesz szła za panienką i odkurzała książki, które ona przejrzała.

Miałam zaprotestować, ale wtedy przypomniałam sobie, jak uparty potrafi być Joe i uznałam, że lepiej się nie wtrącać. Dalej sprawdzałam tytuły i szukałam za książkami; Joe i Hilary poszli w moje ślady. Kiedy zjawiła się Parky, oznajmiając, że lunch już czeka, zdumiała mnie śmiertelnie. Zerknęłam na zegarek i stwierdziłam, że jest już pierwsza. Jak szybko mi dziś upłynął czas.

Popołudniowe poszukiwania okazały się równie bezowocne co ranne. Joe i Hilary mieli ponure miny. Ich rozczarowanie rzuciło się w oczy. Uświadomiłam sobie, że z jakiegoś powodu, którego nie znałam, oczekiwali, że to właśnie ja odnajdę coś wyjątkowego, nawet gdyby to nie były pamiętniki Letycji.

— Nieważne — powiedziałam, gdy zakończyliśmy poszukiwania. — Może jutro szczęście nam dopisze. Mam szczerzy zamiar dalej przeszukiwać wszystkie półki, których nie sprawdzaliście.

— A my panience pomożemy — zapewniła Hilary. — To prawdziwe wyzwanie.

— Tak, tak — rzucił Joe przez ramię, wynosząc drabinę.

Tego wieczoru Diana jak zwykle zadzwoniła do mnie z Londynu i jak zwykle musiałam jej opowiedzieć, na czym spędziłam dzień.

— Tak mnie pochłonęło szukanie kolejnego tomu dziennika Letycji, że zapomniałam o czasie — mówiłam. — A co więcej, nawet Parky była dziś ze mnie zadowolona.

W słuchawce rozległo się prychnięcie Diany.

— W końcu coś zjadłaś?

— Tak. Udało mi się zjeść małą porcję zapiekanki.

— Cieszę się, że zaczęłaś jeść, nawet jeśli to była mała porcja. To już początek, musisz się podreperować. Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło, że wzięłaś sobie do serca moje słowa. Przyznam ci się, że dziś rano w drodze do Londynu wyrzucałam sobie, że za ostro cię potraktowałam, ale jakoś musiałam do ciebie dotrzeć.

— Bezwzględna miłość — odparłam.

— Tak to nazywasz?

— Tak. Mama twierdzi, że to najlepszy rodzaj miłości dla kogoś, kto jest w kłopotach i potrzebuje pomocy.

— Możesz na mnie liczyć, Mal. Na bezwzględną miłość i Wszystko, czego tylko potrzebujesz.

— Wiem. a ty na mnie. Musimy się wzajemnie wspierać i pomagać sobie wyjść z tego...

— Wyjdziemy, kochanie.

Pogawędziłyśmy jeszcze parę minut; Diana powiedziała, że \* Paryżu zatrzyma się w hotelu „Crillon”, potem dała mi numer

telefonu. Pożegnałyśmy się, życząc sobie dobrej nocy i odłożyłyśmy słuchawki. Ale po chwili Diana oddzwoniła.

— Właśnie sobie coś przypomniałam. Jest jeszcze jedno miejsce, w którym mogłabyś znaleźć pamiątniki, a raczej ich kopie zrobione przez Klarysę, której tak bardzo zależało na przekazywaniu różnych rzeczy dla potomności.

— To znaczy, że nie w bibliotece?

— Strych w zachodnim skrzydle — wyjaśniła Diana. — Jest tam masa skrzyń okrętowych. Są na nich stare nalepki, naklejki z parowców P&O i Cunard. Nieważne. W tych skrzyniach są przeróżne rzeczy z epoki wiktoriańskiej. Teściowa pokazała mi je lata temu, tuż po moim ślubie z Michałem. Mówiła, że zostały zapakowane przez jedną z pań Keswick wiele lat przed nią, na przełomie wieków. Może to właśnie Klarysa je załadowała.

— I sądzisz, że mogła tam włożyć pamiątniki, o ile istnieją?

— Jest taka możliwość. Zresztą, w ogóle warto by tam zajrzeć, nie uważasz?

— Jeszcze jak. I dziękuję, że oddzwoniłaś.

— Dobranoc, Mal.

— Dobranoc, Diano.

— Niech panienka spojrzy na tę robotę, wyjątkowo piękna — powiedziała Hilary, podnosząc na mnie wzrok.

Kłęcząca na podłodze strychu przed jedną ze starych skrzyń. Podała mi ciemnoczerwoną aksamitną poduszkę obszytą paciorkami. Niewątpliwie pochodziła z epoki wiktoriańskiej. Przyjrzałam się jej, zaskoczona, że poduszka i koraliki tak świetnie się zachowały. Jedną stronę pokrywały czerwone, białe, czarne, szare i srebrne koraliki. Wzór przedstawiał róże wśród liści i gałązek paproci. Na środku białymi paciorkami wyszyto napis:

— *Omnia vincit Amor* — przeczytałam głośno. — Po łacinie. To dość znana maksyma. Znaczy chyba: „Miłość wszystko zwycięża”.

Patrząc na Hilary, uniosłam pytająco brwi.

— Niech panienka na mnie tak nie patrzy — zawołała ze śmiechem. — Nigdy nie uczyłam się łaciny. Pani Keswick na pew-

no będzie wiedziała, co to znaczy, miała łacinę na uniwersytecie w Oksfordzie. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ze miała...

— Tak, miała — potwierdziłam.

Hilary wyciągnęła kolejną poduszkę, większą od czerwonej, /. oliwkowego aksamitu. Tło stanowiły srebrne, złote i brązowe paciorki. Z białych wyszyto kwiaty kalii, z zielonych — łądygi. Tu także na dole znajdowała się łacińska sentencja, ułożona z zielonych paciorków. Wzięłam poduszkę od Hilary.

— *Nunc scio quid sit Amor* — odczytałam. — Tego w ogóle nie rozumiem, ale to znowu coś o miłości.

— Tak — zgodziła się Hilary, sięgając do pełnej skarbów skrzyni.

Wyjęła jeszcze dwie poduszki zdobione bogato paciorkami, z łacińskimi maksymami. Pokazała mi je. Potrząsnęłam głową.

— Nie wiem, co tam jest napisane, ale zabierzmy je na dół. Pani Keswick na pewno chętnie je obejrzy po powrocie z Paryża.

— Nie chce mi się wierzyć, że zapomniała, jakie są piękne — mruknęła Hilary. — Przecież mówiła panienka, że widziała je kiedyś. Można by pomyśleć, że chciałyby je wyciągnąć. Położyć na sofach albo krzesłach.

— Tak. Ale może rzeczywiście zapomniała, Hilary, tak jak sama przed chwilą powiedziałaś. W końcu oglądała je szmat czasu temu. Czterdzieści lat.

— Niech panienka spojrzy!

Tym razem Hilary podała mi przepiękną czarną koronkę, ozdobioną paciorkami i czarnymi cekinami.

— Co to może być? — spytała. — Mantyla? Taka, jaką nosiły Hiszpanki?

— Nie wiem. Ale chyba nie, za krótkie na mantylę. Masz rację, cudowne. Jest tam coś jeszcze?

— Tylko stara bielizna na dnie.

Hilary zaczęła wyjmować wszystkie te rzeczy tak starannie przed laty złożone i podawała mi je jedną po drugiej. Potem wstała z klęczek.

— Ta skrzynia jest już pusta, panienko. Znalazłyśmy sporo wiktoriańskich bawełnianych koszul nocnych, pół tuzina ręcznie

haftowanych powłoczek na poduszki i tyleż samo prześcieradeł od kompletu.

— Pani Keswick zapewne wykorzysta te zabytkowe prześcieradła i powłoczki — oświadczyła Hilary. — W dwóch pokojach gościnnych. Ale co zrobi z koszulami, nie wiem. Są trochę staromodne. — To mówiąc, przysunęła jedną do nosa. — Pachną nafaliną — stwierdziła, krzywiąc się.

Ten tydzień spędziłyśmy z Hilary grzebiąc po strychach i stryszkach Kilgram Chase. Mnóstwo ich było i żadnego nie opuściłyśmy. Nigdy przedtem tu nie byłam; zafascynowały mnie te obszerne pomieszczenia oraz skarby, które się w nich kryły. W zachodnim skrzydle oprócz skrzyń znalazłyśmy różne kufry, olbrzymie pudła kartonowe i drewniane komody. Tam też odkryłyśmy nieomal pokłady ślicznych staroci, od następnych poduszek, haftów i ogromnego wyboru bielizny po porcelanę, szkło i mnóstwo typowo wiktoriańskich drobiazgów: pudełek ze skorup żółwia, zrobionych z macicy perłowej szkatulek na wizytówki, tacek z papier-mache i puszek na herbatę.

Ale żadnych ksiązek. Żadnych pamiętników Letycji Keswick. Ani kopii wykonanych przez jej wiktoriańską następczynię, Kларысę.

W piątek po południu pracowałyśmy z Hilary na północno-wschodnim strychu nad biblioteką i tam właśnie natknęłam się na stary skórzany kufer, nie tak duży jak inne, ale ozdobiony mościężnymi ćwiekami, teraz już zaśniedziałymi. Wyglądał na bardzo wiekowy.

— To może się okazać interesujące — zwróciłam się do Hilary. — Ale, masz ci los, zamknięte na klucz.

— Wzięłam ze sobą nóż kuchenny — odparła Hilary. — Spróbuję otworzyć.

Uklęka obok kufra. Próbowwała otworzyć zamek, ale bez skutku.

— A może by spróbować szpilką do włosów? — podsunęłam. — Czasem to skutkuje.

— Nie mam. A panienka? — spytała, patrząc na moje rude włosy, upięte na czubku głowy.



— Nie, dziś spięłam je grzebieniami — wyjaśniłam. — Ale mam szpilki w sypialni. Pobiegnę i przyniosę.

— Jedną chwilkę. Może uda się otworzyć którymś z tych starych kluczyków, które znalazłyśmy parę dni temu — odparła Hilary, wyjmując z kieszeni fartucha całą kolekcję małych zabytkowych kluczyków.

Po kilkunastu próbach trafiła na taki, który bez trudu wśliznęła się do dziurki.

— To może być ten — mruknęła pod nosem, kręcąc kluczykiem. Po paru sekundach rozległ się cichy, ale wyraźny zgrzyt.

— Chyba się udało! — zawołała Hilary, patrząc na mnie triumfalnie.

— Szybko, otwórz!

Uniosła wieko i razem zajrzałyśmy do środka.

— Książki! — krzyknęłam, pochylając się nad skórzanym kufrem.

— Ja ich nie dotknę, panienko; mogą być bardzo cenne. Nie chciałabym przypadkiem którejs zniszczyć.

— Rozumiem cię doskonale, Hilary. Może trafiłyśmy na kopalnię złota.

I jak się okazało, trafiłyśmy.

Pierwsza książka, którą wzięłam do ręki, okazała się prawdziwym skarbem, choć na pierwszy rzut oka wcale tak nie wyglądała. Oprawiona w czarną skórę, zniszczona, trochę przetarta na grzbiecie, na stronie tytułowej została podpisana przez autorkę. Natychmiast rozpoznałam pismo. Widziałam już te eleganckie, smukłe litery.

***Ogrody Letycji Keswick*** — głosił napis, a kiedy odwróciłam kilka kartek, wstrzymałam oddech z zachwytu.

Letycja napisała czarującą książeczkę o ogrodach w Kilgram Chase, jej ogrodach. Opowiadała, jak je planowała, co posadziła i dlaczego. A co najważniejsze, książka była ilustrowana akwarełami i rysunkami samej autorki. Pod tym względem przypominała pamiętnik, na który się natknęłam w listopadzie, ale tu ilustracji było o wiele więcej.

Hilary także zachwycała się urodą książeczki. Posunęła się nawet do stwierdzenia, że przewyższa ona dziennik.

Nie zgadzałam się z nią. Ale bez wątpienia wykonane przez Letycję rysunki kwiatów, drzew, krzewów, roślin były zachwycające, tak samo jak jej plany różnych ogrodów.

Po dokładniejszym zbadaniu zawartości kufra znalazłam jeszcze cztery książki. Bałam się marzyć, że wszystkie to dzieła Letycji.

Pierwsza była oprawiona w fioletową skórę i wyglądała na nieco mniej zużyta niż pozostałe. Po otwarciu okazało się, że to zbiór wiktoriańskich przepisów kulinarnych. Wszystkie napisane cudownym, kaligraficznym pismem Klarysy, które tak mnie zachwyliło wcześniej. Nie wątpiłam, że to oryginalne receptury samej Klarysy i że oddają jej gust w sztuce kulinarnej.

Była także książka kucharska Letycji, zawierająca przeróżne siedemnastowieczne przepisy wraz z poradami i wskazówkami, jak należy stosować zioła przy różnych chorobach.

Ale najbardziej uradowały mnie dwie ostatnie książki. Jedna okazała się dziennikiem Letycji Keswick z roku 1663, druga jego staranną kopią, sporządzoną charakterystycznym, kaligraficznym pismem Klarysy. Nie mogłam się doczekać, kiedy go przeczytam.

— Warto było tak się urobić, Hilary — powiedziałam, wstając z klęczek i sięgając po książki. — Są wyjątkowe.

— Jak panienka sądzi, co pani Keswick z nimi zrobi?

— Nie jestem pewna. Zapewne w ostatecznym rozrachunku nic, bo szczerze mówiąc, Hilary, nie wiem, co mogłaby zrobić. Ale miło coś takiego mieć, prawda?

— Tak. Może położy je w szklanych gablotach, tak jak w muzeum — odezwała się z nagłym namysłem Hilary. — Pani Keswick co roku organizuje w ogrodzie przyjęcie na cele dobroczynne. Może ludzie zapłacą parę groszy więcej, żeby wejść do domu i obejrzeć te książki. Oczywiście, cały dochód poszedłby na kościół.

— Dobry pomysł, Hilary. Mądra masz główkę.

Wyraźnie zadowolona z pochwały, ciągnęła bardziej konfiden-  
cjonalnym tonem:

— Wiele osób dużo by dało, żeby móc zwiedzić dom od środka, ale pani Keswick nie udostępnia go publiczności.

Nie odpowiedziałam.

— Cóż, pewnie by tego i tak nie zrobiła, prawda?

— Nie wiem. Musiałabym spytać — odparłam.

Wypiwszy herbatę, którą Parky jak zwykle przyniosła mi koło wpół do piątej, wróciłam do stołu przed dużym oknem biblioteki. Popołudnie było jasne, słoneczne. Zresztą, w tej części biblioteki nigdy nie można narzekać na światło.

Właśnie zaczęłam czytać dziennik Letycji, który rozpoczynał się w styczniu 1663 roku, kiedy poderwał mnie głośny, przenikliwy dźwięk telefonu. Automatycznie sięgnęłam po słuchawkę.

— Kilgram Chase — powiedziała. Usłyszałam trzask, potem głos Davida.

— Mał, to ty?

— Tak, ja — potwierdziłam i mocniej ścisnęłam słuchawkę.

— Masz jakieś wiadomości?

— DeMarco się udało! — wykrzyknął. — Aresztowali całą czwórkę. Nie dzwoniłem wcześniej, bo czekałem, co z tego wyniknie i...

— Czy to oni to zrobili? — przerwałam; mój głos wzniósł się o oktawę.

— Tak. DeMarco i Johnson są pewni, że tych czterech to sprawcy. Dwa zestawy odcisków zgadzają się z odciskami dwóch chłopaków. Inny miał pistolet, półautomatyczny, kaliber dziewięć. Posłaliśmy go do ekspertyzy balistycznej i raport brzmi jednoznacznie: to ta broń.

— Czyli staną przed ławą przysięgłych?

— Już stanęli. DeMarco i Johnson działali błyskawicznie. Przesłuchanie było wczoraj i ława głosowała za oskarżeniem ich o popełnienie morderstwa drugiego stopnia. Czeka ich sąd.

— Kiedy?

— DeMarco jeszcze nie wie. Tak jak ci tłumaczyłem w ubiegłym tygodniu, oskarżyciel musi przygotować sprawę. Oczywiście nie wypuszczono ich za kaucją. I cała czwórka siedzi teraz

w więzieniu. Tam też spędzą resztę życia. Nie wyjdą, mogę cię zapewnić.

— Czy to... — przerwałam i głęboko zaczerpnęłam tchu. — Czy to była, tak jak powiedział detektyw DeMarco... próba ataku samochodowego, David?

— Tak, zgadza się.

— Czy DeMarco powiedział ci, dlaczego... dlaczego Robert i bliźnięta zostali zastrzeleni? — spytałam cicho.

— Powiedział, że dwóch chłopaków było naćpanych. Najwyraźniej palili kokainę i jeden z nich zupełnie bez powodu odleciał. Ni z tego, ni z owego zaczął strzelać jak szalony...

— O Boże, Boże, David — szepnęłam.

— Wiem, wiem, kochanie — uspokajał. W jego głosie jak zawsze brzmiała miłość i współczucie. — Dobrze się czujesz?

Nie mogłam odpowiedzieć. Siedziałam tylko, ściskając słuchawkę. Pobielałe kostki dłoni. Niewidzący wzrok utkwiony w przestrzeń.

— Mal, jesteś tam?

Z trudem przełknęłam ślinę.

— Tak. — Jeszcze raz głęboko zaczerpnęłam tchu. — Dzięki za telefon, David. Będziemy w kontakcie.

— Uważaj na siebie, Mal. Zadzwoimy w niedzielę. Do widzenia.

Bez słowa odłożyłam słuchawkę i wyszłam z biblioteki. Szłam korytarzem zgarbiona, objawszy się ramionami. Udało mi się wejść na schody tak, że nikt mnie nie zauważył. Przytrzymując się poręczy, jakoś dowlokłam się na górę, wolno podnosząc stopę za stopą. Ciężyły mi jakby były z ołowiu.

Dotarwszy do sypialni, padłam na łóżko i przykryłam się narzutą. Zaczęłam się trząść, nie mogłam nad tym zapanować. Sięgnęłam po poduszkę i ukryłam w niej twarz, chcąc zdławić suchy, rozpaczliwy szloch.

Mój mąż i dzieci zginęli niepotrzebnie, za nic, bez żadnego powodu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

*York, maj 1989*

Tutaj, na dzikich, nie tkniętych ręką człowieka wrzosowiskach, dzień był naprawdę piękny. Nagrzane powietrze pachniało słodko, po błękitnym niebie przemykały białe pierzaste chmurki. Powietrze było czyste, wciągałam je głęboko, idąc ścieżką, która wiodła przez las należący do Kilgram Chase i dalej przez pole aż na wrzosowiska.

Kiedy uniosłam głowę, wstrzymałam oddech, podziwiając wysokie skały, które sterzczały nade mną niczym gigantyczne szczyty. Przy nich wszystko jakby się kurczyło, a kotlina i zielone łąki dolin wydawały się o wiele łagodniejsze.

Nie pójdę dziś na skały. Tu łatwo źle ocenić odległość, a wzgórze były o wiele dalej, niż się wydawało. Zresztą, to za trudna dla mnie trasa.

Za to bardzo szybko znalazłam się tam, dokąd dziś się wybierałam: w ulubionym miejscu Roberta z czasów jego dzieciństwa, do którego dawniej nieraz mnie prowadził. Był to głęboki parów, pas wrzosowiska położony wysoko nad Kilgram Chase, równocześnie tonący w cieniu olbrzymiej grani Ragland niedaleko żlebu Dern. Po nagich skałach spadała kaskadami woda, rozpryskując wokół kryształowe krople.

Już dawno zauważyłam, że na wrzosowiskach prawie zawsze słyszy się szmer wody. Całe były poprzecinane małymi potokami, większymi strumieniami, dudniącymi wodospadami, pojawiającymi się w najmniej spodziewanych miejscach, na turniach i skałach.

Rozgrzana spacerem zdjęłam kurtkę, rozłożyłam ją na ziemi i usiadłam. Zapatrzyłam się na szeroką panoramę, jaka się przede mną otwierała. Nic, tylko wrzosowiska spływające ku dolinom i polom, ciągnące się po horyzont. Żadnych domów. Oczywiście, z wyjątkiem siedziby Diany. Po chwili położyłam głowę na kurtce i przymknęłam oczy. Podobał mi się spokój tego miejsca. Miałam wrażenie, że przeniosłam się do innego świata. Słyszałam jedynie odgłosy natury. Ciche bzyczenie pszczoły, szmer królików, przemykających przez krzewy, pojedyncze beczenie owiec, świergot ptaków i nieustanny szum wody spadającej z krawędzi pobliskiego Dern Ghyll.

Dziś czwartek, czwarty maja.

Moje urodziny.

Dziś kończę trzydzieści cztery lata.

Czułam się starsza, o wiele starsza, niżby na to wskazywała moja metryka; naznaczona przez śmierć dzieci i męża. Bez nich moje życie nie będzie już takie samo, ból stał się moim nieodłącznym towarzyszem.

Ale odstąpiło mnie to przemożne pragnienie samobójstwa, a owe straszne, wycieńczające okresy depresji zdarzały się coraz rzadziej. Z drugiej jednak strony nadal nie rozwiązałam problemu, w jaki sposób zarobić na życie czy znaleźć sobie pracę, która by mi odpowiadała. Byłam zagubiona, żyłam w próżni.

Westchnęłam i odgoniłam muszkę z policzka.

Ciepło i promienie słońca grzejące odsłoniętą twarz i gołe ramiona rozleniwiły mnie, zachciało mi się spać. Zasnęłam, ukołysana przez spokój i ciszę tego zakątka.

Obudziły mnie duże krople deszczu, padające na twarz. Wyprostowałam się gwałtownie i głośno jęknęłam na widok pociemniałego nieba i chmur deszczowych, które zebrały się nad samą granicą Ragland.

W oddali niczym wystrzał armatni rozległ się grzmot, po nim niebo rozcięła biała błyskawica. Rozdarła ciemne chmury, z których nagle lunął deszcz. Po chwili byłam zupełnie przemoczona. Złapałam kurtkę, szybko ją na siebie naciągnęłam i zaczęłam biec

zlebem, szukając krętej ścieżki, która powinna doprowadzić mnie do Kilgram Chase.

Pędziłam, potykając się raz po raz. W pewnej chwili omal nie upadłam, ale jakoś udało mi się utrzymać równowagę. Dalej biegłam, odgarniając z twarzy mokre włosy, starając się stąpać pewnie. I wyrzucałam sobie w duchu, że tak zlekceważyłam ostrzeżenia Wilfa.

Później, kiedy Diana pytała, co się stało, nie potrafiłam jej odpowiedzieć, bo sama nie miałam pojęcia, dlaczego upadłam. Ale upadłam. Po prostu nagle leżałam na stromym zboczu i zanim zdołałam cokolwiek zrobić, zaczęłam się zsuwać, toczyć w dół. Wreszcie zatrzymałam się w jakimś zlebie. Leżałam parę minut dysząc, próbując wyrównać oddech. Kręciło mi się w głowie i czułam się trochę poobijana po takim zjeździe.

Jakoś usiadłam, odgarnęłam za uszy mokre włosy i próbowałam się podnieść. Natychmiast poczułam przeszywający ból w kostce i znowu usiadłam. Widocznie skręciłam ją albo zwicnęłam. Nie sądziłam, by była złamana. Czołgałam się po ziemi, aż dotarłam do skał na brzegu zlebu. Tam złapałam się wystającego głązu, próbując się podciągnąć. Okazało się, że ledwo stoję, a co dopiero mówić o chodzeniu.

Miałam wrażenie, że burza jeszcze bardziej się nasiliła. Uznałam, że najrozsądniej będzie schować się pod skałami i czekać, aż burza przejdzie. Dopiero wtedy spróbuję wrócić do Kilgram Chase. Skały dawały pewną ochronę przed burzą, ponieważ tworzyły półkę. Przykucnąwszy, mogłam się pod nią wsunąć i w ten sposób schronić przed deszczem. Wykręciłam włosy, potem wycisnęłam wodę ze spodni. Kalosze miałam przemoczone, całe wysmarowane błotem. Tak samo jak resztę ubrania.

Niestety, deszcz nie ustawał, dalej lał strumieniami; grzmoty i błyskawice ciągle dudniły w powietrzu. Trzęsąc się z zimna, opierałam się o skalną ścianę i modliłam, by burza odeszła. Ale ona nie zamierzała się skończyć. Burzowe chmury zasnuły całe niebo, pędziły jedna za drugą, gonione przez wiatr, który wiał coraz mocniej. Ze swojej kryjówki widziałam jedynie czubki drzew, które pochylały się i kołysały poniżej.

Siedziałam tam prawie dwie godziny, trzęsąc się z zimna, próbując zachować spokój. Robiło się ciemno i bałam się, że zosta-  
nę tu uwięziona do nocy. Zdawałam sobie sprawę, że nawet jeśli  
deszcz się uspokoi, z bolącą kostką nie dowlokę się ani nie doska-  
czę do domu. Coraz bardziej zdrętwiała, zeszywniała i obolała  
przekręciłam się, wyciągnęłam nogę i ułożyłam wzdłuż ściany.  
Tak było nieco wygodniej, ale tylko odrobinę.

Od czasu do czasu niskie chmury się rozstępowały i widziałam  
fragment srebrnego nieba. Potem nagle na horyzoncie pojawiło się  
dziwne białe światło, zalewając ciemne chmury jasną poświatą.  
Niebo wyglądało niesamowicie, majestatycznie, niemal groźnie, ale  
zarazem pięknie. Światło stawało się coraz jaśniejsze, ostrzejsze.  
Wstrzymałam dech. Groza grozą, ale to było po prostu cudowne.

Leżąc tak i wpatrując się w niebo, próbując uciszyć lęk, usły-  
szałam jego głos. Głos Roberta.

*Mal.*

Rozległ się wyraźnie, bardzo blisko, tak blisko, że poderwa-  
łam się szybko, zmieniając pozycję. Znowu usłyszałam swoje  
imię.

*Mal.*

— Tu jestem — odparłam cicho.

*Nie bój się. Nic ci nie będzie. A teraz mnie posłuchaj. Musisz  
być silna i odważna. Po kres swego życia będziesz nosiła w sercu  
pamięć o mnie. Będę żył w tobie. I Jamie, i Lissa. Czuwamy nad  
tobą, Mal. Ale nadszedł już czas, pora wyruszyć w drogę. Zbierz  
wszystkie siły. Musisz żyć dalej. Iść naprzód, ku przyszłości.*

— Robert — powiedziała, rozglądając się niespokojnie.  
— Jesteś tam? Nie zostawiaj mnie, nie odchodź.

*Zawsze jestem przy tobie, kochanie. Zawsze. Pamiętaj o tym.*

Deszcz ucichł nagle. Światło przedzierające się przez chmury  
nikło, bladło, a one uciekały szybko po niebie. Nade mną pojawił  
się kawałek błękitu.

Zamknęłam oczy.

Czy Robert rzeczywiście do mnie mówił? A może to wszystko  
twór mego umysłu?

Czyżby wyobraźnia znowu stroiła sobie ze mnie żarty?



\*

— Ech, ta panienska, nigdy nie słuchała, jakem jej mówił — wyrzekął Wilf. — Godolek ci ja jej, cobyk nie chodziła na wrzosowiska, Joe. Godolek. Niebezpiecznie tam.

— Lepiej spróbujmy ją odnaleźć — uciszył go Joe. — Prze-  
stań tak kłapać.

Słyszając ich głosy w pobliżu, jakoś podciągnęłam się na kola-  
na.

— Ratunku! — zawołałam słabo. — Pomocy! Jestem tu,  
w dole! Joe! Wilf! W tej dziurze!

— To panienska nas woła, Joe! — krzyknął podniecony Wilf.  
— Wleciała do żlebu, założę się. Ruszamy, Joe.

I za moment Wilf i Joe patrzyli na mnie z góry. Na ich ogorza-  
łych twarzach malowała się ulga.

— Co się panience stało? — wołał Joe, schodząc do zagłębie-  
nia.

— Upadłam, stoczyłam się ze stoku i wylądowałam tutaj.  
Zwichnęłam nogę w kostce — wyjaśniłam. — Nie wiem, czy  
będę mogła iść, Joe.

— Niech się panienska nie martwi, raz-dwa odstawimy pa-  
nienkę do domu — uspokoił mnie Joe. — A teraz ruszamy. Niech  
panienka włoży tę kurtkę. Ogrzeje się panienska. Niech mnie kule  
biją, błada panienska jak ściana, musiała panienska nieźle zmarz-  
nąć. Trzęsie się panienska jako ten listek.

— Juzem panienkę wcześniej ostrzegął — stwierdził Wilf.  
— Ale się nie słuchało.

— Przepraszam, Wilf, powinnam była cię posłuchać. Masz  
rację, pogoda na wrzosowiskach rzeczywiście potrafi się zmieniać  
/. minuty na minutę.

— A tak, niech mnie kule biją. Ileż biedaków się zgubiło na  
tych wrzosowiskach. Znalezlim, kiedy już było za późno. Umarte  
na śmierć — ciągnął Wilf żalobnym tonem.

— Dość już tego, Wilf — uciął Joe. — A teraz niech panienska  
złapie mnie za szyję i zobaczymy, czy uda mi się panienkę wy-  
ciągnąć z tego dołu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Trochę podtrzymując, trochę ciągnąc Wilf i Joe jakoś doprowadzili mnie do domu. Źle się czułam, przemarzłam do szpiku kości, ból rozsądza\*! mi czaszkę. Ale przynajmniej już nie padało i wiatr znacznie się uspokoił. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w Kilgram Chase, Parky, Hilary i jej mąż, Ben, z niepokojem czekali na nas w kuchni.

— Ojej, panienko, co się panience stało? — zawołała Parky.  
— Zrobiła sobie coś panienka?

— Zwichnęła sobie nogę w kostce — oznajmił Joe.

— Czuję się dobrze, Parky — uspokajałam, choć wcale się tak nie czułam.

— Znaleźlim ją we źlebie niedaleko skały, stoczyła się tam — powiedział Wilf. — A ostrze...

— Mogło być gorzej — zawołała Hilary, przerywając mu. Przejęła kontrolę nad sytuacją i szybko zarządziła: — Nie ma co tu tak stać i głądzić. Trzeba zaprowadzić panienkę na górę. Zdejmie panienka z siebie te mokre rzeczy. Potrzebna panience teraz ciepła kąpiel i coś do rozgrzania od środka.

Podeszła do mnie, objęła w talii i pomogła przekuśtykać przez kuchnię.

— Zadzwoń po doktora Gordona, żeby tu zajrzał? — spytał Ben, patrząc na Hilary.

— Tak, chyba powinienes — odparła.

— Nic mi nie jest, naprawdę — broniłam się. — Tylko zmarzłam, strasznie zmarzłam. Kąpiel mnie wyleczy.

— Chyba lepiej, żeby lekarz obejrzał panienki nogę. Ostrożność nie zawadzi — stwierdził Joe, gdy wychodziłyśmy do korytarza.

— Wstawię czajnik — usłyszałam głos Parky.

— Nie, matko — odezwał się Joe — panience najlepiej zda się teraz porządny łyk dobrej szkockiej, nie jakiejś tam herbaty.

Kiedy doszłyśmy do schodów, Hilary mocniej mnie objęła.

— Poradzi sobie panienka? — zapytała niespokojnie.

Skinęłam głową.

Gdy znalazłyśmy się w sypialni, poszła przyszykować mi kąpiel. Zdjęłam zabłocone ubranie, rzuciłam je na podłogę i włożyłam szlafrok. Pokuśtykałam do łazienki. Hilary obejrzała się, słysząc moje kroki.

— Może wsypać trochę soli epsom? — spytała. — Łagodzi ból.

— Tak, to dobra myśl — odparłam, siadając na stołku przy wannie.

— Zaraz przyniosę herbatę i whisky — powiedziała Hilary, idąc do drzwi. — Postawię je w sypialni. Aha, i zostawię też aspirynę.

— Dziękuję, Hilary. Dzięki za wszystko.

— Nie ma za co — odparła i zamknęła za sobą drzwi. Długo moczyłam się w gorącej wodzie, rozkoszując się ciepłem, czując jak powoli się rozgrzewam. Sól rzeczywiście pomogła na obolałe kości i chorą kostkę. I choć poważnie ją nadwerżyłam, teraz już nie miałam wątpliwości, że nie jest złamana.

Nie da się ukryć, miałam niesamowite szczęście.

Wybierając się na spacer, nie mówiłam nikomu, dokąd idę, zupełnie przypadkowo natknęłam się w sadzie na Wilfa. Pomachał mi, ja jemu też i skręciłam na ścieżkę wiodącą do lasu. Kiedy rozszalała się burza, a ja nie wróciłam, to zapewne on wszczął alarm. Ze wstydem przypomniałam sobie, jak ja i Robert zawsze uważaliśmy go za niespełna rozumu — kpa, jak mawiał Robert.

Robert.

Czy naprawdę mówił do mnie dziś po południu? Przemarznięta, z obolałą kostką, przerażona, że mogą mnie nie znaleźć przed

nadejściem nocy, może po prostu to sobie wymyśliłam? Może szukałam u niego pociechy?

Nie wiedziałam. Tak samo jak nie wiedziałam, czy parę miesięcy temu w Indiańskiej Dolinie Lissa rzeczywiście spała w moich ramionach.

Czy istnieje jakieś życie pozagrobowe? Religie od tysięcy lat zapewniają, że tak. A skoro tak, to muszą też być duchy, dusze zmarłych, które w jakimś celu wracają do krainy żywych. By pocieszyć i uspokoić tych, których zostawili pogrążonych w żałobie? By pokazać się jako aniołowie stróże?

Nagle przypomniałam sobie książkę, na którą parę dni temu natknęłam się w bibliotece. Mówiła o duchach i aniołach. Tylko ją przerzuciłam. Później przeczytam ją dokładnie.

— Miała pani ogromne szczęście, pani Keswick — oświadczył doktor Gordon, chowając słuchawki do torby. — Prawdziwe szczęście.

— Wiem o tym — odparłam. — Zamiast tylko zwichnąć, mogłam złamać nogę w kostce.

— To prawda. Ale bardziej chodziło mi o to, że miała pani szczęście, że nie cierpi pani teraz na szok termiczny. Tkwiła pani na tym okropnym deszczu ponad dwie godziny, a u kogoś wystawionego na takie warunki temperatura ciała spada bardzo szybko. Jeśli wtedy nastąpi szok termiczny, ta osoba może mieć bardzo poważne kłopoty.

— Ale panience nic nie jest, prawda? — zaniepokoiła się Hilary.

— Nie, wszystko w porządku. — Znowu zwrócił się do mnie. — Temperaturę ma pani w normie, nie wygląda na to, by organizm zbyt wiele ucierpiał. Nawet to zwichnięcie nie jest groźne. Wykuruje się pani za kilka dni. Tylko proszę, żeby noga była cały czas zabandażowana.

— Dobrze, panie doktorze. I dziękuję, że zechciał pan przyjechać.

— Z przyjemnością tu zajrzałem, a w razie jakichkolwiek trudności proszę się nie krępować i dzwonić.

— Dobrze. Dziękuję, doktorze Gordon.

— Do widzenia, pani Keswick.

— Do widzenia.

Hilary poderwała się na nogi.

— Odprowadzę pana, panie doktorze — powiedziała i pośpieszyła za nim. Zatrzymała się w drzwiach, obróciła ku mnie i spytała: — Czy będę jeszcze panience potrzebna? Może przyjąć pomoc panience się ubrać?

— Dzięki za troskę, Hilary, ale poradzę sobie.

Pozostawiona sobie zdjęłam szlafrok, włożyłam szare flanelowe spodnie, jedwabną rdzawą bluzkę i taki sam wełniany żakiet. Przysiadłam na ławce u stóp łóżka, wciągnęłam parę białych wełnianych skarpet i wsunęłam stopy w zamszowe mokasy.

Podpierając się laską, którą Parky przyniosła z góry, wykużyłam z sypialni, przeszłam przez korytarz, po schodach, stąpając bardzo ostrożnie, trzymając się blisko ściany.

Przez te cztery miesiące biblioteka stała się moim ulubionym pomieszczeniem w Kilgram Chase i Joe, który o tym wiedział, już w trakcie wizyty lekarza włączył światło i rozpałił w kominku. Choć to już maj, wieczorami ogromny kamienny dom potrafił być chłodny, a szczególnie tak wysoki i rozległy pokój. W ten deszczowy wieczór ogień w kominku i ciepłe światło lamp dodawały bibliotece przytulności.

Znalazłszy książkę o aniołach i duchach, podeszłam do kominka i usiadłam w bujanym fotelu. Przejrzeją, czekając na Dianę. Już dzisiaj wraca z Londynu, by spędzić ze mną ten wieczór. Nie chciała, bym została sama w dniu urodzin. Powinna dotrzeć za jakąś godzinę; cieszyłam się z jej przyjazdu.

Nie mogłam się powstrzymać od wspomniania ostatnich urodzin. Jakaż szczęśliwa wtedy byłam. Mama urządziła wczesną kolację u siebie, przyszliśmy z Lissą, Jamiem, Robertem i Sarą. Najpierw podano szampana, po kolacji ciasta, bliźnięta śpiewały mi „Happy Birthday”. Robert podarował mi kolczyki z perłami, bliźnięta wykonane przez siebie laurki, a za całoroczne oszczędności kupiły śliczną jedwabną apaszkę.

Gardło mi się ścisnęło, łzy napłynęły do oczu. Odgoniłam wspomnienia, wzięłam się w garść, oparłam wygodniej i przymknęłam oczy. Po chwili ból i tęsknota ustąpiły.

Zaczęłam przeglądać książkę o aniołach i duchach i wkrótce znalazłam rozdział, którego szukałam.

Anioły uznawano za boskich posłańców, czytałam, tylko one przynosiły dobre wieści i pomoc potrzebującym. Ludzie, którzy się z nimi zetknęli, opowiadali, że byli pełne dobroci i ciepła, otaczało je światło, często jasne, wielobarwne, emanowała z nich szczególna aura\*.

Inne osoby, których wypowiedzi cytowano w książce, twierdziły, że kiedy widziały anioła bądź wiele aniołów, czuły się pełne pogody, rozsadzała je radość.

Następny rozdział dotyczył duchów. Dowiedziałam się z niego, że są to dusze zmarłych, które przyjmują różne postacie. Z książki wynikało, że wiara w duchy jest obecna właściwie w każdym kraju, każdej kulturze, a relacje osób, które je widziały, w wielu punktach się pokrywają. Opisywano je jako mgliste, przezroczyste, unoszące się w powietrzu zjawy przypominające nieco obłok. Zazwyczaj duchy przychodziły, by pomóc swoim najbliższym. Przynosiły nadzieję, zapewniały o swojej miłości, często materializowały się, by przekonać nas, że wszystko jest w porządku. Wyglądało na to, że do fizycznego świata przykuwała je tęsknota tych, których zostawiły.

W książce mówiono także, że istnieją złe, diabelskie duchy, które potrafią zawładnąć duszą człowieka. Rozdział o stosunku Kościoła katolickiego do demonów i egzorcyzmach dokonywanych przez duchownych wzbudził we mnie lęk; zamknęłam książkę. Nie chciałam czytać o złych duchach. Ta porcja zła, z jaką się zetknęłam, wystarczy mi na całe życie.

Odstawiłam książkę na miejsce i usiadłam przed oknem, wyglądając na wrzosowiska. O zmierzchu nabierały niesamowitej, granatowoczarnej barwy, wyglądały imponująco, groźnie; przeszył mnie dreszcz na myśl o tym, że mogłabym tkwić tam w ten deszcz. A jednak właśnie w czasie burzy dziś po południu znalazłam się tak blisko Roberta, bliżej niż zwykle, a w pewnej chwili niemal namacalnie poczułam jego obecność.

Czy to dlatego, że on zawsze tak kochał burze? Że jako mały chłopiec chciał na nie wybiegać z domu, przyłączyć się do swoich przodków ruszających w bój przeciwko wrogom?

Uśmiechnęłam się w duchu, myśląc o nim. Moje serce było pełne Roberta. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, doznałam ogromnego spokoju. Przepływał przeze mnie, wypełniał całe me wnętrze; już zapomniałam, że można odczuwać taki spokój.

Siedziałam długo, wyglądając przez okno, myśląc o słowach, które Robert dziś do mnie skierował. Urodziny. Czy odezwał się dlatego, że dziś wypadały moje urodziny?

— Twoje zdrowie, kochanie — powiedziała Diana, trącając mój kieliszek. — Cieszę się, że tu jesteś. Cieszę się, że możemy wspólnie spędzić twoje urodziny.

— Ja też, Diano.

Odstawiła kieliszek i sięgnęła po małą, ładnie zapakowaną paczuszkę, którą przyniosła do biblioteki, kiedy zjawiła się tu parę minut temu. Podała mi ją z szerokim uśmiechem.

— To dla ciebie, daję ci to z zapewnieniem o mojej miłości.

— Dziękuję.

Wzięłam od niej pudełeczko, rozpakowałam. Małe, czarne skórzane pudełeczko, które trzymałam w dłoniach, było stare, nieco przetarte na rogach, a kiedy je otworzyłam, gwałtownie wciągnęłam powietrze. Na czarnym aksamicie spoczywała zabytkowa kamea, najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziałam.

— Jest piękna, Diano. Bardzo, bardzo ci dziękuję.

Podeszłam do niej, pochyliłam się nad sofą i pocałowałam w policzek, potem przypięłam kameę do klapy żakietu.

— Ofiarowała mi ją teściowa, wiele lat temu, też na urodziny — powiedziała Diana. — Pomyślałam, że skoro to dziedzictwo Keswicków, powinnam przekazać ją tobie.

— Zawsze jesteś taka troskliwa, taka kochająca — powiedziałam, wracając na fotel. — Rozpuszczasz mnie.

— Chcę ci powiedzieć jeszcze o czymś — ciągnęła Diana. — To jest chyba odpowiedni moment.

W jej głosie zabrzmiała taka powaga, że spojrzałam na nią pytająco.

— Chodzi o ten dom. Mal.

— To znaczy?

— Jesteś teraz moją dziedziczką...

Zamilkła na chwilę, ale szybko nad sobą zapanowała.

— Moją jedyną dziedziczką i chciałam tylko, żebyś wiedziała, że zmieniałam testament. Zapisałam Kilgram Chase tobie. A także wszystko, co posiadam.

— Och, Diano, nie wiem, co powiedzieć... Oczywiście dziękuję...

Nagle zabrakło mi słów, nie wiedziałam, co mówić.

— Jesteś młoda, Mal, dziś kończysz zaledwie trzydzieści cztery lata i przed tobą jeszcze szmat życia. Pewnego dnia ponownie wyjdiesz za mąż, może nawet będziesz miała dzieci; pragnęłabym widzieć cię tutaj wraz z nimi.

— Nie! — krzyknęłam. — Nie wyjdę za mąż...

— Jeszcze nie wiesz, co życie ci przyniesie — przerwała mi.

— Wiem, co czujesz w tej chwili i może nie powinnam o tym dziś wspominać. Dlatego nie będę poruszać dalej tego tematu. Na pewno nie dziś. Chciałabym jednak powiedzieć jedno: musisz iść dalej, Mal. My wszyscy musimy iść dalej. Życie jest po to, by żyć.

Czułam dziwną więź z Letycją Keswick.

Coś mnie do niej ciągnęło, a przecież to rodzina Roberta, nie moja. Co w niczym nie zmieniało faktu, że była mi dziwnie bliska ta siedemnastowieczna mieszkanka Yorku, która już od kilku wieków spoczywała w grobie. Poznałam Letycję dzięki jej zapiškom — dwóm dziennikom opisującym dwa lata życia w Anglii Stuartów, książce kucharskiej pełnej przepisów najedzenie i wina oraz notatkom dotyczącym ogrodu, uzupełnionym czarującymi ilustracjami.

Tego ranka, siedząc w bibliotece Kilgram Chase i przeglądając te cztery książki, nie potrafiłam się powstrzymać od myśli, że pod wieloma względami Letycja bardzo mnie przypomina. Kobieta tworząca dom, kucharka, ogrodniczka, malarka, osoba lubiąca



meble i to wszystko, co domowi nadaje piękno. A także oddana matka i kochająca żona, tak samo jak ja jeszcze niedawno.

Właśnie na tym polegał mój problem. Właściwie na niczym się nie znałam. Bo przecież tych kilka miesięcy w agencji reklamowej się nie liczy. Bez męża, bez dzieci nie miałam celu w życiu. A już na pewno nie miałam się czym zająć, a to niedobrze, bardzo źle, jak podkreślała Diana. Koniecznie muszę znaleźć sobie pracę.

Ale jaką?

Wzdychając pod nosem, czując, jak ogarnia mnie irytacja na samą siebie, odepchnęłam krzesło i wyszłam na dwór. Potrzebowałam trochę świeżego powietrza przed lunchem.

Nogi same poniosły mnie ku ogrodzonemu murkiem ogrodowi różanemu, mojemu ulubionemu miejscu. Ulubionemu zwłaszcza od czasu, kiedy dowiedziałam się, że został zaplanowany prawie trzysta lat temu przez Letycję. Był dokładnie taki sam jak wtedy.

Otworzywszy dębową furtkę, zeszedłam po trzech stopniach i przez chwilę stałam, patrząc na ogród. Nie był duży, ale miał wyjątkowy urok, który w ogromnym stopniu zawdzięczał starym kamiennym murom i chodnikom porośniętym mchem i rumiankiem, dwu zegarom słonecznym i licznym drewnianym ławeczkom.

Projekt Letycji był zupełnie prosty i dlatego tak doskonale się sprawdził. Gęste krzaki róż tworzyły żywopłot, po ścianach pięły się odmiany pnące, w prostokątach rosły niższe krzewy, a w kolkach odmiany herbaciane. Moją ulubioną była odmiana o nazwie Staromodne, wyhodowana jeszcze w poprzednim stuleciu; wybierałam sobie, że przypomina róże posadzone tyle lat temu przez Letycję.

Był koniec maja, a ponieważ większość róż teraz tu rosnących kwitła dopiero w czerwcu, ogród nie był tak piękny i barwny jak latem. Ale dzięki osłonie, jaką stanowiły mury, i dostępowi słońca po południu niektóre róże już rozkwitały.

Usiadłam na jednej z ławek, nadal zastanawiając się nad swoją przyszłą pracą. Nie miałam pojęcia, co mogłabym i chciałabym robić. Już wiele tygodni temu uznałam, że nie chcę pracować w biurze, a to oczywiście ograniczało możliwości wyboru.

W ubiegłym tygodniu, kiedy ojciec i Gwenny przyjechali na weekend, tato głosował za tym, żebym pracowała z Dianą w jej londyńskim sklepie z antykami. Ona też pełnym głosem opowiadała się za tym rozwiązaniem, właściwie tylko czekała na moją odpowiedź.

— Powinnaś stykać się z ludźmi, Mallory — powiedział ojciec. — Dlatego sklep będzie idealnym rozwiązaniem. A poza tym to wymarzony sklep dla ciebie, która kochasz antyki i sztukę.

Gwenny i Diana zgodnie potakiwały. Cała trójka usiłowała mnie namówić, bym przyjęła propozycję Diany i została jej współniczką.

Jeszcze raz to przemyślałam, rozważając wszystkie za i przeciw. Może mieli rację. Rzeczywiście lubiałam antyki, zabytkowe drobiazgi, malarstwo i posiadałam sporą wiedzę na ten temat. Choć nie chciałam projektować wnętrz, nie miałam nic przeciwko sprzedawaniu przedmiotów, które potem je zapełnią. Właściwie pomysł pracy w sklepie całkiem mi odpowiadał.

Tyle że...

Tyle że co?

Sama nie wiedziałam, czemu nie mogę się zdecydować.

Wtedy do mnie dotarło. Przeżyłam chwilę objawienia, zobaczyłam to z taką jasnością, że na chwilę oniemiałam.

Nie chciałam pracować w sklepie Diany ani zostać jej współniczką, bo nie chciałam zostać w Anglii.

Chciałam wrócić do domu.

Do domu, do Indiańskiej Doliny. Mojego domu. Miejsca, które z taką miłością wraz z Robertem uczyniliśmy swoim domem. Tęskniłam za nim. Brakowało mi go. Musiałam tam wrócić, żeby rozpocząć na nowo swoje życie.

Wszyscy mi powtarzali, że muszę to zrobić, ale nie potrafiłam wykonać pierwszego ruchu. Tkwiłam w martwym punkcie, tracąc czas, bo Anglia w tym momencie była dla mnie nieodpowiednim miejscem. Kochałam ją. Zawsze będę wracać do Yorku. Ale teraz muszę stąd odejść. Natychmiast.

Muszę wracać do domu. Nagle zdałam sobie sprawę, że niezależnie od tego, jakie będzie moje życie, chcę — nie: muszę żyć

w Connecticut, w tym starym domu. Muszę się znaleźć w jego cudownych, chłodnych pokojach, być blisko drogiej, starej jabłoni, stajni. Marzyłam, by znów zobaczyć konie w dolinie, dzikie kaczkę na wodzie. Chciałam być z Norą, Erykiem i Anną.

Indiańska Dolina należała do mnie. Robert i ja stworzyliśmy ją wspólnie, była naszym dziełem. Tam czułam się u siebie, na swoim miejscu. Uciekłam stamtąd w styczniu, by odnaleźć Roberta. Ale nie musiałam go już szukać w domu jego dzieciństwa. Jest ze mną na zawsze, w moim sercu, stał się częścią mnie, tak samo jak Jamie i Lissa. I tak zostanie do końca, po kres mych dni.

Ale jeśli chcę utrzymać moje gniazdo w Connecticut, muszę zarabiać na życie.

Mogłabym otworzyć własny sklep. Tam, w Indiańskiej Dolinie.

Ta myśl mnie zaskoczyła.

Przyjrzawszy się temu bliżej, natychmiast uświadomiłam sobie, że to doskonały pomysł. Tyle że w okolicy — od New Milford po New Preston i Sharon — po prostu roiło się od sklepów z antykami.

Ale to przecież nie musi być sklep z antykami, prawda?

Nie. W takim razie, jaki?

Sklep dla kobiet takich jak ja. A raczej takich jak ja byłam kiedyś: mężatek z dziećmi. Kochających dom. Mamuś. Oddanych żon. Mogłabym im sprzedawać to wszystko, na czym się znałam w czasach, gdy sama byłam żoną i matką: rzeczy do kuchni, garnki, foremki; piękną ceramikę na piękne stoły; zioła, przyprawy, dżemy, galaretki; potpourri, pachnące mydełka, świece z pszczolego wosku. Wszystko to, co kobiety kochały już w czasach Letycji Keswick.

Letycja Keswick. Oto nazwisko, które z tym połączę. Nazwę mój sklep: „Kuchnia Letycji Keswick”. Brzmi ładnie. Nie, wołę Indiańską Dolinę. Dlaczego nie zachować tej nazwy? Zawsze tak wiele dla nas znaczyła. Tak się nazywał nasz dom, ale dlaczego nie ochrzcić tak i sklepu?

Mojego sklepu.

Mojego własnego sklepu. Indiańska Dolina. Czar wsi.

Tb też niezłe brzmi. Ale dlaczego czar wsi? To w końcu będzie tylko sklep. O czarze można by mówić, gdyby przytrafiało się tam klientowi coś wyjątkowego. A gdyby urządzić tam i kawiarnię? Malutką kawiarenkę w środku sklepu, gdzie podawano by kawę, herbatę, chłodzone napoje, zupę, jakieś przekąski i zapiekankę.

Sklep i kawiarnia w jednej ze starych stodół u stóp Berkshire, pasma gór w północno-zachodniej części Connecticut. Kraina wybrana przez Boga, jak ją zwykle nazywał Robert.

Nora i Anna pomogą mi je prowadzić; spodoba im się ten pomysł; a już na\* pewno spodoba im się możliwość zarobienia dodatkowych pieniędzy. Może i Eryk by się przyłączył? W końcu, jak wspomniała w liście Nora, w składzie drewna nie szło ostatnio najlepiej. Poza tym nie mogła się doczekać, kiedy znowu zacznie dla mnie gotować. Cóż, teraz dopiero się rozraduje, kiedy będzie mogła pichcić do woli. W książce kucharskiej Letycji znajdzie przepisów, ile dusza zapagnie. Jest! Nazwa dla naszych produktów: „Kuchnia Letycji Keswick”.

Ogarnęło mnie takie podniecenie, że nie mogłam usiedzieć w miejscu. Pomysły pchały się jeden za drugim; na naklejki, na nowe produkty. A pewnego dnia może zaczniemy sprzedaż wysyłkową.

Sprzedaż wysyłkowa. Dobry Boże, co za wspańiały pomysł.

Zerwałam się z ławki i powiodłam wzrokiem po różach.

Dziękuję, Letycjo Keswick — pomyślałam. — Dziękuję.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że Letycja maczała w tym palce.

## *Indiańska Dolina*

### ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

*Connecticut, czerwiec 1989*

Był piątek, ciepłe popołudnie pod koniec miesiąca; Sara przyjechała do mnie na weekend. Nie zdjęła nawet eleganckich, miejskich ubrań, żeby wskoczyć w wiejskie łachy, jak je określała, tylko koniecznie od razu chciała zajrzeć do stodoł, by się przekonać, jakie postępy poczyniłam od jej ostatniej bytności.

I oto stałyśmy na środku największej, podziwiając pracę, jaką wykonał mój kierownik budowlany, Tom Williams, w czasie gdy Sara podróżowała za granicą.

— Nie wierzę własnym oczom! — zawołała podniecona, wodząc wzrokiem po stodole. Nic nie umknęło jej uwadze. — Masz rację, Tom pracował jak błyskawica.

— Eryk też — podkreśliłam. — Pomalował już piętro, a jutro weźmie się do malowania dołu.

— Świetny miałaś pomysł, żeby wykorzystać te sąsiedki. W ten sposób zyskałaś piętro, nie tracąc przy tym przestrzeni.

To mówiąc, Sara zadarła głowę, patrząc na nowe poddasze w głębi stodoły.

— Pamiętasz plany architekta? Kawiarnia będzie pod tym poddaszem. Myślę, że będzie tam dość przytulnie. Tom podsunął mi myśl, że można by wstawić duży staroświecki piec. Uważam, że to genialny pomysł, a ty?

— Tak, może byś rozejrzała się za tymi cudownymi, austriackimi piecami kaflowymi? Są prześliczne, Mal.

— I na pewno drogie. Pamiętaj, że nie mam aż tak dużo pieniędzy, Sash. Przejdźmy dalej, chcę ci powiedzieć, jak zamierzam urządzić kawiarnię.

Wzięłam ją pod ramię i pociągnęłam w drugi koniec stodoły-

— Tutaj, na samym środku, chcę ustawić stoliki na cztery osoby. Zielone metalowe stoliki i krzesła, takie paryskie, wystawiane na taras. Zamówiłam już dziesięć w jednej z firm, do której wysłałaś mnie w ubiegłym tygodniu, a to znaczy, że pomieszczę tu czterdzieści osób.

— Aż tyle! — zdumiała się Sara. — Poradzisz sobie z tyloma klientami? Jak ich obsłużysz? \*

— Tak, myślę, że gdybym musiała, to bym sobie poradziła. Ale naprawdę nie sądzę, żeby kiedykolwiek w kawiarni zebrało się czterdzieści osób. Będą przepływać, zwłaszcza że przede wszystkim będą zaglądać do sklepu. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Prowadząc ją w róg, ciągnęłam:

— Bar i kasa będą przy tej ścianie, dokładnie naprzeciwko drzwi, które Tom już wstawił. Prowadzą na zaplecze.

— Kiedy zacznie je robić? — zapytała Sara, zaglądając za drzwi.

— W przyszłym tygodniu.

— Ten projekt kuchni Philipa Millera był naprawdę świetny, nie sądzisz, Mal?

— Początkowo kuchnia wydawała mi się trochę za duża, ale po przemyśleniu zdałam sobie sprawę, że Philip wziął pod uwagę możliwość rozwoju firmy. Choć nie sądzę, byśmy mieli się aż tak rozwinąć.

— Lepiej przesadzić z wielkością, niż potem mordować się w za ciasnej kuchni.

— Poszłam za radą Philipa. A kiedy spotkaliśmy się w ubiegły piątek, posłuchałam go też w kwestiach wyposażenia. Zamówiłam dwie pojemne zamrażarki, dwie ogromne lodówki, a także dwie duże kuchnie. A, i dwie kuchenki mikrofalowe do odgrzewania i podgrzewania jedzenia.

— Czyżbyś jednak postanowiła podawać gorące dania? Zmieniłaś kartę?

Potrząsnęłam głową.

— Nie, karta pozostała taka, jak ustalałyśmy. Różne zupy, warzywa w cieście, może zapiekanka z mięsa, to wszystko. Poza tym kanapki, ciastka i picie. Nie zapominaj jednak, że Nora będzie przygotowywała dzemy, galaretki i marynaty według naszych przepisów.

— „Kuchnia Letycji Keswick” — odparła Sara z uśmiechem. — Kocham tę nazwę. Brzmi po prostu idealnie.

Wracając powoli na środek, Sara szerokim gestem objęła całe pomieszczenie i dodała:

— Ściany kawiarni będą zastawione półkami z naczyniami kuchennymi, garnkami, patelniami, porcelaną i innymi cudeńkami.

— I produktami Letycji — przypomniałam.

— To będzie bomba, Mal! Odniesiesz natychmiastowy sukces, już to czuję — entuzjasmowała się Sara.

— Oby, oby, jakby powiedziała mama.

— Stawiam na to ile chcesz, Mal, naprawdę. O, Tom już zrobił klatkę schodową? Mogę pójść na górę?

— Tak, ale uważaj — ostrzegłam. — Jak sama widzisz, nie ma jeszcze poręczy.

Poprowadziłam ją tam, gdzie kiedyś były sąsieki, teraz całkowicie odnowione i przemalowane. Tom stworzył rodzaj galerii, która dochodziła do połowy stodoły. Od sali dzieliła ją poręcz, nie ściana, bo dzięki temu poddasze nabierało lekkości i przestrzeni. Sara krążyła, kiwając głową.

— Tu będziesz sprzedawać porcelaną, ceramikę, szkło, sztucce, obrusy i wszystko, co potrzebne do nakrycia stołu, tak?

— Tak ustaliśmy przed twoim wyjazdem. Sama mówiłaś, że jedzenie lepiej zostawić na dole.

Skinęła głową.

— Ten pomysł z urządzeniem w sklepie kawiarni był po prostu genialny. Dzięki temu przestanie być tylko zwykłym sklepem. Tak, nadal uważam, że jedzenie powinno być na dole. Wiesz już, co zrobić z pozostałymi stodołami?

— W jednej z nich urządzę biuro. Mój gabinet w domu jest po prostu za mały. Ale będzie można ją wykorzystać także do przechowywania towarów i...

— Przecież miałaś je trzymać w piwnicy domu? — przerwała Sara. — Tak mówiłaś ostatnim razem.

— W piwnicy też, oczywiście. Ale przede wszystkim rzeczy w słoikach, takie, które można dłużej przechowywać. Jest tam chłodno i przestronnie, Eryk ją uporządkował, pomalował na biało. Tom wysłał dwóch pracowników, żeby zrobili tam półki, ale tak naprawdę to potrzebne mi miejsce na moje rzeczy, sprzęt domowy.

— Masz rację, rzeczywiście będziesz potrzebowała mnóstwo miejsca — zgodziła się Sara i zaczęła się śmiać. — Widzę, że moje wykłady z handlu detalicznego nie poszły na marne. Ale ty zawsze szybko się uczyłaś, Mal.

— A ty jesteś dobrą nauczycielką. Wracając do stodoł: w trzeciej chcę zrobić sklepik pod nazwą „Indiańska Dolina”, w czwartej zaś galerię, którą nazwę „Kilgram Chase”.

— Ładnie — przekomarzała się Sara. — Rozwijasz interes, nim jeszcze zdążyłaś go otworzyć, co?

— To znowu twoja zasługa. Sama powiedziałaś mi dwa tygodnie temu, że powinnam stworzyć coś jeszcze oprócz jednego własnego produktu, żeby nadać sklepowi niepowtarzalny charakter. Dlatego podumałam sobie trochę i wpadłam na pomysł znaku Kilgram Chase dla galerii i Indiańskiej Doliny dla butik.

— A co tam będziesz sprzedawać?

— Chodźmy, po drodze ci opowiem.

Nie minęła chwila, a już zmierzałyśmy w stronę pozostałych stajni należących do mojego majątku. Były to trzy dość blisko siebie położone budynki tuż obok domu Anny.

— W tej większej, bardziej w głębi, najbliższej domu Anny, będzie się mieścić biuro i magazyn — pokazałam. — Dwie mniejsze zaadaptuję na galerię i butik.

— Powiedz, co tam będziesz sprzedawać, Mally. Wiesz, że urodzony ze mnie handlowiec. Po prostu płonę z ciekawości.

Pchnęłam wrota stajni, którą wybrałam na galerię.



— Tu wszystko będzie angielskie, Sash. Albo wykonane w Anglii, albo w typowym dla niej stylu. Znalazłam w okolicy małą firmę zajmującą się haftem artystycznym; ma dla mnie robić poduszeczki na igły. Ale moje poduszeczki będą różniły się od innych wzorami. Będą wiernymi kopiami tych wyszywanych koralikami wiktoriańskich poduszek, które znalazłam na strychu w Kilgram Chase. Powtórzmy wzory, nawet te łacińskie motta. I co ty na to?

— Dobry pomysł, ale co z ilością? Czy ta firma jest w stanie użyć ich wystarczająco dużo? Tyle, ile będziesz potrzebować?

— Nie zamierzam mieć więcej niż po tuzinie, mogą także przyjmować zamówienia — odparłam. — Będę tu też sprzedawała angielskie akwarele, szkice roślin, wszystko już opracione. A Diana ma wyszukiwać w Londynie różne drobiażdżki, wiesz: stare szkatułki, tabakiery, puszki na herbatę, świeczniki. Zapewniała, że to dla niej nie problem, jedna mała wycieczka i już może wysłać transport statkiem albo przywieźć sama przy okazji. Zamówię też angielskie mydła, wody, świece z pszczelego wosku i potpourri. Aha, i jeszcze zapachowe świece Kena Turnera i niektóre jego suche bukiety. W tym też pomoże mi Diana.

— Sądzę, że te rzeczy będą się dobrze sprzedawać. Ludzie lubią mieć coś innego niż wszyscy, nawet jeśli kosztuje ich to nieco drożej. A tutaj będziesz miała na to dobry zbył. Ale powiedz coś o butiku „Indiańska Dolina”.

— Przejdźmy do drugiej stajni, tam gdzie chcę go urządzić — powiedziałam.

Kiedy znalazłyśmy się w środku, Sara zaczęła krążyć po pomieszczeniu, pytając:

— Będziesz sprzedawać ubrania? W końcu mówisz na to butik.

— Tak, ale także i inne rzeczy. Tu wszystko będzie amerykańskie, począwszy od moich obrazów, które, jak twierdzisz, nadają się do sprzedawania, przez narzuty i poduszki w stylu wczesno-amerykańskim i neokolonialnym, pluszowe zabawki — wszystko ręczna robota — po indiańskie koce z południowego zachodu.

— A ubrania?

— Będą mi je szyć w „Pony Traders”, tej firmie niedaleko jeziora Wononpakook, którą zna Anna. Ale tu potrzebna mi twoja pomoc.

— Zrobię wszystko, żeby ci ułatwić rozkręcenie tego biznesu, Mally, wiesz o tym doskonale. W czym mam ci pomóc z „Pony Traders”?

— Znasz od podszewki wszystko, co wiąże się z modą i handlem. Może udałoby ci się przekonać szefów „Pony Traders”, żeby dali mi wyłączność na pewne wzory. No i jeszcze kwestia ceny. Jeśli będę kupowała u nich duże ilości, to czy nie należą mi się jakieś dogodniejsze, specjalne warunki? Zniżka?

— Zależy — odparła w zamyśleniu Sara. — Ale oczywiście pojadę tam z tobą i zrobię, co w mojej mocy. Zresztą, skoro zamierzasz sprzedawać też i ubrania, znajdę ci paru producentów. Rozumiem, że chodzi o określony styl? Nawiązujący do kultury indiańskiej?

— Niekoniecznie, ale na pewno muszą to być rzeczy wygodne, swobodne; takie, jakie nosi się poza miastem. Dzięki, Sashy. Twoja pomoc będzie bezcenna.

— A ja po prostu jestem zachwycona twoimi pomysłami i jak ci już mówiłam przed chwilą, mam dobre przecucia. Po prostu wiem, że to wypali. I nada twojemu życiu zupełnie nowy kierunek. A właściwie już nadało.

— Robert byłby z ciebie taki... — Sara urwała raptownie, jak to robiła ostatnio zawsze, ilekroć wspomniała głośno o Robercie. Zerknęła na mnie, na jej twarzy pojawił się niepokój.

— Wiem, że byłby ogromnie ze mnie dumny — odparłam spokojnie. — I nie musisz się bać wymawiać przy mnie jego imienia, Sash, ani przerywać w pół zdania, kiedy już ci się wymknie. Jak powiedziałam wczoraj mamie, Robert Keswick żył, istniał, przez dziesięć lat był moim mężem, ojcem moich dzieci. Przeżył na tej planecie czterdzieści jeden lat, Saro, i wniósł bardzo wiele do życia mnóstwa ludzi, nie tylko swojej matki, mojego i dzieci. Kochał mnie. Ja kochałam jego. Był moim ukochanym, moim najlepszym przyjacielem, pokrewną mi duszą i najdroższym towarzyszem. Znaczył dla mnie wszystko, był całym moim życiem,

sama o tym wiesz. Dlatego nie chcę, żebyś gryzła się w język, ilekroć wymknie ci się jego imię.

— Nie będę, obiecuję, Mal. I rozumiem. Naprawdę. Masz rację, ryzykujemy, że nie mówiąc o nim, przekreślimy jego życie.

— To samo dotyczy Jamiego i Lissy. Chcę, żebyś rozmawiała ze mną o nich, wspominała, zastanawiała się, ilekroć masz na to ochotę. Zrobisz to, dobrze?

— Oczywiście.

— Wiesz, to przynosi pociechę — mówiłam dalej cicho. — I dzięki temu nadal żyją.

— Tak się cieszę, że mi powiedziałaś. Rzeczywiście, starałam się aż nadto.

— Wiem... — zawiesiłam głos. Przez chwilę szliśmy w milczeniu. — Były takie wyjątkowe, prawda, Sash? Te twoje chrześniaki.

— Tak, były. Twoje aniołki Botticellego, twoje małe cuda. I moje też. Bardzo je kochałam. I Roberta.

— One też cię kochały, Saro, i on także, tak samo jak ja. Tak bardzo się cieszę, że mam cię za przyjaciółkę.

— Ja też. To prawdziwe szczęście, że mamy siebie.

— Myślałam parę dni temu... o Robercie — powiedziałam, spoglądając na Sarę. — Pamiętasz pierwszy raz, kiedy go zobaczyłaś?

— Jeszcze jak! Myślałam, że pęknę z zazdrości!

— Nazywałaś go Skarbek. Pamiętasz?

— Tak, pamiętam — odparła niewyraźnie, patrząc na mnie. W jej ciemnych oczach nagle zabłyśły łzy. Przełknęła ślinę. — Pamiętam wszystko — szepnęła.

— Nie płacz — uspokajałam cicho. — Nie płacz, Sash.

Udało jej się tylko skinać głową.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Pójdę się przebrać z tych ciuchów — powiedziała Sara, gdy weszliśmy do domu. — Wrócę za chwilę.

— Nie musisz się spieszyć, Sash — odparłam. — Będę w moim gabinecie. Przyjdź, kiedy będziesz gotowa. Chcę ci pokazać projekty znaku na główną bramę, nalepek na różne produkty, wszystko, co wymyśliłam w ubiegłym tygodniu.

— Daj mi dziesięć minut. Mał — mruknęła ze słabym uśmiechem, idąc ze mną korytarzem.

— Nie ma sprawy, Sash.

Zatrzymałam się przed drzwiami pokoju do pracy i wzrokiem odprowadziłam Sarę, biegnącą na górę. Wtedy, na dworze, widziałam jak bardzo była poruszona i zdawałam sobie sprawę, że potrzebuje chwili samotności, by wziąć się w garść.

Weszłam do gabinetu i usiadłam przy biurku, na którym leżały różne nalepki. Pochyliłam się nad nimi, przez chwilę bacznie im się przyglądając.

— Pamiętaj, żeby były proste — poradziła mi Sara przed wyjazdem do Kalifornii. — Znasz to stwierdzenie Mięsa van der Rohe: „Mniej znaczy więcej”. I tak trzymać.

Cieszyłam się, że miałam Sarę, która potrafiła mi doradzić. Strasznie mnie kusilo, żeby oprócz nazwy umieścić jakiś element ozdobny. Ale powstrzymałam się, na projekcie widniały tylko nazwy „Indiańska Dolina” oraz „Kilgram Chase”, cały wysiłek skoncentrowałam na nadaniu literom charakterystycznego kształtu.

Równie prosty miał być znak nad głównym wejściem do Indiankiej Doliny: hasło, które parę tygodni temu wymyśliłam w różanym ogrodzie w Kilgram Chase: „Czar wsi”. Nie chciałam go oszpecać dodatkowymi wyjaśnieniami, ludzie wkrótce sami się przekonają, o co mi chodziło.

Zadzwoił telefon. Podniosłam słuchawkę.

— Halo?

— Mał, to ja. Co u ciebie słycać?

— Cześć, mamó, wszystko w porządku. Jest tu Sara. Dopiero co przyjechała. Oprowadziłam ją po moich stodołach. Jest pod wrażeniem, bardzo tym wszystkim podekscytowana.

— I ja też, kochanie, nie mogę się doczekać, kiedy przyjadę i sama zobaczę, co zdziałaliście. Lunch w niedzielę jest nadal aktualny, prawda?

— Tak, oczywiście, czekam na was.

— O której?

— Wpół do dwunastej, dwunasta. Przejdziemy się po okolicy i o pierwszej siądziemy do stołu. Co ty na to?

— Cudownie, kochanie. Będziemy. David tu stoi, chciał zamienić z tobą słówko.

— Do widzenia, mamó.

Ściągnęłam brwi, zastanawiając się, co David ma mi do powiedzenia. Czyżby jakieś wieści od DeMarco?

— Witaj, Mał — odezwał się David. — Niecierpliwie wyglądam naszego lunchu w niedzielę.

— Cześć, Davidzie. Masz jakieś wieści od DeMarco, prawda?

— Tak, odezwał się dziś po południu z wiadomością, że wyznaczono datę procesu i...

— Kiedy to będzie?

— W przyszłym miesiącu, pod koniec.

— W sądzie okręgowym? Tak jak mówiłeś?

— Tak.

— Chcę tam być. Bo mogę, prawda?

— Tak, możesz, ale chyba nie powinnaś.

— Davidzie, ja tam muszę być! — zawołałam, podnosząc głos.

— Mal, posłuchaj. Naprawdę uważam, że nie powinnaś się wystawiać na takie przeżycie. Nigdy nie uczestniczyłaś w tego rodzaju procesie i nie wiesz, jak to wygląda. A ja owszem. Jestem na takich rozprawach niemal codziennie. To by bardzo źle na ciebie wpłynęło...

— Nic mi nie będzie — przerwałam szybko. — Naprawdę.

— Nie, to nieprawda. Proszę, uwierz mi na słowo. Mal, doskonale rozumiem, dlaczego chcesz tam być, ale nie wolno ci, pod żadnym pozorem. Nie chcę cię narażać na kontakt z tym... brudem. Twojej matki też.

— Moja **rodziTia** już się z nim zetknęła.

— Wiem, kochanie. Posłuchaj, proszę, żebyś bardzo poważnie się zastanowiła, a w niedzielę to jeszcze przedyskutujemy.

— Nie musimy, Davidzie, ja już podjęłam decyzję.

— Nie rób tego. Wyjaśnię ci wszystko dokładniej, opowiem, jak to będzie wyglądało i wtedy ostatecznie zadecydujesz.

— Zgoda, porozmawiamy o tym w niedzielę — ustąpiłam wiedząc, że nie ma sensu z nim się spierać.

— Dobrze. To do zobaczenia.

Siedziałam, wpatrując się w przestrzeń, myśląc o nadchodzącym procesie i tych, którzy wymordowali moją rodzinę. Zaczęłam drzeć. Spokój, który ostatnio zyskałam, gdzieś zniknął.

Usłyszałam kroki Sary na schodach. Zerknęłam na drzwi, kiedy weszła.

— Co się stało? — spytała, patrząc na mnie.

— Właśnie rozmawiałam z Davidem. Dziś dzwonił do niego DeMarco. Datę procesu wyznaczono na koniec lipca.

— Och — powiedziała, podchodząc do kominka i siadając na krześle. — Zastanawiałam się, kiedy to będzie.

— Chcę tam być, Sash, ale David uważa, że nie powinnam.

— Tu chyba przyznałabym mu rację.

— Muszę tam być! — krzyknęłam.

— Jeśli naprawdę czujesz, że musisz, to pójdę z tobą, Mal. Za nic nie pozwoliłabym, żebyś sama stawiała temu czoło.

— Przecież to niemożliwe. Musisz pracować.

— Wezmę urlop.

— Ale urlop miałaś" spędzić tutaj, ze mną, szykując Indiańską Dolinę do otwarcia — przypomniałam.

— Wiem i o wiele bardziej wolałabym to, niż chodzić do sądu. Ale wiem też, że nie zniosłabym myśli, że jesteś tam beze mnie, nawet gdyby towarzyszyła ci matka. A w ogóle co powiedział David?

Streściłam jej szybko i zakończyłam:

— Dziwnie się czuję na myśl, że miałoby mnie tam nie być. Tamci mają być sądzeni za zabicie z zimną krwią Roberta, Lissy i Jamiego i powinnam znaleźć się na sali rozpraw.

Sara przez chwilę się nie odzywała. Siedziała zamyślona.

— Znam cię, Mal — przemówiła w końcu — i wiem, jak pracuje twój mózg, tak więc wiem, że uważasz, że powinnaś być przy tym, kiedy sprawiedliwości stanie się zadość. Mam rację, prawda?

— Tak — przyznałam. — Chcę sprawiedliwości.

— Ale twoja obecność bądź jej brak nie będą miały wpływu na wyrok. Dowody przeciwko tamtej czwórce są niepodważalne, Mal. Wedle tego, co mówił DeMarco, oskarżenie opiera się na odciskach palców znalezionych na samochodzie oraz wynikach badań balistycznych pistoletu. Dodajmy jeszcze zeznania jednego z tych chłopaków. Wiesz, że zostaną uznani za winnych i skazani na dożywocie. Nie wymkną się. Dlatego, jeśli mam być z tobą szczerza, to przyznam, że zgadzam się z Davidem. Moim zdaniem nie powinnaś tam być. W niczym nie zmienisz sytuacji, a będzie to dla ciebie ogromnie bolesne.

Nic nie mówiłam, siedziałam tylko patrząc na przyjaciółkę i przygryzając wargę.

— Dlaczego znowu chcesz przechodzić przez to piekło? — spytała Sara po chwili milczenia. — Od powrotu z Anglii tak się uspokoiłaś, poczyniłaś takie postępy. Uważam, że powinnaś przede wszystkim patrzeć przed siebie, myśleć o tym, co tu zaczęłaś, realizować swoje plany. I jest jeszcze coś... Prasa. Myślisz, że naprawdę jeszcze raz zniesiesz ten cyrk, jaki media rozpętają wokół sprawy?

Potrząsnęłam głową.

Sara podniosła się, podeszła do okna i stała tam, wyglądając na dwór. Milczała. Przypatrywałam się jej przez chwilę. Zauważyłam, że zeszytniała. Pod cienką bawełnianą bluzką rysowały się łopatki. Była napięta, zaniepokojona. Znałam ją równie dobrze jak ona mnie.

Odchyliłam się w krześle, przymknęłam oczy i ponownie rozważyłam swą decyzję. Po chwili wyprostowałam się i powiedziałam cicho:

— Po prostu wiem, że Robert chciałby, żebym tam była.

Sara gwałtownie się obróciła.

— Nie, nie chciałby! — krzyknęła z żarem. — To ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył. Chciałby, żebyś się sobą zajęła, skierowała się ku przyszłości, robiła właśnie to, co robisz w tej chwili. Za nic by nie chciał, byś zadawała sobie niepotrzebnie ból. Mal, naprawdę. Proszę, uwierz mi, nic nie zmienisz, idąc na rozprawę.

— Ale poszłabyś ze mną, prawda?

— Jak mogłabym pozwolić ci iść tam samej? Ale David wie, o czym mówi. Całe życie zajmował się sprawami karnymi, wie, jak przerażające bywają takie rozprawy. A poza tym troszczy się o ciebie, chce dla ciebie jak najlepiej. Na twoim miejscu posłuchałabym jego rady.

Skinęłam głową i sięgnęłam po słuchawkę. Wykręciłam numer mieszkania mamy. Odebrał David.

— To ja — odezwałam się przytłumionym głosem. — David, jest tu Sara i zgadza się z tobą co do procesu. Podjęłam decyzję, ale chciałabym jeszcze raz cię spytać... Czy naprawdę uważasz, że nie powinnam tam być?

— Tak, Mal.

— Zatem nie pójde.

— Dzięki Bogu. — W jego głosie dosłyszałam nutę ulgi. — Ale jest też coś, o czym powinienem ci powiedzieć, a o czym może nie wiesz. Możesz być obecna przy ogłaszaniu wyroku i jeśli zechcesz, złożyć wobec sędziego oświadczenie, w którym wypowiesz się, na jaką karę, twoim zdaniem, zasługują mordercy.

— Nie wiedziałam.



— Skąd miałaś wiedzieć? W każdym razie. Mal, nie mam nic przeciwko temu, żebyś uczestniczyła w tej części procesu. I, oczywiście, ja byłbym z tobą. Mama też. Przemyśl to sobie.

— Dobrze.

— Podjęłaś słuszną decyzję. Przekażę to twojej mamie, wiem, że się ucieszy. Dobranoc, kochanie.

— Dobranoc, Davidzie.

Powtórzyłam Sarze, czego się przed chwilą dowiedziałam, a ona jak zawsze wysłuchiwała mnie bardzo uważnie, potem wróciła na krzesło.

— Może rzeczywiście powinnaś pójść na ogłoszenie wyroku, Mal — odezwała się wreszcie. — To ma sens. Siedzenie na całej rozprawie, nie. To by źle na ciebie wpłynęło. Ale powiedzenie sędziemu o swojej stracie, bólu... Cóż, to coś zupełnie innego, prawda?

— Tak. Może to zrobię — odparłam. Wstałam i podeszłam do drzwi. — Chodź, Sash, postawię ci drinka. Nie wiem jak tobie, ale mnie on naprawdę się przyda.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Podjąwszy decyzję, że nie będę uczestniczyć w procesie, więcej do tego nie wracałam. Nie miało sensu się nad tym dłużej zastanawiać, ponieważ niczemu dobremu to nie służyło, jedynie odciągało od właściwego celu, czyli otwarcia sklepów i kawiarni w Indiańskiej Dolinie.

Codziennie pojawiała się coś nowego, co dawało mi zajęcie: kolejna decyzja do podjęcia, następne towary do zamówienia, naklejki, niezliczone dodatkowe prace.

Zdarzało się, że zatrzymywałam się w połowie jakiejś czynności, nie potrafiąc wyjść ze zdumienia nad zmianami, jakie w ciągu dwóch miesięcy zaszły we mnie i w moim życiu.

Wróciłam z Anglii z pomysłem otwarcia sklepu i kawiarni, a pomysł ten natychmiast nabrał życia. Stworzyłam firmę, złożyłam u władz Sharon podanie o pozwolenie na prowadzenie działalności handlowej, pożyczyłam pieniądze od mamy, ojca, Davida, Diany oraz otworzyłam rachunek w banku.

Wszyscy oni chcieli dać mi pieniądze, zostać moimi współnikami, ale odmówiłam. Nie chciałam mieć żadnych współników, nawet Sary, która też się zaoferowała, że wyłoży pieniądze. Zapowiedziałam, że oddam im pieniądze wraz z procentem i zamierzałam dotrzymać słowa.

Uzbrojona w wizytówki z nazwą firmy i książeczkę czekową wyruszyłam do sal wystawowych różnych firm w Nowym Jorku, które miały siedziby przy Piątej Alei, a także przy Madison Avenue. Tam właśnie znalazłam wszystko, czego potrzebowałam do

sklepu z wyposażeniem kuchennym. To Sara mi o nich powiedziała, skierowała we właściwe miejsca, wyjaśniła, że nie muszę podróżować za granicę, by kupić produkty z różnych państw.

— Wszystko, co najlepsze, znajdziesz na miejscu, tu na Manhattanie — powiedziała. — Rozmawiałam z osobami, które zapatrują dział kuchenny u nas i poleciły mi właśnie te miejsca. — Dała mi listę. — Spójrz na notatki: każda z tych firm ma francuskie, włoskie, portugalskie i hiszpańskie naczynia, porcelanę, rondle, tego typu rzeczy. Obrusy też. W ogóle wszystko, co potrzebne do nakrycia stołu.

Powiedziała mi także, że międzynarodowe targi odbywają się dwa razy do roku w Nowym Jorku w Jacob Javits Convention Center.

— Są też inne targi, na pasażerskim nabrzeżu w Hudson. Znajdziesz tam ogromny wybór produktów amerykańskich i z całego świata.

Po pierwszej wyprawie na Manhattan czułam się, jakbym obeszła pieszo kulę ziemską. Zajrzałam do każdego salonu z długiej listy Sary i pod koniec dnia ledwo się trzymałam na nogach. O czwartej byłam tak wyczerpana, że złapałam taksówkę, pojechałam do mieszkania matki i tam padłam bez sił. Nawet po drzemce i kolacji, którą zjadłam z mamą i Davidem, nie odzyskałam sił na tyle, by wrócić do Sharon, a ponieważ nie miałam już mieszkania w Nowym Jorku, przenocowałam w swoim starym pokoju.

Do Indiańskiej Doliny wróciłam następnego ranka z poczuciem, że dokonałam prawdziwie wielkich dzieł.

Eryk zatrzymał się w drzwiach pracowni.

— Nie przeszkadzam, Mal? — spytał.

— Nie, nie, proszę, wejdz — odparłam, odkładając akwarelę, którą oglądałam. — Właśnie próbuję wybrać dwadzieścia obrazów na dobry początek. Dziś po południu Sara zabierze je do New Preston, żeby oprawić u porządnego ramiarza.

Podszedł i nad moim ramieniem spojrzął na akwarele, które rozłożyłam na stole. Przyglądał im się przez chwilę.

— Wszystkie są piękne, Mal, trudno coś wybrać.

- Niezłe, prawda? — spytałam zerkając na niego. — Ale wyglądasz, jakbyś nie mógł się doczekać, by mi coś powiedzieć. No dalej, w czym rzecz?

— Wszyscy zgodzili się u nas pracować, Mal! — zawołał uśmiechając się od ucha do ucha. — Billy Judd, Agnes Fairfield, Joanna Smith. Pomyślałem więc, że, o ile nie masz nic przeciwko, zatrudniłbym ich wszystkich.

— Nie, oczywiście że nie — zapewniłam. — Trzy osoby to minimum. Za jakiś czas może nawet będziemy musieli zatrudnić jeszcze ze dwie do pomocy.

— Billy chciałby pracować ze mną, w kawiarni i dziale spożywczym. Joanna Smith po prostu marzy, by sprzedawać śliczne rzeczy do nakrywania stołu, tak że mogłaby zająć się sklepem na górze. Agnes ostrzyła sobie zęby na butik, ale powiedziałem, że to działka Anny, więc zgodziła się przejść do galerii „Kilgram Chase”. Niezłe wyszło, nie?

— Doskonale, i to dzięki tobie. Rozumiem, że zgodzili się na stawki, jakie proponujemy.

Eryk skinął potakująco.

— O tak, bez problemu. Wszyscy na razie zostaną w swoich starych miejscach i przejdą do nas w październiku.

— Dobrze. W ten sposób zyskujemy pół roku na dopięcie wszystkiego przed wielkim otwarciem wiosną 1990. A roboty jest sporo. Jak sądzisz, Eryk? Zdążymy wypakować wszystko, obmętkować i ustawić na miejscu?

— Chyba tak.

— Przedyskutuję to potem z Sarą, żeby się upewnić. Ale już na początku powiedziała mi, że muszę zostawić trzy miesiące na samo przyszykowanie towaru.

— Metkowanie to nie problem — stwierdził Eryk. — Najważniejsze są wystawy. Żeby ułożyć to wszystko w jak najbardziej atrakcyjny sposób. Zdaniem Sary to ma ogromne znaczenie.

— Podstawowe — przyznałam. — Ale obiecała mi, że tu przyjedzie i będzie tego doglądać.

Uśmiechnął się szeroko. Dałam mu stertę akwarel.

— Pomożesz mi je zanieść?

— Z przyjemnością, Mal.

Na dworze mimo wczesnej pory panował nieznośny upał i gdy opuściliśmy klimatyzowaną pracownię, żar uderzył nas ze zdwojoną siłą.

— Ależ dziś gorąco — mruknęłam, spoglądając na zamglone lipcowe niebo.

— W południe będzie prawdziwa łaźnia — oświadczył Eryk.

— Znak na bramę wjazdową będzie gotowy jutro — powiedziałam, gdy szliśmy w stronę domu. — Zrobił go jeden ze stolarzy Toma, jutro go przyniesie. Będę mogła namalować tło i napis: „Indiańska Dolina. Czar wsi”. A teraz rozejrzyjmy się za Sarą.

— Jest w kuchni, zajęta wtykaniem nosa do rondli Nory. Sama nie wie, którego dżemu próbować najpierw. A ilekroć Nora daje jej nowy do spróbowania, oświadcza, że właśnie ten jest jej ulubiony.

Eryk mówił prawdę. Sarę znalazłam w kuchni. Stała z Norą przy płycie, nakładając na talerzyki małe porcyjki dżemu do spróbowania.

— I co zamierzasz zrobić z tym wszystkim? — spytałam idąc przez kuchnię w stronę mego gabinetu na tyłach domu.

— Zjeść, oczywiście — stwierdziła Sara. — Posmaruję sobie tymi pysznościami dwie kromki chleba domowej roboty, także dzieła Nory. I tak, nie musisz mówić, potem będę żałować. Tak, owszem, moje odchudzanie diabli wzięli.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

To, co mnie dziś czeka, będzie trudne. Wiedziałam jednak, że muszę to zrobić, bez względu na wszystko. Za parę godzin stanę na sali rozpraw, by uczestniczyć w procesie przeciwko młodzikom, którzy zabili moich bliskich.

Opowiem sędzinie, pani Elizabeth P. Donan, o Robercie, Jamiem, Lissie, o tym, ile z powodu ich śmierci wycierpiałam. Obnażę swą duszę przed nią i wszystkimi, którzy dzisiejszego ranka znajdą się w sali rozpraw.

I będę prosiła sąd o wyznaczenie najwyższej możliwej kary za tę zbrodnię. Jak powiedział David: mam do tego prawo jako najbliższa rodzina ofiar.

Cała czwórka oskarżonych została uznana winną popełnienia morderstwa. Sędziowie nie mieli najmniejszych wątpliwości; za ledwie w kilka godzin po przedstawieniu im wniosku wydali wyrok uznający młodzików za winnych.

Teraz nadeszła pora na moje wystąpienie, jak to określił David. Będzie ze mną na sali rozpraw Sądu Okręgowego Manhatanu. Tak samo jak mama, ojciec, Diana i Sara.

Diana przyleciała z Londynu dwa dni temu, kiedy detektyw DeMarco podał Davidowi termin ogłoszenia wyroku; wczoraj rano z Meksyku, gdzie z ramienia Uniwersytetu Kalifornijskiego prowadził wykopaliska, dotarł ojciec. Wszyscy oni pragnęli wesprzeć mnie na duchu; poza tym, tak samo jak ja, chcieli być obecni przy tym, jak sprawiedliwości staje się zadość.

— Oczywiście, że będę z tobą — oświadczyła Diana w czasie rozmowy telefonicznej w ubiegłym tygodniu. — Nie wyobrażam sobie, że mogłoby mnie tam nie być. Straciłam syna i wnuki. Muszę tam być. I twój ojciec czuje tak samo. Przedyskutowaliśmy to już jakiś czas temu. To chodzi o rodzinę, Mał, rodzinę, która gromadzi się w trudnych chwilach, chwilach bólu i męki.

Przyjechałam z Sharon wczoraj po południu, żeby móc spędzić wieczór z rodziną, do której oczywiście zaliczałam także i Sarę. Teraz skończyłam się szykować w moim starym pokoju w mieszkaniu matki. Podeszłam do lustra i przez chwilę stałam przed nim, po raz pierwszy od dłuższego czasu przyglądając się sobie. Jak bardzo schudłam. Wyglądam jak strach na wróble. A twarz mam tak bladą, że piegi rysują się na niej jeszcze wyraźniej niż zwykle.

Wyglądałam ponuro, niemal groźnie.

Miałam na sobie czarny lniany kostium, którego nie rozjaśniało nic z wyjątkiem moich płomiennorudych włosów. Ściągnęłam je w koński ogon czarną jedwabną wstążką. Jediną biżuterię stanowiły małe kolczyki z perłami, złota obrączka i zegarek.

Włożyłam czarne skórzane pantofle, sięgnęłam po torebkę i wyszłam z pokoju.

Mama i Sara wraz z Dianą, która się u nas zatrzymała, czekały na mnie w saloniku. Wszystkie trzy także ubrały się na czarno i podobnie jak ja wyglądały poważnie, niemal ponuro.

W chwilę potem do pokoju wszedł David.

— Edward powinien przyjść lada chwila — powiedział.

Mama skinęła głową, zerkając na mnie.

— Twój ojciec jest zawsze ogromnie punktualny — stwierdziła cicho.

I nim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, rozległ się dźwięk dzwonka przy drzwiach do budynku. Wiedziałam, że to on.

Dziennikarze czyhali nie tylko przed budynkiem sądu, ale i na sali rozpraw.

Kiedy tam dotarliśmy, sala była już pełna. David szybko przeprowadził mnie do pierwszego rzędu. Zajął miejsce między nim a Sarą. Za nami siedzieli: mama, tato i Diana.

Dzięki zdjęciom w prasie i telewizji rozpoznałam głównego oskarżyciela. Mówił coś do detektywa DeMarco, który widząc mnie i Davida, skłonił się lekko. Skinęłam mu głową. Zaczęłam się rozglądać po sali i nagle zeszywniałam. Mój wzrok spoczął na czwórce oskarżonych. Nie mogłam odwrócić od nich spojrzenia.

Siedzieli z obrońcami i dziś po raz pierwszy zobaczyłam ich twarzą w twarz.

Trzech wyrostków i jeden dorosły.

Rolland Jellicoe. Biały. Dwadzieścia cztery lata.

Pablo Rodriguez. Latynos. Szesnaście lat.

Alvin Charles. Czarny. Osiemnaście lat.

Benji Callis. Czarny. Czternaście lat. To on strzelał.

Nigdy nie zapomnę ich nazwisk.

Ich nazwiska i twarze na zawsze wryły się w mej pamięci.

To oni zabili moje dzieci, męża i małą Trixy.

Nie mogłam oderwać od nich wzroku.

Patrzyli na mnie spokojnie, obojętnie, jakby nic złego nie zrobili.

Dusiłam się. Serce waliło mi jak oszałałe. I nagle coś we mnie wybuchło. Cały gniew, który tłumiłam w sobie od grudnia, wyrwał się ze mnie, ogarnęła mnie straszliwa pasja.

Nie mogłam zapanować nad nienawiścią. Z trudem się powstrzymywałam, żeby nie zerwać się na nogi. Chciałam rzucić się na nich, zniszczyć ich tak samo jak oni zniszczyli moich ukochanych, najbliższych. Gdybym miała w rękę pistolet, zastrzeliłabym ich. Wiedziałam, że bym to zrobiła.

Na tę myśl krew uderzyła mi do głowy, zaczęłam się trząść. Ścisnęłam dłonie, opuściłam wzrok, próbując nad sobą zapanować. Wiedziałam, że nie odważę się spojrzeć na tych ludzi, póki nie zrobię tego, po co tu dziś przyszłam.

Woźny mówił coś o wstawaniu, poczułam pod łokciem ramię Davida, który pomagał mi się podnieść.



Weszła sędzina i zajęła miejsce.

Wszyscy usiedliśmy.

Przyglądałam się jej ciekawie. Mogła liczyć sobie jakieś pięćdziesiąt pięć lat, miała silną, dobrą twarz. Właściwie wyglądała dość młodo, postarzały ją tylko przedwcześnie posiwiałe włosy.

Uderzyła młotkiem.

Zaczęłam przegrzebywać torebkę w poszukiwaniu kartki, na której wcześniej napisałam, co chciałam powiedzieć. Oślepiąca przez wściekłość i ból, nie zważając na to, co się wokół mnie dzieje, wpatrywałam się w zapisaną stronę. Słowa, które przelałam wcześniej na papier, zaczęły się zamazywać i wtedy zdałam sobie sprawę, że oczy mam pełne łez. Mrugnęłam powiekami, by je odgonić. Nie pora na płacz.

Serce przeszył mi straszny ból i znowu miałam wrażenie, że zaraz się uduszę. Próbowałam głęboko oddychać, żeby się uspokoić, by zachować się z godnością.

I wtedy poczułam, że David dotyka mego ramienia. Zerknęłam na niego.

— Sąd czeka. Mał, musisz iść na miejsce świadka i odczytać swoje wystąpienie — powiedział.

Jedyne, na co mogłam się zdobyć, to skinięcie głową.

— Dasz sobie radę — szepnęła Sara i uściśnęła mi dłoń.

Wstałam odrobinę chwiejnie i wolno weszłam na podest, który ustawiono przed miejscem sędziego. Rozłożyłam kartkę na blacie mównicy i stałam bez słowa przed sędzią. Nagle poczułam, że nie mogę dobyć głosu.

Uniosłam głowę i spojrzałam na tę kobietę. Patrzyła na mnie z ogromnym spokojem. W jej oczach dostrzegłam współczucie. To dodało mi odwagi. Zaczepnęłam głęboko tchu.

— Wysoki Sądzie — zaczęłam. — Jestem tutaj, ponieważ mój mąż, Robert, dwójka moich dzieci, Lissa i Jamie, a także mój piesek zostali brutalnie zabici przez oskarżonych, znajdujących się na tej sali. Robert był dobrym człowiekiem, oddanym, kochającym mężem, ojcem i synem. Nigdy nikogo nie skrzywdził, chętnie ofiarowywał siebie i swoje umiejętności tym, którzy go znali, którzy z nim pracowali. Wiem, że każdy, kto znał Roberta, był

tą znajomością zbudowany. Należał do ludzi, dzięki którym świat staje się lepszy. Ale teraz nie żyje. Miał zaledwie czterdzieści jeden lat. I moje dzieci nie żyją. Dwójka bezbronnych, niewinnych sześciolatek. Ich życie zostało zdławione nim jeszcze zdążyło naprawdę się rozpocząć. Nie zobaczę, jak Jamie i Lissa dorastają, zdają do college'u, rozpoczynają karierę zawodową, realizują się w życiu. Nie będę na rozdaniu ich dyplomów, na ich ślubach, nigdy nie zostanę babcią. A dlaczego? Dlatego, że bezsensowny akt przemocy zniszczył me życie. Staję wobec nieustającego bólu życia bez Roberta, Lissy i Jamiego. Odebrano mi moją przyszłość, tak samo jak im w okrutny sposób odebrano ich.

Umilkłam i głęboko wciągnęłam powietrze.

— Mordercy mojej rodziny zostali uznani za winnych. Wysoki Sądzie, proszę, by wyznaczył sąd dla nich najwyższy możliwy wymiar kary. Chcę sprawiedliwości. Moja teściowa chce sprawiedliwości. Moi rodzice chcą sprawiedliwości. Tylko o to proszę, Wysoki Sądzie. O sprawiedliwość. Dziękuję.

Stałam wpatrując się w sędzinę Donan. Popatrzyła mi prosto w oczy.

— Dziękuję, pani Keswick — powiedziała.

Skinęłam głową. Potem wzięłam kartkę, na którą nawet nie zerknęłam. Złożyłam ją na pół i wróciłam na miejsce.

W sali rozpraw zapadła absolutna cisza, jakby wszyscy przestali nawet oddychać. Słyszeć było jedynie szum klimatyzacji.

Sędzina Elizabeth P. Donan przez chwilę wpatrywała się w dokumenty przed sobą, potem zaczęła mówić.

Zamknęłam oczy właściwie jej nie słuchając. Moje wystąpienie stanowiło dla mnie prawdziwy wysiłek i wyczerpało emocjonalnie. Poza tym nadal płonęła we mnie wściekłość.

Jak przez mgłę docierały do mnie słowa sędziny o okropności popełnionej zbrodni, o braku poczucia winy u oskarżonych, którzy zabili niewinnego mężczyznę i dwójkę dzieci, o ogromnej stracie, jaką ponieśliśmy ja i moja rodzina, o bezsensowności tej śmierci. Nie otwierałam oczu, przez parę minut nie dopuszczając do siebie tego wszystkiego, próbując uciszyć szalejącą we mnie burzę.

David dotknął mego ramienia. Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

— Sędzina zaraz ogłosi wyrok — szepnęła.

Poczułam, jak Sara ujmuje moją dłoń i mocno ją ściska. Wyprostowałam się i utkwiałam wzrok w sędzinie Donan. Wszystkie moje zmysły nagle się przebudziły. Oskarżonym nakazano, by wstali.

— Benji Callis — odezwała się sędzina, patrząc na najmłodszego z nich — osądzono cię jak dorosłego i uznano winnym trzech morderstw drugiego stopnia. Niniejszym skazuję cię na dwadzieścia pięć lat więzienia za każde morderstwo, które to wyroki odbędziesz jeden po drugim.

Pozostałym trzem dała ten sam wyrok: siedemdziesiąt pięć lat.

Sędzina Donan dopilnowała, by otrzymali najsurowszą karę przewidzianą przez prawo stanu Nowy Jork. Stało się tak, jak przewidywali DeMarco i David.

Ale mnie to jakoś nie wystarczało. Nie czułam satysfakcji, jedynie pustkę i tę szalejącą wściekłość.

Kiedy już wszystko się skończyło i sala zaczęła pustoszeć, David zaprowadził mnie do detektywów DeMarco i Johnsona. Podziękowałam im za wszystko, co zrobili.

Przed budynkiem sądu rozstawili się dziennikarze, fotoreporterzy i kamerzyści. Davidowi i ojcu udało się jakoś przepchnąć mnie przez ten tłum i doprowadzić do samochodu.

Sprzed sądu pojechaliśmy do śródmieścia, do mieszkania mojej matki na lunch. Wszyscy wyglądali na równie wyczerpanych jak ja. Rozmowa kulą.

Ojciec miał spędzić ze mną kilka dni w Indiańskiej Dolinie, potem zamierzał wrócić do Meksyku. Ledwo dopiliśmy kawę, przejął inicjatywę.

— Chyba pora ruszać, Mal — oświadczył, wstając i kierując się do biblioteki.

Dźwignęłam się z krzesła i poszłam za nim. Diana także się podniosła i objęła mnie ramieniem.

BARBARA TAYLOR BRADFORD

— Byłaś cudowna w sądzie, kochanie. Tak ładnie to powiedziałas. Wiem, że było to dla ciebie ogromnie trudne, ale sądzę, że sędzinię poruszyły twoje słowa.

Skinęłam głowę i uściskałam teściową.

— Dzięki, że przyjechałaś, Diano, dodałaś mi odwagi. Bezpiecznego lotu do Londynu jutro.

David wyszedł za nami do hallu. Obejrzałam się na niego; świetnie dziś się prezentował. Świeża cera, siwe włosy, jasnoszare oczy. Przystojny mężczyzna, zawsze doskonale ubrany. Znajomi nazywali go Srebrnym Lisem — i było to miano nadzwyczaj trafne, nie tyle nawet ze względu na kolor włosów, co talent prawniczy.

Objęłam go serdecznie, wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobił.

— Dziękuję, Davidzie. Bez ciebie bym przez to wszystko nie przebrnęła.

— Nic takiego nie zrobiłem — odparł z nikłym uśmiechem.

— Wzięłeś na siebie DeMarco i Johnsona, a to była prawdziwa pomoc.

Podeszła do mnie matka, ucałowała i przytuliła nieco dłużej niż zwykle.

— Jestem z ciebie dumna, Mal. Diana ma rację; rzeczywiście byłaś dziś cudowna.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

*Connecticut, sierpień 1989*

— Sądziłam, że po wydaniu wyroku poczuję się lepiej, ale wcale tak się nie czuję, tato.

Ojciec milczał przez chwilę.

— Rozumiem, co masz na myśli — powiedział. — To w pewnym sensie zawód, nagły spadek napięcia.

— Chciałam, by moja rodzina została pomszczona, ale nawet siedemdziesiąt pięć lat więzienia nie wydaje się wystarczające. Nie dla mnie! — krzyknęłam. — Będą zamknięci, ale nadal będą widzieli słońce. Robert, Lissa i Jamie nie żyją i ci łajdacy też powinni nie żyć. Biblia słusznie naucza.

— Oko za oko, ząb za ząb — mruknął cicho ojciec.

— Tak.

— W stanie Nowy Jork nie ma kary śmierci.

— Och, wiem o tym, tato, wiedziałam od zawsze. Ale rzecz w tym... Właściwie...

Nie kończąc zdania poderwałam się, przeszłam na brzeg tarasu i zapatrzyłam na trawę. Znowu rozsadzała mnie chęć zrobienia czegoś, nie dawała spokoju, choć próbowałam ją zdławić, zniszczyć.

Stałam bez ruchu, chłonąc piękno krajobrazu. Był cudowny sierpniowy wieczór, niezbyt gorący. Lekki wietrzyk szumiał w drzewach. W oddali majaczyły stoki Berkshire, porośnięte bujną zielenią. Zapadał zmrok, słońce chowało się za ciemnymi wzgórzami.

— Napiłabym się czegoś. A ty, tato? — spytałam, odwracając się twarzą do niego.

— Tak, chętnie. Co dla ciebie, Mal?

— Wódka z tonikiem, jeśli można.

Czekając na drinki, usiadłam na jednym z krzeseł pod dużym białym parasolem. Cieszyłam się, że ojciec jest ze mną, że możemy spędzić wspólnie weekend przed jego powrotem do Meksyku.

Nie minęło kilka minut, a zjawił się z tacą z drinkami. Usiadł naprzeciwko mnie przy stoliku, uniósł szklankę i trącił moją.

— W pani ręce.

— Na zdrowie \*— odparłam, pociągając długi łyk.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

— Kipi we mnie straszliwa wściekłość, tato — odezwałam się w końcu. — To się zaczęło wczoraj, na sali rozpraw. Kiedy zobaczyłam oskarżonych, myślałam, że zwariuję. Chciałam im coś zrobić, może nawet zabić. Ogarnęła mnie straszliwa nienawiść, nad którą nie potrafię zapanować.

— Ja też doświadczałem podobnych uczuć — przyznał się ojciec. — Sądzę, że my wszyscy. W końcu znaleźliśmy się o kilka kroków od ludzi, którzy z zimną krwią zamordowali Roberta, Lissę i Jamiego. Chęć odwetu jest zupełnie naturalną reakcją. Ale oczywiście nie możemy zacząć mordować. To by zniżyło nas do poziomu tych ludzi, zrobiło z nas wszystkich zwierzęta.

— Wiem... — Potrząsnęłam głową, z niepokojem ściągając brwi. — Ale wściekłość nie ustąpi, tato.

Ojciec wyciągnął rękę, przykrywając nią moją dłoń.

— Jedyne sposobem na pozbycie się jej, to ją z siebie wyrzucić, kochanie.

Wpatrywałam się w niego bez słowa.

— Ale to niełatwe — podjął po chwili. — Wiem doskonale, przez co przechodzisz. Pod względem uczuciowym ogromnie mnie przypominasz. Czasem, tak samo jak ja, potrafisz skrywać uczucia. Swoją gniew tłumiłaś przez wiele miesięcy, ale w końcu musiała nadejść chwila, gdy nie potrafiłaś dłużej go powstrzymać.

— Tak — przyznałam — to prawda.

Ojciec przez długą chwilę przyglądał mi się w zadumie.

— I to dobrze, Mal, że czujesz złość. Naprawdę. Gdybyś jej nie czuła, to świadczyłoby, że coś jest nie w porządku. Jednak, jeśli jej na to pozwolisz, twoja złość cię zniszczy. Dlatego wyrzuć ją, kochanie, po prostu ją wyrzuć.

— Ale jak, tato? Powiedz mi, jak?

Zawahał się, potem nachylił się ku mnie i popatrzył mi prosto w oczy.

— Cóż, jest na to pewien sposób.

— A mianowicie?

— Kiedy rozmawialiśmy w maju w Kilgram Chase, spytałem, czy rozrzuciłaś prochy, a ty odparłaś, że nie. Zwierzyłaś mi się, że kupiłaś sejf i tam je zamknęłaś. „Żeby byli bezpieczni”, powiedziałaś. I dodałaś: „Już nigdy więcej nikt ich nie skrzywdzi”. Jestem przekonany, że pamiętasz tamtą rozmowę, prawda?

— Oczywiście że pamiętam. Tylko tobie powiedziałam o sejfie, tato.

— I prochy nadał spoczywają w sejfie? W pokoju na górze? Potaknęłam.

— Sądzę, że nadeszła pora, byś złożyła swoją rodzinę na miejsce spoczynku, Mal. Może jeśli oni zaznają spokoju, ty też zaznasz go odrobinę. W każdym razie były to już jakiś krok...

Następnego ranka wstałam o świcie.

Wczorajsze słowa ojca wzięłam sobie do serca i nad ranem, kiedy sen ciągle nie nadchodził, podjęłam decyzję.

Zrobię, jak mi poradził.

Złożę prochy mej rodziny w miejscu ostatecznego spoczynku. Tak się należało.

Szybko włożyłam bawełniane spodnie i koszulkę, potem zeszłam na dół, do piwnicy. W ubiegłym tygodniu kupiłam do sklepu dużą metalową kasetkę. Idealnie się nada do tego, o czym teraz myślałam.

Z kasetką wróciłam do swojego saloniku na górze. Położyłam ją na sofie i podeszłam do garderoby. Kluczyk do sejfu znajdował się w pudle na kapelusze na najwyższej półce; wyjęłam go,

wspiąwszy się na małą drabinkę, potem zeszłam na dół i otworzyłam sejf.

Najpierw przeniosłam prochy Roberta i Trixy, potem wróciłam po puszki z prochami Jamiego i Lissy. Umieściłam wszystkie w kasetce, zamknęłam ją i zniosłam na dół.

W głębi serca od zawsze wiedziałam, że jeślibym miała kiedykolwiek gdzieś ich złożyć, zakopię ich prochy pod starym klonem obok mojej pracowni.

Był olbrzymi, miał gruby wężłasty pień i ogromne rozłożyste konary; liczył sobie pewnie jakieś trzysta, może nawet czterysta lat. Rósł za moją pracownią i latem osłaniał budynek przed prażącym słońcem, nie zabierając przy tym światła.

Robert kochał to drzewo tak samo jak ten cienisty zakątek ogrodu, w którym często urządzaliśmy pikniki. Dzieci bardzo chętnie bawiły się pod klonem. W upalne, duszne dni jego zielony baldachim z liści ofiarowywał chłód i schronienie przed słońcem.

Wykopałam głęboki dół pod drzewem.

Skończywszy, wyprostowałam się, wbiłam szpadel w ziemię i poszłam po kasetkę.

Uklęklam nad grobem, włożyłam do niego skrzynkę, potem znieruchomiałam na chwilę z dłonią na jej wieku. Przymknęłam oczy, przywołując obraz całej czwórki.

Tu wam będzie dobrze — powiedziałam im w duchu. — Ukochani, jesteście na zawsze w moim sercu. Zawsze będziecie ze mną. Zawsze.

Później, jeszcze tego samego ranka, powiedziałam ojcu, co zrobiłam. Potem zabrałam go pod drzewo klonu, żeby pokazać, gdzie pogrzebałam swą rodzinę.

— Może pamiętasz, że urządzaliśmy tu pikniki, a dzieci chętnie się tu bawiły, zwłaszcza kiedy malowałam w pracowni.

Ojciec objął mnie ramieniem i mocno do siebie przytulił. Był wyraźnie wzruszony i przez dłuższą chwilę nie potrafił dobyć głosu.

— „Bogaty proch bogata skryła w sobie rola...” — odezwał się wreszcie.



Podniosłam na niego oczy czując, jak wypełniają się łzami.

— To śliczne...

Przytulił mnie jeszcze mocniej.

— To fragment wiersza Ruperta Brooke'a.

— Znasz ciąg dalszy? Znasz cały ten wiersz, tato?

Skinął głową.

— Ale on właściwie tu nie pasuje.

— Dlaczego?

— Bo mówi o śmierci żołnierza. Angielskiego żołnierza. Rupert Brooke napisał go w trzynastym roku przed wyruszeniem na ekspedycję dardaneelską, w czasie której zginął.

— Ale Robert był Anglikiem i bliźnięta miały w sobie połowę krwi brytyjskiej, tato. Tak więc będzie pasował. Proszę. Bardzo bym chciała usłyszeć, jak go recytujesz. Tak jak to robiłeś, gdy byłam mała.

— Skoro naprawdę tego chcesz...

— Proszę.

Ojciec recytował cicho, powoli, a ja oparłam się o niego i słu-  
chałam, zamknąwszy oczy.

„Gdybym miał kiedyś umrzeć — pomyśl czasem o mnie,  
że gdzieś tam, na obczyźnie, jest obcy szmat pola,  
co zawsze będzie Anglią... i że tam, najskromniej,  
bogaty proch bogata skryła w sobie rola.  
Proch urodzony w Anglii, co snów jej był echem,  
co kwiaty jej ukochał i przemierzył drogi;  
ciało Anglii angielskim dyszące oddechem,  
w jej strumieniach skąpane przez domowe bogi.  
I pomyśl, że to serce, choć w daleką niwę  
odeszło, gdzie ból świata w Bogu się zatracił,  
przecież odbija w sobie myśl, co była chlebem,  
i dźwięki, i obrazy, sny Anglii szczęśliwe,  
i uśmiech, nauczony kiedyś od przyjaciół,  
i dobroć serc spokojnych pod angielskim niebem".\*

\* przel. Włodzimierz Lewik, „Poeci języka angielskiego”, PIW 1974.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

*Connecticut, sierpień 1990*

— Cóż za zdumiewający sukces odniosłaś! — zawołała Diana, odwracając się do mnie z szerokim uśmiechem. — Po prostu niewiarygodne, ile udało ci się osiągnąć po zaledwie czterech miesiącach działalności.

— Wiem, sama jestem trochę zaskoczona — przyznałam. — Bez twojego oraz mamy wsparcia bym sobie nie poradziła. I bez pomocy i rady Sary. Wszyscy byliście dla mnie cudowni.

— Miło, że to mówisz, ale ten sukces to zasługa twojej ciężkiej pracy, wspaniałych pomysłów i, powiedzmy sobie szczerze, wyjątkowych zdolności w prowadzeniu interesu — odparła Diana ze śmiechem. Wyglądała na zadowoloną. — Któż mógłby przypuszczać, że okażesz się drugą Emmą Hartę?

— Nie, nie. Przede mną jeszcze długa droga.

Diana znów się roześmiała.

— Wyobrażam sobie ciebie jako model zamożnej kobiety lat dziewięćdziesiątych.

— Oby. Powiem ci coś, Diano: uwielbiam handel. Właściwie wszystko, co jest z nim związane. Doprowadzenie tych sklepów do takiego stanu, żeby same się prowadziły, było trudne, ale robienie tego i, co ważniejsze, osiągnięcie, dało mi mnóstwo satysfakcji.

— Stawianie czoła wyzwaniu zwykle tak na nas działa — odparła Diana. — I, moim zdaniem, nic nie może się równać ciężkiej pracy. Ona odrywa nasze myśli od innych spraw, a już na pewno daje mnóstwo sposobów rozładowania energii. Wiem, że pod ko-

niec dnia marzę o łóżku i jestem tak wyczerpana, że natychmiast zasypiam.

— Ja też — powiedziałam.

Diana umilkła, przyglądała mi się przez chwilę, wreszcie spytała ostrożnie:

— A jak naprawdę się czujesz, kochanie?

Westchnęłam.

— Cóż, oczywiście nie ma dnia, bym o nich nie myślała, a smutek i ból nadal we mnie żyją. Ale zmuszam się, by żyć, by funkcjonować. A, o czym obie przekonałyśmy się na własnej skórze, taka masa roboty czyni cuda.

— Przekonałam się o tym wiele lat temu — odrzekła Diana. — To sklep z antykami i firma ocaliły mi życie po śmierci Michaela. Praca to wspaniałe lekarstwo na wszelkie trudności.

— A skoro mowa o pracy, chciałabym ci coś pokazać — powiedziałam wstając.

Przeszłam w drugi koniec biura, które wygospodarowałam sobie w części stodoły, otworzyłam szafkę i wyjęłam z niej kilka segregatorów. Potem wróciłam do stolika obok okna, przy którym razem z Dianą piłyśmy kawę.

— W maju tamtego roku, w Kilgram Chase — podjęłam siedząc naprzeciwko niej — kiedy wpadłam na pomysł otwarcia sklepo-kawiarni, przyszło mi na myśl, że mogłabym też zorganizować sprzedaż wysyłkową, która stanowiłaby naturalne przedłużenie, rozwinięcie działalności sklepów.

— Nic o tym nie wspomniałś.

Diana oparła się o poduszki wyściełające sofę i wyciągnęła nogi.

— Bałam się, że uznasz, iż kompletnie zwariowałam i cierpię na przerost ambicji.

— Przecież wiesz, że według mnie po prostu nie można cierpieć na przerost ambicji.

— Rzeczywiście. Nieważne; sklepy okazały się tak udanym interesem i zarobiły tyle pieniędzy, że postanowiłam ruszyć ze sprzedażą wysyłkową. Zaprojektowałam już katalogi, wydrukowałam próbne egzemplarze. Pracowałyśmy nad tym z Sarą, wyło-

ży na to część swoich pieniędzy. Będziemy współniczkami w tym przedsięwzięciu.

— Ogromnie miło mi to słyszeć, Mal. Jesteście sobie takie bliskie, a któż lepiej nadaje się na współników, jeśli nie przyjaciele? Zresztą, jestem przekonana, że jej udział będzie nieoceniony.

— Już był. Bez jej pomocy nie poradziłabym sobie też i ze sklepami. Uznałam, że jeśli chcę być wobec niej w porządku, przynajmniej powinnam zaproponować udział w następnym pomysle. Wspomniałam jej o tym parę miesięcy temu, kiedy zaczynałam szykować katalog, a ona ochoczo skorzystała z propozycji.

— Rzuci pracę?

— Nie, będzie to traktowała jako zajęcie dodatkowe.

Usiadłam obok Diany i pokazałam jej katalog. Zdjęła okulary, przysunęła się do mnie i obejrzała okładkę. Widniała na niej czerwona stodoła, w której mieściły się sklep z rzeczami do kuchni i kawiarnia. Pod tym biegł napis, który opracowałam specjalnie dla katalogu: *Indiańska Dolina*. Niżej: *Czar wsi* i na samym dole: *Wiosna 1991*.

— To znaczy, że wypuszczasz katalog dopiero w przyszłym roku? — spytała Diana, unosząc brwi.

— Tak, wcześniej nie ma sensu. Najpierw muszę zebrać dość towarów, potem trzeba go porozsyłać. Mam już spis podstawowych adresów w całym kraju, Eryk i Anna opracowali listę adresów w okolicy. Wiosenny katalog zaczniemy wysyłać na początku stycznia.

Otworzyłam katalog, pokazując wewnętrzną stronę okładki.

— Tu nieco dokładniejszy rysunek stodoły, pastwisk, stajni, a na drugiej stronie mój list opowiadający o Indiańskiej Dolinie — wyjaśniłam. — Jak widzisz, całość jest podzielona na trzy części. Pierwsza to „Kuchnia Letycji Keswick”, obejmująca dzemy, galaretki, produkty w słoikach, a także spory wybór towarów ze sklepu. Wszystko, co sprzedajemy: sprzęt kuchenny, naczynia, porcelana. Środkowa część nazywa się „Butik w Dolinie” i oferuje ubrania, dodatki, typowo amerykańskie drobiazgi, tego typu rzeczy. Ostatnia to „Galeria Kilgram Chase”, przedstawiająca ładne, ozdobne drobiazgi w stylu angielskim.

Diana przeglądała katalog uważnie przez kilka minut, wreszcie oddała mi ze słowami:

— Jestem pod wrażeniem, Mal, pod wrażeniem.

— Dziękuję. Mama i David też uważali, że jest całkiem niezły. Bardzo zachęcający, z towarami, które mogą zainteresować. Mama powiedziała, że połowę rzeczy kupiłaby natychmiast, bez zmużenia powiek. A teraz chodźmy, chcę ci pokazać miejsca, których jeszcze nie widziałas.

— Kolejne niespodzianki! Cudownie! — zawołała Diana, jak zwykle entuzjastycznie nastawiona do wszystkiego, co robię.

Oprowadziłam ją po stodole.

— Jak już wcześniej ci wspominałam, tę część stodoły podzieliłam na odrębne pomieszczenia. W biurze właśnie siedzieliśmy, a tu jest pakownia — wyjaśniłam, otwierając drzwi. — Tu, na tych stołach, pomocnicy pakują wszystko, co ma zostać wysłane. Paczki ustawia się tutaj, gdzie czekają na pocztowców, którzy codziennie je odbierają.

— Nadal dostajesz tak dużo zamówień?

— Tak. Jak wiesz, od samego początku miałam sporo zamówień wysyłanych. Ich liczba stale rosła, co mnie przekonało, że katalog powinien się sprawdzić.

Poprowadziłam Dianę dalej, do magazynu.

— Tutaj przechowujemy produkty spożywcze.

— A wszystkie dzemy i galaretki Letycji są w piwnicy domu, to pamiętam — dodała Diana.

Skinęłam głowę.

— Piętro wyżej, w pomieszczeniu, które dobudowałam ubiegłego lata, trzymamy ubrania, zabawki, obrusy, serwetki, tego typu rzeczy.

Wróciłyśmy do biura.

— Wygląda na to, że wykorzystałaś każdy zakątek budynku — powiedziała Diana. — Jeszcze raz powtarzam: dokonałaś tu prawdziwych cudów, Mal.

— Dzięki, ale wkrótce będę potrzebować dodatkowej powierzchni magazynowej. Właściwie to ostatni problem, z którym muszę się uporać. Właśnie w tej sprawie jutro po przyjeździe Sara

pójdzie porozmawiać z moim sąsiadem, Peterem Andersonem. Jest właścicielem tego dużego pastwiska naprzeciwko wjazdu do Indiańskiej Doliny, po drugiej stronie drogi, tam gdzie stoją dwie duże stodoły. Nie wykorzystuje ich. Sara ma nadzieję, że uda nam się kupić od niego ziemię i stodoły, ale moim zdaniem on ich nie sprzeda.

— Może zgodziłby się je wynająć.

— Taką mamy nadzieję. A jeśli już ktoś ma przekonać człowieka do zrobienia czegoś, na co wcale nie ma ochoty, to tylko Sara.

Na twarzy Diany pojawił się serdeczny uśmiech.

— Potrafiłaby namówić ptaki, żeby przestały fruwać, to prawda. Ogromnieją lubię, to wyjątkowa kobieta.

— Wspaniała. Zupełnie nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

— Poznała ostatnio kogoś miłego? — spytała Diana.

Potrząsnęłam głową.

— Niestety, nie. Choć objechała cały świat, atrakcyjny mężczyzna nadal pozostaje nieuchwytny.

— Rozumiem to doskonale. — Diana posłała mi słaby, smutny uśmiech.

Popatrzyłam na nią i nim zdołałam się powstrzymać, spytałam:

— A co się stało z tym mężczyzną, o którym opowiadałaś mi lata temu? Tym, którego uważałaś za wyjątkowego? Wspominałaś, że żyje w separacji, ale nie ma rozwodu i przez to pozostaje dla ciebie nieosiągalny.

— Jego sytuacja się nie zmieniła.

— Więc nadal go widzisz?

— Tak, od czasu do czasu. Ale spotykamy się wyłącznie w interesach.

— Dlaczego się nie rozwiedzie, Diano?

— Z powodów wyznaniowych.

— Och, to znaczy, że jest katolikiem?

— Dobry Boże, nie mój Szkot-kalwinista! To jego żona jest katoliczką i nie chce się rozwieść.

— Aha — odparłam tylko, nie chcąc dalej wypytywać.

Diana także umilkła. Przez moment wyglądała przez okno. Potem wstała, obróciła się w moją stronę i dodała szybko:

— Wiesz, poznałaś go.

— Naprawdę?!

— Tak, oczywiście.

— Gdzie?

— W sklepie, kiedy byliście z Robertem w Londynie. W listopadzie osiemdziesiątego ósmego. Robin McAllister.

— Ten wysoki, bardzo przystojny mężczyzna? — spytałam, nie odrywając od niej wzroku.

Diana potaknęła.

— Pokazywałam mu gobeliny.

— Pamiętam go doskonale. To mężczyzna, który robi wrażenie.

— Zgadza się.

Diana zerknęła na zegarek i wstała.

— Już pierwsza. Może byśmy zjadły lunch w kawiarni? Trochę zgłodniałam.

— Chodźmy! — wykrzyknęłam, także się podrywając. Zrozumiałam, że chce zmienić temat.

— A czy nie będziesz potrzebowała wielu dodatkowych pracowników do realizacji zamówień z katalogów? — spytała Diana, popijając mrożoną herbatę.

— Nie od razu, skoro nasz katalog wiosenny wyślemy w styczniu — odparłam. — Kiedy otworzyłam sklepy, duży ruch mieliśmy w piątki, soboty i niedziele, tak więc zostaje nam poniedziałek, wtorek, środa i czwartek na pakowanie zamówień. Tak przynajmniej to będzie wyglądało wczesną wiosną. Najpierw wszyscy się rozkręcą, a potem ruszymy. Oczywiście, wakacyjne miesiące będą trudniejsze.

Rzuciwszy okiem na salę dodałam:

— Dziś dopiero środa, a spójrz, kawiarnia już jest pełna.

— A wcześniej w „Galerii Kilgram Chase” też zauważyłam sporo klientów — uzupełniła Diana. — Ale pamiętaj, zawsze rób wszystko po kolei, metodą małych kroczków, Mał, to moje motto.

— Najbardziej zaskoczyło mnie powodzenie kawiarni — powiedziałam. — To był prawdziwy hit już od otwarcia. Mamy ogromny ruch, ludzie nawet dzwonią, żeby wcześniej zarezerwować stoliki.

— To naprawdę czarujące miejsce. Te zielone stoliki, świeże kwiaty w wazonach, wszędzie rośliny. A towary na wystawie wystarczą za wszystko. Przypomina mi to dużą wiejską kuchnię — zauważyła Diana. — A pachnie! Pysznie.

— Jedzenie też jest pyszne. Za chwilę przekonasz się sama.

— Nora wszystko gotuje?

— W weekendy, kiedy jest największy ruch, pomaga jej siostrzenica, poza tym szykuje wszystko przy udziale Billy'ego i Eryka. Zgadnij, jakie danie gorące cieszy się największą popularnością?

— Angielska zapiekanka w cieście, dar Parky — odparła Diana, puszczając do mnie oko.

— Tak. Pozostałe dania to zapiekanka jarzynowa, zupy i kanapki. Nora chciałaby dorzucić jeszcze parę sałatek i, patrząc perspektywicznie, muszę przyznać jej rację. A skoro o Norze mowa, oto i ona.

Nora przesunęła się między stolikami do naszego miejsca i wyciągnęła rękę.

— Miło panią widzieć, pani Keswick.

Diana uściśliła jej dłoń.

— Wsporniale móc znów cię widzieć, Noro. Zrobiłaś tu prawdziwą furorę. Gratulacje, Noro, dobra robota.

— To wszystko zasługa Mal — odparła szybko. — Ona jest mózgiem, który tym wszystkim rządzi.

Ale i tak wyglądała na zadowoloną. Posłała Dianie jeden ze swych rzadkich uśmiechów.

— Mam nadzieję, że zajrzy pani później do mnie, do kuchni. Teraz do rzeczy, co podać?

Wręczyła Dianie menu.

— Ja poproszę o kanapkę na placku pity, Noro — powiedziałam.

— Nie musisz kończyć. Z awokado i pomidorem.



— Skąd wiedziałas?

Nora potrząsnęła głową.

— Och, Mal, najeść to ty się tym nie najesz. Dołożę ci kurczaka.

— Zgoda — ustąpiłam, bo wiedziałam, że ją to ucieszy. — I jeszcze jedną mrożoną herbatę.

— A ja poproszę o awokado i krewetki na placku pity — zamówiła Diana. — I też jeszcze jedną mrożoną herbatę, Noro.

— Zaraz podam — odparła Nora, znikając.

— Czyżby także obsługiwała klientów, Mal? — spytała Diana.

— Nie, chciała jedynie obsłużyć ciebie, Diano. Czasem bywa zaborcza, nadopiekuńcza, szczególnie jeśli chodzi o rodzinę.

Diana się uśmiechnęła.

— Zawsze była ogromnie oddana. A kto to jest Iris, ta młoda dziewczyna, która teraz zajmuje się mieszkaniem? Wyglądała na strasznie miłą. Dziś rano starała mi się nieba przychylić.

— Kolejna siostrzenica Nory. Siostra Iris, Rose, to ta, o której wspominałam, że pomaga w kuchni. Zamó... — urwałam widząc Eryka, który spiesznie podszedł z tacą do stolika.

— Proszę, Mal, proszę, pani Keswick — powiedział, dając nam szklanki.

Podziękowałyśmy.

Już odchodził, by z powrotem zająć miejsce za kasą, ale się zawahał.

— O co chodzi, Eryku? — spytałam.

— Przepraszam, Mal, że ci zawracam głowę w czasie lunchu, ale właśnie zadzwoniła jedna z naszych klientek, pani Henley. Chciałaby się dowiedzieć, czy organizujemy prywatne przyjęcia.

— U klienta?

— Nie. Chciałaby zarezerwować salę na przyjęcie. Tutaj, w kawiarni. Impreza urodzinowa dla jej córki, szesnastki, i jej młodych przyjaciół.

— Kiedy?

— We wrześniu.

— Och, sama nie wiem... Chyba nie, Eryku, na pewno będzie duży ruch, ludzie będą chcieli się napić czegoś dla ochłody...

— Nie odmawiaj pochopnie — przerwała mi Diana. — Prywatne przyjęcia mogą się okazać niezłym interesem, a dzięki nim firma może stać się jeszcze bardziej znana.

Eryk posłał Dianie szeroki uśmiech.

— Zgadzam się z panią, pani Keswick.

— Dobrze, Eryku, powiedz jej, że się zgadzamy, ale musisz ją ostrzec, że to będzie kosztowało.

— Ostrzegę, Mal — zapewnił, salutując mi lekko przed odejściem. Był to jego najświeższy nawyk.

— Naprawdę go lubię — stwierdziła Diana. — To prawdziwa sól ziemi.

— Tak jak Joe, Wilf i Ben.

Kiedy już zjadłyśmy kanapki, usiadłam wygodniej, przez chwilę mierząc Dianę uważnym spojrzeniem.

— Mam dla ciebie propozycję — odezwałam się wreszcie.

— Naprawdę? Cudownie! — wykrzyknęła i przyjrzała mi się bacznie. — Sądziłam, że nie chcesz mieć współników.

— W sklepie nie. Ale jest jeszcze coś.

— Cóż, na pewno nie katalog. W to wchodzisz z Sarą.

— Chodzi mi o pewien pomysł, z którym noszę się od paru miesięcy, ale dopiero teraz mogłam go porządnie rozważyć — wyjaśniłam. — Chciałabym założyć małe wydawnictwo i proszę, żebyś została moją współniczką.

Moja teściowa przechyliła głowę, opierając się wygodniej i przez chwilę uważnie mi się przypatrywała.

— Czy wydawanie książek nie jest ryzykownym interesem?

— Pewnie tak, możliwe. Ale ja mówię o małej firmie, która wydaje niewiele książek, bardzo wyjątkowych, sprzedawanych wyłącznie wysyłkowo z moich katalogów albo tu, na miejscu, w sklepie.

— Brzmi interesująco, Mal, ale nie sądzisz, że jak na razie zgromadziłaś wystarczająco szeroką ofertę?

— To prawda, Diano, dużo robię. Ale wydawnictwo to dopiero kwestia przyszłego roku i nie wyłożysz na to ani grosza.

— Aha, rozumiem. Ale przecież sama twierdziłaś, że masz dla mnie propozycję.

— Bo mam. Jak wspominałam, chciałabym, żebyś została moją współniczką w wydaniu zaledwie czterech książek. Co więcej, możliwe, że poza nimi niczego więcej nie wydamy.

— Jakich książek?

— Twoich, Diano. Dwóch dzienników Letycji Keswick, jej książki kucharskiej i notatek o ogrodach. Później mogłybyśmy zająć się także wiktoriańską książką kucharską Klarysy, ale jeszcze nie podjęłam decyzji. Gdybyśmy się zdecydowały, najpierw wydałabym pamiętniki Letycji, potem jej książkę kucharską, a na końcu jej plany ogródka. To byłyby niewielkie serie i na tym, moim zdaniem, polegałby ich urok. W końcu, gdy już ukazałyby się wszystkie cztery tomy, sprzedawałoby się je razem, w pudełku, jako coś, co się nadaje na prezent. Jestem przekonana, że to wypali.

— Ale skąd weźmiesz na to pieniądze? Mówiłaś, że żadnych ode mnie nie chcesz.

— Bo nie sądzę, żebym potrzebowała dużo. Słuchaj, książki są twoją własnością, dałabyś mi prawa do nich. Ja mogę przepisać tekst i skopiować rysunki Letycji. Zapłacić trzeba będzie jedynie za druk i oprawę.

— Chętnie ci je ofiaruję i równie chętnie dołożę pieniędzy.

— Dzięki, Diano, ale możliwe, że w przyszłym roku będę mogła sama sfinansować ten projekt.

— Jak chcesz. Tak czy owak, uważam ten pomysł za wspaniały, Mal! Po prostu wspaniały! Bardzo chętnie się do niego przyłączę. Jak tylko zechcesz.

Wyciągnęłam rękę i uściśnęłam jej dłoń.

— Dziękuję. A propos, chciałabym to nazwać Wydawnictwem Kilgram Chase. Nie przeszkadza ci?

— Wspaniała nazwa! Jakaż z ciebie mądra dziewczynka.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, potem zaczęła kręcić głową w zdumieniu.

— To, co powiedziałam wcześniej, to absolutna prawda, Mal. Naprawdę, staniesz się modelem zamożnej kobiety lat dziewięćdziesiątych.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

\*

*Connecticut, maj 1992*

Leżałam w łóżku, w słabym świetle spoglądając na zegarek. Wskazywał wpół do piątej.

Obudziłam się wcześniej niż zwykle. Choć wstawałam wcześniej — zawsze tak było — zwykle spałam do szóstej. Jeszcze na chwilę zostałam w łóżku. Przypomniałam sobie, co to za dzień: poniedziałek, czwarty maja. Moje trzydzieste siódme urodziny. Trzydzieste siódme. Wydawało się niemożliwe, a jednak.

Wyślizgnęłam się z łóżka, podeszłam do okna, otworzyłam okiennicę i wyjrzałam. Na dworze panował jeszcze mrok. Ale w oddali, za linią drzew i mokradeł, nad horyzontem pojawił się zielonkawy blask, zapowiedź delikatnego światła, skradającego się ku niebu. Wkrótce zacznie świtać.

Przeszłam do swojego saloniku obok sypialni, usiadłam i zapatrzyłam się na portrety Lissy i Jamiego, potem mój wzrok automatycznie powędrował ku obrazowi Roberta, wiszącemu nad kominkiem.

Mimo że panowałam już nad bólem i cierpieniem, tęsknota nie ustąpiła. Żyła we mnie bolesna pustka, czasem przeradzająca się w prawdziwą rozpacz. I choć Indiańska Dolina zajmowała mi prawie cały wolny czas, samotność stała się moją dobrą znajomą.

W ubiegłym roku zebrałam dość odwagi, by przebrać ubrania i zabawki Jamiego i Lissy. Oddałam wszystko. Rodzinie Nory,

przyjaciołom Anny, kościołowi. Ale z dwoma ulubionymi przedmiotami dzieci nie mogłam się rozstać: Oliverem, misiem Lissy, oraz Derrym, dinozaurem Jamiego.

Podeszłam do półki, zdjęłam tylekroć tulone zabawki i zanurzyłam twarz w ich miękkie futerko. Natychmiast ogarnęły mnie wspomnienia. Gardło nagle ścisnął mi ból, pod powiekami nabrzmiały łzy. Odgoniłam je, szybko wzięłam się w garść, odstawiłam zabawki na miejsce i przeszłam do łazienki.

Schowałam włosy pod czepkiem i wzięłam prysznic. Parę minut później, kiedy wycierałam się ręcznikiem, zorientowałam się, że — jak to często mi się przytrafiało — zerkam w róg wanny obok kranów. Nigdy nie odnalazłam nożyka, po tym jak zniknął tamtej nocy, gdy zamierzałam się zabić. Co się z nim stało? To pozostało tajemnicą, podobnie jak pusta wanna i otwarte drzwi kuchni.

Niedawno opowiedziałam o tym wszystkim Sarze, która wysłuchiwała mnie uważnie.

Gdy skończyłam, milczała przez chwilę, potem rzekła:

— Z pewnością istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie, ale wolę o tym myśleć jako o czymś niewytłumaczalnym, swego rodzaju interwencji bądź dowodzie, że dom sam troszczy się o ciebie.

Sara i ja już dawno uzgodniłyśmy, że w domu zapanowała cudowna atmosfera. Wydawało się, że jest nam bardziej życzliwy, bardziej nas kocha niż dawniej, a w jego starych murach panował wyjątkowy spokój.

— To dom pełen kochających, przyjaznych duchów, jak to kiedyś określił Robert — stwierdziła Sara nie dawniej jak tydzień temu.

Popatrzyłyśmy na siebie znacząco, uświadamiając sobie, że obie myślimy o tym samym: Robert, Jamie, Lissa byli obecni w tym domu, bowiem żył on naszymi wspomnieniami o nich.

Ubrawszy się w swój stały strój roboczy: dżinsy, bawełnianą koszulkę i adidasy, zeszłam na dół.

Wstawiłam kawę, wypiłam szklankę wody, wzięłam klucze do sklepów i wyszłam na zewnątrz. Stałam rozglądając się, wdycha-

jąc głęboko powietrze. Unosił się w nim zapach świeżo skoszonej trawy, młodych roślin. Lekki wietrzyk przyniósł woń bzu, który rósł wokół domu.

Zanościło się na piękny dzień. Niebo było jasne, bez śladu chmur, powietrze ciepłe i łagodne.

Ruszyłam wolno ścieżką do grani. Małe stadko brązowych ptaków zerwało się do lotu i krążyło nade mną po błękitniejącym niebie. Idąc słyszałam ich świergot i ćwierkanie, z oddali dobiegało mnie gęganie kanadyjskich gęsi.

Ponieważ dziś rano miałam mnóstwo czasu do otwarcia sklepów, usiadłam na metalowej ławce pod jabłonią. Ona także, podobnie jak bzy, zaczynała kwitnąć. Pokryła się zielonymi listkami i delikatnymi białymi pączkami. Wkrótce cała będzie tonąć w kwieciu.

Zakątek mamusi. Tak Robert nazywał to miejsce. Oparłam się wygodniej, przymknęłam oczy i usłyszałam ich głosy, jasne i dźwięczne, widziałam ich twarze. Jak zawsze, byli ze mną. Zamknięci bezpiecznie w moim sercu.

To czwarte urodziny, które spędzam bez Roberta i bliźniąt. Z doświadczenia wiedziałam już, że to będzie dla mnie smutny dzień, tak samo jak ich urodziny czy ważniejsze święta. Wszystkie one stały się bolesne bez nich, trudne do zniesienia.

A jednak, mimo bólu i samotności, udało mi się przeżyć. Pewnego dnia w końcu zrozumiałam, że tak naprawdę nikt nie może mi pomóc ani zrobić wszystkiego za mnie. Musiałam znaleźć odwagę w sobie.

Sięgnęłam głęboko, głęboko w siebie, do samej istoty mego jestestwa, mojej psyche, i tam odnalazłam ukryte zasoby, siłę, o którą nigdy siebie nie podejrzewałam. Właśnie ta siła charakteru, upór, by rozpocząć życie na nowo, jakoś je sobie ułożyć, pchały mnie naprzód, doprowadziły tu, gdzie teraz jestem.

Może nie było to zachwycające miejsce, ale jeśli wziąć pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazłam, całkiem niezłe. Zachowałam zdrowie ciała i umysłu. Otworzyłam własną firmę, sama się utrzymywałam, spłaciłam długi i zachowałam dom, który kocham. Udało mi się nawet zwrócić część pożyczek rodzicom, Dia-

nie i Davidowi. I nie wątpiłam, że do końca wakacji uda mi się je zlikwidować całkowicie.

Jesteś na najlepszej drodze do powodzenia. Mal — powiedziałam w duchu. — Prawdę mówiąc, całkiem nieźle sobie radzisz.

Wstałam i ruszyłam do przerobionych stajni. Kiedy się zbliżyłam do stawu, zobaczyłam, że tego ranka tętni życiem. Kręciły się po nim dzikie kaczki, kilka gęsi. Pod koniec lata jak zwykle złoży nam wizytę czapla błękitna. Przyzwyczailiśmy się do niej, niecierpliwie jej wyglądaliśmy. Choć tak krótko się u nas zatrzymywała, cieszyliśmy się z jej obecności. Stała się swego rodzaju maskotką i zastanawiałam się, czy nowej serii szytych ręcznie ubranek dziecięcych nie nazwać jej imieniem.

Otworzyłam drzwi „Kuchni Letycji Keswick” i weszłam do środka; powitał mnie rozkoszny zapach jabłek i cynamonu.

Zapaliłam światło i przez chwilę podziwiałam moją kawiarnię, stojąc w drzwiach. Białe wnętrza z ciemnymi belkami na suficie, na podłodze nowa terakota, jak się okazało o wiele łatwiejsza w utrzymaniu, i zasłonki w jasnoczerwono-białą kratę w niewielkich okienkach. Błądziłam wzrokiem po półkach zastawionych słoikami i butelkami wytworów Letycji. Cudowne dżemy i galaretki: jabłkowo-cynamonowe, rabarbarowo-pomarańczowe, śliwkowo-jabłkowe, morelowe, gruszkowo-malinowe, czarna porzeczka z jabłkami. Stały też słoiki z marynatami, przyprawami ziołowymi, marynowaną cebulą, czerwoną kapustą, burakami, orzechami, a także piccalilli: moją ulubioną musztardą, sporządzaną wedle oryginalnej receptury z Yorku.

Mieliśmy także niewielki wybór past, dzikiego ryżu, kaszki kukurydzianej, importowanych angielskich biszkoptów oraz francuskich czekolad. I najnowszy dodatek: sosy Nory.

Okazało się, że Nora to prawdziwy talent kulinarny. W końcu odkryła swoje prawdziwe powołanie. Szykowała wszystkie dania serwowane w kawiarni. Byłam bardzo z niej dumna.

Produkty Letycji Keswick szybko się przyjęły i cieszyły się niesłabnącym powodzeniem w sklepie i w sprzedaży wysyłkowej. Sama sprzedaż wysyłkowa, którą z Sarą rozpoczęliśmy siedemnaście miesięcy temu, stała się kolejnym ogromnym sukcesem.

Nie dalej jak tydzień temu musiałam przyjąć kolejne trzy osoby do pracy przy pakowaniu i wysyłce towarów. Eryk, którego właśnie awansowałam, zatrudnił jeszcze dwóch kelnerów do kawiarni. On sam został kierownikiem sklepów, a także kawiarni i miał teraz pod sobą dwanaście osób pracujących w Indiańskiej Dolinie.

Pchnęłam drzwi kuchni i zajrzałam do środka. Wszystko lśniło czystością w promieniach wschodzącego słońca. Skinęłam głową i ruszyłam na górę, gdzie zerknęłam na dział z nakryciami do stołu, po czym wróciłam na parter.

Wyszędłszy z kawiarni, odwiedziłam butik „Indiańska Dolina” i skierowałam się do galerii „Kilgram Chase”.

Choć wszystkie sklepy bardzo kochałam, jednak do tej galerii miałam dziwny sentyment. Może dlatego, że przypominała mi York i rodzinny dom Roberta. W każdym razie do tej pory cieszyła się sporym powodzeniem i towary nie zalegały półek. Wszystko zniknęło, nim zdążyłam zamówić kolejną dostawę.

Mimo to największym hitem był i pozostał nadal „Dziennik Letycji Keswick”, wydany latem przez moje wydawnictwo. W ciągu roku nakład został wyczerpany, w sklepie i w sprzedaży wysyłkowej rozeszło się prawie trzydzieści pięć tysięcy egzemplarzy. Sara mówiła, że jej znajomi nowojorscy wydawcy nie posiadali się ze zdumienia, choć oni także podziwiali książkę, uznając ją za coś fascynującego. Najwyraźniej inni podzielali ich zdanie.

Obejrzałam pobieżnie galerię i zamknawszy za sobą drzwi, skierowałam się do domu. Wszystko było w porządku. O siódmej zacznie się tu kręcić Anna, o dziewiątej zjawią się Eryk i Nora, a o wpół do dziesiątej stawią się wszyscy pracownicy.

Wspinając się na szczyt, powtarzałam sobie po raz kolejny, jakie ogromne miałam szczęście w interesach. Każde przedsięwzięcie okazywało się korzystne. Każdy sklep — sukcesem. Wszystkie produkty cieszyły się powodzeniem, a kawiarnia była niesamowitym przebojem, tak dla tutejszych mieszkańców, jak i dla przybyszy. Ilekroć jednak używałam przy Sarze określenia „łut szczęścia”, ona natychmiast warczała: „Jeśli pracę po dwanaście, czternaście godzin na dobę świątek piątek i niedzielę okre-



ślasz mianem łutu szczęścia, to rzeczywiście, szczęście się do ciebie uśmiechnęło. Indiańska Dolina stała się sukcesem, bo przez ostatnie dwa lata pracowałeś jak szalona, siedem dni w tygodniu, bez chwili oddechu i dlatego, że masz niesamowitego nosa do interesów. Jesteś najsprytniejszym, najlepszym handlowcem, jakiego w życiu widziałam".

Oczywiście, w pewnym sensie miała rację. Całą energię i chęć działania przełałam na Indiańską Dolinę, na niej koncentrowały się wszelkie moje wysiłki. Patrzenie wprost przed siebie, nieoglądanie się na boki okazały się przydatnymi cechami. Ale mimo ogromnego wysiłku włożonego w całe przedsięwzięcie nie tylko przeze mnie, ale i przez moich współpracowników, nadal uważałam, że bez łutu szczęścia wszystko to spaliłoby na panewce.

W drodze do domu przystanęłam przy jednym z krzaków białego bzu, zerwałam kwitnącą gałązkę. Zniosłam ją do kuchni. Do starego słoika po dżemie nalałam wody, oderwałam z gałązki liście, wstawiłam ją do słoika i wyniosłam na dwór.

Skierowałam się do olbrzymiego klonu, gdzie 19 sierpnia 1989 roku pogrzebałam prochy mojej rodziny. Przyklękłam, z małego kręgu kamieni, który ułożyłam trzy lata temu, wyjęłam słoik z więdnącymi kwiatami i wstawiłam nowy, ten z bzem.

Kłęcząc przez chwilę, wpatrując się w płaską granitową płytę, którą położyłam w październiku 1989 roku.

Na ciemnym kamieniu widniały ich imiona.

**Robert, Lissa i Jamie Keswick. Oraz Trixy Keswick, ich ukochana suczka.**

Poniżej data: **11 grudnia 1988.**

Jeszcze niżej te cudowne słowa z wiersza Ruperta Brooke'a, które ojciec zacytował tamtego ranka, gdy złożyłam ich do grobu:

***Bogaty proch bogata skryła w sobie rola...***

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Mal — odezwała się Nora, wchodząc do kuchni.

— Dziękuję, Noro — odparłam, odwracając się do niej.

— Wszystkiego najlepszego, Mal — dodał Eryk, który stał za żoną, a teraz wysunął się przed nią i wręczył mi ogromny bukiet. — Pomyśleliśmy, że ci się spodobają, same twoje ulubione kwiaty.

— Dziękuję, to bardzo miło z waszej strony.

Wzięłam od niego kwiaty i zanurzyłam twarz w kiściach białego bzu, tulipanach, narcyzach i daliach związanych wielką żółtą kokardą.

— Piękne. Wstawię je do wazonu.

— Nie, ja to zrobię! — zawołała Nora; zabrała je, nim zdążyłam zaprotestować, i ruszyła z nimi w stronę zlewu.

— Napiłbyś się kawy? — zwróciłam się do Eryka.

Potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję. Powinienem już iść do kawiarni. Zrobiło się późno.

— Tak, tak, spiesz się — odpaliłam. — Bo szefowa może cię ochrzanić.

Uśmiechnął się szeroko, zasalutował i wybiegł. Nora stała nad zlewem, układając kwiaty. Usiadłam przy kuchennym stole i wypiłam łyk swojej drugiej kawy.

— Widzę samochód twojej mamy na podjeździe — odezwała się Nora. — Nocowała wczoraj?

— Tak, przenocowała. Chciała spędzić ze mną urodziny. Sara odwiozła pana Nelsona do miasta.

— Cieszę się, że udało im się wczoraj przyjechać tu na lunch... Było dość przyjemnie, prawda?

— Tak, dzięki tobie i tym wszystkim pysznościom, które przyszykowałam.

— Och, nic takiego nie zrobiłam — odparła zawstydzona. — Zresztą, przyjemność po mojej stronie.

— Pomyślałam sobie, że przyprowadzę dziś mamę do kawiarni koło wpół do pierwszej. Po lunchu musi wracać do Nowego Jorku.

— Przyszykować coś specjalnie dla niej?

Potrząsnęłam głową.

— Mama przepada za twoją sałatką cobba, ja też. Może to byśmy zjadły?

— Nie ma sprawy.

Włożyła ostatnią gałązkę bzu do wazonu, który znalazła w suszarce, obejrzała się na mnie i spytała:

— Gdzie ci to postawić?

— Chyba w dziennym pokoju, tam spędzam najwięcej czasu.

Wyszła z kwiatami, po chwili wróciła do kuchni, nalała sobie kawy i stała przy zlewie pijąc.

— Podobała mi się ta kobieta, którą wczoraj przywiózł twój ojciec. Pani Reece-Jones. Ożeni się z nią?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie pytaj, Noro, nie mam pojęcia.

— Szkoda by było, gdyby nie. Na pierwszy rzut oka stanowią taką dobraną parę.

— Wydaje mi się, że rzeczywiście do siebie pasują.

Patrzyłam na nią znad kubka z kawą. Nora zawsze potrafiła właściwie oceniać ludzi, dokonywała szybkich i trafnych osądów. Rzadko się myliła.

Dopiła kawę i umyła kubek.

— Pora ruszać do kuchni w kawiarni. To na razie, Mal.

— Jeszcze raz dziękuję za kwiaty, Noro. To był bardzo miły gest z twojej i Eryka strony.

Skinęła głową.

— Postaraj się mieć przyjemny dzień — powiedziała cicho i już jej nie było.

— Jak sądzisz, czy tato ożeni się z Gwenny? — spytałam mamę, kiedy siedziałyśmy w kawiarni jedząc lunch.

Matka wpatrywała się we mnie bardzo długo, zanim wreszcie odpowiedziała:

— Nie, nie sądzę, żeby się z nią ożenił. A szkoda. Bardzo miła z niej kobieta.

— Tak, to prawda, chyba wszyscy ją lubią. Ale dlaczego uważasz, że tato się z nią nie ożeni?

Matka przygryzła wargę, przez chwilę wyglądała na zamyśloną.

— Bo twój ojciec w głębi ducha jest urodzonym starym kawalerem — odparła w końcu.

— A więc to nie chodzi o Gwenny, po prostu twoim zdaniem on woli być sam?

— Krótko mówiąc, tak.

— Ale ożenił się z tobą.

— To prawda, ale nigdy go nie było...

Urwała w pół słowa i popatrzyła na mnie dziwnie.

— Tato chciałby zachować ciastko, a równocześnie je zjeść, o to ci chodzi, mammo?

— Nie, właściwie nie. Nie chciałabym sugerować, że twój ojciec to kobieciarz albo rozpustnik, bo to nieprawda. Jest... po prostu urodzonym kawalerem, jak ci to przed chwilą powiedziałam. Woli być sam, móc swobodnie krążyć po świecie, grzebać w starożytnych ruinach, robić, na co ma ochotę. Jest też trochę typem samotnika, wiesz? Jeśli trafi się jakaś kobieta i przy okazji mu się spodoba, to cóż, przypuszczam, że się angażuje. Ale zasadniczo nie chce być uwiązany. Chyba do tego to się sprowadza.

— Rozumiem. Cóż, kto jak kto, ale ty chyba wiesz, co mówisz — mruknęłam, wtykając widelec w sałatkę cobba.

Mama przez moment mi się przyglądała.

— Tak, rzeczywiście, wiem o czym mówię, Mallory, i chyba nadeszła pora, byśmy porozmawiały o moim i jego małżeństwie. Wiem, że od lat to ci nie dawało spokoju. Chodzi mi o tę naszą separację.

— Nie, nie, to nie w tym rzecz, mammo, wcale! Nie rozumiem tylko, dlaczego taty nigdy nie było, kiedy byłam dzieckiem i dorastałam. Ani dlaczego mu nie towarzyszyłaś.

Westchnęła lekko.

— Bo tak naprawdę to on nie chciał, żebyśmy z nim jeździły na wykopaliska, a zresztą, kiedy podrosłaś, musiałaś chodzić do szkoły. Tutaj, w Stanach. Ojciec nalegał, byś kształciła się na miejscu i, szczerze mówiąc, ja też sobie tego życzyłam.

— Tak więc wyruszał w te swoje długie podróże i wracał, kiedy miał na to ochotę. Jak mogłaś się na to zgadzać, mammo?

— Kochałam go. I Edward właściwie też mnie kochał. I kochał ciebie, Mal, naprawdę. Byłaś źrenicą jego oka. Słuchaj, ciężko walczyłam o utrzymanie naszego małżeństwa i to bardzo długo.

— Mówiłaś, że wyjeżdżał na wykopaliska. Rozumiem. W końcu na tym polega jego praca. Ale kiedy byłam małą, pojawiły się też inne kobiety, prawda?

— Po jakimś czasie — przyznała.

Wtedy jej się zwierzyłam. Wyrzuciłam z siebie wspomnienie owego weekendu czwartego lipca przed wielu laty, gdy miałam pięć lat; powiedziałam o tamtej okropnej scenie w kuchni i ich strasznej kłótni, która tkwiła we mnie przez tyle lat. Pogrzebanej tak głęboko, bo była zbyt bolesna, i niedawno ożywionej po tym, jak cztery lata temu wydobyła się z mej podświadomości.

Kiedy skończyłam, matka nic nie odpowiedziała.

Po prostu siedziała w milczeniu. Wyglądała jak ogłuszona, jak osoba, która odpłynęła gdzieś daleko. Wpatrywała się w przestrzeń.

— Przyjaciółka, a raczej tak zwana przyjaciółka — odezwała się w końcu cichym, smutnym głosem — powiedziała mi, że Edward ma romans z pewną aktorką, Mercedes Scorrell. Ze wstydem muszę przyznać, że jej uwierzyłam. Byłam młoda, łatwo można było mnie skrzywdzić. Mierna wymówka. Nieważne; zaczęłam oskarżać, oszalałam, wykrzykiwałam na twojego ojca. Wygląda na to, że zapamiętałaś to aż nazbyt dobrze. Oczywiście odezwała się zazdrość. Po jakimś czasie przekonałam się, że to była nieprawda. Tamta kobieta skłamała.

— Ale przecież ojciec miał inne kobiety, mamó — upierałam się. — Sama przed chwilą mówiłaś.

— Sądzę, że zdarzały się, jeśli przebywał poza domem pół roku albo dłużej. Ale to mnie kochał.

— I dlatego tak długo z nim byłaś?

Potaknęła.

— Zresztą twój ojciec bardzo się sprzeciwiał separacji, bardzo długo w ogóle jej nie przyjmował do wiadomości, Mal.

— Naprawdę?

Otworzyłam szeroko oczy. Nie odrywałam wzroku od matki.

— Czemu jesteś taka zaskoczona? — odparła po krótkiej przerwie. — Tak, sprzeciwiał się. Co więcej, nigdy nie chciał roz-

wodu. I coś jeszcze: nasz związek trwał jeszcze długo po tym, jak oficjalnie wystąpiłam o separację.

— Masz na myśli, że nadal uprawialiście seks? — spytałam niedowierzająco.

Skinęła głową zawstydzona.

— Mamo, nie zrobiłabyś czegoś takiego!

— Niestety tak. Odchodziliśmy od siebie i wracaliśmy aż do czasu, kiedy poznałam Davida.

— Wielkie nieba!

— Mał, ja nadal w pewnym sensie kocham twojego ojca. Ale już wiele lat temu ^rozumiałam, że nasze małżeństwo nigdy nie będzie szczęśliwe.

— Ale dlaczego? Przecież spałaś z nim długo po tym, jak się rozstaliśmy. Udało ci się mnie zmylić. Zachowywałaś się, jakby ojciec nie istniał.

— Wiem. To z pewnością był mechanizm obronny. Dlaczego nie mogliśmy być szczęśliwym małżeństwem? Może dlatego, że nie chcę żyć z mężczyzną, który przewędrowuje ziemię. Bez końca.

— Kiedy już dorosłam, mogłaś wędrować razem z nim.

— Nic by z tego nie wyszło, nie na dłuższą metę.

— Przecież łączyło was silne pożądanie seksualne...

— Owszem. Ale seks niekoniecznie musi gwarantować udane małżeństwo, Mallory. Dochodzi tu tak wiele innych elementów. Uwierz mi na słowo: twój ojciec i ja nie pasowaliśmy do siebie.

— Och, wierzę ci, mamo — powiedziałam, ujmując jej dłoń i mocno ściskając. — Chciałam ci to powiedzieć już dawno. Mamo, dziękuję, że zawsze byłaś przy mnie. Wiem, że taty nigdy nie było.

— Na swój sposób był, Mallory, wierz mi.

— Skoro tak twierdzisz, wierzę i kocham go, mamo. I kocham też ciebie, a ostatnio zrozumiałam, że wasze małżeństwo i ja to dwie zupełnie różne rzeczy. To znaczy, że byłam niejako na zewnątrz twojego związku z tatą. To, co się działo między tobą a nim, nigdy nie miało żadnego związku ze mną.

— Zgadza się. To pozostawało między nami.

— Patrząc na swoje dzieciństwo, uświadamiam sobie, że naszej rodzinie czegoś brakowało...

Umilkłam, popatrzyłam na talerz, potem na matkę. Czekala, jakby się spodziewala, że coś jeszcze powiem. Poprawiłam się w krzesło, odchrząknęłam, potem wypłam mały łyk mrożonej herbaty. Poczulam się odrobinę niezręcznie.

— Mam nadzieję, że nie poczułaś się dotknięta tym stwierdzeniem, mamó — odezwałam się po chwili.

— Nie, chyba nie. Właściwie, jeśli mam być wobec siebie szczerą, to muszę przyznać, że to prawda.

— W naszej rodzinie czegoś brakowało i postawmy sprawę jasno: rzeczywiście miałam dość dziwne dzieciństwo. Chyba dlatego tak bardzo chciałam stworzyć idealną rodzinę. Chciałam być idealną żoną dla Roberta, idealną matką dla Jamiego i Lissy. Chciałam, żeby to wszystko było... było... właśnie takie, jak być powinno.

— I było, Mal, naprawdę. Byłaś wspaniałą żoną, wspaniałą matką.

Wpatrzyłam się w nią z napięciem.

— Dałam im szczęście, mamó, prawda? Dałam?

Mocniej zacisnęła palce na mojej dłoni.

— O tak. Mal, dałaś.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

### *Connecticut, listopad 1992*

Był chłodny sobotni poranek na początku miesiąca. W powietrzu wisiała pierwsza zapowiedź przymrozku po łagodnym, złocistym październiku. Ale dzień był słoneczny, pełen blasku, a niebo błękitne.

W weekendy zazwyczaj w Indiańskiej Dolinie panował duży ruch, a ten cudowny dzień ściągnął więcej klientów niż zwykle.

We wszystkich sklepach było tłoczno i cieszyłam się, że mamy dużo towaru w magazynach. Latem nakupiłam mnóstwo rzeczy zakładając, że przez całe wakacje będziemy mieli spory ruch. Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Jeśliby mierzyć interes wedle obrotów z dzisiejszego dnia, na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie ustanowimy nowe rekordy sprzedaży.

Przeszłam z galerii „Kilgram Chase” do kawiarni. Kiedy otworzyłam drzwi, ogarnęło mnie zdumienie. Lokal był już niemal pełny, a to przecież dopiero przedpołudnie. Zatrzymałam się w progu, rozglądając się za Erykiem. Zauważyliśmy się niemal jednocześnie i Eryk pospieszył w moim kierunku.

— Co za ranek — powiedział. — Nie pamiętam takiego ruchu. I cieszę się, że zrobiliśmy ten dodatkowy parking przed bramą wjazdową. Dziś się przyda. — Uśmiechnął się szeroko. — Jak zwykle miałaś rację.

— Wiele to nie kosztowało, a naprawdę jestem przekonana, że na dobre tu zagościmy.

— To w ogóle miałaś jakieś wątpliwości, Mal?



Potrząsnęłam głową.

— Sara się nie odzywała?

— Nie. A czemu pytasz? Jakież problemy?

— Najprawdopodobniej nie, ale jeszcze nie dotarła. Kiedy wczoraj rozmawialiśmy przez telefon, powiedziała, że wyjedzie z miasta o wpół do siódmej. — Sprawdziłam godzinę na zegarku. — A dochodzi już jedenasta.

— Może wyjechała później — podsunął Eryk.

— Może.

— Postaraj się nie zamartwiać, Mal.

Skinęłam głową.

— Spróbuję. Gdybyś mnie potrzebował, będę w biurze — powiedziałam.

Od śmierci mej rodziny szalenie się niepokoiłam, jeśli ktoś bliski się spóźniał. Nie mogłam nic na to poradzić. Zresztą, żyjemy w niebezpiecznym świecie, moim zdaniem nigdy jeszcze nie był on aż tak niebezpieczny. Napady na samochody stały się zjawiskiem powszednim, po ulicach swobodnie krążą uzbrojeni ludzie, tak że morderstwa niewinnych ludzi stały się już normą. Ilekroć sięgałam po gazetę albo włączałam telewizor, pojawiał się tam kolejny horror, który mroził mnie do szpiku kości.

— Mal! Mal!

Obejrzałam się i zobaczyłam Annę, która biegła ku mnie pośpiesznie.

— Możesz mi poświęcić chwilę? — spytała, zatrzymawszy się przy mnie.

— Jasne, wejdźmy do biura — odparłam, otwierając drzwi i wchodząc pierwsza.

Rozebrałyśmy się i skierowałyśmy do foteli stojących przy oknie.

— Masz jakieś problemy, Anno? — zapytałam, siadając na sofie.

— Nie, żadnych, Mal, ale wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie Sandy Farnsworth — wyjaśniła, zajmując miejsce naprzeciwko mnie. — Chce sprzedać „Pony Traders”. Prosiła, żeby spytać, czy nie byłabyś zainteresowana kupnem spółki.

— Nie, nie byłabym — powiedziałam bez wahania. — Już od pewnego czasu się na to zносиło, Anno. Sandy parę razy rzucała luźne uwagi na ten temat. Ale ja nie chcę zajmować się produkcją masową, a to właśnie robi „Pony Traders”, nawet jeśli większość ich towarów jest wykonana ręcznie. — Potrząsnęłam głową. — Nie da rady, Anno, za dużo bym z tym miała kłopotów. Niestety muszę to sobie odpuścić.

— Dawałam Sandy do zrozumienia, że jej oferta cię nie zainteresuje. Tu akurat zgadzam się z tobą i jestem pewna, że Sara też. Obiecałam jednak, że ci to przekażę.

— Rozumiem. Czy 'Sandy mówiła, co zamierza zrobić? To znaczy, gdyby nie udało się jej znaleźć kupca? Dalej będzie prowadzić firmę?

— Pewnie tak, albo będzie musiała rozejrzeć się za nowym wspólnikiem. Lois Gerry wraca do Chicago i myślę, że cała ta sprawa właśnie stąd się wzięła. Podejrzewam, że Lois chce jak najprędzej wycofać wszystkie swoje pieniądze ze spółki.

— Jeśli „Pony Traders” wypadnie z gry, musimy znaleźć kogoś na jej miejsce, innego producenta podobnych ubrań — powiedziałam. — Wiem, że mamy „Billie Girl” i „Lasso”, ale to nie wystarczy.

Anna uśmiechnęła się do mnie.

— Już o tym pomyślałam, Mal, i zaczęłam się rozglądać. W przyszłym tygodniu będziemy mieli kilkoro nowych dostawców.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i, ku mojej uldze, do pokoju wpadła Sara. Była brudna i potargana.

— Co za dzień! — zawołała. — Przepraszam, że się spóźniłam, Mal. Mam nadzieję, że nie niepokoiłaś się zbytnio.

— Odrobinę — przyznałam. — Ale co się stało, Sash? Jesteś potargana, masz smugę brudu na twarzy.

— Naprawdę? Ciekawe, czy była tam wcześniej? Dobra, nieważne. Co się stało? Złapałam gumę.

— O Boże, okropne, ależ miałaś pecha, Saro — powiedziała Anna wstając. — Muszę wracać do butik, Mal. To na razie, dziewczyny.

— Niedługo do ciebie zajrzę — obiecałam.

Sara uśmiechnęła się do niej, równocześnie mówiąc do mnie:

— Przydałaby mi się filiżanka kawy, Mal. Pójdziemy do kawiarni?

— Teraz jest tam ogromny ruch, ale Eryk znajdzie dla nas jakiś kącik. Chodźmy.

I szybko ruszyliśmy śladem Anny.

— Jak sobie poradziłaś ze zmianą koła? — spytałam parę minut później, kiedy siedziałyśmy w rogu kawiarni przy wejściu do kuchni i popijałyśmy kawę.

— Dzięki Bogu, znalazłam pomoc.

— O? — Spojrzałam na nią zaintrygowana. — A gdzie złapałaś gumę?

— Na trasie 41, tuż za zjazdem — wyjaśniła Sara, uśmiechając się szeroko.

— A co w tym takiego zabawnego?

— Spotkanie, które mi się przy okazji przytrafiło.

— Kiedy złapałaś gumę?

— Tak. Bo musisz wiedzieć, że to się stało przed jakimś domem. I, jak się potem okazało, na moje szczęście, bo inaczej dalej siedziałabym przy drodze. Za białym drewnianym płotkiem stał niewielki domek ze spadzistym dachem, wiesz, taki jak zwykle stawiało się w Massachusetts w osiemnastym, dziewiętnastym wieku. Podeszłam i zapukałam do drzwi. Otworzył mężczyzna. Spytałam, czy zechciałby mi pomóc, na co on odparł, że z przyjemnością. I tak razem zmieniliśmy koło, choć należy podkreślić, że większość roboty odwalił on. A ja przy okazji zdążyłam się dowiedzieć o nim wielu interesujących rzeczy z numerem telefonu włącznie.

— To znaczy, że był przystojny, Sash?

— Niezły, całkiem niezły.

Sara umilkła, popatrzyła na mnie dziwnie i dodała:

— Zaprosiłam go na kolację.

— Nie!

- Owszem, tak.
- Na kiedy?
- Dzisiaj wieczorem.
- Sash!
- Nie bądź taka zgorszona, Mal, ja uważam, że to był świetny pomysł.
- Ale, Sash, żeby dzisiaj...
- A co w tym złego? Nie możesz powiedzieć, że nie mamy jedzenia, bo możemy się w nim tarzać.
- Zgadza się.
- Słuchaj, a czemu by mu się bliżej nie przyjrzeć? Mieszka niedaleko, a nie mamy zbyt wielu atrakcyjnych sąsiadów. Szczerze mówiąc, żadnego. Przynajmniej żadnego wolnego.
- Jest Peter Anderson — przypomniałam.
- Ten nadęty nudziarz! — krzyknęła. — Mam go po dziurki w nosie. Wodził się ze mną dwa lata o te diabelne stodoły i wreszcie teraz się zdecydował. Nie, nie sprzeda ich, powiada. Okropny facet, Mal.
- Rzeczywiście, muszę przyznać, że to dziwny człowiek. Eryk mówił, że w ciągu ostatnich kilku lat dotknęły go wszelkie możliwe nieszczęścia. Zresztą, na razie jakoś sobie radzimy, a w ostateczności zawsze możemy postawić nową stodołę koło parkingu.
- Pewnie tak. Ale Peter naprawdę mnie rozczarował. Na początku wydawał się taki miły.
- A jak się nazywa? Ten nowy znajomy, co to go zaprosiłaś na kolację?
- Richard Markson.
- Wyprostowałam się i zmarszczyłam brwi, popijając kolejny łyk kawy.
- Dziwne, Sash, ale to nazwisko brzmi znajomo. Może gdzieś już go poznałam?
- Sara gwałtownie pokręciła głową.
- Nie, nie poznałaś. Spytałam. Jest dość znanym dziennikarzem, często pokazuje się w telewizji, pewnie stąd znasz jego nazwisko.

— Jakiego rodzaju dziennikarstwo uprawia? — spytałam czujnie.

— Głównie interesuje go polityka.

— O której przyjeżdża?

— Zaprosiłam go na ósmą, ale jeśli chcesz, mogę to przesunąć na później, Mal. Umówiłam się, że zadzwonię, żeby potwierdzić.

— Ósma może być. Dobra, i co podamy? Możemy wziąć do domu jedną z zapiekanek Nory i bulion z kurczaka. Zrobimy do tego sałatę, mam ser brie i owoce. Co ty na to?

— Świetnie, Mal. Zapomniałaś tylko o bochnie świeżego wiejskiego chleba Nory.

Richard Markson spodobał mi się od pierwszej chwili, kiedy tylko przekroczył próg domu.

Był wysokim dobrze zbudowanym, ale nie masywnym mężczyzną o ciemnobrązowych oczach, ciemnych kręconych włosach i miłej twarzy.

Niemal natychmiast swoją obecnością wypełnił cały dom. Nie miałam wątpliwości, że nie brakuje mu pewności siebie i wszędzie potrafi się znaleźć. Równocześnie jednak zachowywał się spokojnie, czym natychmiast u mnie zyskał dodatkowe punkty.

— To jest Richard Markson, Mal — przedstawiła Sara, wprowadzając go do kuchni, gdzie wrzucałam lód do pojemnika. — Richardzie, pozwól, że ci przedstawię moją najlepszą przyjaciółkę, Mallory Keswick.

— Dziękuję, że zechciała pani przyjąć na kolację dodatkowego gościa — powiedział, gdy już uścisnęliśmy sobie dłonie. — I bardzo miło mi panią poznać, pani Keswick.

— Proszę, niech pan do mnie mówi Mal. Mnie też bardzo miło pana poznać i powitać w moim domu.

— Wygląda na bardzo miłe miejsce. Muszę wyznać, że przepadam za tymi starymi domami w stylu kolonialnym. Mają w sobie tyle uroku.

— Tak, to prawda. Czego się pan napije, panie Markson?

— Białego wina, dziękuję. I mam nadzieję, że też będziesz się do mnie zwracać po imieniu.

Skinęłam głową i postawiłam lód na dzieży, która zwykle służyła za barek.

— A ty, Sash? Czego się napijesz?

— Ja? Och, sama nie wiem. Chyba też białego wina. Zdaje się, że jest butelka w lodówce.

— Tak — odparłam przez ramię, wyjmując trzy kieliszki.

— Pozwól, że ja to zrobię — zwrócił się do Sary Richard, widząc, jak zmaga się z korkociągiem. Nie minęła chwila, a już podawał mi butelkę. — Proszę, Mal.

— Dziękuję.

Nalałam do kieliszków.

— Przejdźmy do saloniku. Tam jest przytulniej. Sara rozpałała w kominku.

Kiedy już usiedliśmy przed płonącym ogniem, Richard uniósł kieliszek i skłonił się nam obu.

— Na zdrowie — powiedziałyśmy z Sarą jednym głosem, potem wszyscy oparliśmy się wygodniej i zapadliśmy w milczenie.

Pierwszy odezwał się Richard. Później przekonałam się, że doskonale potrafił przełamywać lody, sprawiać, by ludzie czuli się swobodnie. Może między innymi na tym polegała tajemnica jego wspaniałej kariery dziennikarskiej.

— Indiańska Dolina stała się wręcz fantastycznym sukcesem — zwrócił się do mnie. — Dla nas to wspaniałe miejsce, nie pojmujemy, jak mogliśmy się bez niej obywać.

— Och, a więc kupujesz tutaj? — spytała Sara, unosząc brwi.

— To oczywiste. Kupiłem tu większość prezentów choinkowych w ubiegłym roku, w tym zamierzam zrobić to samo. Bardzo często się tu kręcę.

— Dziwne, nigdy przedtem cię nie widziałam — mruknęła Sara.

— Miło spotkać zadowolonego klienta — powiedziałam. — Bo chyba należysz do tej grupy?

— Jak najbardziej — zapewnił Richard z szerokim uśmiechem. Wypił łyk wina i podjął: — Przepadam za Norą i jej kuchnią. Szczerze mówiąc, nie wiem, co bym bez niej począł. Moje po-

siłki to najczęściej dania na wynos z kawiarni: zupy Nory, sałatki Nory i ta przepyszna zapiekanka mięsna.

Wymieniłyśmy z Sarą rozczarowane spojrzenia.

— Dobrze się składa, że ją lubisz — zawołała Sara, nim zdołałam cokolwiek powiedzieć — bo właśnie ją dostaniesz na kolację. Bulion Nory i zapiekankę.

— Wspaniale — stwierdził. — Po prostu wspaniale. Jak już wspominałem, jestem wielbicielem kuchni Nory.

— Mogłabym przyszykować coś innego, może spaghetti primavera — zaproponowałam szybko, zawstydzona.

— Nie bądź niemądra. Zapiekanka będzie idealna.

— Założę się, że jadłeś ją wczoraj na kolację — rzuciła Sara, nadając stwierdzeniu pytającą intonację.

— Nie, wcale! — zaprotestował Richard i wreszcie nie wytrzymał. Kąciki ust mu się wygięły i wybuchnął śmiechem. Zerknął na mnie i wzruszył ramionami. — Ale naprawdę, z ręką na sercu, mogę zjeść ją i dziś.

Minę miał tak zabawną, że i ja zaczęłam się śmiać.

— Musimy znowu zacząć gotować — zwróciłam się do Sary, ciągle się śmiejąc. — Nic innego nam nie pozostaje.

— Masz rację, Mally — odparła.

Richard pytał dalej o Indiańską Dolinę, jak to się stało, że otworzyłam sklepy. Opowiedziałam mu tę historię.

Wspomniał też o dzienniku Letycji, przyznając się, że pamiętnik go zafascynował.

Sara przysłuchiwała się naszej rozmowie, od czasu do czasu dorzucając słówko, potem przyniosła z kuchni butelkę wina i dolewała nam do kieliszków. W pewnym momencie wróciła z kuchni, mówiąc:

— Wstawiłam do piekarnika zapiekankę.

I wykrzywiła się zabawnie. Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Kiedy jakiś czas później poszłam do kuchni sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, Sara ruszyła za mną.

— Poradzę sobie sama, naprawdę — broniłam się. — Wracaj, dotrzyмай towarzystwa Richardowi.

— Nic mu nie będzie, przegląda książki na półkach. Słuchaj, chcę ci coś powiedzieć.

Powiedziała to tak szczególnym tonem, że odwróciłam się do niej.

— O co chodzi?

— Cudownie znowu usłyszeć twój śmiech, Mal. Nie słyszałam go od lat. To tylko chciałam ci powiedzieć.

Stałam przez chwilę, patrząc na przyjaciółkę z taką samą miłością, z jaką ona spoglądała na mnie, i nagle uświadomiłam sobie, że Sara miała rację.

Jak się potem okazało, śmiech stał się głównym elementem wieczoru.

Richard Markson był obdarzony błyskotliwym dowcipem i poczuciem humoru, tak samo Sara; w pewnym momencie tak mnie rozbawili, że znowu usłyszałam swój głośny śmiech. Śmiałam się tak bardzo, że musiałam odstawić zapiekankę, bo bałam się, że ją upuszczę.

Na chwilę usiadłam, żeby się uspokoić, potem wodziłam wzrokiem od Sary do Richarda myśląc, jak świetną stanowią parę. Uderzyło mnie, że to najsympatyczniejszy mężczyzna, jakiego Sara przyprowadziła od lat i nie miałam wątpliwości, że ona także ogromnie mu się spodobała. Bo i czemu by nie? Moja Sashy była piękna i mądra, dobra i kochająca, czasem wręcz czarująca, tak jak dziś wieczorem. Nic nie mogło jej powstrzymać.

Wstałam, wróciłam do kuchni i przyniosłam kolejną porcję zapiekanki.

— Postaw ją na środku stołu, Mal — podsunęła Sara. — Sami sobie będziemy dobierać.

— Dobry pomysł — przyklasnął Richard.

Poszłam za radą Sary i usiadłam.

Wychyliłam łyk wina i przypatrywałam się, jak Richard nakłada sobie porcję zapiekanki, jak wbija w nią widelec. To okropne, że z Sash nie przyłożyłyśmy się bardziej do kolacji. Skąd jednak miałyśmy wiedzieć, że nasz gość regularnie zamawia jedzenie



z kawiarni? Zajęłam się daniem i po jakimś czasie, gdy zerknęłam na Richarda, zobaczyłam, że zajada swoją porcję z apetytem.

Zjedliśmy już sery i sałatę, kiedy Sara poddała gościa przesłuchaniu.

— Od jak dawna spędzasz tu weekendy, Richard? — spytała swobodnie, opierając się wygodniej o krzesło.

— Od ponad roku.

— Twój dom wygląda czarująco z zewnątrz. Kupiłeś go?

Potrząsnął głową.

— Nie, tylko wynajmuję. Znalazła mi go Kathy Sands i...

— Kathy pomagała nam przy formalnościach związanych z kupnem Indiańskiej Doliny — wpadłam mu w słowo. — To cudowna kobieta, nie sądzisz?

Uśmiechnął się.

— Tak, to prawda. Nadal szuka dla mnie domu, który mógłbym kupić, ale wszystkie są o wiele za duże.

— O? A więc mieszkasz sam, tak?

Sara posłała mu pytające spojrzenie.

— Jestem sam — odparł. — I nie chcę kupować dużego domu, po którym sam bym się obijał.

— To zrozumiałe — przyznała Sara. — Ja też bym nie chciała. Ale cóż, za to przyjeżdżam tu co weekend, żeby spędzić go z Mal. — Umilkła na chwilę, nim spytała: — Ja jeszcze nie założyłam rodziny, a ty?

— Ja też nie. Ciągłe kręciłem się po świecie jako korespondent zagraniczny, dopiero teraz trochę się ustatkowałem. Do tej pory chyba za bardzo pochłaniała mnie praca, żebym myślał o zakładaniu rodziny. Trzy lata temu wróciłem do Stanów i zacząłem pracować w „Newsweeku”. — Zaciśnął wargi, lekko wzruszył ramionami. — Uznałem, że dość mam obcych stron. Chciałem wrócić do siebie, do poczciwego, starego Nowego Jorku.

— Jesteś nowojorczykiem? — spytałam.

— Z krwi i kości. I ty też, Mal, prawda? I ty, Saro?

— Tak — potwierdziłam. — Obie.

— Przyjaźnimy się od dzieciństwa — poinformowała go ze śmiechem Sara. — Można by właściwie powiedzieć, że jesteśmy

nierozłączne już od wózekków. A co sprowadziło ciebie do tej dziczy?

— Zanim zdałem na Yale, uczyłem się w Kent School i od tamtej pory pokochałem te okolice. Dla mnie północno-zachodnia, górzysta część Connecticut to kraina wybrana przez Boga.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

*Connecticut, styczeń 1993*

Tamtego wieczoru, kiedy poznałam Richarda, byłam święcie przekonana, że to Sara go interesuje, nie ja. Ale po kilku tygodniach znajomości wyraźnie dał mi do zrozumienia, że właśnie ja go pociągam. Lubił Sarę, owszem, uważał ją za czarującą, ale to wszystko.

Tak mnie to zdumiało, że zaczęłam coś jąkać, że Sarę z pewnością to zrani i zaboli. Richard zapewnił mnie, że nie mam się czego obawiać. Podkreślił, że ona także się nim nie interesuje.

To też mnie zaskoczyło; w końcu Sara była moją najserdeczniejszą, najdroższą przyjaciółką. Znałam ją prawie tak dobrze jak samą siebie. Byłam przekonana, że Richard się myli.

Ale nie.

Kiedy spytałam Sarę, co sądzi o Richardzie, przyznała, że nie jest w jej typie.

— Miły gość, Mal, za miły — brzmiała jej odpowiedź. — Mam straszne przeczucie, że zawsze będę miała słabość do wrednych typków takich jak Tommy Preston.

Kiedy otrząsnęłam się z zaskoczenia, sama nie wiedząc, jak to się stało, zgodziłam się nadal widywać z Richardem. Ale robiłam to bardzo ostrożnie. Zdawałam sobie sprawę, że długo potrwa, nim wpuszczę go do swego życia. Już od czterech lat byłam sama i nie widziałam powodów, by to zmieniać.

Ale jak stwierdziła Sara, Richard to miły gość, ciepły, dobry, wrażliwy; umiał mnie rozśmieszyć. Jego kąśliwe poczucie humo-

ru nieodmiennie wywoływało uśmiech na mojej twarzy i dość szybko zorientowałam się, że niecierpliwie wyglądam go w piątki, soboty, a czasem niedziele, kiedy przyjeżdżał w odwiedziny. Mimo wszystko nadal nie angażowałam się całą sobą.

Sądzę, że oczywiście zdawał sobie z tego sprawę. Był zbyt inteligentny, żeby się nie zorientować, że obawiam się nawiązywania mocniejszych więzi.

Wiedział wszystko o mnie i o tym, co stało się z moją rodziną. Nigdy głośno o tyrn nie wspominał, dawał mi to jedynie do zrozumienia. W końcu był dziennikarzem, i to bardzo dobrym, a w grudniu 1988 pracował w Londynie. Śmierć mojego męża i dzieci, podobnie jak w kraju, i tam znalazła się na pierwszych stronach gazet.

Jedną z rzeczy, którą najbardziej ceniłam u Richarda, była jego wrażliwość. Pewnego sobotniego wieczora w styczniu, kiedy znaleźliśmy się już od trzech miesięcy, natknęłam się na niego w pokoju dziennym, jak oglądał zdjęcia Lissy i Jamiego. Trzymał ramki w dłoniach i wpatrywał się uważnie w fotografie, a na jego twarzy rysowała się taka czułość, że ogarnęło mnie wzruszenie.

Nie zauważył mnie przedtem; na mój widok z zawstydzoną, spłoszoną miną odłożył zdjęcia na miejsce i posłał mi słaby, wręcz nieśmiały uśmiech. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

— Powiedz to — odezwałam się, podchodząc. — Naprawdę, nie musisz się bać. Powiedz, co sobie pomyślałeś, Richard.

— Jakież piękne one były...

— Tak, były. Nazywałam je swoimi aniołkami Botticellego. Były cudowne, oczywiście, czasem psotne, ale poza tym bardzo mądre, zabawne i... po prostu wspaniałe. Były naprawdę wspaniałe, Richard.

Wyciągnął rękę, położył ją delikatnie na moim ramieniu.

— To musiało być dla ciebie straszne, nie do zniesienia... I jestem pewien, że tak jest nadal.

— Czasem nie do wytrzymania i przypuszczam, że tak już pozostanie. Ale nauczyłam się jakoś żyć.

W jego oczach błysnęła niepokój.

— Strasznie cię przepraszam, Mal. Przepraszam, że oglądałem ich zdjęcia. Ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął, to sprawić ci ból mówiąc o nich.

— Ależ to nie sprawia mi bólu — zapewniłam szybko. — Uwielbiam o nich mówić. Większość osób myśli podobnie jak ty i unika rozmów o Jamiem i Lissie. Ale ja lubię je wspominać, bowiem dzięki temu oboje nadal żyją. Moje dzieci mieszkały ze mną sześć lat. I były tak radosnymi stworzonkami, dały mi tyle miłości i szczęścia, że nie chcę o nich zapomnieć, chcę dzielić się wspomnieniami o nich z rodziną, przyjaciółmi. Wiem, że to się nie zmienia.

— Rozumiem i cieszę się, że mi o tym powiedziałaś, Mal, że zechciałaś się tym ze mną podzielić. To dla mnie ważne. Pragnę lepiej cię poznać.

— To zostawiło we mnie głębokie rany — odparłam cicho i podeszłam do sofy. Usiadłam.

Richard przysunął sobie krzesło, zajmując miejsce naprzeciwko mnie.

— Jesteś bardzo dzielna.

— Jestem bardzo słaba. Są we mnie pewne rzeczy, które bardzo łatwo pękają, Richardzie.

— Wiem o tym, Mal. Będę ostrożny... Będę się starał niczego nie zepsuć, obiecuję.

Wydawało mi się, że po tej rozmowie staliśmy się sobie odrobinę bliżsi, ale tylko trochę, boja nie pozwoliłam na więcej. W głębi ducha bałam się związać uczuciowo z Richardem, o ile oczywiście w ogóle byłam jeszcze do czegoś takiego zdolna.

Jednak w miarę upływu tygodni, kiedy nadal się spotykaliśmy, gdy przyjeżdżał na weekendy, nasza znajomość rzeczywiście się rozwijała i ciągle odkrywaliśmy kolejne łączące nas rzeczy.

Choć nigdy mu go nie pokazywałam, widział grób pod starym klonem i wiedział, co kryje. Może to Sara go tam zaprowadziła. W każdym razie pewnego ślicznego kwietniowego dnia przyniósł mi bukiet fiołków i poprosił, bym położyła je na grobie.

— Dla Roberta i dzieci — powiedział.

To był kolejny wzruszający gest z jego strony, który ogromnie mnie poruszył.

Od tamtej pory zaczęłam się otwierać, bardziej mu ufać. Jednak bariery, które ustawiłam, były trudne do złamania. Choć Richard coraz bardziej pociągał mnie fizycznie, nadal nie potrafiłam otworzyć przed nim serca.

To Sara zwróciła mi uwagę, jak bardzo Richard zaangażował się w ten związek, ale zlekceważyłam jej ostrzeżenia.

— Lubimy się, chętnie przebywamy razem, wiele nas łączy. Ale to wszystko, Sash. Jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi.

Popatrzyła na mnie sceptycznie i zmieniła temat, wciągając mnie w dyskusję o katalogu i nowych produktach, które zamierzałyśmy doń wprowadzić.

Późnym wieczorem tego pamiętnego kwietniowego dnia, szykując się do snu, zastanawiałam się nad słowami Sary. I byłam przekonana, że pomyliła się co do Richarda, że przesadziła. Kochając mnie serdecznie pragnęła, bym była szczęśliwa, a jej zdaniem Richard Markson stanowił potencjalną realizację tego pragnienia. Ale zblądziła. Richard rzeczywiście był kochany, ja pierwsza to przyznawałam, wiedziałam jednak, że nigdy nie stanie mi się tak bliski, jak na to zasługuje. To po prostu niemożliwe.

W maju Richard przyszedł mnie odwiedzić rankiem w dniu moich trzydziestych ósmych urodzin. Byłam bardzo zaskoczona jego widokiem. Tego roku moje urodziny wypadły we wtorek i zmierzający w moim kierunku Richard był ostatnią osobą, którą spodziewałam się zobaczyć o ósmej rano pod jabłonią.

— Dlaczego nie jesteś w Nowym Jorku? W pracy? — zawołałam, kiedy przysiadł obok mnie na ławce.

— Bo wziąłem sobie tydzień urlopu na sporządzenie kon^spektu książki.

— Zamierzasz napisać wielką amerykańską powieść?

— Nie, książkę dokumentalną. — Uśmiechnął się do mnie. — Nieważne. A to dla ciebie. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. — Nachylił się i pocałował mnie. — Mam nadzieję, że ci się spodoba.

— Tego jestem pewna.

Popatrzyłam na niego, uśmiechnęłam się i otworzyłam paczkę.

— Och, Richardzie, jak miło z twojej strony, że o tym pomyślałeś! — wykrzyknęłam. — Bardzo ci dziękuję.

Przed sobą miałam tomik „Poezji wybranych” Brooka, oprawiony w ciemnoczerwoną skórę. Otworzyłam książkę.

— Jaka piękna. Gdzieżeś ją wyszukał?

— W antykwariacie w Nowym Jorku. Jak sama widzisz, jest dość leciwa. Mogę ją wziąć na chwilę, Mal?

— Oczywiście. Podałam mu tomik.

Przerzucił strony, znalazł tę, której szukał, i powiedział:

— To jeden z moich ulubionych wierszy, Mal. Mogę przeczytać fragment?

— Tak, proszę.

*W twych ramionach rozkosz spała*

*Cicha jak uliczka nocą.*

*Myśl o tobie — jest, została:*

*Cienie liści w mrocznym domu*

*Bez księżycy nieboskłonu...*

Richard przerwał, na moment zapadła cisza.

— Jakie to śliczne... — powiedziałam cicho.

— Jest jeszcze parę linijek tego samego wiersza, Mal, które jak sądzę, równie dobrze pasują.

Musnął mój policzek, uśmiechnął się tym swoim nieśmiałym uśmiechem, a potem przeczytał:

*Mądrość w twoich oczach drzemie,*

*Ból się schronił i cierpienie.*

*A w sukienki miękkiej faldzie*

*Niepojęta czułość tańczy.*

Przez chwilę milczałam, zanim znowu się odezwałam:

— Dziękuję, Richard, nie tylko za prezent...

— Mogę cię dziś zaprosić na kolację? — spytał opierając się wygodniej. — Moglibyśmy się wybrać do „Rożna przy Zachodniej” w Litchfield.

— Dziękuję, bardzo chętnie.

— W takim razie do zobaczenia — odparł. Wyglądał na zadowolonego. — Przyjadę po ciebie koło siódmej — dodał wstając i szybko odchodząc.

W piątek tego samego tygodnia rano z drukarni przyjechały pudła z książkami. Natychmiast zadzwoniłam do Richarda.

— Przyszedł drugi tom pamiętników Letycji Keswick — powiedziała. — A skoro tak lubisz jej dzieła, chciałabym ci ofiarować jeden z pierwszych egzemplarzy.

— Dzięki, Mał, to wspaniale. Kiedy mogę się po niego zgłosić?

— Choćby i teraz. Poczęstuję cię kawą.

— W takim razie do zobaczenia za pół godziny — powiedział i odłożył słuchawkę.

Kiedy przyjechał, wprowadziłam go do pokoju dziennego.

— Kawa już czeka, tak samo książka. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Moim zdaniem drukarnia nieźle się spisała, ale ciekawa jestem twojego zdania.

Richardowi wystarczyło pobieżne przejrzenie książki, by poinformować mnie, że czeka mnie kolejny sukces.

— Układ tekstu jest piękny, a te fragmenty, które przeczytałem, przyciągają uwagę. Zakładam, że cały dziennik jest utrzymany na wysokim poziomie?

— Jak najbardziej. To precudowny zapis życia codziennego w siedemnastowiecznej Anglii. Jej mieszkańcy ogromnie nas przypominali, mieli podobne marzenia i nadzieje, kłopoty i niepokoje.

— Ludzie niezbyt się zmienili przez te wszystkie stulecia — zauważył, odkładając książkę na stół. — A znajdując te pamiętniki, niewątpliwie natknęłaś się na coś wyjątkowego.

— Są jeszcze dwie książki.



— Dzienniki? — spytał nieco zaskoczony. — Nie mów, że masz więcej takich perełek!

Potrząsnęłam głową.

— Nie, niestety nie, bo dzienniki to najlepsze jej rzeczy. Ale mam jeszcze przepisy kucharskie i książkę, w której opisywała swój ogród; wkrótce je wydám.

— Wygląda na to, że wydawnictwo „Kilgram Chase” ma przed sobą jeszcze trochę życia — powiedział Richard z uśmiechem.

— Oby.

— A jaka jest ta książka o ogrodzie?

— Ciekawa, bo są w niej plany Letycji zagospodarowania ogrodów w Kilgram Chase. Bardzo dokładne, z listą roślin, kwiatów i drzew włącznie. Ale nie sądzę, żeby miała tyle samo uroku, co dzienniki.

— Niekoniecznie, Mal. Ostatnio ludzie bardzo zainteresowali się ogrodami. Wystarczy popatrzeć, jaki sukces odniosła książka Rusella Page'a o jego ogrodach, albo pisma Gertrudy Jekyll.

— Może i masz rację.

— A dużo jest ilustracji?

— Tak. Niedługo zacznę je kopiować.

Roześmiał się.

— „Ogrody Letycji Keswick” mogą okazać się taką samą bombą jak pierwsza część jej pamiętników. A to... — poklepał książkę — chciałbym dać naszemu szefowi działu krytyki. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Nie, nie ma sprawy. Dam ci drugi egzemplarz, kiedy będziesz jechał do domu.

Posiedzieliśmy jeszcze trochę nad kawą, gawędząc mile, przede wszystkim o wydawnictwie „Kilgram Chase” i książkach w ogóle.

— Kiedyś też napisałam książkę — powiedziałam niespodziewanie dla samej siebie.

Na jego twarzy pojawiło się zaciekawienie.

— Wydałaś ją?

Potrząsnęłam głową.

— To szczególna książka.

— Masz ją tutaj, Mal?  
— Tak. Chciałbyś obejrzeć?  
— Z rozkoszą. Muszę przyznać, że jestem bardzo zaintrygowany.

Skinęłam głową i wyszłam z pokoju. Wróciłam po kilku minutach.

— Właściwie to są dwie książki — powiedziałam. — Napisałam je i zrobiłam ilustracje dla Jamiego i Lissy. Zamierzałam dać je im pod choinkę, ale oni już wtedy nie żyli.

— O, Mal.

W jego ciemnych oczach pojawił się ból.

— Jedna nosi tytuł: „Nasi przyjaciele z murka”, a druga: „Nasi przyjaciele z murka urządzają przyjęcie”. Cóż, proszę, zerknij na nie.

Podalam mu książeczki. Richard oglądał je przez dłuższy czas. Kiedy w końcu odłożył drugą, na jego twarzy pojawił się bardzo dziwny wyraz.

— Co się stało? Co jest źle? — spytałam, próbując przeniknąć go wzrokiem.

Potrząsnął głową.

— Nic. Ale, Mal, te książki są wyjątkowe, po prostu piękne. Czarujące, takie oryginalne, a twoje ilustracje są niezrównane. Wydasz je, oczywiście?

— O nie, nie mogłabym! Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! Napisałam je dla moich dzieci. Są dla mnie... są dla mnie czymś świętym. Te książki były przeznaczone dla Jamiego i Lissy i tak niech pozostanie.

— Mal, nie wolno ci. Nie takie prawdziwe cacka. Istne cuda. Dzieci będą za nimi przepadać, pomyśl o radości i przyjemności, jaką im przyniosą.

— Nie! — krzyknęłam. — Nie mogę! Nie opublikuję ich, Richard! Czy ty tego nie rozumiesz? — powtórzyłam ostro, mierząc go wzrokiem. — Są dla mnie święte.

— Co za szkoda, że tak czujesz — odparł cicho.

— Może kiedyś — powiedziałam cicho, nagle czując potrzebę ułagodzenia go.

— Mam nadzieję.

Wzięłam książki ze stolika, zaborczo otoczyłam je ramionami.

— Pójdę tylko je odłożyć, zaraz wracam.

Wybiegłam na górę.

Ale kiedy odkładałam książki do szafki i przekręcałam kluczyk w drzwiach, nagle uderzyła mnie myśl: czemu pokazałam je Richardowi Marksonowi? Wcześniej widzieli je wyłącznie Robert i Sara. A przez cztery lata trzymałam je w zamknięciu. Nie wyjęłam ich nawet dla Diany ani mamy.

Dlaczego pokazałam mu coś tak osobistego, tak mojego, tak dla mnie ważnego? — pytałam się w duchu, wracając na dół, do pokoju słonecznego. Nie znajdowałam odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

### *Connecticut, sierpień 1993*

Przyjeżdżając do Bośni, Richard mówił, że nie będzie go dziesięć dni.

Ale pobyt tam przedłużył się prawie do miesiąca. Richard dzwonił do mnie regularnie i cieszyłam się, że mam od niego wiadomości. Równocześnie jednak czułam się niejako oblegana.

Ilekoć Richard dzwonił z Sarajewa, robiłam się bardzo ostrożna, nie wiedziałam co mówić, bo byłam niemal pewna, że oczekuje ode mnie odpowiedzi na oświadczyzny, które miały miejsce przed jego wyjazdem.

A ja nie mogłam mu jej udzielić.

Nadal nie wiedziałam, jakie właściwie uczucia żywię względem niego. Lubiłam go, stał mi się ogromnie bliski. W końcu to dobry człowiek, a przez dziesięć miesięcy naszej znajomości udowodnił, że potrafi być też i dobrym przyjacielem. Poza tym bardzo do siebie pasowaliśmy, łączyły nas wspólne zainteresowania, chętnie spędzaliśmy razem czas. Wszystko to jednak jakoś mi nie wystarczało do małżeństwa, a nawet związku na próbę, który zaproponował.

Boję się. Boję się więzów, intymności związanej z codziennym pożyciem. A nade wszystko lękam się miłości. Co będzie, jeśli zakocham się w Richardzie, a on mnie porzuci? Albo umrze? Albo zginie w czasie wykonywania pracy?

Co wtedy się ze mną stanie? Po raz drugi nie zniosłabym utraty męża.

A gdybym za niego wyszła, tak jak o to prosił, i to nawet nie kochając, zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że pojawią się dzieci. Jak mogłabym mieć inne dzieci? Lissa i Jamie byli tacy... doskonali.

Takie oto myśli kłębiły mi się w głowie tego ranka, kiedy z kubkiem czarnej kawy w rękę wspinałam się na grań. Podniosłam oczy i zapatrzyłam się w niebo.

Ranek był mglisty, chmurny, nad wzgórzami wisiał deszcz. Niebo sprawiało wrażenie spłowiałego, było tak blade, że wydawało się niemal białe. A choć nie kłębiły się na nim burzowe chmury, powietrze było ciężkie i duszne. Czułam, że po upalnym sierpniu pogoda się załamie. Zresztą, potrzebowaliśmy deszczu.

Usiadłam pod jabłonią i popijałam kawę, błędząc wzrokiem po okolicy. Na chwilę zatrzymałam spojrzenie na czerwonych stołach, moich sklepiakach i poczułam przelotny przypływ dumy na myśl o sukcesie, jaki odniosły. Potem zapatrzyłam się na staw. Przy brzegu kręciły się dzikie kaczki i gęsi, na drugim brzegu dumnie na swych długich nogach stała piękna czapla błękitna. Serce zabiło mi mocniej. Tak bardzo wyczekiwaliśmy tego gościa.

Dopiłam kawę, oparłam się o poręcz, przymknęłam oczy i na chwilę pogrążyłam się w zadumie. Po kilku minutach wiedziałam już, co muszę zrobić, wiedziałam, jakiej odpowiedzi udzielię Richardowi.

Nie.

Odmówię mu i odeślę go w świat.

Co mu po kobiecie, która nie potrafi pokochać drugi raz? Kobiecie, która nadal kocha zmarłego męża?

„Zycie jest po to, by żyć” — odezwał się gdzieś w głębi duszy głos Diany.

Odsunęłam ten głos, trzymając się uparcie tamtej myśli. Odprawię Richarda Marksona. Od początku wiedziałam, że to zrobię.

A może on już sam odszedł. Nie kontaktował się ze mną od dobrego tygodnia. Co więcej, wyjechawszy z Bośni przestał regularnie do mnie dzwonić.

Tak jak planował, przebywał w tym rozdartym wojną kraju dziesięć dni. Potem ruszył w świat, przeniósł się do Paryża, swej ukochanej stolicy, jak sam się wyraził w którejś z rozmów telefonicznych. Pracował tam kiedyś jako korespondent „New York Timesa” i z rozrzewnieniem wspominał każdą chwilę czteroletniego pobytu. Cztery lata to długo. Na pewno ma tam mnóstwo przyjaciół.

Może Bośnia i Paryż wyleczyły go ze mnie.

Może okaże się, że nie będę musiała go odrzucać.

Niewątpliwie byłaby to **dla** mnie prawdziwa ulga, gdybym nie musiała mówić mu tego prosto w oczy, gdyby po prostu został tam i nigdy nie wrócił, albo pozwolił, by nasz związek umarł śmiercią naturalną.

Może zszedł się znowu z jakąś starą flamą. To też by była dla mnie prawdziwa ulga, prawda?

— Cześć, Mal.

Wyprostowałam się gwałtownie, zaskoczona wypuściłam kubek z kawą, który trzymałam w dłoni.

Bez słowa, z rozchylonymi wargami wpatrywałam się w Richarda.

— Przepraszam, jeśli cię zaskoczyłem — odezwał się, stając nade mną.

— Omal nie zemdlałam! Aleś mnie przestraszył! — krzyknęłam. Wciągnęłam głęboko powietrze i spytałam: — Skąd się tu wzięłeś?

— Z samochodu. Zaparkowałem przed domem.

— Nie, chodziło mi o to, kiedy wróciłeś z Paryża.

— Wczoraj w nocy. Przyjechałem tu prosto z lotniska Kennedy'ego. Chciałem do ciebie zadzwonić, ale było za późno. Postanowiłem więc, że zajrzę rano i spotkam się z tobą osobiście.

Umilkł i bacznie mi się przyjrzał.

— **Jak** się czujesz, Mal?

— Świetnie — odparłam. — A ty?

— Doskonale. Ale przydałaby mi się filiżanka kawy. Chodźmy do kawiarni.

Pomachałam mu przed nosem pękiem kluczy.

— Jeszcze zamknięta. Jest dopiero wpół do dziewiątej. Właśnie szłam otwierać.

— O Boże, nie przestawiłem się z paryskiego czasu... Dla mnie to już popołudnie.

— Chodź, odprowadzisz mnie do sklepów. Otworzę, a potem będziemy mogli wrócić do domu na twoją filiżankę kawy.

— Umowa stoi — powiedział, wyciągając rękę.

W milczeniu schodziliśmy w dół zbocza. Kiedy już znaleźliśmy się na miejscu, otworzyłam najpierw kawiarnię, potem butik, następnie galerię, a później schowałam klucze do kieszeni.

— Już po wszystkim — stwierdziłam. — A teraz do kuchni. Jeśli chcesz, przyszykuję ci śniadanie. Co byś powiedział na jajecznicę ze świeżymi bułeczkami?

— Ekstra!

Uśmiechnęłam się do niego i ruszyłam w stronę domu.

— Mal.

Odwrociłam się do Richarda.

Stał nadal przy drzwiach galerii.

— Co się stało? — spytałam.

— Nic się nie stało. Ciekaw tylko byłem — mówił zbliżając się — czy masz dla mnie odpowiedź, Mal?

Przez chwilę milczałam, nie chcąc go zranić. Potem odparłam cicho:

— Nie, Richardzie, nie mam.

Stał, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Nie, nieprawda — poprawiłam się. — Mam odpowiedź. Nie mogę za ciebie wyjść, Richardzie. Przepraszam.

— Nie chcesz ze mną żyć? Choćby spróbować?

Potrząsnęłam głową, przygryzając wargę. Był taki zdruzgotany. Nie mogłam tego znieść.

— Wiesz, Mal, zakochałem się w tobie od pierwszego wejścia. I wcale nie chodzi mi o ten wieczór przed dziesięcioma miesiącami, kiedy przyszedłem do was na kolację, pamiętasz, gdy zmieniłem koło Sarze. Mówię o tym, gdy zobaczyłem cię naprawdę po raz pierwszy; to było kiedy pierwszy raz przyjechałem do Indiańskiej Doliny. Nie zauważyłaś mnie, nie znaliśmy się. Spad-

łaś mi jak cegła na głowę. Chciałem, żeby ktoś nas sobie przedstawił, ale jeden z moich przyjaciół w Sharon powiedział, że jesteś... nie do wzięcia.

— Och — odparłam zaskoczona.

— To, że cię w końcu spotkałem, że cię poznałem i byłem z tobą przez te dziesięć miesięcy, było najlepszą rzeczą, jaka w życiu mnie spotkała. Kocham cię, Mal.

Dalej stałam, wpatrując się w niego. Milczałam.

— Czy w ogóle nic do mnie nie czujesz? — spytał cicho.

— Oczywiście, że czuję, Richardzie, i martwiłam się o ciebie, kiedy byłeś w Bośni. Bałam się różnych zabłąkanych kul, nalołów, bomb, które mogłyby cię zabić.

— To dlaczego nie zaryzykujesz życia ze mną?

— Ja... po prostu... nie mogę. Przykro mi. — Odwróciłam się. — Chodźmy do domu napić się kawy — wymamrotałam.

Nic nie odpowiedział. Szedł obok mnie bez słowa.

Wolno wspinaliśmy się na wzgórze.

Zerkałam na niego kątem oka; dostrzegłam napiętą linię zaciśniętej szczęki, żyłkę pulsującą na skroni i coś we mnie pękło. Cały mój opór nagle zniknął. Moje serce wyrывało się ku temu cierpiącemu mężczyźnie. Czułam jego ból tak wyraźnie, jakby to była moja męka. I wtedy pojęłam, że rzeczywiście jest mi bliski. Tęskniłam za nim. Bałam się o niego. Cieszyłam się, że wrócił cały i zdrowy. Tak, zależało mi na nim.

— Robert nie chciałby, żebyś była sama — odezwał się, myśląc głośno.

Richard nie odpowiedział.

Szliśmy dalej.

— Robert nie chciałby, żebyś była sama — powtórzyłam. — Prawda?

— Tak, nie sądzę, żeby tego chciał — odparł Richard.

Głęboko zaczerpnęłam tchu.

— Nie jestem przekonana do małżeństwa, jeszcze nie dziś. To mnie przeraża. Ale, cóż... może jednak spróbowalibyśmy zamieszkać razem. — Wsunęłam dłoń w jego rękę. — Tutaj, w Indiańskiej Dolinie.



Zatrzymał się w pół kroku. Ja też.

Chwyając mnie za ramiona, obrócił twarzą do siebie.

— Mal, mówisz poważnie?

— Tak — odparłam ledwo dosłyszalnie. Potem powtórzyłam pewniej: — Tak, naprawdę. Ale będziesz musiał być cierpliwy, dać mi czas.

— Mamy czasu, ile dusza zapragnie, Mal, ile tylko zechcesz.

Pochylił się i delikatnie pocałował mnie w usta.

— Wiem, że jesteś krucha, że łatwo można cię skrzywdzić. Obiecuję, że będę ostrożny.

Skinęłam głową.

— I jest jeszcze coś — zaczął, ale się zawahał.

— Tak.

— Wiem i rozumiem, że przeżyłaś ogromną stratę. Ale ze mną wszystko przed tobą...

— Wiem o tym — odparłam i przypomniawszy sobie słowa Diany, ciągnęłam: — Moje życie. Przyszłość... Jeśli zdobędę się na dość odwagi, by po nią sięgnąć.

— Jesteś najodważniejszą osobą, jaką znam, Mal.

Ruszyliśmy dalej, minęliśmy starą jabłoń i ławeczkę, kierując się do głównego wejścia. Kiedy szliśmy po zielonym trawniku, Richard otoczył ramieniem moje barki.

Uniosłam ku niemu wzrok.

Popatrzył na mnie z niezachwianą pewnością i uśmiechnął się.

Kiedy weszliśmy do domu, mocniej przyciągnął mnie do siebie, nie zdejmując dłoni z moich ramion.

Po raz pierwszy od śmierci Roberta poczułam się bezpiecznie. I wiedziałam, że wszystko będzie dobrze.